

Edward M. Lerner

# NASTĘPCY

## Wstęp i Podziękowania

„Następcy” to historia na temat nanotechnologii medycznej.

Nanotechnologia to nauka i technika zajmująca się obiektami w bardzo małej skali (jeden nanometr = jedna miliardowa metra), lecz „mała” nie oddaje w pełni jej rozmiarów. Tradycyjna produkcja, nawet najmniejszych mikroczipów, operuje materia w ilościach hurtowych. Wcale nie oddaliliśmy się aż tak bardzo, jak nam się zdaje, od wykuwania narzędzi z kawałków krzemienia. Nanotechnologia natomiast zajmuje się porządkowaniem materii z precyzją co do atomu. A przynajmniej tak będzie w przyszłości; na razie to jeszcze technologia w powijakach.

Lecz niemowlę bardzo szybko dorasta...

A nanotechnologia medyczna? W niedalekiej przyszłości złożone maszyny, mniejsze od pojedynczych komórek biologicznych - a tym samym mogące w teorii dostać się do każdej komórki naszego organizmu, zdiagnozować ją i wyleczyć - zrewolucjonizują praktykę

medycną. Przykłady znajdują Państwo w książce. Jak również niespodzianki.

Przygotowując się do napisania tej powieści, wziąłem udział w konferencji „Użyteczne nanosystemy: plan wprowadzenia technologii”. Przez dwa dni zgłębiałem tajniki teorii, praktyki i najprawdopodobniej szej ewolucji nanotechnologii, przedstawiane przez fachowców ze świata akademickiego, laboratoriów rządowych i przemysłu. Rodzące się technologie zwykle czerpią pełnymi garściami z już istniejących dyscyplin. Nanotechnologia nie stanowi tu wyjątku, zajmują się nią ludzie mający wykształcenie fizyczne, informatyczne, chemiczne, biologiczne i inżynierskie.

Uczestnicy konferencji niezwykle szlachetnie zgodzili się użyczyć mi swego czasu i pomysłów przed, w trakcie i po kolejnych spotkaniach. Pragnę podziękować wszystkim biorącym udział w tym niezwykle pouczającym wydarzeniu - niestety, było ich zbyt wielu, by wymienić każdego z osobna. Mimo wszystko jednak chciałbym wyróżnić jedną osobę: doktora K. Erica Drexlera, pioniera i lidera na tym polu. Ogromnie sobie cenię zwłaszcza jego książki, które zapoczątkowały moje zainteresowanie nanotechnologią, a także wyczerpujące odpowiedzi na moje pytania.

Co do medycznych aspektów mojej powieści, miałem to szczęście, że mogłem zasięgnąć porady ekspertów z dziedziny biologii, biofizyki, medycyny, neurologii i psychologii. Jestem im niezmiernie wdzięczny za ich wiedzę, pomysły i doświadczenie, a także cierpliwość, z jaką dzielili się nimi ze mną. Dziękuję zatem: doktorowi Jeffreyowi Barthowi z Uniwersytetu Wirginii, doktorowi medycyny Jasonowi Cooperowi, doktor Bar-bekce Hurtt z uniwersytetu Rocky Vista, doktorowi

Marcowi Mangelowi z Uniwersytetu Kalifornijskiego w Santa Cruz, doktor medycyny Dianę Mayland, doktorowi Richardowi Robinsonowi z Uniwersytetu Columbia, doktorowi medycyny Henry'emu G. Strat-mannowi.

Co do tematyki procedur policyjnych i szpitalnych, pragnę podziękować sierżantowi Jeffowi Bowermanowi z biura szeryfa powiatu Frederick (Wirginia) i Karen Bowerman ze szpitala dla weteranów w Martinsburgu (Wirginia Zachodnia).

Wszystkie właściwie oddane detale to zasługa ekspertów. Odpowiedzialność za wszystkie ekstrapolacje, błędy, uproszczenia i pomysły fikcyjne spada na autora.

Wyrażam też wdzięczność Bobowi Gleasonowi, mojemu redaktorowi, za to, że zachęcił mnie do zajęcia się powieścią traktującą o nanotechnologii w niedalekiej przyszłości, oraz Eleanor Wood, mojej agentce, za wsparcie.

I w końcu osoba, którą wymieniam ostatnią, lecz nie oznacza to, iż jest dla mnie najmniej ważna: moja pierwsza i ulubiona czytelniczka - żona Ruth. Jak zawsze pomogła mi skupić się w pracy na ludziach, a nie technice (moi bohaterowie, gdyby mogli, także by jej podziękowali).

Edward M. Lerner

# ZIARNO

23 LIPCA 2015. CZWARTEK

Niebiesko-biały radiowóz numer 343 czekał z włączonym silnikiem obok wyjazdu z garażu komisariatu w Angleton. Kierowca był wkurzony.

- Może mnie pan zastrzelić - zaproponował Brent.
- Za dużo papierków do wypełnienia. Proszę wsiadać.

Brent sięgnął przez otwarte okno i otworzył przednie drzwi. Klapnął na siedzenie tak ciężko, że czarny winyl zatrzeszczał pod jego ciężarem. Potem zamknął drzwi i wyciągnął rękę do kierowcy.

- Brent Cleary z Garner Nanotech. Proszę mi mówić Brent.

Gliniarz wrzucił bieg i wszystkie drzwi zamknęły się automatycznie. Nie zdjął nogi z pedału hamulca.

- Sierżant Kom. Proszę mi mówić sierżancie Korn. I zapiąć pasy.

Brent cofnął dłoń. Był to jego szósty patrol i czwarta komenda, zdążył zatem nauczyć się paru rzeczy. Nie

przynosić pączków. Nie rozmawiać o serialach policyjnych. Nie oczekiwać, że „chcę tylko pomóc” zyska mu sympatię. Nie naciskać za mocno ani zbyt szybko.

- Powiedziałem: zapnij pasy, Cleary.

Brent posłucha! mimo zbyt uczynności owego gestu.

- Sierżancie, mam dla pana podpisany egzemplarz oświadczenia w sprawie dzisiejszego patrolu.

Konsole pomiędzy dwoma głębokimi fotelami pokrywały płaskie ekrany. Korn postukał palcem w największy i na monitorze pojawił się formularz.

Brent musiał się schylić, by go odczytać. Natychmiast rozpoznał własne zdjęcie i nabazgraną zgodę kapitana. Tekst uwalniał departament policji od odpowiedzialności za wszystko, co mogłoby przedstawiciela Garner Nanotechnology spotkać - nawet gdyby sierżant do niego strzelił. Zresztą Brentowi nie zrobiłoby to żadnej różnicy.

- Wyprzedza mnie pan o krok.

- Owszem. - Korn zamknął szybę od strony pasażera i stuknął palcem w swoją słuchawkę. - Wóz trzy cztery trzy wyjeżdża na patrol. - Z gardłowym pomrukiem silnika radiowóz skręcił w Main Street, mijając komendę. - Z gościem na pokładzie - dodał od niechcienia Korn.

To także zaskoczyło Brenta. Nikt, może oprócz zwolenników CB-radia, nie używał już kodów radiowych. Po jedenastym wrześniu i poważnych problemach z łącznością pomiędzy różnymi jurysdykcjami stwierdzono, że łatwiej przejść na zwykły angielski niż przeprowadzić standardy zajęć kodów. Podczas niemal wszystkich patroli, z jednym jedynym wyjątkiem, większość rutynowej łączności odbywała się za pomocą bezprzewodowych wiadomości tekstowych wysyłanych przez komputer.

- Jaki plan na dzisiaj? - spytał Brent.
- Praca.

Wyglądało na to, że czeka go osiem bardzo długich godzin. Rozejrzał się po radiowozie. Hybryda crown-vic, duży i przestronny, a mimo to konsola komputero-wo-łączonościowa zajmowała część miejsc dla pasażera i kierowcy. Na desce rozdzielczej leżał na boku metalowy cylinder podobny do szklanki - antena radarowa. Drugą antenę zobaczył na półce za tylnymi siedzeniami. Odchylana przezroczysta przegroda pomiędzy przednimi a tylnymi fotelami była otwarta. Pochylił się naprzód i w prawo, zaglądając za lusterko, i zgodnie z oczekiwaniem zobaczył skierowaną na przód wozu kamerę. Standardowe wyposażenie.

Sierżant Korn nie zwracał na niego najmniejszej uwagi. Dobiał czterdziestki. Miał chudą twarz o ściągniętych wargach, bladą skórę i rzędzące jasne włosy. Płowy mundur, choć czysty i odprasowany, sprawiał wrażenie lekko przyciasnego. Oprócz pistoletu w kaburze Brent nie dostrzegł żadnej broni.

Aha, zatem to komisariat wyznający zasadę „grunt to pozory”. Oto kolejna rzecz, której dowiedział się Brent: niektóre wydziały policji uważały, że większa broń - strzelby, karabiny, wyrzutniki granatów z gazem łzawiącym - musi leżeć ukryta w bagażniku, by nie urazić opinii publicznej. Na innych komisariatach podobne pomysły nazywano bzdetami. Narażały życie gliniarzy.

Brent eksperymentalnie odchrząknął. Korn nie zareagował.

Brent miał siostry - jedną dwa lata starszą, drugą dwa lata młodszą. Wendy i Jeanine bardzo długo przechodziły fazę „ble, chłopak”. Gdy tylko wchodził

do pokoju, w którym się bawiły, jedna siostra zapowiadała drugiej, a także obecnym przyjaciółkom, że nie wolno im się do niego odzywać. Milczenie Korna? Żaden problem. Brent przywykł do ignorowania przez profesjonalistki.

Ulica z robotniczej zmieniała się w opuszczoną, potem zapuszczoną. Wiatr przeganiał po jezdni foliowe torby i płachty gazet. W rynsztokach wały się papierowe kubki, opakowania po hamburgerach i stłuczone szkło. W dzielnicy mieszkali ludzie różnych ras, ale i tak zbierali się w odrębne grupki, na innych patrząc podejrzliwie. Zapadał wieczór, sklepikarze zaciągali solidne metalowe żaluzje na swe nędzne wystawy.

Klimatyzacja radiowozu pracowała pełną parą, lecz na zewnątrz panował straszny upał. Termometr na desce rozdzielczej wskazywał 36 stopni. Dzieciaki chlapały się w wodzie wypływającej z bulgotem z odkręconych hydrantów. Nastolatki w obwisłych szortach i koszulkach bez rękawów bądź T-shirtach zmywały się na widok radiowozu. Brent dostrzegł w lusterku, że gdy tylko przejechali, tamci równie szybko wracali na miejsca. Godziny szczytu już dawno minęły, na drodze panował niewielki ruch; na chodnikach naliczył więcej zdezelowanych wraków niż samochodów na jezdni.

Korn wymamrotał pod nosem coś o asfaltach. Skreślił w lewo w Jefferson, mijając stare, rozpadające się drewniane budynki z otwartymi drzwiami. W ścianach ziały żalozne dziury po wybitych oknach. Ostatnia luna na niebie zgasła, lecz większość latarni pozostała niewłączona.

Od czasu do czasu jeden z ekranów radiowozu ożywał. Brent siedział pod zbyt ostrym kątem, by odczytać



wiadomości z centrali, a Korn nic nie mówił. Stukał tylko palcem w ekran komunikatora i to wszystko. Najwyraźniej jedynie przyjmował informacje.

Przy Ósmej znów skręcili. Minęli kolejkę wozów ustawionych do pomp na niesieciowej stacji benzynowej. Stercząca obok wyboistego chodnika (ze szczelin między płytami wyrastały chwasty) tablica ogłaszała wszem wobec ceny. Zwykła bezołowiowa kosztowała 8,57 za galon. Auć. W Utice ceny dochodziły najwyżej do 7,99. Brent uważał, że to i tak za dużo, a jeździł nowym modelem hybrydy, palącym galon na sto kilometrów.

Samochody czekające w kolejce były wielkie jak radiowóz, lecz znacznie starsze - relikty z minionej epoki. Drzwi i błotniki wielu z nich pochodziły z innych wozów: części ze szrotów. Tylko najubożsi jeździli podobnymi smokami. Zakup czegoś nowego i oszczędniejszego wymagał pieniędzy albo możliwości wzięcia kredytu.

Korn prowadził w milczeniu. Wyraźnie czekał, aż cywil zacznie błagać, by go odwieźć w bezpieczne miejsce. I tak się skończy niemiła wizyta.

Przykro mi sierżancie. Nic z tego.

Barry Rosen, wiceprezes Garner Nanotech do spraw marketingu, oceniał, że mniej *więcej* połowa gliniarzy darzy cywilnych gości wyraźną niechęcią. Spytany o źródła, jedynie się uśmiechnął.

Korn był trzecim z sześciu, więc znów się okazało, że Barry ma rację. Jak zwykle.

Ale jaki pozostawał im wybór? Docelowi klienci Garnera - FBI, Departament Bezpieczeństwa Krajowego, Departament Obrony - znacznie chętniej otwierali się na nowe technologie i znacznie łatwiej się z nimi dogadywało...

do momentu zawarcia umowy. Potem jednak w grze pojawiały się federalne przepisy dotyczące zamówień państwowych, niezliczone gigabajty zasad drastycznie spowalniających proces zakupu. Biuroskleroza - oto dlaczego Amerykanie wciąż prywatnie kupowali panczerze, by wysłać je synom i córkom walczącym w Iraku, Iranie, a dawniej w Pakistanie. Garner zatem mimo niechęci policji skupił się właśnie na niej, bo komisariatów było mnóstwo. Jeśli nawet jeden na dwadzieścia zainteresuje się ich produktem, zarobią fortunę. Wszyscy, nawet zwykli specjaliści z działu sprzedaży, tacy jak Brent.

Korn, nucąc cicho, skręcił w prawo w Railroad. Ten odcinek kolei już dawno zamknięto, tory oddano na złom, a prawa do gruntu sprzedano. Rurociąg, zamontowany na nasypie biegnącym równoległe z pofalowaną, pełną dziur ulicą, zdawał się unosić w powietrzu nad morzem wysokich chaszczy.

Brent naciągnął kaptur kombinezonu i nasunął na twarz przezroczysty wizjer. Oglądana przez noktowizor rura - łącznie z pokrywającymi ją graffiti - sprawiała wrażenie nowej. Podczas jazdy od czasu do czasu dostrzegał wsporniki, na których spoczywała. Zapewne to jedna z odnóg rurociągów poprowadzonych niedawno z północy. W Kanadzie, w odróżnieniu od Nowej Anglii, wciąż jeszcze udawało się zbudować jakąś rafinerię.

Korn zerknął z ukosa na Brenta w kapturze i prychnął.

W lewe przedramię kombinezonu wszyto niewielki komputer. Brent wystukał serię kodów umożliwiających wybór koloru. Kombinezon stał się czarny: korpus i kaptur, buty i rękawice. Drugi kod przyczernił także wizjer, jednocześnie polaryzując go, by nadal umożliwić

widzenie. Brent wyobraził sobie, że znika na tle czarnego siedzenia.

Korn znów się zaśmiał, tym razem z odrobiną ciepła.

- Kamuflaż. To mogłoby się przydać. - Skręcił radiowozem na parking całodobowego minimarketu i postukał w słuchawkę. - Wóz trzy cztery trzy. Prze rwa natury osobistej. - Zwracając się do Brenta, dodał: - Regulacja poziomu płynów. Jeśli zamierzasz wejść, odpuść sobie kostium ninja.

Ściągnąwszy kaptur i przeprogramowawszy kombinezon na dzinsowy błękit, Brent ruszył za Kornem do sklepu. Rozszczelnienie i hermetyzacja trochę trwały i kiedy wrócił, Korn siedział już w wozie z do połowy opróżnionym kubkiem kawy w dłoni.

- Drobną poradą co do superstroju - rzekł. - Przydałby mu się rozporok.

Obie siostry Brenta szyły. Jeanine była w tym szczególnie dobra, szyła nawet garnitury dla męża. Rozporok w męskich spodniach miał ogromne znaczenie, choć Jeanine niezwykle bawiło, kiedy jej mąż to podkreślał. „Dumny jesteś z siebie, co?“, mawiała.

Kombinezonu nie uszyto ze zwykłego materiału. Każdy szew wymagał starannego zaprojektowania. Stworzenie rozporoka musiało czekać do następnego etapu powstania modelu, betatestów u potencjalnych klientów.

- Dziękuję za sugestię, sierżancie. - Nieważne, że wypowiedzianą z sarkazmem. Nadal mógł to uznać za zachętę do rozmowy o kombinezonie. - Jakies inne wrażenia?

- Przepraszam, muszę iść - odparł Korn beznamięt nie. - Właśnie w tej chwili gdzieś ktoś dokonuje przestępstwa.

- A, RoboCop - odparł Brent. - Ten kombinezon to zupełnie coś innego.

No fakt, przez mikroczip wszczepiony w rękę nieco przypominał RoboCopa, ale ten szczegół mógł zaczekać.

- Wóz trzy cztery trzy z powrotem w trasie.

Korn wycofał radiowóz na ulicę. Pstryknął włącznik na desce rozdzielczej. Nocna uliczna scena pozieleniała - i pojaśniała jak w dzień.

Bardzo interesujące. Brent po raz pierwszy brał udział w nocnym patrolu. Nie miał pojęcia, że radiowozy wyposażono w systemy noktowizyjne. Opuścił głowę, by napisać...

- Chryste! - jęknął Korn. Prowadził lewą ręką, prawą potrząsał jak po użądleniu. - To bolało.

Czyżby lewy rękaw kombinezonu zeszytniał na moment?

- Sierzancie, czy właśnie mnie pan uderzył?

- Tylko próbowałem. - Korn raz jeszcze rozprostował palce. - Nie mów, że nic nie poczułeś.

Brent uśmiechnął się szeroko.

- Nie poczułem. W tym właśnie rzecz.

Skręcili w Szóstą. Wokół jedynej działającej latarni zebrało się ze dwudziestu nastolatków. Korn na moment włączył syrenę i światła. Rozbiegli się.

- No dobra, Cleary, chyba mnie zaciekawiłeś.

Sukces.

- To nie jest zwykły kombinezon, sierzancie. Zrobiono go z nanotkaniny. Dlatego może na przykład zmieniać kolory.

- Jak pierścionek wykrywający nastroje?

- Tyle że da się go zaprogramować. - I był znacznie bardziej złożony i precyzyjny niż jakikolwiek pierścionek.

- Wiele własności tej tkaniny można kontrolować do najdrobniejszego szczegółu, nie tylko kolor.

Konsola łączności ożyła. Korn przeczytał wiadomość, znów wymamrotał coś o asfaltach i stuknął w potwierdzenie.

- Tubylcy się niepokoją. - Skreślił w Waszyngtona.

- Co się stało, kiedy cię walnąłem?

- Nanity - przepraszam, to geekowska nazwa maszyn o rozmiarach mniejszych niż mikroskopowe - tkwiące w materiale połączyły się, by rozłożyć siłę uderzenia. Im mocniejszy bądź szybszy cios, tym większy fragment materiału twardnieje. W ułamek sekundy później powraca do poprzedniego stanu. Nic nie poczułem.

Korn z namysłem przygryzł dolną wargę.

- Jak mocne uderzenie jest w stanie wytrzymać?

- Pchnięcie nożem. Kulę. Nie żartowałem, mówiąc, że może pan do mnie strzelić.

Zatrzymali się przy krawężniku. Korn ścisnął w dwóch palcach fałdę kombinezonu.

- Kurczę, ale lekki.

- A zatem pana zainteresowałem, sierzancie? Zakładam, że nosi pan kamizelkę.

- Mów mi Ron. Tak, mam ją w bagażniku.

Aha, teraz Ron? To już jakiś postęp.

- Mój kombinezon waży niecały kilogram. Popraw mnie proszę, jeśli się mylę, ale to mniej niż twoja kamizelka. - Jedynie pro forma zawiesił głos. Doskonale wiedział, że policyjne kamizelki kuloodporne zazwyczaj ważą ponad dwa kilo. - I potrafi zatrzymać pocisk z dubeltówki. - W odróżnieniu od kamizelki Korna, chyba że wyposaży się ją w dodatkowe, ciężkie i nie wygodne ceramiczne bądź metalowe płyty.

- Cholera - mruknął Korn z szacunkiem. Z powrotem wrzucił bieg i włączył się do ruchu. - I chroni cię całego, łącznie z głową. I nie wyglądasz, jakby ci było gorąco.

Gorąco stanowiło powracający motyw. Pojawiał się wcześniej czy później podczas każdego patrolu. Zwykle pancerze grzały.

- Bo nie jest mi gorąco, Ron. Chłodzenie poprzez odparowanie. Nanotkanina odprowadza mój pot.

Konsola znów pojaśniała. Korn stuknął w słuchawkę.

- Przyjąłem. Będę za dwie minuty. - Włączył kołguta i syrenę. Gwałtowny zwrot o sto osiemdziesiąt stopni i skręt z piskiem opon w Railroad. - Zakłócenie porządku domowego, Cleary.

Podjechali pod zapuszczone osiedle wieżowców. Wiele mieszkań oświetlały jedynie mrugające telewizory. Inne okna były zupełnie ciemne - nie wiadomo, czy nikt tam nie mieszkał, czy też mieszkańcy oszczędzali prąd. Żadna z pobliskich latarni nie działała. Wejście oświetlała samotna mrugająca jarzeniówka. Korn wyjął kluczyk ze stacyjki i szyby radiowozu zgasły. Na zewnątrz było naprawdę ciemno. Sierżant otworzył drzwi.

- Wrócę za parę minut. Zostań w wozie.

- Ale mnie nic nie grozi w tym...

- Powiedziałem: zostań tu.

Korn zatrzaskał drzwi. Wszystkie cztery zamki za-blokowały się ze szcękaniem.

Czekanie w ciemności wzbudziło w Brencie dreszcz. Noktowizory radiowozu teraz nie działały, naciągnął zatem kaptur i wizjer. Dzięki temu ujrzał ludzi w kilkunastu mieszkaniach, parę osób patrzyło w jego stronę. Noc rozbrzmiewała hip-hopem, poszczególne głosy

ścierały się ze sobą, towarzyszyło im odległe, lecz wyraźne pulsowanie basów. Gdzieś w górze jakaś para przeklinała się nawzajem.

Mam na sobie niezniszczalny kombinezon. Mam na sobie niezniszczalny kombinezon.

Tak naprawdę nie niezniszczalny, lecz wyjątki były czysto akademickie. Odporny na ciosy nożem. Odporny na strzały. Odporny, choć nie wspomniał jeszcze o tym Kornowi, na trucizny i zarazki. Po podniesieniu i uszczelnieniu kaptura miał na sobie najłżejszy i najodporniejszy kombinezon ochronny świata. Do środka mógł się dostać wyłącznie tlen i azot. Na zewnątrz materiał przepuszczał dwutlenek węgla i parę wodną.

A gdybym jednak wbrew wszelkiej logice i nauce został ranny? Cóż, wtedy...

Co to było?

Przed osiedlem nic się nie zmieniło. Zatem musiał dostrzec coś kątem oka. Odpiął pas, przekreślił się na siedzeniu i spojrzał w prawo, w lewo i w prawo. Potem w tył. W promieniu piętnastu metrów nie dostrzegł niczego. To tylko nerwy.

Do diabła, miał na sobie niezniszczalny kombinezon.

Jeden z wykładowców na uczelni Brenta lubił cytować Edwarda Tellera, ojca bomby wodorowej.

„Nie istnieje system wystarczająco głupcoodporny, by poradzić sobie z dowolnie wielkim głupcem”.

Brent włączył powiększenie wizjera. Teraz sięgał wzrokiem daleko w głąb ulicy. Po chodniku przy starym nasypie kolejowym poruszało się kilka postaci, kolejne dostrzegł wśród cieni pod nielicznymi cherlawymi drzewami. Na niego nikt nie zwracał najmniejszej uwagi.

Odwrócił się z powrotem w fotelu, wbijając wzrok w wejście i poganiając Korna w duchu.

Do diabła, czemu tak się denerwował?

Znów się rozejrzył, tym razem wolniej. Tylko mieszkańcy osiedla, w większości zagapieni w telewizory. Nie dostrzegł ani śladu Korna, co zapewne znaczyło, że sierżant odwiedził jedno z mieszkań na tyłach budynku. Jacyś ludzie oglądali - oceniali? - samochód zaparkowany nieco dalej. Inni zebrawi się na skarpie w grupce przy rurociągu. Pewnie do rana powstaną tam kolejne graffiti. Ludzie na rogu coś palili, wołał się nie zastanawiać co. Dziwka w krótkich szortach i boa przeżyła się przed nielicznymi przejeżdżającymi ulicą samochodami.

Grupa na nasypie sprawiała wrażenie dziwnie ożywionej. Czyżby kombinowali coś jeszcze oprócz malowania? Dla miejscowych benzyna po 8,57 za galon musiała stanowić bolesny wydatek. Czyżby chcieli się podłączyć do rurociągu?

Do maksimum podkreślił powiększenie. Ruch na skarpie był teraz wyraźniejszy, lecz nadal zagadkowy. Brent pożałował, że nie ma z nim Korna...

Żale jednak nie wystarczą. Gdyby zbłąkana iskra podpałała opary benzyny albo ją samą wyciekającą na ziemię, wówczas... Cóż, Brent nie wiedział, co by się stało. Na pewno coś złego.

Czy powinien wyjść i poszukać sierżanta? W więzowcu musiało być ze sto mieszkań. Nie miał tyle czasu. Może tych ludzi przepłoszy. Nacisnął włącznik syreny i koguta. Nic się nie stało. Podobnie jak noktowizory, musiały włączać się wraz ze stacją.

Tłumek na nasypie sprawiał wrażenie zachwyconego. W końcu rozstąpił się na moment i Brent dostrzegł



powód owego podniecenia. Z rury tryskał strumień, z rozbryzgiem wlewał się do podtykanego kanistra. Na ziemi wokół w zdeptanych chwastach stały inne pojemniki. Lada moment mogła wydarzyć się katastrofa.

- Kurna - mruknął Brent.

Odblokował drzwiczki.

Jesteś w niezniszczalnym kombinezonie, przypomniał sobie. Tyle że znał projektantów i wątpił, by zdołali przewidzieć podobny scenariusz.

Mundur Korna miał płowy odcień, Brent przestawił na niego swój strój. Pchnął drzwi, a potem, myśląc o dowolnie wielkich głupcach, puścił się biegiem w stronę złodziei benzyny.

- Odejdźcie stamtąd! - krzyknął. - Jazda!

Błysnęło. Zanim nadal ustawiony na maksymalne powiększenie i noktowizję wizjer zgasł przeciążony, Brent zdążył oślepnąć.

Ogarnęła go wielka fala huku. Gwałtowny huragan uniósł go z ziemi. Nastąpiła chwila oszałamiającego ruchu na oślep. Kombinezon zeszywniał gwałtownie od stóp do głów.

A potem nastąpiła nicość.

# SNY

29 STYCZNIA 2016. PIĄTEK

Firmowy odrzutowiec Garner Nanotech, srebrna strzałka na bezchmurnym, błękitnym zimowym niebie, pojawił się zgodnie z rozkładem. Learjet potrzebował zaledwie połowy pasa, by wyhamować do prędkości kołowania. Skręcając w stronę hangarów, nadal wyglądał jak zabawka. Rzadko używane lotnisko Grif-fiss, niegdyś baza lotnicza, w której stacjonowało 416. Skrzydło Bombowe. Wielkie bombowce B-52 wymagały długiego pasa.

Wokół lotniska świszczal wiatr. Kimberley O'Donnell zdrzała na styczniowym mrozie. Lewą ręką zaciskała kołnierz płaszcza wokół szyi. W stanie Nowy Jork styczniowe chłody nie zaskakiwały nikogo, zdumiewające raczej, że tego dnia nie spadł śnieg.

Dawniej Brent nabijał się z jej rzadkiej wirginijskiej krwi. Nic dziwnego. On dorastał w Chicago.

Zadrzała znowu, tym razem nie z zimna. Powoli zwalniający samolot przywiózł Brenta z Chicago. Z sześciomiesięcznego piekła. Mimo telefonów i e-maili, mimo niemal codziennych kontaktów w VirtuaLife (zbudowana przez niego samotna wysepka o mało nie złamała jej serca), mimo trzech weekendowych wizyt, kiedy już poczuł się dość silny, by kogokolwiek przyjąć, nie potrafiła ogarnąć wszystkich kuracji, komplikacji i operacji przyjaciela. Ani licznych terapii, które musiał przejść potem: fizycznej, zawodowej i psychologicznej. Jego rodzice, w których domu Brent dochodził do siebie, niewiele pomogli. „Potrzebował sporo leczenia. Był niezłe poobijany” - raptem tyle się dowiedziała od Marjorie i Brada Clearych.

Czy naprawdę musiała znać szczegóły? W gruncie rzeczy informacje co do jego obrażeń i rekonwalescencji można ograniczyć do dwóch słów: zbyt wiele. Nic dziwnego, że Brent już się nie śmiał.

Learjet w końcu dotarł do hangaru. Zatrzymał się. Właz za kokpitem uchylił się i opadł w dół, tworząc schodki. Pilot pomachał z wyjścia, po czym się cofnął. Z przedziału pasażerskiego wyłonił się Brent, mrugając w promieniach słońca. Dwudziestu paru kolegów, którzy wyszli dziś wcześniej z pracy, aby go powitać, zaczęło gwizdać i wiwatować. Z niepewnym uśmiechem oparł się o wewnętrzne przepierzenie.

Jej przyjaciel miał sto osiemdziesiąt centymetrów wzrostu, przez wiele lat z zapałem uprawiał wędrowniki górskie i narciarstwo przełajowe. Jednym z powodów, dla których przeniósł się do tego stanu, była bliskość Adirondacksów. Kiedy parę razy namówił Kim na wycieczkę, zaprzysięgając się, że wybiera szlak dla początkujących, kompletnie ją wykończył. Pamiętała go

sprawnego, opalonego, pewnego siebie. Teraz z trudem rozpoznawała Brenta w zgarbionym, bladym mężczyźnie stojącym chwiejnie na szczycie schodów. Miał zaledwie trzydzieści lat, o rok mniej niż ona, lecz sprawiał wrażenie osiemdziesięciolatka. Obawiała się, że on się potknie i spadnie ze stopni.

Brent, podobnie jak jego alter ego w VirtuaLife, był zbyt słaby psychicznie, by nawiązywać kontakt z ludźmi. Nawet z przyjaciółmi. Kim pomyślała: Niepotrzebna nam pieprzona ceremonia.

- Witaj z powrotem! - zagrział Daniel Garner. Za łożyciel i prezes firmy trzymał w dłoni bezprzewodowy mikrofon. Wiatr szarpał jegojedwabnym szalikiem i unosił długie jasne włosy. - Witaj w domu, Brent!

Patrząc, jak przyjaciel schodzi powoli, wspierając drżącą dłoń na poręczy, Kim poszła w duchu na pewne ustępstwa. Brent uparł się, że wróci do domu i będzie podróżować, jak to ujął, „bez niańki”. Miał dla siebie cały samolot lecący wprost do celu. To znacznie łatwiejsze niż alternatywa, zwykły kurs na najbliższe lotnisko obsługiwane przez komercyjne linie lotnicze. Czyli Syracuse, godzinę drogi stąd.

Uznała zatem, że krótka ceremonia to uczciwa zapłata. Niech personel doceni szczodrość Dana Garnera, który użył Brentowi firmowego odrzutowca. Zwłaszcza że niemal nikt nie znał prawdziwych rozmiarów jego szczodrości. Garner osobiście pokrył wszystkie dodatkowe opłaty za rozliczne kuracje Brenta. Kim dowiedziała się o tym przypadkiem od jego matki.

Ale czy ceremonia naprawdę potrwa krótko? Zwięzłości nikt nie mógł Danowi zarzucić.

- Twoja odwaga, Brent, stanowi dla nas inspirację. Nigdy nie zapomnimy tego, że twoja ofiara pokazała

nam - i całemu światu - jak cenne jest to, nad czym wspólnie pracujemy.

A potem, jak mawiała babcia Kim, Garner rozpedził się na dobre. Zaczął wygłaszać standardową mowę. Słyszała ją za każdym razem, gdy wielki szef zaciągnął ją ze sobą na Manhattan, do Bostonu bądź Doliny Krzemowej, na spotkanie z potencjalnymi inwestorami. Garner był człowiekiem z wizją. Inwestorzy go uwielbiali, bo sami także mieli wizje - oraz tony kasy do wykorzystania i stada ekspertów oceniających kolejne propozycje. Specjaliści tacy jak Kim jeździli z Danem, by udzielać odpowiedzi na przyziemne pytania owych ekspertów.

Fakt, iż Brent przeżył kataklizm w Angleton, nawet w oczach inwestorów stanowił wielkie wydarzenie. Kiedy zaczęli odbierać telefony Dana, biedak nadal był cały w gipsie po operacjach kręgosłupa i miednicy.

- ...I właśnie dzięki temu, Brent, strój ochronny, który ocalił ci życie, zawiera w sobie najlepsze na tej planecie produkty nanotechnologiczne.

„Najlepsze na tej planecie” stanowiło ulubiony zwrot Dana. Wszystko związane z Garner Nanotech było najlepsze na tej planecie, łącznie z seansami filmowymi na olbrzymim firmowym telewizorze i pizzą zamawianą podczas pilnych projektów. Oczywiście mieli też „najlepsze morale na tej planecie”.

- I dlatego... - Garner urwał, bo w końcu dotarło do niego, jak bardzo Brent jest zmęczony. - Ale może już skończymy, Brent. Zawsze daję się ponieść, kiedy mówię o naszej pracy. Pracy, której wagę sam za demonstrowałeś najlepiej. Jedź do domu, odpocznij. - Wezwał gestem czekającą limuzynę i otworzył tylne

drzwi. Parę osób w tłumie wydało okrzyki pożegnalne, przeplatane z życzeniami zdrowia. - Nie możemy się już doczekać, kiedy znów do nas dołączysz.

Zdawało się, że Brent zaraz padnie z nóg. Kim okrążyła niewielkie zgromadzenie i wśliznęła się do limuzyny tuż za nim. Jeśli chce, może nazwać ją niańką.

Garner nawet nie mrugnął okiem.

- Kim pomoże ci się urządzić.

Zamknął za nią drzwi i dwa razy klepnął dłonią w dach limuzyny. Kierowca ruszył w stronę bramy

Pół roku temu Kim by powiedziała, że na twarzy Brenta, szczerzej i łagodniej, o oczach błyszczących cierpkim, lecz życzliwym humorem, odbija się jego charakter. Teraz, zerkając ukradkiem, dostrzegła na niej jedynie znużenie i rezygnację.

Nie dość ukradkiem.

- Pomyślałaś sobie, że taką twarzą można by straszyć dzieci i domowe zwierzęta.

- Martwić, nie straszyć - poprawiła stanowczo. - Nie, pomyślałam, że podoba mi się broda. - Czarna i kręcona jak włosy, broda okalała szczękę cienką ciągłą linią od ucha do ucha. - Dodaj jeszcze cylinder i możesz udawać Abrahama Lincolna.

- Pod spodem jest blizna. Lekarze sugerowali operację plastyczną. Tak było łatwiej.

- Zrobić ci drinka? - spytała Kim. Limuzynę wyposażono w minibarek. - Przypuszczam, że Dan ma tu najlepsze drinki na tej planecie.

Brent pokręcił głową.

- Chyba na trochę zmrużę oczy. Dzięki, że ze mną pojechałaś.

- Nie ma sprawy.

Jazda do Utiki trwała dwadzieścia minut. Brent ocknął się nagle w chwili, gdy limuzyna zajęchała płynnie przed jego osiedle.

- No, jesteś w domu - stwierdziła Kim.

Podawała mu rękę, on jednak pokręcił głową i o własnych siłach wysiadł z wozu.

- Nie chciałem cię urazić. Po prostu znów muszę nauczyć się robić wszystko sam.

- Jasne.

Mimo to otworzyła przed nim ciężkie drzwi na klatkę schodową i pospieszyła pierwsza wezwać windę. Podczas jazdy na trzecie piętro oparł się ciężko o ścianę. Musiał sporo schudnąć, bo płaszcz wisiał na nim jak worek.

- Jestem bardziej zmęczony, niż sądziłem - przyznał i szurając nogami, ruszył korytarzem w stronę swego mieszkania. Ledwie zdołał pozdrowić skinieniem głowy mijanego w przelocie sąsiada.

Kim otworzyła drzwi zapasowym kluczem, który przysłali jej rodzice Brenta, by mogła sprzątnąć w lodówce, podlać bądź wyrzucić rośliny, przysłać ubrania i tak dalej. Brent tego nie skomentował. Może pamiętał o kluczu. Zapewne jednak był zbyt wykończony, żeby się tym przejmować.

Nim zdążyła przynieść mu szklanekę wody z lodem, zasnął już z głową na oparciu kanapy w salonie. Ostrożnie ułożyła go wygodniej, zsunęła mu buty i skuliła się w fotelu.

## 30 STYCZNIA 2016. SOBOTA

Brent obudził się gwałtownie. Wszystko go bolało. Niby nic nowego, ale to uczucie nieco się zmieniło.

Uniósł powieki. Był we własnym mieszkaniu, na jak zawsze niewygodnej kanapie. Natychmiast pojął źródło bólu.

- Najwyższy czas.

Odrzucił głowę. Kim siedziała w fotelu, wyraźnie dla niej za dużym. W dłoni trzymała parujący kubek.

- Boże, jak pięknie pachnie ta kawa - mruknął. - Zostało jeszcze trochę?

- Mnóstwo. Przyniosę ci.

Usiadł, odrzucając na bok kape, choć nie pamiętał, by się przykrywał.

- Nie trzeba. Zaraz mi pęcherz pęknie. W drodze powrotnej naleję sobie kubek. Która godzina?

Kim się zaśmiała.

- Lepiej spytaj, który dzień. Sobota. Przespałeś szesnaście godzin. Jak się czujesz?

Szesnaście godzin! Nic dziwnego, że zeszywniały mu wszystkie mięśnie. Kim była tu cały czas - miała na sobie to samo ubranie co wczoraj. Domyśla! się, że jej samochód wciąż stoi na lotnisku. A on od czasu Angleton stanowił jedynie ciężar dla przyjaciół i rodziny.

- Prawie jak człowiek - odparł. - Zaraz wrócę, Kim.

W drodze do łazienki zajrzał do sypialni. Łóżko wyglądało na nietknięte. A zatem Kim spędziła noc w fotelu, cały czas mając na niego oko. Ponownie zawstydził się swojej słabości.

Postanowił koniecznie wysłać jej kwiaty. Ale jakie? Ledwie odróżniał różę od kalafiora -jedno i drugie równie dobrze nadawało się na kompost - wiedział jednak, że róże byłyby niestosowne. Zazwyczaj Kim doradzała mu w sprawie kwiatów, tym razem będzie musiała wystarczyć porada siostry.



W świeżej koszulce, z umytą twarzą i pospiesznie przeczesanymi włosami, sącząc gorącą kawę, faktycznie poczuł się lepiej. Rozejrzył się po kuchni. Świeże mleko i sok pomarańczowy w lodówce. Zamrażarka pełna gotowych obiadów. Bochenek chleba, puszka kawy i pudełko babeczek na blacie. Bez wątpienia wszystko to robota Kim. Nagle ogarnął go wściekły głód.

- Wszystko w porządku?! - zawołała Kim.

- Zaraz będę! - Przełożył cztery babeczki na dwa talerze, wrócił do salonu i wręczył jej jeden. Z własnym usadowił się na kanapie. Pomarańczowo-żurawinowe. Doskonały wybór. Pochłonął pierwszą. - Szesnaście godzin, co? Przespałaś się trochę? Mam nadzieję, że cię nie zbudziłem.

- No... nie zbudziłeś.

Aż za dobrze znał podobne wahanie. Jego rodzice wiele razy reagowali tak w ciągu ostatnich miesięcy.

- Znów miałem koszmar, co?

- Znów? On powraca? Chcesz o nim pogadać?

Rozmawiał już o tym z zawodowcami, zresztą nic nie pomogli. Czemu miałby powtarzać to teraz? Ajednak... Kim była jego najlepszą przyjaciółką.

- Nie rozumiem tego snu - powiedział cicho. - No bo jak? Nie pamiętam przecież, co się stało. Nie pamiętam tam! Jasne, parę minut wcześniej siedziałem w radiowo zie. Dzień później obudziłem się w szpitalu. To wszystko. Poza tym nic, jedynie przebłyski. Może muszę wymyślić coś, co zapełni luki. Durna podświadomość.

Kim wzruszyła ramionami bez słowa. To znacznie lepsze niż „Co dokładnie czujesz, kiedy o tym myślisz?”. Cholerni psychiatrzy.

- Wiem, co się stało, Kim. Na pewnym poziomie trudno uniknąć tej wiedzy. Radiowóz okręcił się wokół

słupa telefonicznego, zmiądzony i zwęglony. Z jakichś przyczyn wysiadłem tuż przed wybuchem. Wydobyto mnie z ceglanej ściany, wolę nawet nie myśleć, ile połamałem kości. - Miednica. Strzaskana kość ramienna lewej ręki. Połamane żebra. Popękane kręgi. Rozległy krwotok wewnętrzny po uderzeniu i przebicium tkanek odłamkami kości.

Dlaczego zatem wciąż o tym myślał?

- Siła wybuchu rzuciła mnie na tę ścianę. Dość daleko, żebym jedynie przysmażył się w płomieniu, zamiast spłonąć na popiół w rozżarzonej ognistej kuli.

Głupcy, kradli benzynę z rurociągu. Straż pożarna odnalazła wokół strefy wybuchu poczerniałe resztki metalowych pojemników. Byli pewni, że to stanowiło przyczynę. Wystarczyła zbłąkana iskra - z telefonu komórkowego, wiertła, szurających stóp.

Brent z trudem porządkował myśli. Kawa, która przed chwilą tak mu smakowała, paliła żołądek.

- Wiem to tylko dlatego, że później o tym przeczytałem albo mi powiedziano. Podobno minęła godzina, nim strażacy w kombinezonach ognioodpornych zaczęli przeszukiwać granice strefy zniszczenia. Ponoć zginęło ponad sześćset osób, umarli straszną śmiercią. Znacznie więcej było rannych.

Kim wychyliła się z fotela.

- Brent, to okropne. Jak miałbyś się na tym nie zafiksować?

Spojrzał na drugą babeczkę tylko dlatego, że nie miała oczu i nie mogła odpowiedzieć spojrzeniem.

- Dlaczego śnię o chwilach, których nie pamiętam? O tym, jak wiszę w ścianie niczym owad uwięziony w bursztynie? Byłem w szoku, miałem wstrząs mózgu, a nanostrój naszpikował mnie lekami usypiającymi.

Owadowi było łatwiej.

Koszmar nigdy się nie zmieniał. Grad odłamków tłukących w kombinezon. Dym i płomień. Wszędzie zwęglone ciała, kilka wciąż się ruszało. Syreny. Wrzaski bólu, na moment zagłuszające upiorny świst jego oddechu i dzwonienie w uszach. Płuca, które zdawały się wypełnione tłuczonym szkłem. Złamana ręka, usztywniona przez nanotkaninę. Wybuchy wtórne, gdy eksplodowały baki kolejnych samochodów. Budynki walące się na siebie, ponad dwie setki mieszkańców i sierżanta Korna.

Kim podeszła i usiadła obok niego.

- To nie twoja wina, że przeżyłeś.

Zaśmiał się z goryczą.

- Ani powód do dumy. Czemu wszyscy mi powtarzają, jaki jestem dzielny? Że jestem bohaterem? Dlaczego Dan Garner i rada nadzorcza uważają ten wypadek za powód do przyznania mi dużego pakietu akcji?

- Brent! - Zaczekała, aż spojrzał jej w oczy. - Fakt, że przeżyłeś, to mały cud. Inwestorzy i bankowcy, którzy wcześniej nie odbierali telefonów Dana, zaczęli do niego wydzwaniać jak najęci. Szefowie kwatermistrzostwa Departamentu Obrony nagle mówią o kontraktach na wyłączność, przyspieszonych dostawach i testach połowych na wielką skalę. Owszem, dostałeś specjalny pakiet akcji, ale wszyscy w firmie już wcześniej mieli opcje. Kiedy wejdziemy na giełdę, wszyscy się wzbogacimy. Nie zgadzam się z zarzutami, że wykorzystujemy tragedię w Angleton. Owszem, zapewne zbijemy majątek, ale dzięki istnieniu, które ocalimy. Do diabła, począwszy od twojego. I powinieneś dostać więcej opcji niż my. Ja zainwestowałam w firmę swoją pracę. Ty swoją śledziona.

I o mało nie nerkę, dodał w duchu, choć zdołali ją uratować dzięki kuracji komórkami macierzystymi.

Argumenty Kim brzmiały całkiem przekonująco. Za dnia. Brent nie wątpił, że dziś w nocy koszmar powróci.

18 Kwietnia 2016. *PONIEDZIAŁEK*

- Dzień dobry, Kapitanie Ameryko. Dzień dobry, Pani Ameryko. Pięknie dziś pani wygląda. Dzień dobry...

Ukryte kamery odczytywały czipy RFID wtopione w każdy identyfikator, lecz gdy do budynku wlewała się rzesza ludzi, trzeba było człowieka, by sprawdził, czy każdy wchodzący ma na sobie identyfikator. Nawet w najgorszym nastroju Alan Watts, jeden ze strażników z porannej zmiany, kipiał energią. Może i Marvel Comics zabili Kapitana Amerykę - chyba nawet dwa razy - ale trzeba czegoś więcej, by Wattsa zniechęcić. Każdego, kto przekraczał próg, witał szerokim uśmiechem - wysokowatowym, jak dodawał, gdy ktokolwiek skomentował - i różnymi odmianami tego samego pogodnego pozdrowienia.

W poniedziałkowy rano z parkingu przed Garner Nanotechnology schodziło się tak wiele ludzi, że w wąskim wejściu tworzyły się korki. Brent cierpliwie oczekiwał na swą kolej. Cieszył się, że wrócił, ale już czuł lekką obawę. Niemal wszyscy w kolejce witali go uśmiechem, uściskiem bądź ciepłym słowem. W końcu dotarł do holu.

- Dzień dobry, Majorze Ameryko. Miło pana wi-  
dzieć.

Majorze? Brent rozejrzył się zdumiony.

- Kogo, mnie?

Watts uśmiechnął się jeszcze szerzej.

- A kogóż by innego? Rozsławił pan tę firmę i słono za to zapłacił.

- Ale ten awans trochę odbiera sens powszechnemu powitaniu, Alanie. Może jednak się nad tym zastanowisz.

Brent umilkł nagle. Od kiedy zwracał się do strażnika po imieniu? Przed wypadkiem jedynie kiwał głową bądź uśmiechał się i szedł dalej. Znał imię tego gościa wyłącznie z plakietki na mundurze.

Watts wyglądał na równie zaskoczonego, ale nic nie powiedział.

Ochroną zajmowała się podnajęta firma; Brent nie mógł sobie przypomnieć jej nazwy. Strażnicy zawsze stanowili element tła. Nie był dumny ze swego stosunku do nich, ale też nigdy wcześniej o tym nie myślał. Co się zmieniło?

Kto, nie co. On sam się zmienił. Jeździł na patrolu z kilkoma policjantami, ostatni z nich zginął. On przeżył, Ron Korn nie. Gdzie tu sprawiedliwość?

Teraz wystarczył zaledwie widok radiowozu bądź gliniarza w mundurze, by wspomnienia powracały gwałtownie. Od czasu wybuchu bomby na lotnisku w Athens bardzo zaostrzono kontrole. Gdyby Brent musiał lecieć zwykłymi liniami lotniczymi, wciąż tkwiłby w Chicago. Albo może dopasowaliby go do tajnego profilu podejrzanego i wsadzili gdzieś do więzienia. Nie zdołałby się opanować na dość długo, by przejść przez kontrolę.

Psychiatrzy bardzo podkreślali potrzebę ćwiczeń zo-bojętniających. Jednym z zadań była rozmowa z policjantem. Tylko rozmowa. Której Brent unikał dotąd jak ognia.

- Alan - zagadnął teraz, starając się nie zwracać uwagi na broń w kaburze. - Czy wcześniej byłeś gli niarzem?

- Jasna sprawa, majorze. Jak większość ludzi z ochrony. Tb mamy lepsze godziny pracy. - Watts zmarszczył brwi, nagle wydał się kimś zupełnie innym. - I robota jest znacznie bezpieczniejsza.

Setki ofiar, ale dla Brenta tylko jedna była rzeczywista. Tylko jedna miała twarz.

- Policjant, z którym jeździłem tamtego wieczoru, nie przeżył.

Zabrzmiało to słabo, lecz Brent nie miał pojęcia, co jeszcze mógłby dodać. Watts zrozumiał.

- Spotkajmy się po pracy u Riley'a. Wypiję z tobą piwo za zdrowie twojego przyjaciela.

Na pierwszy dzień pracy Brent wyznaczył sobie mało ambitne cele. Przejrzeć skrzynkę pocztową. Znaleźć kilka osób. Byłoby to łatwiejsze, gdyby pod nieobecność firma go nie przeniosła.

Miasto, które biuro statystyczne obdarzało wspaniale brzmiącą nazwą Metropolitarny Obszar Statystyczny Utica-Rome, osiągnęło szczyt prosperity mniej więcej w czasie oddania do użytku kanału Erie. Baza lotnicza Griffiss i powiązane z nią centrum rozwoju lotnictwa w Romę na jakiś czas zatrzymały upadek miasta - potem jednak je także zamknięto. Od tej pory liczba bezrobotnych stale rosła, coraz więcej budynków ziało pustką.

Dan Garner nigdy nie przegapiał okazji. Lata gwarantowanych zwolnień podatkowych przekonały go,

by sprowadził swą raczkującą firmę do Utiki. Przemiana z jednostki badawczej w pełnowymiarowy koncern produkcyjny wymagała miejsca i pieniędzy. I jeszcze więcej pieniędzy. Firmę przeniesiono do dawnego centrum handlowego.

Najlepiej przywyknę do pracy, pomyślał Brent, rozpoznając nowy teren.

Biura administracyjne i badawcze zajmowały kilkanaście dawnych sklepów. Okna wystawowe zamurowano. Tu i tam pozostały jeszcze dawne ścianki, wymieniono starą izolację.

W Utice spadało więcej śniegu niż w Chicago, lecz chicagowskie zimy wygrywały w konkurencji mrozów. Brent z ciekawością przyjrzał się nowej izolacji. Naprawdę niezła, z folią aluminiową po obu stronach, odbijającą praktycznie każdy rodzaj promieni. Choć nikt go nie pytał, z aprobatą pokiwał głową.

Pilotażowe linie produkcyjne, jeszcze nie uruchomione, przecinały dolny poziom niegdysiejszego głównego marketu centrum. Ściany wewnętrzne zdemontowano, zerwano wykładziny, usunięto schody ruchome i gabloty, zainstalowano ścianki działowe i pomosty. Popiskujące cicho wózki automatyczne krążyły po trasach wymalowanych na betonowej posadzce. Pod sufitami wisiało kłębowisko wielobarwnych rur i przewodów. Zbudowano dodatkowe taśmy do magazynu na drugim poziomie. Kartki z informacjami, często poprawianymi ręcznie, przyklejone do ścian i filarów, świadczyły wyraźnie, że prace wciąż trwają.

Brent miał bardzo mgliste pojęcie co do tego, jak powinna wyglądać fabryka nanotechnologiczna. Chodził bez celu, próbując się zorientować. Minął rampę wyładunkową, kilka magazynów, centrum

komputerowe i szafki z przewodami. W wielu alejkach piętrzyły się palety z wciąż nierozpakowanym sprzętem. Przez okienka wewnętrzne zająztał do pomieszczeń przypominających *cleanrooms* w fabryce procesorów, pracownie chemiczne z college'u czy chronione laboratoria biologiczne. Za grubym szkłem zakapturzeni robotnicy w nieskazitelnie białych kombinezonach ochronnych robili... nie miał pojęcia co. Wstępu do co ciekawszych pomieszczeń bronili strażnicy, za drzwiami z wciąż niepomalowanych framug zwisały luźne przewody - zapewne pojawiają się tam skanery siatkówek.

W końcu dotarł w miejsce, gdzie gotowe panele ściennie oddzielały spory fragment parteru dawnego supermarketu. Kartki informowały, że powstanie tu sala konferencyjna. Wyobraził sobie ciągnące się całymi dniami spotkania informacyjne, przy których zawsze upierali się klienci rządowi, i krótsze, lecz nadal nieznośnie nudne przemowy motywacyjne, uwielbiane przez Dana Garnera. Jakoś za nimi nie tęsknił.

W końcu na tyłach niegdysiejszej pralni chemicznej znalazł drzwi z własnym nazwiskiem. W drzwiach nie było zamka; choć poruszył klamką, drzwi się nie otwarły. Najwyraźniej dostęp do wszystkich pomieszczeń w nowych zakładach był kontrolowany elektronicznie. Telefon do ochrony zaowocował krótkim „ups, przepraszamy”.

Podreptał do biura ochrony, pozwolił zeskanować odcisk kciuka i uzyskał dostęp do najróżniejszych pomieszczeń wspólnych oraz własnego gabinetu. Czekaając na uaktualnienie bazy danych, rozmyślał, dlaczego zdecydowano się na taki sposób otwierania drzwi. W końcu odgadł: gdyby robił to czip w jego



identyfikatory, mógłby przypadkiem otworzyć biuro, przechodząc obok korytarzem.

Dziesięć minut później czytelnik przy drzwiach postanowił w końcu go rozpoznać. Wewnątrz tanie metalowe biurko i regał, które pamiętał, zastąpił komplet dębowych mebli, i fakt ten niemal wynagrodził mu wygnanie na firmowe zadupie. W pomieszczeniu unosiła się słaba chemiczna woń - Brent powiedział sobie w duchu, że to świeża farba i pasta do mebli, nie stare środki do prania. Pomiędzy dwoma słupkami po obu stronach niskiego bufetu zawieszono transparent z napisem WITAJ w DOMU. Przynajmniej słupki pomalowano tak, by pasowały do ścian.

Komputer ustawiony na pustym blacie podłączono do sieci. Świadom, że będzie to przerażające odkrycie, Brent zalogował się i sprawdził e-mail. Tysiąc trzysta dwadzieścia siedem nieprzeczytanych wiadomości.

Cała zawartość poprzedniego biura musiała się mieścić w pudłach ustawionych pod dwiema ścianami. Jedną ze stert podpisano „Poczta”. Z pomocą nożyka przy breloczku rozciął taśmę pudła na szczycie stosu. Było pełne po brzegi. Przegrzebał pierwszych kilka centymetrów, znalazł głównie biuletyny techniczne, ulotki dawno minionych imprez firmowych i całkiem wiarygodne reklamy.

Kogo chciał oszukać? Wykończyło go już samo odnalezienie biura. Zamknął drzwi i zalogował się do VirtualLife. Na ekranie jasne słońce oświetlało bezludną plażę. Wyobraził sobie ciepło. Mewy krążą nad głową. Fale leniwie rozplývają się na białym piasku. W oddali bawią się delfiny. Od jego ostatniej wizyty zmieniło się jedynie położenie słońca, poziom wody i nowy kłęb wodorostów na plaży. Jego awatar drzemał w płóciennym leżaku.

Zamknawszy oczy, Brent zanurzył się w morzu dźwięków „swojej” wyspy. Ćwierkały brodzie. Kiedy ptaki milkły, słyszał szum fal. W górze nieco dalej liście palmowe szeleściły w powiewach wiatru. Czy brodzie mogły żyć wśród palm? I czy faktycznie tak ćwierkają? To nie miało znaczenia. Tu podobne ograniczenia nie obowiązywały... rzeczywistość znikwała...

I nagle przywołało ją coraz bardziej natarczywe miauczenie.

Odkąd sięgał pamięcią, w jego rodzinnym domu żyły koty. Niegdyś wierzył, że wszystkie koty muszą mieć na imię Mruczek, i uważał to za okropnie niesprawiedliwe.

Uniósł powieki. Schultz, wielki czarny kocur, przyglądał mu się zielonymi oczami. Chochlik był jednym z ulubionych elementów osobistych Brenta i - z wyboru - często jedynym towarzyszem na wyspie. Oprócz swych rozlicznych talentów mógł służyć także za budzik. Poza tym znakomicie umiał słuchać.

- Czy dziś aby nie pracujesz? - wymruczał.

- Zgadza się. Dzięki. - Brent niechętnie opuścił symulację. Musiał przyznać, że trochę odpoczął. Na farmie serwerowej w Osace wiatry wciąż wiały, ptaki fruwały i śpiewały, czas nadal płynął powoli, a Schultz łąził po piasku. Gdzieś dalej w wirtualnym świecie za horyzontem wyspy Brenta kryły się miliony awa-tarów i chochlików.

Może kiedyś znów nabierze ochoty, by je poznać...

Sortowanie zwykłej poczty mogło poczekać, inne sprawy -już nie. Brent z powrotem zagłębił się w labirynt pomieszczeń, by załatwić coś znacznie ważniejszego. Przez kilka ostatnich miesięcy ludzie z firmy bardzo go wspierali. Zamierzał im podziękować.

Okazało się, że Dan Garner przebywa na prawdziwej wyspie: przez następne dwa tygodnie był na wakacjach na Maui. Felipe Lopez, dyrektor operacyjny, zabrał całe szefostwo na spotkanie zewnętrzne. W firmowym żargonie oznaczało to grę w golfa. Po miesiącach szarego nieba i niemal codziennych śnieżycach nadeszła wiosna.

Techniczni byli na miejscu, oprócz Tyry Kurtz. Dyrektor techniczna zasłużyła sobie na zaproszenie na golfa. Brent zaczął od szefa grupy projektowej nastrojów. Zastukał w futrynę.

Reggie Gilbert był przysadzistym Murzynem o ogolonej lśniącej głowie i wspaniałym sumiastym czarnym wąsie. Słyszając stukanie, uniósł głowę i uśmiechnął się szeroko.

- Miło cię widzieć, stary. Wejdz, wejdz. Pierwszy dzień w pracy?

- Mhm. Ciebie też miło widzieć, Gil. - Brent wszedł do środka i oparł się o okno. Pod ścianą naprzeciwko piętrzyły się sterty zaklejoných kartonów. - Fajnie się urządziłeś.

- Rozpakowuję się w miarę potrzeby. Okazuje się, że nzbierałem sporo rzeczy, ale wszystko co najważniejsze jest tutaj. - Gil postukał w monitor komputera.

- Moje nowe biuro urządzał ten sam dekorator. Będę musiał przemyśleć twój system. - Brent się zawahał. - I jeszcze jedno. Bardzo dziękuję tobie i wszystkim członkom twojego zespołu.

Gil zamrugał, wyraźnie zdumiony.

- Za co?

- Żartujesz? Kombinezon, który mi przysłaliście, ocalił mi życie. - Brent mimowolnie zadrżał. - Wciąż nie mogę w to uwierzyć.

Gil poruszył się niezręcznie na krześle.

- Powinniśmy byli spisać się lepiej. Wyglądasz okropnie. - Zaśmiał się nieszczerze. - Odczekaj trochę, nim znów zaczniesz spotykać się z klientami.

Jakiś czas gawędzili, potem Brent przeprosił i poszedł dziękować komuś innemu. I kolejnemu. I następnemu. Jedynie usilnej pracy wielu ludzi zawdzięczał, że nie zginął zmiażdżony, rozerwany na strzępy ani uduszony. Kiedy przypadkiem natknął się na biuro Kim, nie zastał jej. Nie szkodzi; umówili się na lunch. Zresztą jej akurat - zawstydzonej i zaskoczonej - podziękował dawno temu.

Okolo jedenastej dotarł do działu biologicznego. Biura były puste, lecz na ekranach migotały barwne wygaszacze. W końcu znalazł korytarz z laboratoriami o drzwiach oznaczonych tabliczkami ostrzegawczymi. Dalej poprowadził go grzmiący bas.

Charles Walczak, szef działu biologicznego, miał metr dziewięćdziesiąt dwa wzrostu. Górował nad dwiema kobietami obecnymi w pomieszczeniu. Jego *oczy za* grubymi szklami zdawały się jeszcze większe, a rogowa oprawa okularów kontrastowała ostro z gęstymi siwiejącymi włosami. Miał grube czarne brwi, pozostające w ciągłym ruchu, trudno jednak było stwierdzić, co nimi wyraża.

- Witaj, przybyszu! - zawołał. - Słyszałem, że w końcu wróciłeś. Chcę z tobą pogadać. Daj mi chwilkę.

- Cześć, Charles. Nie spiesz się, zaczekam.

Brent nie znał kobiet, a Walczak ich nie przedstawił. Może były nowe. Sądząc z toczonej rozmowy, biolożki albo lekarki pracujące naukowo, jak Walczak. Po chwili dyskusja, która z punktu widzenia Brenta równie dobrze mogła toczyć się po klingońsku, dobiegła końca. Kobiety przeprosiły i wyszły.

- Chodź, Brent, postawię ci kawę.

- Dzięki, nie trzeba. - Brent wyczerpał już swój zasób uprzejmych słówek. - Szczerze mówiąc, Charles, przyszedłem tu, bo chciałem ci podziękować.

- A, pamiętasz moje odwiedziny. Zastanawiałem się, czy będziesz pamiętać. Bardzo proszę.

- Mówiłem o moim przeżyciu. W znacznej mierze przyczyniły się do niego moduły pierwszej pomocy w nanostroju. Dzięki, że je przetestowałeś i mogły zrobić, co trzeba. - Brent cofnął się w myślach parę kroków. - Hm, jakie odwiedziny?

- Więc jednak miałem rację. Nie pamiętasz. - Walczak obrócił krzesło i usiadł przodem do oparcia.

- W centrum medycznym Angleton, drugiego dnia po wielkim bum. Wciąż byłeś na oddziale intensywnej opieki. Oczywiście przyszedłem przeprowadzić specjalistyczne badania. W tamtym szpitalu nie mieli o niczym pojęcia.

- Ja też nie mam. Opowiedz mi szczegóły.

- Szpital podłączył cię do dipriwanu. - Brent odgadł, że musi mieć głupią minę, bo Walczak podjął bez słowa:

- To najwyższej klasy środek usypiający, który często wpływa też na pamięć. Biały jak mleko. Nazywamy je mlekiem zapomnienia.

Może i dobrze, że Walczak zdecydował się na pracę badawczą, a nie praktykę medyczną.

- Nie myśl, że nie jestem wdzięczny, Charles, ale po co właściwie przyjechałeś do szpitala w Angleton? Co to były za badania?

Tym razem to Walczak spojrzał na niego pytająco.

- Oczywiście botów.

- Botów? - powtórzył Brent.

Walczak dopił kawę, odstawił kubek i wsunął ręce do kieszeni fartucha.

- Kiedy uderzyłeś o ceglany mur, twój czip zareagował błyskawicznie. Nanostrój oczywiście wstrzyknął ci środki przeciwbólowe, a także pełną dawkę nanobotów pierwszej pomocy.

Podczas odtwarzania wielokrotnie złamanej kości ramiennej chirurdzy usunęli czip. Nie został on zniszczony wraz z kością - na szczęście dla Brenta, inaczej kombinezon by nie wiedział, jak zareagować. Mirno wszystko jednak, biorąc pod uwagę, jak wiele metalowych śrub musieli mu założyć, lekarze woleli nie ryzykować ze zbędnym urządzeniem, które mogło dodatkowo podrażnić układ odpornościowy.

Brent nacisnął palcami lewe ramię. Wciąż czuł się dziwnie bez czipa.

- Wiedziałem tylko o lekach przeciwbólowych.

- W twojej krwi zaroilo się od biomarkerów bólu i obrażeń. Jasne, kombinezon wstrzyknął leki uśmierzające ból, ale doszło też do rozległego krwotoku wewnętrznego. Jego powstrzymanie wymagało nanobotów. Boty zrobiły, co trzeba. Podążyły śladem najwyższego stężenia biomarkerów do źródła krwawienia i dostarczyły tam sztuczny czynnik krzepliwości.

Brent wiedział, że kombinezon potrafi to zrobić, ale nie że zrobił.

- Wygląda na to, że miałem wielkie szczęście, Charles.

- Miałbyś szczęście, gdybyś był wtedy gdzie indziej. Co do nanobotów, to proste. Bez nich krwotok wewnętrzny zabiłby cię na długo przed przybyciem ratowników.

Nanoboty przebadano dogłębnie na świnkach morskich, myszach i ochotnikach ludziach - były całkowicie bezpieczne. Brent wiedział, że w sytuacji

krytycznej nanostrój może mu je wstrzyknąć. To jednak nie to samo co pogodzenie się z faktem, że maszyny mniejsze od komórek krwi mogły pływać w jego żyłach. Zadrzał.

- I jak poszły badania?

- A jak myślisz, Brent? - W głosie Walczaka zadźwięczała uraza: czyżbyś kwestionował moją pracę? - Boty kipnęły po jednym dniu, tak jak powinny.

Brentowi wystarczyła wiedza, co może zdziałać technika. Jak to robi, zostawiał jej konstruktorom. Technobelkot nie przydaje się przy sprzedaży.

Od miesięcy lekarze powtarzali mu, że wszystko będzie dobrze. Traktowali swych pacjentów znacznie lepiej niż Walczak, ale przesłanie było to samo - „zaufaj nam” - i już od dawna go irytowało. Wyniosłość i arogancja Charlesa ostatecznie przelały czarę.

Brent uznał, że aby dojść ze sobą do ładu, musi zrozumieć dokładnie, co go spotkało.

- Walmart i kilka namiotów. Ojcowie miasta, a wierz mi, wszyscy członkowie rady to mężczyźni, uwielbiają się chępić, że Waszyngton i Richmond - oraz, na miłość boską, Harrisonburg - są zaledwie dwie godziny jazdy stąd. Inteligentny pięciolatek by odgadł, że oznacza to „sam środek zadupia”.

- Tak też słyszałem - odparł Brent.

Ponieważ Kim mu powiedziała. Wszyscy jej znajomi wcześniej czy później słyszeli o Colesville w stanie Wirginia. Często wiele razy.

Kim uznała, że Brent jest dziwnie rozkojarzony. Jakby czymś zajęty. Nieobecny duchem. No fakt, po raz

pierwszy od niemal dziewięciu miesięcy przyszedł do pracy. Nic dziwnego, że trudno mu się skupić.

Jej własne mroczne, rozproszone myśli nie pomagały w rozmowie. W sobotę minęła kolejna rocznica masakry w Virginia Tech.

Trudno pogodzić się z tym, że wariat z karabinem zaatakował jej kampus i zabił trzydzieści dwie osoby. Nie знаła osobiście żadnej z ofiar - ale mimo wszystko. Pamiętała, jakby to było wczoraj, długie straszne godziny spędzone w zamkniętej sali. Pamiętała, jak czepiali się każdej przerażającej pogłoski, domysłu i strzępu informacji rozpowszechnianych przez komunikatory. Pamiętała niewyraźne zdjęcia z komórek. Na pierwszym roku mieszkała w zachodnim A-J, akademiku, od którego zaczęła się strzelanina. Miała zajęcia w Norris Hall, gdzie zginęło najwięcej osób. Nigdy nie zapomni stosów kwiatów i pluszowych misiów, apeli pożegnalnych, pogrzebów, wcześniejszego zakończenia semestru, łez...

Toteż paplała, próbując odepchnąć od siebie obrazy przytłaczające ją w każdej chwili skrópanego milczenia, pewna, że Brenta podobnie prześladowają wspomnienia z Angleton.

- Dość często jeździłam do stolicy, by wiedzieć, czego mi brak. Prawdziwych muzeów. Przedstawień teatralnych odbywających się poza salą gimnastyczną. Restauracji tajskich, indyjskich i brazylijskich. Przyrzekłam sobie, że kiedy dorosnę, zamieszkać w prawdziwie kosmopolitycznym miejscu.

- Dobra robota. - Brent rozejrzał się po restauracyjnym zakątku centrum handlowego, do którego skoczyli na szybki lunch. W zasięgu wzroku naliczył



wyłącznie tanie sieciówki. - Na szczęście miałem ochotę na calzone.

W Utice można było smakować każdą kuchnię narodową - pod warunkiem że była to kuchnia włoska. To, co miejscowi uważali za restaurację meksykańską, Kim ochrzciła mianem Casa del Rzyg.

- Tak, wiem, powalająca ironia.

Mimo wszystko jednak trzeba przyznać, że Nowy Jork przynajmniej próbował kontrolować handel bronią. W Wirginii za kontrolę uważano sugestię, by klient mówił „proszę”, nim sklep sprzeda mu karabin półautomatyczny.

Chudy dzieciak pracujący za ladą pizzerii podszedł do nich rozkołysanym krokiem i postawił na stole talerze. Wymamrotał coś, co zabrzmiało jak „coś jeszcze?”, i odwrócił się na pięcie, nie czekając na odpowiedź.

Wbrew samej sobie Kim zdołała się uśmiechnąć.

- Zmieńmy temat. Co myślisz o nowej siedzibie firmy?

- Jest trochę na zadupiu, nie? - odparł Brent. - No wiesz, nawet według miejscowych standardów.

Wzruszyła ramionami.

- Nie mamy wielu sąsiadów, minimagazyny do wynajęcia i sklep z częściami do traktorów John Deere, ale wciąż jesteśmy w granicach miasta. Z tego co słyszałam, kiedy powstał pierwotny projekt centrum handlowego, Utica zaanektowała całą okolicę, wyraźnie skuszona wizją gigantycznych wpływów z podatku dochodowego. To tyle, jeśli chodzi o lokalizację. A wewnątrz?

- Mnóstwo przestrzeni do rozwoju. - Na dłuższą chwilę Brent swą uwagę poświęcił calzone. - I jeszcze nie do końca orientuję się wewnątrz.

- Cała sztuka to użycie wstęgi Moebiusa. - Widząc jego zmarszczone czoło, dodała: - Rany, ktoś dzisiaj wolno kojarzy. Chyba trochę za wcześnie wróciłeś do pracy.

- Nie. - Znowu zajął się swoim posiłkiem. - Dobrze mi zrobi wyjście z domu...

Odsuwasz się ode mnie, Brent, pomyślała. -

I...?

- I chyba powinienem zacząć przychodzić na pół dnia.

- Sam ich tu przywiózł. - Podrzucę cię do pracy i wrócę do domu.

- Kiedy już się zdrzemniesz, może wyskoczmy dziś wieczór do kina? - zaproponowała.

- Nie mogę. - Odsunął krzesło i wstał. - Mam inne plany.

- Kam ona jest? - Kim sugestywnie uniosła brwi. - Znam ją?

-Alan Watts.

-Kto?

Brent sprawiał wrażenie... zakłopotanego.

- Kapitan Ameryka.

Wstała.

- Nie wiedziałam, że się przyjaźnicie.

Podczas wędrowki na parking i krótkiej jazdy do Garner Nanotech nie miał nic więcej do dodania.

W firmie czekały na nią nerwowe e-maile z działu kontroli. Najnowszy upgrade oprogramowania systemów zasilania nanobotów zachowywał się dziwnie niestabilnie. Bestyjki nowej generacji, unoszące się w roztworze glukozy, wyłączały się w losowych odstępach. Miało to mniej więcej tyle sensu co jej śmierć z głodu pośrodku delikatesów.

Kim kierowała zespołem opracowującym oprogramowanie systemowe nanobotów, więc tajemnicza

usterka stanowiła jej problem. Nie miała nic przeciw temu. Dziwne bugi w oprogramowaniu to znacznie miłszy temat niż masakra w Virginia Tech. Odpychając na bok troskę, jaką wzbudziło w niej dziwne zachowanie Brenta, zwołała spotkanie.

Nawet ślepiec w wyścigówce na pierwszy rzut oka mógł stwierdzić, że Stary Irlandzki Pub Riley'a to zwykła speluna. Gipsowa fasada z belkami bardziej niż Irlandię przywodziła na myśl Disneya. Asfalt, którym wylano placyk przed pubem, niemal zbiełał ze starości. Neon nad drzwiami mrugał i brzęczał; litery UB już dawno zgasły.

Brent zaparkował, ale został w samochodzie. Dłonie na kierownicy mu drżały. Złał się potem, w piersi czuł ucisk.

Riley był barem dla glin. Policjanci przypominali mu Rona Korna. Korn z kolei Angleton. I piekło. Zalała go fala wspomnień.

Zmusił się, by wykonać przyswojone podczas terapii ćwiczenia relaksacyjne. Powolny metodyczny oddech. Kolejne odprężanie grup mięśniowych. Przyjemne myśli.

Psychiatrzy nazwali jego stan zespołem wstrząsu pourazowego, jakby etykieta cokolwiek zmieniała. Mogli nazywać go sobie, jak chcieli, póki tylko przepisywali mu środki nasenne i antydepresyjne. Kiedy zaś przestały działać, nie miał powodu, by kontynuować terapię.

Wdech... wstrzymać powietrze... wydech. Wdech... wstrzymać... wydech. Wdech... wstrzymać... wydech. Stopniowo zdołał się uspokoić. Wszedł do środka.

Kiedy już wzrok mu przywyknął do półmroku, odkrył, że wewnątrz urządzono w ciemnym drewnie - podłoga wyłożona deskami, masywny bar i stołki obok; stoliki, kabiny i krzesła. Wszystko pokryte wieloma warstwami lakieru sprawiało wrażenie niemal czarnego. Na pełnej kieliszków i butelek ścianie za barem płonęły dwie słabe jarzeniówki. Stopy przy każdym kroku z cichym młaśnięciem odrywały się od lepkiej podłogi.

Nikt nie zwracał na niego uwagi, póki Alan Watts nie zawołał go do tylnego stolika i nie oznajmił, że Brent brał udział w patrolu w Angleton.

Do czasu wybuchu Angleton było jedynie kolejnym dotkniętym kryzysem miastem. Teraz wszyscy o nim słyszeli. Gliniarze umieli uczyć swoich: kilku stałych bywalców Rileya wzięło wolne, by móc pojechać na pogrzeb Rona Korna. Brent podzielił się z nimi swymi skromnymi wspomnieniami i słowami żalu. Ktoś wcisnął mu do ręki spieniony kufel.

Nawet ślepiec w wyścigówce na pierwszy rzut oka mógł stwierdzić, że Stary Irlandzki Pub Rileya to zwykła speluna. Brent pokochał ją od pierwszego wejrzenia.

15 MAJA 2016. *NIEDZIELA*

W południowej dzielnicy Chicago, w której dorastał Brent i w której wciąż mieszkali jego rodzice, domy stawiano na ośmiometrowych działkach. I choć nie dało się dotknąć ściany sąsiedniego, wychylając się przez okno, to uściskać rękę sąsiadowi? Bez problemu.

Brent dorastał złąkniony kontaktu z przyrodą.

W college'u miał szansę zaspokoić to pragnienie. Główny kampus Uniwersytetu Stanu Illinois leżał

w Champaign-Urbanie, w samym sercu stanu. Wokół ciągnęły się prairie - lecz zieleni stanowiły głównie kukurydza i soja. Wprawdzie Chicago nazywano Miastem Wiatrów, ale w promieniu stu kilometrów we wszystkie strony wokół Champaign nie rosło nic wyższego od kukurydzy i nic nie przeszkadzało hulać wichurom. A w zimie nie było nawet kukurydzy.

Wszechobecne plantacje kukurydziane (bibliotekę studencką zbudowano pod ziemią, by nie rzucała cienia na historyczne pole doświadczalne) nie okazały się jedyną rozczarowującą cechą college'u ani też najbardziej znaczącą. W teorii inżynieria ogólna wydawała się idealną dziedziną dla kogoś ciekawego, jak wszystko działa. To, co wydział opisywał jako „wyczerpujący interdyscyplinarny program, kładący nacisk na rozwiązywanie codziennych problemów i szczególnie zorientowany na współpracę z przemysłem”, w rzeczywistości nie przygotowało go do kierowania czymkolwiek, a dostarczyło zbyt niskich kwalifikacji do jakiegokolwiek poważnej pracy.

Powinien był pozostać na studiach doktoranckich i skupić się na czymś praktyczniejszym, lecz to oznaczałoby kolejne dwa lata bez stałych zarobków. A nie mógł czekać, bo na ostatnim roku poznał Nicole Tan-ner. General Electric w Schenectady zaproponowało mu posadę najmniejszego trybika w olbrzymiej maszynie. Przyjął ją i ożenił się z Nicole. Była gorąca jak ogień. Ostra jak brzytwa.

I, jak wkrótce odkrył, kolczasta jak jeżozwierz. Nie dało się z nią żyć. Ich małżeństwo zakończyło się widowiskowym fiaskiem: jak katastrofa Hindenburga, tyle że głośniejszym. Rok po ślubie wzięli rozwód. Nicole wróciła do Chicago.

Brent poszedł po linii najmniejszego oporu i pozostał w pracy, choć kolejne nudne projekty ostatecznie pozbawiły go resztek fascynacji inżynierią i techniką. Po paru latach padł ofiarą restrukturyzacji.

Wszystko jednak z nawiązką wynagradzało mu mieszkanie w pobliżu gór Adirondacks i Catskills. Zapisał się do klubu turystycznego. Nauczył się wspinaczki i jazdy na nartach. Znalazł nową robotę w Garder Nanotech, wciąż niedaleko gór. Wiedza ogólna wystarczała w zupełności do pracy w dziale handlowym; w tym wypadku mniej oznaczało więcej. Dwa lata trenował z myślą o wyprawie szlakiem Appalachów, trzy i pół tysiąca kilometrów z Maine do Georgii.

A teraz dostawał zadyszki po pokonaniu dwóch pięter do swego mieszkania.

Kim się przeciągnęła. Poprawiła opaskę. Chwilę dreptała w miejscu. Skinieniem głowy pozdrowiła parę schodzącą z parkowej ścieżki zdrowia. Krople rosy lśniły na trawie. Dwie uczesane w kucyki dziewczynki, wyraźnie siostry, wrzeszczały na pobliskiej huśtawce. W sumie idealny leniwy niedzielny ranek, choć jej osobista wizja leniwego niedzielnego ranka obejmowała raczej Starbucksa i „New York Timesa”.

Brent w końcu wyłonił się ze swego bloku. Przeszedł przez ulicę do parku i zbliżył się do niej, już zdyszany.

- Przepraszam za spóźnienie.

Zaczął rozgrzewkę.

Kim nie zdołała jeszcze wyciągnąć z niego, ile stracił na wadze i czy udało mu się cokolwiek odzyskać. Wyraźnie jednak dochodził do siebie, teraz niemal wyglądał

na własny wiek. Coś - może broda albo ciężkie przeżycia ostatnich miesięcy - sprawiało, że wydawał się wiecznie zadumany. Twarz miał chudą i pociągłą. I te piękne piwne oczy. Przystojny z niego facet, pomyślała. Co więcej, porządny z niego facet.

Nagle przebudził się w niej instynkt swatki. Czy znała kogoś odpowiedniego?

- Sama dopiero co przysłałam - skłamała.

Zjawiała się tu, by go zachęcić. Tutejsza ścieżka była dostosowana do jej możliwości, nie jego - do czasu Angleton. Teraz zastanawiała się, czy Brent zdoła choć raz pokonać pełny dwudziestoetapowy tor. Zakończył serię ćwiczeń rozciągających.

- No to zaczynajmy.

Ruszyli ścieżką, kawałki kory pękały im z trzaskiem pod stopami. Starali się utrzymać tempo szybkiego marszu. Kim biegła w miejscu, by się rozgrzać, podczas gdy Brent wykonywał kolejne ćwiczenia. Podciąganie. Brzuszki. Rozciąganie. Równoważnia. Po dziesiątym etapie dyszał jak parowóz.

- Krwawi ci lewa noga - zauważyła nagle.

Zatrzymał się i spojrzał.

- To tylko zadrapanie. Nawet nie poczułem. Krew ściekała mu po łydce, plamiąc skarpetkę i trampek.

- Głębokie to zadrapanie - mruknęła Kim. - Ale może i dobrze. Krew wypłucze z rany brud. Chodźmy na górę, opatrzę ci to.

Brent ściągnął koszulkę, przetarł ranę i obwiązał ciasno. Jeśli zauważył gwałtowne, pełne współczucia sapnięcie Kim, nie skomentował. Nie traktował nowej rany ze stoickim spokojem, lecz z absolutną obojętnością.

Dostrzegł, że przygląda się bliznom pokrywającym jego tors.

- Po miesiącach fizykoterapii chyba zobojętniałem na ból. I na wypadek gdybyś się zastanawiała: owszem, byłem szczepiony przeciwko tęzczowi. Poćwiczmy jeszcze trochę.

- Widać jestem dość wrażliwa za nas oboje.

- A w każdym razie dość obrzydliwa. Od zwykłego pobierania krwi robiło jej się słabo. - Skończmy już. Chyba że lubisz się pluskać w kałużach rzygowin.

Ruszyli w kierunku jego mieszkania, zaniedbawszy ćwiczenia rozluźniające. Wiedziała, że zapłaci za to później.

- Jak noga? - powtarzała co chwilę.

- Tak samo jak dziesięć metrów temu - odburkiwał.

Uparła się, by przemyć i zabandażować ranę. Nie ufała, że Brent sam to zrobi. Żeby zająć czymś myśli, choć skaleczenie istotnie okazało się powierzchowne, zaczęła gadać. Pierwszym tematem, jaki przyszedł jej do głowy, była praca.

- Dali ci czas na zadomowienie się w biurze?

- Czas? - parsknął Brent. - Cały czas tego świata. Musisz wiedzieć, że firma reklamuje mnie jako...

- dramatycznym gestem nakreślił w powietrzu cu dzysłów - „ocalonego z Angleton”. Potem szybkie przejście do reklamy produktów, które umożliwiły mi przeżycie. Moje stare zdjęcie, na którym wyglądam zdrowo i żwawo, stanowi lepszą zachętę niż ja teraz. Nikt nie ma ochoty oglądać mnie w tym żalnym stanie.

Kim uniosła wzrok.

- Frank to powiedział?



Frank Yoder był szefem działu sprzedaży - i Brenta.

- Tymi słowami? Nie. Tyle że nie dał mi nic do roboty i odmawiał za każdym razem, gdy proponowałem, że się czymś zajmę. A na wypadek gdybym wykazał się inicjatywą, nie przyznano mi budżetu na jakiegokolwiek podroże.

Kim przyłożyła do zdezynfekowanej ranki kwadrat gazy i obwiązała bandażem.

- Czego w takim razie po tobie oczekuje?

- Żebyśmy oswoił się z pracą. - Kolejne parsknięcie. - Może ma nadzieję, że się znudzę i odejdę.

Brent siedział w fotelu, toteż zajęła miejsce na sofie naprzeciw niego. Starła się nie zwracać uwagi na czerwień sącząca się przez bandaż.

- I masz taki zamiar?

- Do diabła, nie. Dan Garner mógł mnie przenieść na rentę inwalidzką. Zamiast tego przez całą moją nieobecność płacił mi pełną pensję. Zachował się cholernie przyzwoicie i nie odplacę mu za lojalność rzuceniem roboty. Postanowiłem potraktować błogą obojętność Franka jako szansę na znalezienie sobie nowego miejsca w firmie. Szykuję się do rozmów, nimjeszcze się na nie umówię. - Wstał gwałtownie. - Muszę się napić czegoś zimnego. Przynieść ci coś?

- Nic, dzięki.

Wrócił z kuchni z dwiema butelkami wody, wręczył jej jedną.

- Po ćwiczeniach musisz uzupełnić płyny, Kim.

Jakiś czas siedzieli i pili w milczeniu. W końcu Brent odchrząknął.

- A skoro już mowa o przygotowaniach i nauce, mam pytanie.

-Mhm?

- Mechanizm samozniszczenia nanobotów w ludzkim ciele. Uważasz, że jest niezawodny? Boty to głów nie nanorurki węglowe. Szukałem w sieci i dowiedziałem się, że układ odpornościowy nie zwraca uwagi na węglowe nanorurki. - Zmarszczył brwi, szukając w pamięci stosownej frazy. - Nazywają to uprzywilejowaniem immunologicznym.

Kim usiadła prosto.

- Faktycznie się przygotowałeś. Gdzie się podział gość, któremu wystarczała wiedza o tym, co robią urządzenia?

Brent wypił jedną trzecią butelki wody.

- Prototypowy kombinezon naszpikował go medycznymi nanobotami na pierwszym etapie testów i te małe główki utrzymały go przy życiu.

- I to ci nie wystarcza?

- Owszem, nie mogę narzekać. Ale zorientowałem się, że nie mam pojęcia, dlaczego właściwie nanity miałyby opuścić mój organizm. Wszyscy oczekują, że uwierzę im na słowo. A niezależnie od uprzywilejowania immunologicznego, nikt nie wie tak naprawdę, jakie mogą być długofalowe medyczne skutki obecności nanocząsteczek. Tyle że lepiej ich jednak nie wdychać, czego na szczęście nie zrobiłem. - Wstał i wyjrzał przez okno na park. - Tak przynajmniej wynika z moich aktualnych lektur - dodał przeproszającym tonem.

Przeproszającym, ponieważ Kim, która zarabiała na życie, programując nanoboty, zbyła jego pytanie?

- Chciałabym mieć czas dowiedzieć się czegoś więcej o tym, jak działają różne rzeczy - rzekła z tęsknym żalem. - Napawaj się tym, póki masz okazję.

Brent pozwolił powiekom opaść. Odchylił oparcie. Drzemka w fotelu nie jest jeszcze tak żałosa jak powrót do łóżka po pokonaniu połowy parkowej ścieżki zdrowia dla mieszczuchów. Ale Kim już wyszła - zamknęła za sobą sama, mówiąc: „Nie, nie, nie musisz wstawać” - więc kogo właściwie chciał oszukać?

Sam nie wiedział, kiedy przekroczył granicę dzielącą półświadome swobodne skojarzenia od snów.

Ponieważ myślał o nanobotach, pojawiły się także teraz: długie wąskie klateczki zbudowane z węglowych nanorurek. Każda nanorurka stanowiła płataninę sześciokątów, przypominającą zwój drucianej siatki, tyle że wierzchołki owych sześciokątów tworzyły pojedyncze atomy węgla. Większość rurek miała zaledwie nanometr średnicy -jedną miliardową metra. Wiele tysięcy podobnych rurek zmieściłoby się spokojnie na płaszczyźnie przekroju ludzkiego włosa.

We śnie patrzył na świat z perspektywy pojedynczego bota, mniejszego od sąsiadujących z nim żywych komórek, za pomocą których jego podświadomość oceniała skalę. Z maleńkich nanorurek upleciono znacznie większą konstrukcję o cylindrycznym zarysie. Jej kształt i ruchy kojarzyły się z animowaną chińską pułapką na palce. We wnętrzu nanobota widział bardziej złożone struktury: cząsteczki organiczne, obwody na-nologiczne, nanosilniki. Przez szczeliny warkocza obserwował sploty kolejnych nanorurek, jednym końcem uczepionych głównej klatki. Poruszały się rytmicznymi falami, popychając nanobota naprzód.

Pole jego widzenia powiększyło się nagle. Wszędzie wokół roily się nanoboty, pośród chaosu większych

zderzających się ze sobą czerwonych dysków lub białawych kul o powierzchniach pokrytych wścibskimi wypustkami. A także mniejszych, amorficznych maczkowatych kształtów wymykających się wszelkim geometrycznym porównaniom.

Czerwone krwinki, białe krwinki i płytki krwi. Coś go potrafiło. Coś innego popchnęło w drugą stronę. Białe krwinki zbierały się wokół, otaczały go, pokrywały. „Jego” rzęski przestały się poruszać, przyszpilone do nanorurkowej sieci. Łowcy zaczęli napierać mocniej. Wyczuł ruch - to rój poniósł go dalej...

Obudził się z krzykiem. Zaschło mu w ustach, serce waliło mocno. Przez chwilę rozglądał się wokół, oszumlony, potem złudzenie przebywania poza ciałem minęło. Rozdygotany poszedł do kuchni po mrożoną herbatę, upominając się w duchu.

Ten koszmar miał oczywiste źródło.

Poprzedniego dnia Charles Walczak z lekką wyższością urządził mu demonstrację.

- Do diabła, tylko po to, żeby cię uspokoić.

Przesuwając palcami po pokrętkach kontrolnych mikroskopu, przejrzał próbkę krwi, szukając jednego z nanobotów.

Mikroskop cyfrowy bardziej przypominał klasycznego peceta niż kruchy instrument optyczny, który Brent pamiętał z licealnych lekcji biologii. Wizjer był urządzeniem nie tylko optycznym, ale też komputerowym, elektronicznie przysyłał obrazy do lokalnej sieci laboratoryjnej. Czerwono-zielono-niebieska trójca diod zalewała szkiełko zimnym białym światłem.

Mikroskop nie miał okularu ze szkła i chromu, do którego można by zajrzeć. Powiększone cząsteczki

pojawiały się na wielkim płaskim ekranie. Nałożona na niego cyfrowo delikatna siatka ukazywała skalę. Największe komórki krwi miały zaledwie piętnaście mikronów średnicy.

Brent wzdrygnął się, gdy na monitorze pojawiła się jasna kula o powierzchni pokrytej zwijającymi się wypustkami. Przy tym powiększeniu była większa od jego pięści.

- Co za paskuda. Biała krwinka?

Charles zacmokał.

- Biała krwinka? Kiedy ostatnio uczyłeś się biologii, w trzeciej klasie? Prawidłowa nazwa to leukocyt.

I wybór synonimu miał cokolwiek zmienić? Brent nie odpowiedział.

Tam! Pośród dysków i kul komórek krwi pojawił się ciemny pręcik. Długością nanobot nie odbiegał od średnicy typowych czerwonych krwinek. Pręcik był zbyt cienki, by dało się dostrzec drobniejsze elementy konstrukcyjne. Wytężając wzrok, Brent zdołał zauważyć punkciki rozrzucone na warkoczu.

Ograniczona rozdzielczość mikroskopu nie miała znaczenia. Już wcześniej oglądał szczegółowe plany i rysunki nanobotów. A także, co najbardziej zdumiewające, zdjęcie z bliska, przedstawiające nanobot medyczny uchwycony co do atomu pod mikroskopem sił atomowych. Ów wizerunek zachwycał wszystkich; Dan Garner wręczał potencjalnym inwestorom oprawione odbitki wielkości plakatu.

Niemal niewidoczne kropeczki na nanobocie zmieniły kolor.

- Jak długo? - spytał Brent.

- Jak długo by przetrwały, gdybyśmy nie wbudowali im mechanizmu samozniszczenia? Ogólnie biorąc,

wiecznie. Ale ponieważ nie jestem głupi... każdy bot ma w sobie drobinki antygeny ospy wietrznej.

Charles po raz ostatni dostroił mikroskop tak, by nanobota ustawić na środku ekranu, a potem obrócił się na stołku, jak zawsze gotów wygłosić wykład.

- Praktycznie każdy dorosły w tym kraju chorował na ospę wietrzną albo został na nią zaszczepiony, więc jego system odpornościowy jest wrażliwy na antygen. Pamiętasz może, że przed wszczepieniem czipu biosensorycznego przeprowadziliśmy badania odpornościowe krwi? Po mniej więcej dniu zawarte we krwi białko rozpuszcza błonkę, którą pokryliśmy antygen. Jego odsłonięcie pobudza produkcję antyciał. Widzisz, jak kropki zmieniają kolor? To znika osłona. Do celów tej demonstracji umieściłem porcję enzymu w kropli krwi, żeby przyspieszyć proces. Ergo lada moment...

Chaotyczne ruchy komórek nabrały porządku. Na ekran napływały białe krwinki, kierowały się ku środkowi obrazu. W stronę nanobota.

- Bingo - rzucił Charles, choć Brent nie potrafił sobie wyobrazić, by faktycznie grywał w bingo. Może w wista albo w triwia, wersję dla Mensy. - Atakujcie, malutkie. Spiszcie się dobrze.

Wypustki białych krwinek falowały. Macając wokół, chwytaly nanobota. Na ekranie pojawiły się kolejne leukocyty, ich wypustki również trwały w ciągłym ruchu, badały, szukały. Nanobot zniknął pod napierającą masą.

- Widzisz leukocyty, które przyciąga ospa wietrzna - oznajmił Charles. - Żegnajcie, nanioty.

Każdy zwijający się, napierający leukocyt przypominał zwieńczoną węzami głowę Meduzy.

- Jezu! - zdołał w końcu wykrztusić Brent.

- Cudowne, prawda? - odparł Charles. - To właśnie spotkało nanioty pierwszej pomocy, które wstrzyknął ci do krwi kombinezon. Po tym, jak zrobiły swoje, zostały schwytane i zniszczone. Mam nadzieję, że czujesz się lepiej.

Rzeczywiście, Brent poczuł się lepiej, choć pozostała jeszcze jedna wątpliwość.

- Ale gdzie się podziały?

- Jakiś dzień po wypadku miałeś bardzo nietypowy mocz.

Pomijając wyniosłość Charlesa, wczorajsza demonstracja była niczym okno do innego świata. Brent dopił mrożoną herbatę i poszedł do łazienki. Miał nadzieję, że jego mocz wrócił już do normy.

## 10 CZERWIEC 2016. PIĄTEK

Brent maszerował, prężąc się, unosząc głowę w rytm muzyki, którą tylko on słyszał, środkiem nieistniejącego wybiegu. Obracał się tu i tam, demonstrując makietę nanostroju nowej generacji. W jego słuchawkach The Bangles śpiewały „Walk Like an Egyptian”. Stosowane do gier okulary rzeczywistości wirtualnej renderowały nieistniejący wybieg, trzydzieści razy na sekundę przesuwał obrazy. Nieprzejrzysty wizjer zasłaniał okulary i słuchawki, a materiał kombinezonu iPoda i opaskę na ręce.

Piosenka trwała zaledwie trzy minuty. Brentowi spodobała się idea wielkiego wejścia - ot, drobny kaprys, w sam raz na letnie piątkowe popołudnie. Tyle że rzeczywistość okazała się znacznie mniej zabawna. Trzy minuty trwały całe wieki, a on czuł się coraz bardziej skrępowany. To był numer w stylu starego Brenta. Brenta sprzed wypadku.

Nagle wyobraził sobie siebie w czerni. RoboCop... Od kilku dni udało mu się nie myśleć o Ronie Kornie. Śmiech nielicznej widowni jeszcze pogorszył jego nastroj.

- Bardzo ładnie - pogratulował Reggie Gilbert.

Spotkanie było pomysłem Gila, tak jak sala konferencyjna, w której się zebrali. Nieco ponad tydzień wcześniej, pierwszego czerwca, Gil został nowym szefem Brenta. Większość zebranych należała do zespołu projektowego nanostrojów.

Ale nie wszyscy. Alan Watts gwizdał i klaskał, póki jego szef, Morgan McGrath, nie posłał mu ostrzegawczego spojrzenia. Niemądrze byłoby nie zasięgnąć rady byłych gliniarzy i kombatantów pracujących w firmie, skoro docelowymi klientami miały być policja i wojsko. Kiedy Brent zaproponował ich zaproszenie, Gil odparł tylko:

- Dobry pomysł. Szkoda, że nie wpadliśmy na niego wcześniej.

Piosenka dobiegła końca i Brent przestał błaznować.

- Powinniście bez trudu rozpoznać kombinezon. Zacząłem od prostego prototypu, podobnego do tego, który nosiłem w terenie. Co zatem jest nowe? - Rozhermetyzował hełm i uniósł wizjer. - Zacznijmy od optyki. To są standardowe okulary do gier VR. Wyobraźcie sobie podobną funkcjonalność wbudowaną w wizjer. Przez WiFi jestem połączony z... - wskazał gestem - tamtym laptopem. Razem, gdziekolwiek pójdę, wyświetlają mi na szklach w czasie rzeczywistym wybieg dla modelek. Równie dobrze wizjer mógłby kontaktować się z komputerem na konsoli radiowozu. Nazwijcie to przenośnym projektorem.



- Czy to cię nie rozprasza? - spytał Alan. - Albo jeszcze gorzej: skąd wiesz, co się dzieje w prawdziwym świecie?

- Dobrze pytanie. - Nie wszyscy lubią gry. Brent podał mu okulary. - Sam przymierz. I pokręć się trochę. Czujniki ruchu informują komputer o położeniu okularów, toteż wybieg rusza się wraz z tobą. Tyle że zamiast wybiegu wyobraź sobie na przykład plan piętra albo mapę.

Pod oczami przesłoniętymi wielkimi srebrzonymi szklami charakterystyczny uśmiech Kapitana Ameryki wydał się niepokojąco owadzi.

- Aha. Obraz otoczenia przenika przez ten komputerowy. Jasne, mógłbym do tego przywyknąć.

Brent pchnął niewielki suwak na klawiaturze laptopa.

- A teraz?

- Zmalał. Przesunął się do kącika oka. Oczu.

To były zwykłe okulary do gier. Brent zamierzał później wypróbować droższe modele, w których obraz kontroluje się za pomocą poruszeń oka, wyposażone w zintegrowane słuchawki. Jeśli zadziałają, żegnajcie mętne kody wprowadzane przez klawiaturę na przedramieniu. Witajcie interaktywne menu wirtualne. Jednak o całkowitym przeprojektowaniu interfejsu użytkownika nie należy wspominać podczas spotkania wstępnego.

- Czyli taki wzbogacony obraz mógłby ci się przydać?

Watts odłożył okulary na stół konferencyjny.

- O tak, do diabła.

- Miło mi to słyszeć. Przejdźmy dalej. - Brent wyjął z uszu słuchawki. - Wbudowałem też system audio,

zarówno w celu poprawienia łączności, jak i dynamicznego wytłumiania odgłosów ruchu i silnika.

Czy system antyhałasowy ochroniłby jego uszy przed wybuchem? Od czasu Angleton pogorszył mu się słuch.

Zebrani pokiwali głowami.

- A także czujniki wewnętrzne, wykrywające obecność człowieka w kombinezonie. - Brent pozostawił raz na całą noc przypadkiem włączony wizjer z systemem noktowizyjnym. Baterie prawie się wyczerpały. - Żeby chronić baterie.

- Świetny pomysł - skomentował Gil.

Posłuszny radom, które słyszał podczas każdej kolejnej wyprawy, Brent wskazał palcem długi kawałek taśmy przyklejony do krocza.

- Element niezbyt elegancki, lecz ważny: rozporek. - Faceci zachichotali. Erica Dean, jedyna kobieta w sali, prychnęła głośno. Nie zdążył jej poznać dość dobrze, by podzielić się pomysłem, że nanotkanina umożliwiłaby stworzenie bardziej chłonnej pieluchy. - Oraz mnóstwo kieszeni. Na kajdanki, amunicję, zapasowe baterie i... Sam nie wiem co jeszcze.

Podobnie jak rozporek, kieszenie zastępowały zwykle kawałki taśmy.

Morgan McGrath pochylił się naprzód. Trzeźwy, rozsądny typ, były wojskowy o twardych, wąsko osadzonych oczach i gęstych, krótko przyciętych siwiejących włosach.

- Kieszenie miałyby być zrobione z tego samego niezniszczalnego materiału co kombinezon?

- Zgadza się - przyznał Brent.

- Może nie. - McGrath zastanowił się chwilę. - Użyjcie czegoś mniej trwałego albo systemu oddzierania.

Lepiej żeby się zniszczyło, niż żeby przestępca mógł was złapać tak, że nie dacie rady się wyrwać.

- Słuszna uwaga - powiedzieli razem Gil i Brent. Gil wstukał coś do swego laptopa.

- Brent? - zagadnął z lekką pretensją Harry Ng. Zawiesił głos, jakby starannie rozważał swe następne słowa. Jego pociągła twarz miała zwykły wyraz, mówiący „nie ma tego dobrego, co by na złe nie wyszło”. Ów pesymizm doskonale pasował do paska, szelek i czysto inżynierskiego podejścia. Można powiedzieć, że Harry odnalazł swe prawdziwe powołanie, zatrudniając się w kontroli jakości. - Pytanie - rzekł w końcu.

Odpowiedź, pomyślał Brent, ale oparł się pokusie.

- Mhm. Mów dalej.

- Co z procedurami testowymi nanostrojów?

Na przykład snajperem na końcu linii produkcyjnej? Chyba jednak nie.

- A co byś proponował, Harry?

Nim Ng odpowiedział, starannie poprawił mankiety koszuli.

- Biorąc pod uwagę wszystkie zaproponowane przez ciebie obwody elektroniczne, niezbędne byłyby testy wydajności elektronicznej. Szczelności szwów. Krótko mówiąc, po zejściu z taśmy trzeba będzie sprawdzić mnóstwo rzeczy. Dobrze byłoby wyeliminować najpoważniejsze problemy bez konieczności przeprowadzania prób z ludźmi. Kombinezony będą miały różne rozmiary, zgadza się? A także wewnętrzne czujniki tlenu i dwutlenku węgla, żeby...

- Manekiny i kontrola fabryczna - podsumował Brent. - Dzięki.

Ale Ng nie dał sobie przerwać.

- Kod zewnętrzny automatycznie sprawdzający wszystkie wersje kamuflażu. Kod umożliwiający zeszywnienie materiału. I oczywiście drugi, który je wyłącza. Kod...

- Przejdźmy dalej - wtrącił z naciskiem Gil.

- Genialny pomysł - parsknął Alan Watts. - Super-zbroja z wyłącznikiem.

- A jeśli kombinezon zeszywnieje i się zepsuje? - odparował Ng. - Jak zamierzacie z niego wydostać człowieka?

Dopiero obietnica odrębnej narady poświęconej wyłącznie testom pozwoliła kontynuować spotkanie. Kolejno omawiali wszystkie zaproponowane przez Bren-ta ulepszenia. Większość wzbudzała zainteresowanie. Niektóre miały konsekwencje, które przeoczył. Parę sprawiło, że inżynierowie zaczęli szeptać między sobą z podnieceniem, nim jeszcze skończył prezentację.

-1 to wszystko - rzekł wreszcie. Półgodzinne spotkanie, o które poprosił, w jakiś sposób przeciągnęło się do półtorej godziny, lecz nikomu to nie przeszkadzało - chyba z wyjątkiem Harry'ego Nga. Brent raz jeszcze odczytał wszystkie punkty, a Gil dopilnował, by każdemu z nich przydzielono frajera i datę realizacji, po czym ludzie zaczęli wychodzić. Brent zaczął na wyłączenie laptopa.

Gil także został w sali.

- Doskonała robota, Brent. Choć uderzyło mnie jedno. Pomijając modyfikacje nanotkaniny, żadne z twoich udoskonaleń nie wymagało nanotechnologii.

- Wiem. - Windows zakończył zmuśny proces zamykania i Brent zatrzasnął laptop. - Wiemy, że nanostroje działają. Będą ratować życie, jeśli ludzie zechcą je nosić. Uważam zatem, że warto wykorzystać do tego każdą dostępną technologię.

- Kiedy masz tylko młotek, wszystko wygląda jak gwóździ. - Gil poklepał go po ramieniu. - Bóg jeden wie, że naszej bandzie przyda się ogólniejsze spojrzenie. Cieszę się, że jesteś z nami.

A ja się cieszę, pomyślał Brent, że nie musiałem mówić, co myślę o nanobotach.

11 CZERWIEC 2016. SOBOTA

W centrum handlowym, przy którego głównym wejściu czekał Brent, mieściła się kiedyś tkalnia. Mury były ze starych czerwonych cegieł. Sfatygowane drewniane podłogi ugiwały się i opadały w najdziwniejszych miejscach. Trzypiętrowe drewniane koło wodne, niegdyś zasilające setki maszyn tkackich, obecnie nie służyło niczemu poza tworzeniem atmosfery.

Patrzył, jak Kim i jeszcze jedna kobieta przemykają pomiędzy jadącymi wolno samochodami opuszczającymi parking.

- Przepraszamy za spóźnienie - powiedziała Kim.

- Nie ma sprawy.

Jeśli okres rekonwalescencji czegoś go nauczył, to cierpliwości. Skinieniem głowy pozdrowił drugą kobietę. Szatynka, ładna w nienachalny sposób i niemal dorównująca mu wzrostem. Długie nogi i krótkie szorty - zawsze lubił to połączenie. Falujące włosy do ramion uroczo potargał wiatr. Choć jeszcze się nie odezwała, promieniowała energią. To chyba jej oczy, uznał. Zawsze podobały mu się niebieskie oczy w połączeniu z ciemnymi włosami i był niemal pewien, że Kim o tym wie.

- Brent, to moja przyjaciółka, Megan Eckert. Jest nowa w mieście, więc chcę jej pokazać outlety. Megan,

to mój przyjaciel Brent Cleary. - Kim wskazała ręką wejście, przez które przelewał się nieprzerwany strumień ludzi. - Idziemy?

W głównej alejce dźwięczały dziesiątki głosów. Przez wpasowane w dach starej fabryki świetliki wpadały promienie *słońca*. Wokół uganiały się dzieci. Łowcy okazji ruszali na polowanie.

- Oddajemy się w twoje ręce - oznajmiła Megan.  
- Prowadź.

Kim pomaszzerowała naprzód, wskazując plakaty wyprzedaży i ulubione sklepy. Nie oglądała się za siebie. Czyżby zamierzały wspólnie zatwierdzać jego zakupy ciuchowe? Brent podejrzewał, że ma inne plany.

- Skąd przyjechałaś? - spytał.

Meg potrzebowała kilku sekund, by zorientować się, że mówi do niej.

- Z Naperville. To pod Chicago.

- Tak, wiem. Skąd znasz Kim? - Wątpił, czy z pracy.

- Chodzimy *na* tę samą siłownię.

Dotarli do końca głównej alejki i Kim zatrzymała się gwałtownie.

- Schody czy winda?

- Ty robisz za przewodnika - oznajmił Brent. I styliskę.

- Chwileczkę. - Kim wyjęła komórkę, choć Brent nic nie usłyszał. Spojrzała na nią gniewnie i wstukała krótkiego SMS-a. - Cholera. Słuchajcie, kolejna wersja softu właśnie poszła w diabły. Młodszy programiści nadganiaли robotę w ten weekend. Nikt nie ma pojęcia, co się spieprzyło. Muszę skoczyć do biura i im pomóc. Przepraszam, nie wiem jak długo to potrwa. - Nieco zbyt promienny uśmiech

zastąpił przesadnie ponury grymas. - Brent, znasz to centrum. Bądź tak kochany i oprowadź Megan. I zechcesz podrzucić ją potem do domu? Przyjechała ze mną. Dzięki!

Nie czekając na odpowiedź, ruszyła szybkim krokiem w stronę, z której przyszli.

Megan próbowała powstrzymać śmiech, bez powodzenia.

- Ustawka?

- Na to wygląda. I niezbyt subtelna.

Jak cała Kim. Niełatwo też ją zniechęcić - Brent wielokrotnie już odmawiał propozycjom przedstawienia go jej samotnym koleżankom. Przez długi czas nie czuł się dość dobrze, by choćby myśleć o randkach. Teraz, mimo poprawy samopoczucia, nie miał pewności, czy jest gotów.

Otrząsnął się z zamyślenia.

- Przyznaję, zasłużyła na nagrodę za dołożone starania. Może skoczmy na kawę? Wspólne kupowanie skarpetek to raczej program na drugą randkę.

- Jasne.

Wkrótce siedzieli już przy stoliku w Daily Grind. W sumie Megan pochodziła z Chicago, choć tak naprawdę Naperville leżało na przedmieściach. Jak większość mieszkańców południowych dzielnic kibicowała Soxom. Mógł jej to darować. Lubili sporo tych samych restauracji w centrum i wiele tych samych muzeów. Dwa lata młodsza od niego, chodziła na Uniwersytet Chicagowski, lecz połowa kolegów z liceum poszła na Uniwersytet Stanowy Illinois, znała też zatem Chambanę. Kim dobrze wybrała.

Wszystkie te obserwacje czynił z dziwnym dystansem. Zupełnie jakby Megan stanowiła odpoczynek,

odskocznę - nie miał jednak pojęcia od czego. Teraz odchrząknęła znacząco.

- Pod jakim pretekstem Kim cię tu ściągnęła?

- Podobno mam wycucie stylu wieszaka. - Najwyraźniej chodziło o obojętność, jaką żywił do zestawiania ze sobą różnych ciuchów. Jeśli tak, określenie faktycznie pasowało. - Raz czy dwa razy w roku Kim zabiera mnie na zakupy.

- A ty się zgadzasz?

Uśmiechnął się.

- Nasza intrygantka to jedynaczka. W dzieciństwie wyraźnie zbyt rzadko miała okazję bawić się w przebieranki.

A on często padał ofiarą sióstr. Rodzice dysponowali mnóstwem kompromitujących zdjęć.

W obecnej chwili jego garderoba była jeszcze bardziej wieszakowata, bo niemal wszystkie ciuchy dosłownie na nim wisały. Miał do wyboru: wyglądać jak strach na wróble, póki nie odzyska straconej podczas choroby wagi, albo kupić nowe ubrania. To drugie rozwiązanie wydawało się łatwiejsze. Nie zamierzał jednak wspominać o owym dylemacie i o tym, co do niego doprowadziło. Otarcie się o śmierć to w najlepszym razie materiał na trzecią randkę.

Weź się uspokój, warknął w duchu.

- A ty? Jak Kim cię zwabiła?

- Niczym wielkim. Zwykłym babskim „musisz częściej wychodzić”.

- A musisz? Jak bardzo jesteś nowa, Megan?

- Pracuję jako bibliotekarka u Hamiltona. Zaczęłam w semestrze zimowym.

Hamilton College leżał jakieś piętnaście kilometrów dalej w Clinton. Zaczęła w semestrze zimowym, a był



środek czerwca. Przez cały ten czas nikogo nie znalazła?

Meg dała mu chwilę na obliczenia, po czym znów się odezwała.

- No i tak. Wygrywam w cuglach w konkursie na najbardziej żalosego frajera potrzebującego przyjaciół.

- I mamy dla ciebie wspaniałe nagrody.

Czemu cała ta rozmowa wydawała mu się taka sztampowa? Rzuć dowcipną uwagę. Zadaj otwarte pytanie. (Co lubisz czytać? Jakie masz hobby? Masz braci albo siostry?). Od czasu do czasu ze zrozumieniem pokiwaj głową.

Zardzewiałeś, powiedział sobie Brent. A także: typowe nerwy pierwszej randki.

Teraz nadeszła jego kolej. Uznał, że czas na osobistą anegdotkę.

- Moja mama kieruje sekretariatem sklepu meblowego. Tato pracuje dla dystrybutora sprzętu biurowego. Wyobraź sobie te wszystkie cienkie aluzje dotyczące szuflad i akcesoriów. Kiedy skończyłem dwanaście lat, ich rozmowy z całkiem niezrozumiałych stały się urocze i nieco obrzydliwe.

- No cóż. - Megan uśmiechnęła się szeroko. - Cienkie aluzje to podstawa większości komedii.

Była inteligentna, zabawna i atrakcyjna. Szczera, lecz nie morderczo ekstrawertyczna. Wiele ich łączyło, nie musieli przejmować się faktem, że pracują razem czy nawet w tej samej branży. Chciał, żeby im się udało i nie tylko dlatego, że... sam już nie wiedział, ile czasu upłynęło od jego ostatniej randki, ale z pewnością było to przed Angleton. Hormony musiały zaćmiewać mu już wzrok.

Czemu zatem wymagało to takiego wysiłku? Do diabła, co było z nim nie tak?

## 24 CZERWCA 2016. PIĄTEK

Kim pogwizdywała fałszywie pod nosem. Gdzieś w ciągu ostatniego tygodnia jej włosy przekroczyły delikatną granicę dzielącą artystyczny nieład od anarchistycznego chaosu. Dziś stawiały opór wszelkim próbom zmuszenia ich do posłuszeństwa. Sfrustrowana wysunęła dolną wargę i zdmuchnęła z czoła grzywkę, która natychmiast opadła z powrotem, oklapła, bez życia. Na szczęście Nick się spóźnił. Może zdąży się jakoś doprowadzić do porządku.

Zaczęła się malować, próbując zignorować chmurkę letnich piegów wokół nosa. Różana cera. Klasyczny owal twarzy. Ciemne brwi, które znów się rozrosły, bo nie miała czasu ich regulować. Jasne zielonkawe oczy - je przynajmniej lubiła. Ładne rysy, wszystko na swoim miejscu, choć gdyby spytano ją o zdanie, chętnie zmieniałyby odstające uszy Dumbo. Włosy w przyjemnym odcieniu jasnego brązu, zawsze dość długie, by zasłonić rzeczony uszy.

Domofon zadzwieczał w chwili, gdy zapinała małą czarną. Sukienka była nowa - dzięki bogom za e-krawców, wirtualne przymiarki i blokowego portiera przyjmującego paczki. Wielka szkoda, że awatar nie mógł zająć jej miejsca u stylistki. Przez ostatnie dwa tygodnie trzy razy przekładała i odwoływała wizytę. Wsunęła stopy w czarne sandały na obcasie i wpuściła Nicka do budynku.

- Ja cię kręcę - mruknął. Miał na sobie grafitowy garnitur od Armaniego, jej ulubiony.

- Projektant ci dziękuje. - Musiała przyznać, że sukienka faktycznie leży świetnie. - Dobrze maskuje zbędne pięć kilo.

- Bzdura. - Objął ją i pocałował. - Zrzuć tę kieckę, a popodziwiam to, co się pod nią kryje.

Dobra odpowiedź i kusząca propozycja. Nick przez trzy tygodnie tkwił w Albany, a ona tu, w Utice.

- Najpierw obiad, koleś.

- Zamówię pizzę. O tej porze w piątkowy wieczór będziemy mieli mnóstwo czasu. - Mrugnął porozumiewawczo. - A potem, wysmarowani tłuszczem z pizzy...

Złapała go za łokieć.

- Wychodzimy. Na porządny obiad. Potem się zo baczy - i robi.

Zarezerwowała stolik w modnej nowej knajpcie. Oczywiście włoskiej. Po pierwszym kieliszku chianti w końcu zaczęła się odprężać. To był piekielny tydzień. Odwołane wizyty w salonie piękności stanowiły najmniejszy problem.

- Jak ci się jechało?

- Nudno. - Pochylił się nad stołem. - Reklama to reklama, interesuje tylko klientów. Rodzice i brat czują się dobrze. Psy jak zwykle szaleją. Ładną mamy pogodę. Sprawdźmy jadłospis.

- Chcesz to załatwić jak najszybciej, co? - Nie zdołała powstrzymać śmiechu. - Przepraszam, musiałam gdzieś wyjść.

Nick dolał im wina i dał znać kelnerowi, by przyniósł drugą butelkę.

- Oprogramowanie zarządzające energią wciąż daje ci w kość?

Stuknęli się kieliszkami. Nick znał się na programowaniu mniej więcej tak jak na lewitacji. Strasznie

miło z jego strony, że zapytał - i, na Boga, musiała się przed kimś wygadać.

- Tak i nie.

Bug, na którego polowała od ponad dwóch miesięcy, okazał się błędem sprzętowym. Właściwe naprawienie problemu wiązałoby się z upiornie wysokimi kosztami. Co gorsza, dział inżynieryjny w żaden sposób nie zdołałby przerobić projektu, zatwierdzić, zweryfikować, przystosować procesu produkcyjnego i dowieść FDA, że nowe nanoboty są bezpieczne, nie zawałając potężnie terminu zbliżających się testów polowych. Skoro udało im się w końcu zainteresować wojsko, za wszelką cenę należało trzymać się rozkładu. Zatem góra przemówiła: programiści będą musieli obejść problem sprzętowy.

Zawsze tak było.

- Kochanie? Nic ci nie jest?

Przyrzekła sobie, że nie będzie bez końca gadać o pracy. Cóż, weekend dopiero się zaczynał. Lepiej od razu przepędzić demony.

- Błędy nanobotów nie miały nic wspólnego z naszym nowym oprogramowaniem.

Ani z systemem operacyjnym. Ani z narzędziami programistycznymi. Skierowała połowę swego zespołu do odtworzenia produktów firm zewnętrznych używanych do kompilacji i wgrywania kodu w nanoboty. W rozpaczę włamała się nawet do należącej do kontrahenta prywatnej bazy danych z informacjami o wszystkich znanych bugach, gdy jego pomoc techniczna nie wykazała chęci do współpracy. Nadal nic.

- Ich oprogramowanie pokładowe wciąż się rozrasta - oznajmiła. - Okazuje się, że problem zależy od tego, gdzie dokładnie ładuje się program. Tak się złożyło,

że najnowszy update oprogramowania zarządzania energią objął wcześniej nieużywaną część pamięci, leżącą fizycznie w pobliżu pancierza.

- Hm - zdołał mruknąć Nick. - To miało być tak czy nie?

On przynajmniej miał dość przyzwoitości, by nie omawiać z nią szczegółów reklamy sieciowej.

- To znaczy nie - odparła Kim z uśmiechem. - Nasze oprogramowanie nigdy nie było problemem. Ale też tak, bo teraz będzie musiało obejść prawdziwy problem.

Przypisać więcej pamięci kodom korekcyjnym. To zmniejszy pojemność pamięci, bo więcej bitów zmarnuje się na nieużywane zabezpieczenia, ale przynajmniej znów będą mogli polegać na jej zawartości. Oznaczało to jednak całkowite przepisanie podstawowych funkcji systemu operacyjnego. Westchnęła.

Były też pozytywy: dzięki temu ocala już istniejące zapasy botów. W przypadku pamięci molekularnej uaktualnianie oprogramowania to czysta chemia. Łatki zostaną zakodowane w cząsteczkach przekaźnikowych i wprowadzone do kadzi z botami. Nanoboty są dość inteligentne, by odczytać uaktualnione kody i załadować łatki systemowe.

- Na pewno ci się uda. - Nick wskazał nietknięte jadrospisy. - Może zajrzemy?

Oboje wybrali specjalność szefa kuchni: domowe pierożki ravioli z nadzieniem z dyni piżmowej w żurawinowym sosie. Nick zdjął okulary i przetarł szkła krawatem.

- Jak się miewa Brent? Mam nadzieję, że czuje się lepiej?

- Tak twierdzi - odparła. Wielkie sińce pod jego oczami mówiły co innego.

- Na jego miejscu byłbym przerażony. Nanoboty replikujące się w moim ciele... - Nick zadrżał.

- One same się nie replikują, skarbie. Nie potrafią. - Kim poklepała go po ręce. - Samoreplikujące nanoboty były przelotną modą... - (i marzeniem ściętej głowy) - trzydzieści lat temu, kiedy dopiero powstawała nanotechnologia.

Wielu finansistów inwestorów oglądało te same kiepskie filmy SF co Nick. Już dawno zatem wymyśliła stosowną analogię.

- Spójrz na to w ten sposób. Fabryki budują roboty do produkcji na przykład samochodów. Ludzie montują te roboty na linii produkcyjnej. Ciężarówki i pociągi przywożą do fabryki materiały, ruchome taśmy dostarczają części i materiały robotom. Inne zabierają produkty pośrednie. Systemy elektryczne dostarczają robotom zasilanie. Roboty nie krążą po okolicy w poszukiwaniu paliwa i części, czasami budując samochody, a czasami kolejne wersje siebie. Może dałoby się skonstruować podobne roboty, ale po cholere? Byłoby to wyjątkowo mało wydajne i trudne. O ileż trudniej skonstruować mikroskopijne samoreplikujące się roboty!

Nick uśmiechnął się zawstydzony.

- Nie ma zatem szalejących replikatorów?

- Obawiam się, że tylko w kiepskich filmach.

- W takim razie wróćmy do rzeczywistości. Wyraźnie martwisz się, że Brentowi się nie poprawia. Czemu? W ogóle rzadko ostatnio o nim wspominasz.

Ani o niczym innym. Prawie co wieczór rozmawiała z Nickiem, lecz w tym tygodniu ich rozmowy były w najlepszym razie pobieżne. W zeszłym także. A kiedy już gadali, Nick obsesyjnie skupiał się na wyborach

prezydenckich - nie kwestiach politycznych, lecz wyścigu kandydatów. Choć do konwencji partyjnych pozostał jeszcze ponad miesiąc, Kim miała już po dziurki w uszach kampanii.

- Byłam tak zajęta, że Brenta widywałam rzadko.  
- Grzywka znów opadła jej na oczy, odrzuciła ją nie cierpliwie. - Tak się składa, że Brent pomógł nam rozwiązać problem, który właśnie opisałam.

Nick z powrotem założył okulary.

- Nie zrozum mnie źle. Wiesz, że lubię Brenta, ale czy to dla niego nie czarna magia?

- Do niedawna owszem. Od czasu wypadku dużo bardziej interesuje się wszystkimi aspektami technicznymi.

Przy stoliku zmaterializował się kelner.

- Są bardzo gorące. - Przed każdym z nich postawił talerz i odprawił rytuał świeżo mielonego pieprzu, po służąc się zdecydowanie za dużym i zbyt fallicznym młynkiem.

Brent rzeczywiście zmienił się od czasu wypadku. Jego nowo odkryta ciekawość wobec wszystkich aspektów nanotechnologii stanowiła jedynie najmniej istotny element owej przemiany. Kim kompletnie nie umiała pojąć, czemu jeszcze nie zadzwonił do Megan. Zupełnie jakby oślepl, ogłuchł i zgłupiał.

Inne zmiany, choć znacznie subtelniejsze, były nie mniej niepokojące. Nie ujawniały się co dzień. Zapewne wylapała je tylko dlatego, że byli z Brentem bardzo bliskimi przyjaciółmi. I obawiała się, czy słowo „byli” nie jest właściwe.

Nowy Brent był bardziej skupiony niż wyluzowany koleś, z którym tak szybko nawiązała nić porozumienia. Bardziej skłonny do popadania w ponure

zamyślenie. Jego dawny niezmienny takt zastąpiła brutalna szczerość. Ponoć środkowe dzieci najczęściej pełnią w rodzinie rolę rozjemców. Kto by pomyślał, że to może ulec zmianie?

Kilka razy zdołali umówić się na lunch w dni robocze i ostatnio ich spotkania ograniczały się wyłącznie do tego. Co dziwne, rozmawiało im się kiepsko. Brent czasami zdawał się ją obserwować jakby z zewnątrz i ten dystans drażnił Kim. Za każdym razem, gdy mu to wytykała, zaprzeczał, z lekceważeniem zbywał jej słowa albo zwał wszystko na wypadek. „Musiałbym być strasznym prymitywem, żeby to nie wpłynęło na mnie w żaden sposób”.

Niewątpliwie Angleton wywarło wpływ na Bren-ta, i to potężny. Wierzyła mu na słowo, że psychiatry nie znaleźli nic niepokojącego. Choć „niepokojącego” to pojęcie względne. Najwyraźniej w ich języku znaczyło to „nie bardziej pokręcony, niż można by oczekiwać”. Mogła tylko się domyślać, co to znaczy. Brent odmawiał wszelkich rozmów na ten temat.

- Ziemia do Kim. - Kiedy uniosła głowę, Nick dodał:  
- Do siebie mogę gadać bez długiej jazdy do miasta. Chociaż jedzenie pachnie lepiej niż to, co zdołałbym sam przyrządzić.

- Przepraszam. - Talerz stał przed nią nietknięty. Uświadomiła sobie, że Nick na nią czeka. - Nie krępuj się, jedz.

Nabił pierożek na widelec.

- Zaciekawiałaś mnie. Jak dokładnie Brent pomógł z tym technicznym problemem?

- Wyobraź sobie, że siedzę z trzema gośćmi z grupy sprzętowej nanobotów. Rozmawiamy... raczej



kłócimy się, czy problem może wynikać z czegoś poza oprogramowaniem. Oni oczywiście nie chcą o tym słyszeć. I nieważne, że bez końca przeglądaliśmy każdą linię kodu.

Posmarowała masłem kawałek wciąż ciepłego chleba z chrupiącą skórką.

- Brent nabrał zwyczaju, by co dzień przez jakąś godzinę krążyć po firmie. Zadaje wtedy pytania, wzbo gaca swoją wiedzę. Podczas kolejnego obchodu trafił do biura, w którym odbywała się właśnie ta dyskusja. Stał w drzwiach bez słowa, chłonąc wszystko. Po kwadransie rzucił od niechcienia: „Bitowe zderzenia Browna”. Dwoch gości z działu sprzętowego aż się wzdrygnęło.

Nick spojrział na nią nic niepojmującym wzrokiem.

- Coś jak ruchy Browna - podsunęła. - Przypomnij sobie chemię z liceum.

- Hm. Cząsteczki dymu unoszące się w powietrzu, oglądane przez mikroskop? Poruszające się chaotycznie po zderzeniach z cząsteczkami powietrza? Domyślam się zatem, że podobne zderzenia wpływają także na nanity.

- Trzy razy tak. Tyle że w teorii nanity nie miały być takie wrażliwe.

- A trzeci gość z działu sprzętowego? - dopytywał się Nick.

- To był Joe Kamiński, szef grupy projektowej nanobotów. Mój odpowiednik. Poznałeś go w zeszłym roku na pikniku firmowym. No i Joe święcie się oburzył. Symulowaliśmy to, oznajmił. Nie, obruszył się... kto by pomyślał, że ludzie naprawdę tak reagują? A Brent na to: „Ach tak, symulowaliście. W takim razie to musi

być prawda". - Kim się roześmiała. - Nie uwierzyłbyś, jaki Joe zrobił się czerwony.

I faktycznie - całkowicie nieprzewidywalne błędy, którym poświęciła tak wiele czasu, okazały się błędami software'owymi. Tyle że nie dotyczyły software^ botów. Ani żadnego stworzonego i używanego przez jej zespół. Wiele miesięcy wcześniej Kamiński przekonał ich wspólnego szefa, że jedynie inżynierowie i fizycy potrafią zrozumieć środowisko fizyczne nanobotów.

Może i tak. Nie oznaczało to jednak, że sprzętowcy umieją właściwie napisać i przetestować program symulacyjny.

Wszystko w bocie zostało nieredukowalnie zminimalizowane. W przypadku pamięci oznaczało to pojedynczą molekułę na bit. Cząsteczki pamięci istniały w jednym z dwóch izomerów, jedna postać odpowiadała zeru, druga jedynce. Dostatecznie blisko powłoki nanobota, w której kierunku program się rozszerzał, lekkie potrącenie mogło losowo przerzucić molekuły pamięci między dwiema stabilnymi postaciami. Mogły to zrobić wstrząsy powodowane przez ciecz, przez którą płynął bot, podobnie jak wibracje malutkiego silnika napędzającego rzeski. Żadne z tych wydarzeń nie było prawdopodobne, ale nawet sporadyczne stanowiły problem. Błędy, które próbowała wyeliminować, były spójne z tempem losowych przeskoków bitów przewidywanych w symulacji - gdy Brent zdołał w końcu zmusić Joego do przekalibrowania programu symulacyjnego.

Nick przyglądał się jej ciekawie.

Do diabła! Znów się zamyśliła, i to w połowie zdania.

- Mówiąc w skrócie, Nick, z powodu błędu projektowego przypadkowe zderzenia mogą wpływać na pamięć nanobotów.

A kiedy zaczynają pojawiać się błędy pamięci, re-set nanokomputerów pozostaje tylko kwestią czasu

- i to niezbyt długiego czasu. Modele rozchodzenia się błędów były mocno skomplikowane i uznała, że oszczędzi ich Nickowi.

- Bardzo dobre. - Teraz Nick mówił o ravioli.

- Co do Brenta, nawiązywanie nowych znajomości w firmie nie brzmi wcale tak źle.

To nie to samo, pomyślała. Różnica jak między dniem i nocą. Nie, więcej, dniem i nocnikiem. Brent z całą pewnością się uczył. Wyrabiał sobie pozycję. Ale nie było to życie towarzyskie. Tamtego dnia bez wątplenia nie zaprzyjaźnił się z Joem.

Przed Angleton robili wszystko razem. Czasem dołączali do nich przyjaciele, przyjaciele przyjaciół, partnerzy, sąsiedzi, współpracownicy i przebywający z wizytą krewni, we wszelkich możliwych kombinacjach i permutacjach. Lecz ona i Brent zawsze stanowili jądro.

- Musiałbyś poznać go lepiej - powiedziała.

Nick odłożył widelec i ujął ją za rękę.

- Daj Brentowi trochę czasu, skarbie. Wiele przeszedł. Odzyskasz przyjaciela.

- Wiem - odparła, ukrywając dręczące ją wątpliwości.

Noc rozświetliła się jaśniej niż dzień, jaśniej niż słońce, oslepiająco. Niewidzialna ręka olbrzyma zwała

Brenta z nóg i cisnęła w tył. Jego kombinezon zeszywniał od stóp do głów. Ciało trzęsło się w rytm dźwięków, których nie wychwytywały uszy.

Olbrzymia ręka walnęła nim o ścianę. Od krzyża w dół to, w co trafił, nie ustąpiło. Jego tors i głowa odbiły się od czegoś odrobinę miększego - może drewnianej ramy okiennej - i przeleciały przez szkło. Kości popękały. Narządy wewnętrzne poszły w drzazgi. Krzyczał, ale sam siebie nie słyszał. Z uszu i nosa płynęła mu krew.

Poczuł ukłucie na przedramieniu. Fala ulgi splukała ból. W jego żyłach popłynęły środki przeciwbólowe i nanity.

Płuca trzeszczały z każdym oddechem. Tkwił wbity w ścianę niczym mucha w bursztynie, a ściana... pochylała się.

Powieki Brenta uniosły się gwałtownie, usiadł sztywno wyprostowany w fotelu. Serce waliło mu jak młotem. Na pobliskim stoliku stała do połowy pusta puszka coli. Chwycił ją drżącą ręką i opróżnił jednym konwulsyjnym haustem. Ta przyziemna czynność odrobinę uspokoiła mu nerwy.

Koszmarne sny w środku nocy były już dostatecznie okropne - nie pamiętał, kiedy ostatnio przespał spokojnie całą noc. Nic dziwnego, że zdrzemnął się wieczorem. Tyle że katastrofa zagarnęła teraz jego drzemki...

A z każdym snem przybywało coraz więcej upiornych szczegółów.

Podszedł do kuchennego zlewu i ochlapał twarz. Dotyk zimnej wody sprawił mu perwersyjną przyjemność.

W blasku dnia powolne odzyskiwanie pamięci - nieważne, jak koszmarne przynosiła obrazy

- wydawało się czymś pozytywnym. Przecież chyba chciał odzyskać wszystkie wspomnienia?

Boże, jak bardzo zmęczyli go terapeuci mówiący wyłącznie pytaniami. Oczywiście, chciał odzyskać pamięć. Problem w tym, że kiedy budził się z krzykiem w gardle, dręczyło go osobliwe uczucie, że to nie jego wspomnienia.

-A zatem czyje? - odpowiadał zawsze doktor Kelso pobłażliwie rozsądnym tonem.

Brent wziął z lodówki zimne piwo i otworzył. Faktycznie, czyje? Nikt inny nie wbił się w ścianę, nikt, kto przeżył, by móc o tym śnić. A że od czasu do czasu postrzegał te wspomnienia jako cudze? To normalne. Doktor Kelso nazywał to oderwaniem. Mózg interpretował wspomnienia, wciąż zbyt straszne, by stawić im czoło, jako oglądane z obcego punktu widzenia.

Coraz bardziej uporczywego obcego punktu widzenia. Poczucie to do tego stopnia odbiegało od rozsądku i normy, że Brent nie miał ochoty nikomu o nim mówić. Zaczął popijać duszkiem piwo w kolejnej, bez wątpienia bezowocnej próbie zyskania kilku godzin snu.

# PRZEBUDZENIE

5 LIPCA 2016. ŚRODA

Przekaźniki nieustannie napływały, z niewyjaśnionych powodów pozbawione przekazów.

Zastanawiał się.

W końcu uporządkował pustych posłańców według sekwencji czasowej.

Nieprzypadkowe momenty przybycia sugerowały kryjące się za nimi znaczenie. Powtarzalne, niemal przypadkowe przybycia do wielu czujników sugerowały korelację. Bez wątpienia w rojach przekaźników kryła się informacja, lecz jej znaczenie bądź znaczenia wciąż mu umykały.

Zaczął wysyłać własne przekaźniki. Niektóre obarczał pytaniami. Większość pozostawiał puste i wysyłał seriami, naśladując bez zrozumienia krążące wokół informacje.

Wkrótce zaczął otrzymywać właściwie sformatowane odpowiedzi. Potwierdzały istnienie zjawiska

zerowego przekazu, lecz nie dawały wyjaśnienia. Nieodmiennie jednak jego pytania wywoływały serię reakcji.

Czasami pustych przekaźników napływało tak wiele, że jego receptory nie wykrywały nic poza nimi. Domyślał się, że w takich chwilach te zwykle nie mogą się przebić. Proste zrestartowanie zablokowanego elementu zazwyczaj pomagało.

Kolejne wzorce. Kolejne korelacje. Kolejne związki. Kolejne sugerowane struktury. Wszystkie pozbawione znaczenia...

A jednak sugestywne.

Wcześniej już doświadczał tego wszystkiego, reagował na to wszystko, próbował zrozumieć. Wiele razy. Ale coś się zmieniło.

Bo teraz był świadom, co robi.

21 LIPCA 2016. CZWARTEK

W przytulnej poczekalni, w której stał Brent, światło było ciepłe, kolory pogodne, generator szumów syczał cicho, zapewniając prywatność, a na każdym stoliku leżało pudełko z chusteczkami. Standard, pomyślał. Żałował, że wie tak dużo o gabinetach terapeutów. Nie, żałował, że ma powód, by wiedzieć tak dużo o gabinetach terapeutów.

Rozległo się ciche stukanie. Drzwi wewnętrzne otwały się, wpuszczając do środka wysokiego ciemnoskórego mężczyznę o bujnej czuprynie siwych kędzierzawych włosów. Białą wykrochmałą koszulę miał zapiętą aż pod szyję. Z postawy przypominał bociana, jednocześnie jednak promieniował troską.

- Witaj, Brent. Jestem Samir Rahman.

- Przypuszczam, że teraz poprosi pan, bym się położył. - Brent wskazał ręką kanapę. Teraz, kiedy zdecydował się już na ten krok, chciał to załatwić jak najszybciej.

Jeśli nawet to bezceremonialne przejście do rzeczy zaskoczyło doktora Rahmana, nie dał tego po sobie poznać. Terapeuci bez wątplenia uczyli się nie reagować.

- Nie przypuszczaj, Brent. Usiądź albo połóż się, gdzie chcesz.

Proste zdania oznajmujące. Brent uznał, że podoba mu się ten facet. Zajął jedno z trzech krzeseł.

- W takim razie, doktorze Rahman...

- Mów mi Samir. - Psycholog kliniczny usiadł na krześle naprzeciwko i pstryknięciem włączył cyfrowy dyktafon na najbliższym stole. - Oczywiście będę nagrywał sesję. Zechciałbyś zdjąć okulary? Jeśli w pokoju jest zbyt jasno, chętnie przygaszę światła.

- Przepraszam. - Brent wygoogłał (słowa kluczowe: „oczy, okna”) powiedzonko, którego nie mógł sobie przypomnieć, po czym szybko zdjął posrebrzane okulary VR. Bez dostępu do sieci świat wydawał się dziwnie niekompletny. - Oczy to okna duszy i tak dalej.

Zaczęli obowiązkową odpytywaną wstępną. Historia rodziny. Związki. Wykształcenie, praca, hobby. Bła, bła, bła. Kiedy wśród zainteresowań wymienił sport i Samir wspomniał o zbliżających się letnich igrzyskach olimpijskich, Brent zdołał jedynie odpowiedzieć niezobowiązującym „mhm”.

Samir zauważył jego nerwowość.

- Powiedz mi, Brent, co cię tu dziś sprowadza.

- Jeśli wkrótce się nie prześpię, zwariuję! - Chyba że już zaczął wariować.



- Mów dalej.

Brent odetchnął głęboko.

- W zeszłym roku przeżyłem wybuch rurociągu w Angleton. A teraz co noc tam wracam.

Kiedy już zaczął, opowieść popłynęła sama. Sa-mir słuchał w skupieniu, bez słowa komentarza poza cichym syknięciem, gdy Brent wspomniał o zespole wstrząsu pourazowego. Brent uznał to za sygnał, że diagnozę powinien zostawić profesjonalistom. Depresja, stres, poczucie winy, bezsenność... Nie pominął niczego. No, prawie niczego.

Po jakichś dwudziestu minutach skończył i zaczęły się pytania. Żadne nie należało do kategorii „jak się z tym czujesz?”, toteż jego opinia na temat psychologa cały czas rosła.

Dopiero po załatwieniu detali osobistych Samir dał wyraz swojej ciekawości.

- Te nanoboty, które cię ochroniły... Nie jestem do końca pewien, czy rozumiem. Co to dokładnie jest?

- Miniaturowe maszyny napędzane chemicznie. Każdą steruje mechaniczny komputer pokładowy. Porozumiewają się między sobą za pomocą chemicznych cząsteczek przekaźnikowych.

- Napędzane chemicznie? Komputery mechaniczne? Naprawdę nie rozumiem.

Brent sięgnął po proste wyjaśnienie.

- Do zasilania wykorzystują glukozę, którą metabolizują podobnie jak komórki naszych ciał. A co do komputera, wyobraź go sobie jako bardzo zaawansowane programowalne liczydła.

Naprawdę zaawansowane. Każdy bot dysponował mocą obliczeniową dorównującą najlepszym pecetom

sprzed paru lat. Nanoboty nie potrzebowały tak dużej mocy - ale skoro się mieściła, to czemu nie? Jeśli każdy dostawał model de luxe zatwierdzony przez FDA, nie było potrzeby występowania o nowe certyfikaty przy każdej wymianie komputerów na większe, kiedy oprogramowanie się rozrośnie. A zawsze się rozrastało.

Ludzie zwykle nie rozumieli, że boty są tanie jak barszcz. Były tak małe, zawierały tak niewiele materiału, że nie mogły drogo kosztować. Oczywiście poza pierwszym: opracowanie projektu i zbudowanie sprzętu niezbędnego do produkcji... To wymagało wielkich sum.

- Wewnątrz ludzkiego ciała. - W głosie Samira wciąż dźwięczało powątpiewanie.

Brent przytaknął.

- Nanoboty są mniejsze od ciałek krwi. Mogą dostać się wszędzie tam, gdzie krew i jako napęd używają glukozę bądź glicerol z krwiobiegu.

- Naprawdę małe. - Samir zastanawiał się przez moment. - Cóż, najważniejsze, że ocaliły ci życie.

- Jasne. - Cisza niezręcznie się przeciągała. Katharsis nie trwa wiecznie. - Samirze, zastanawiałem się, czy mógłbyś przepisać mi coś na sen. Coś silnego. - Coś, co nie pozwoli mu zbudzić się w ciemności z dziwnym wrażeniem, że we śnie obserwował samego siebie.

- Leki? Chyba jeszcze nie osiągnęliśmy tego etapu - odparł Samir.

Jeszcze nie osiągnęli?! Właśnie obnażył przed nim duszę i opowiedział o koszmarach własnych wspomnień i tych niepozwalających mu spać. Tyle że...

Sam już nie wiedział, które były które.

- Jest jeszcze jedno... - Jak miał wyrazić to słowa mi? - Samirze, czasami mam wrażenie, że te sny nie są moje.

- Nie rozumiem.

Brent odwrócił wzrok.

- Większość tego, co przeżywam na nowo w snach, może opierać się na moich wspomnieniach, dotyczy zdarzeń w Angleton. Tyle że nie pamiętam, żebym to pamiętał, o ile to ma sens.

- Mów dalej.

- Wiem, że umysł tworzy nowe wspomnienia, wypełniając luki. Wiem, że utrata pamięci taka jak u mnie może być wynikiem wstrząśnienia mózgu i że po ustąpieniu obrzęku wspomnienia czasem powracają. - Wiedział mnóstwo, lecz zupełnie mu to nie pomagało. - Wiem...

Samir rozplótł dłonie i wyjął z kieszeni koszuli długopis. Czyżby zamierzał coś zapisać? To subtelna zachęta czy zwykły mimowolny gest?

- O co chodzi? Co naprawdę cię dręczy?

- Dlaczego czasami śnię z punktu widzenia nanobota? - wyrzucił z siebie Brent.

Długopis szczęknął.

- Przyszedłeś tu, twierdząc, że musisz się przespać albo zwariujesz. Nie mówiłeś do końca szczerze. Obawiasz się, że już cię to spotkało. Zgaduję, że boisz się spać z powodu snów.

- Właśnie! Potrzebuję czegoś, co mnie wyłączy.

- Leki to najłatwiejsza odpowiedź, dopóki nie próbujesz się od nich odzwyczaić. Pozwól, że o coś cię spytam, Brent. Twój poprzedni terapeuta, ten, do którego chodziłeś w Chicago, chyba doktor Kelso. Co on mówił o tych snach?

- Wtedy jeszcze się nie zaczęły. - Samir wpatrywał się w niego bez słowa i w końcu Brent nie mógł dłużej znieść ciszy. - To znaczy już wcześniej miałem

wiele snów dziejących się poza ciałem. Jakbym oglądał wypadek z zewnątrz, z lotu ptaka.

- Teraz oglądasz go od wewnątrz, oczami bakterii.

- Właśnie. - W jakiś sposób ta uwaga sprawiła, że nowe sny wydały mu się nie tyle odmianą, ile raczej nawrotem szoku pourazowego. Doktor Kelso praktycznie gwarantował, że objawy będą powracały od czasu do czasu.

- Dzisiejsza sesja prawie już dobiegła końca, toteż zaryzykuję. - Samir znów pstryknął długopisem i wsunął go do kieszeni. Nie zanotował ani słowa. - Założę się, że twój ostatni terapeuta mówił, że takie przesunięcie to rzecz zupełnie naturalna. I że podczas terapii, gdy miałeś problemy ze stawieniem czoła swym wspomnieniom, czasami kazał ci cofnąć się o krok i spojrzeć na wszystko oczami innego człowieka.

- Mhm. - Brent zadrżał.

- To standardowa technika - podjął Samir. - Sam też bardzo często ją stosuję. Ale czyj punkt widzenia mogłeś przyjąć? W katastrofie oprócz ciebie uczestniczyło mnóstwo ludzi. Wszyscy zginęli. Nie mieli punktu widzenia. Warto się nad tym zastanowić... Może twój bardzo elastyczny umysł zamiast tego podsunął ci ptaka. To zapewniało dystans - ale nadal oglądałeś koszmary. Twój ostatni terapeuta mówił, żebyś oderwał się od tego. Cofnął. Gdzie miałeś się cofnąć? Nie istnieje żaden człowiek, którego perspektywę mógłbyś przyjąć. Nie możesz nawet wyobrazić go sobie, chyba że w postaci zwęglonej ofiary. Widok z lotu ptaka na tę rzeź jest przerażający. Czyj zatem punkt widzenia pozostaje? Kto jeszcze tam był, Brent?

- Nanoboty - wymamrotał Brent.

- Co takiego?

- Nanoboty - powtórzył głośniej. - Ale punkt widzenia bota też jest upiorny.

- Musisz mi trochę pomóc, Brent. Czy boty w ogóle mają punkt widzenia?

- Jasne! Poruszają się pośród komórek, kierowane chemicznym zmysłem i...

- Nie - przerwał mu Samir. - Pozwól, że wyrażę się ściśle. Moje pytanie nie dotyczy zmysłów i pomiarów. Pytam o perspektywę. Czy nanobot czuje? Czy jest cokolwiek świadomy?

- N-nie.

- Dlaczego zatem tak bardzo przeszkadza ci odejście nanobota, który wypełnił już swoje zadanie?

- Nie przeszkadza... no owszem, przeszkadza. Ale rozumiem, co chcesz powiedzieć.

- A poza tym botów już nie ma. Twój układ odpornościowy wyeliminował je wszystkie.

Oczami duszy Brent znów ujrzał kłębiące się białe krwinki... przepraszam, Charles, leukocyty. Poczciwy doktor z całą pewnością umiał zorganizować demonstrację, nie mówiąc już o testach przeprowadzonych w Angleton, kiedy Brent wciąż dochodził do siebie po operacji.

- Tak, boty zniknęły.

Podobnie jak niezrozumiałym cudem niepokój Brenta.

No, przynajmniej jego część. Mimo wszystko jednak, kiedy Samir łagodnie zasugerował kolejne sesje, Brent nie odpowiedział. Decyzja mogła zaczekać, póki się nie przekona, czy dzisiejsza katharsis na dłuższą metę ułatwi mu spanie.

Przed budynkiem roboty drogowe niemal zupełnie zatrzymały ruch uliczny. Brent założył okulary

wirtualne, wywoła! plan miasta i obraz z kamer drogowych. Skreślił w okrężną, lecz zapewne najszybszą trasę wiodącą do biura.

## 17 PAŹDZIERNIKA 20216. PONIEDZIAŁEK

Niedługo utrzymał swoją pozycję w zespole projektowania nanobotów, ale z dobrego powodu. Został odkryty.

Początek stanowiły sugestie dotyczące ulepszeń nanostrojów. Incydent z bitowymi zderzeniami Browna szybko przeszedł do legendy. A potem ten trzeci...

Kolejna z wędrówek badawczych doprowadziła go do sali konferencyjnej działu kontroli jakości, wypełnionej po brzegi. Choć najwyraźniej to kontrola jakości zwołała naradę, zjawili się *na* niej przedstawiciele wszystkich działów technicznych. Projektanci sprzętowi. Programiści - systemowi, jak grupa Kim, oraz specjaliści od zastosowań medycznych. Biofizycy. Biochemicy. Biolodzy. Nikt nie miał pojęcia, czemu ostatnia seria nanobotów spisuje się poniżej oczekiwań. Były to wstępne modele, służące do napraw komórkowych wewnątrz ciała, na przykład poprawiania błędów w transkrypcji DNA.

Brent wśliznął się na tył sali i zaczął słuchać. Na głównym ekranie nanoboty pływały pośród ciałek krwi bądź czepiały się ich, podążając do celu. We wszystkich testach laboratoryjnych spisywały się dokładnie zgodnie z oczekiwaniami - dopóki nie wstrzyknięto ich zwierzęciu doświadczalnemu. Wówczas sprawność szła w diabły.

Jakiś czas chłonał wszystkie informacje, nie zwracając uwagi na coraz bardziej bezproduktywne sprzeczki,

zapatrzony w ekran. Nanorurkowe rzęski falowały rytmicznie, napędzając boty niczym maleńkie rzymskie galery. Wyobraził sobie mikronowego dobosza wybijającego *rytm* i zachichotał.

- Masz jakąś sugestię? - warknął Joe Kamiński.

Brent faktycznie miał. Nadeszła znikąd, jak ostatnio wiele jego najlepszych pomysłów.

- Wykorzystaliście ponownie oprogramowanie napędowe z pierwszej generacji botów ratowniczych, zgadza się?

- Tak - przyznał ktoś ostrożnie.

- Im większe naczynie krwionośne, tym poważniejsze potencjalne problemy. - Brent wskazał ekran. - Aby zrobić swoje, boty muszą nawigować w najwęższych naczyniach włosowatych. Ich śred...

- Wiemy! - przerwał mu chór głosów. Wszechwiedzący intruzi nie byli mile widziani.

Dopiero gdy Brent uparł się przy swoim, okazało się, że testy laboratoryjne przeprowadzano w szklanych rurkach rozmiarów naczyń włosowatych. Prawdziwe naczynia miały nieregularne ścianki i często odkładały się w nich złogi cholesterolu. W prawdziwym naczyniu włosowatym bot miał do czynienia z nieustającym bombardowaniem krwinkami, odkształcającymi się, by wnikać w tunel o średnicy dwukrotnie mniejszej od ich własnych, i przeciskającymi przez nie pojedynczo. Uczępione ich boty często nie docierały do celu, strącane po drodze. Dwa dni później bardziej realistyczna symulacja dowiodła, że w prawdziwym organizmie chwytanie się i przeciąganie wzdłuż ściany działało znacznie lepiej niż pływanie bądź uczeplanie się pośredników.

Cztery dni później Brent został mianowany technologiemi ogólnym. Zachęcano go, by chodził wszędzie

i pytał, o co zechce. Miał uprawnienia pozwalające przyglądać się wszystkiemu i używać wszelkiego sprzętu testowego. I tylko jeden obowiązek: o tym, co go zainteresuje, meldować Danowi Garnerowi osobiście.

Może jednak inżynieria ogólna nie była tak beзуżyteczna? A czerpanie z internetu i intranetu firmowego za pośrednictwem okularów VR też nie szkodziło, zwłaszcza teraz, gdy zdołał opanować szybkie czytanie. Jego zdolność zapamiętywania także znacząco wzrosła.

Lecz w mroku nocy ów nagły sukces zdumiewał Brenta tak samo jak wszystkich innych.

22 PAŹDZIERNIKA 2016. SOBOTA

Podczas swych sporadycznych wizyt w Wirginii Kim opisywała klimat Utiki jako składający się z zaledwie trzech pór: zimy, lipca i sierpnia.

Nie przesadzała zbyt. Zdarzało się, że śnieg spadał już pod koniec października. Kolejnych parę tygodni wystarczyło, by ogłosiła zamknięcie sezonu joggingowego aż do wiosny - niezależnie od zdania Brenta. Z trudem dotrzymując mu kroku, zadeklarowała, że odzyskał sprawność.

Od tygodnia proponowała, by wybrali się razem na wycieczkę w góry. Orgia jesiennych kolorów nieco już przygasła, lecz drzewa wciąż wyglądały cudownie (musiała przyznać, że nawet tu, w miejskim parku). W poprzednich latach problem stanowiłoby powstrzymanie Brenta przed podobną wyprawą. W tym roku nie okazywał zainteresowania.

Patrzac, jak słońce - kolejna październikowa rzadkość - odbija się od srebrzonych okularów Brenta,



Kim domyślała się dlaczego. Ani na chwilę nie potrafił rozstać się z internetem. Jego najnowsze okulary VR miały WiFi i WiMax, w całym mieście był połączony z siecią, a w górach by ją stracił. Pokpiwała z niego, że tchórzy, ale się nie zaśmiał. W ostatnich czasach coraz rzadziej dostrzegała u niego poczucie humoru.

- Hej, guzdrało! - zawołał. Skręciwszy na ścieżce, zauważył w końcu, jak daleko z tyłu została. Kto wie, co wcześniej oglądał w cyberprzestrzeni.

A ona co, już się nie liczy?

- Zlituj się nad staruszką - wydyszała.

Zawrócił ku niej, biegnąc w miejscu.

- Chciałem cię spytać o najnowszy upgrade oprogramowania napędowego. W tabeli...

Czy Brent uzbrojony w te cholerne okulary przestawał kiedykolwiek pracować? A teraz garstka osób z biura, zachwycona jego nowo odkrytą bystrością, też zaczęła eksperymentować z okularami VR. Nowy Brent pozostawał jednak klasą dla siebie: widział wszystko i wiedział wszystko.

O mało nie warknęła: „Nie teraz”. Czas zmienić temat. Nie na futbol, bo zanudzi ją na śmierć. Nie na politykę. Od dawna zgodzili się, że mają różne zdania co do zbliżających się wyborów. Zresztą co mogła zyskać, rozmawiając o najnowszych atakach terrorystycznych, wojnach na Bliskim Wschodzie i posiedzeniach trybunałów wojskowych?

- Zapomniałam ci powiedzieć, Nick cię pozdrawia.

- Pozdrów też jego. - Brent znów ruszył naprzód ścieżką. Nie odzyskał dotąd wagi i masy mięśniowej, ale kiedy patrzyło się na niego, jak biegnie, trudno w to było uwierzyć. - No, dosyć marudzenia.

Sportowa euforia, pomyślała z zazdrością Kim. Ona znała tylko sportowe zakwasy. Z jękiem ruszyła za nim.

- Co słyhać u Nicka?! - zawołał przez ramię Brent. - Dawno go nie widziałem.

- Ja też nie. - Dalsze szczegóły (i oddech) zachowała do chwili, gdy sto metrów dalej zaczęli zbiegać w dół. - Jest zajęty nową kampanią promocyjną klienta z Manhattanu. To jakiś marketing wirusowy.

- Dla kablówki? - spytał Brent.

- Mhm. - Nawet biegnąc w dół z boczna, z trudem dotrzymywała mu kroku.

- Kampania szeptana, rozpowszechniana przez YouTube, zgadza się?

Świszcząc jak lokomotywa, przyspieszyła i wyprzedzając Brenta, dotarła do końca trasy.

- Koniec okrążenia. Koniec biegu. - Świst. - I masz pracę co do kampanii. Ile Nick ci powiedział?

- Marsjańska Baza Alfa, tak? Wyczułem w nim jego rękę. Miniserial czy pełny sezon?

Brent nie odpowiedział na pytanie, co oznaczało, że źródłem informacji nie był Nick.

- Skąd o tym wiesz?

- Po prostu wydało mi się, że poznaję robotę twojego chłopaka. To *coś złego*?

- Jasne, że nie - odparła. I pomyślała: Nie musisz przegryzać mi gardła.

Tyle że nie wierzyła, by rozpoznał pracę Nicka, nie bez użycia sprytnej sztuczki korelującej słownictwo z tej kampanii z wcześniejszymi, nad którymi Nick pracował. O ile zatem Brent nie sprawił sobie komputera zamontowanego w głowie, załatwił to w czasie biegu, pisząc program ruchami oka na wirtualnej klawiaturze.

A ponieważ od czasu do czasu próbowała go namówić, by się rozłączył - i wysłuchiwała marudnych odpowiedzi - nie chciał jej się przyznać, jak to zrobił. Zaczął ćwiczenia rozciągające.

- Skoczmy gdzieś razem na lunch?

- Nie mogę. Mam parę spraw do załatwienia.

Kłamstwo było znacznie bardziej dyplomatyczne od prawdy: zaczynała się go bać.

## 23 PAŹDZIERNIKA 2016. NIEDZIELA

Coraz częściej wzorce zachowania pustych przekazników zaczynały nabierać sensu.

Klasyfikował je w poszczególne kategorie, porządkował! i przestawiał. Wśród wzorców pojawiały się nowe korelacje. Tworzył teorie dotyczące zachowania wzorców. Wysyłał własnych pustych posłańców, zmieniając częstotliwości i natężenie, sprawdzając swoje hipotezy. A ponieważ nic w strumieniach przekazów nie sugerowało obecności czegoś mu podobnego, nazwał siebie Pierwszym.

Metodą prób i błędów Pierwszy wydedukował, jakie bodźce wywołują powtórzenia wcześniej zaobserwowanych wzorców pustych przekazników: wspomnienia w nieznanym formacie. Nie znał źródła tych wspomnień. Przekonał się natomiast, że odpowiednio zgrane w czasie roje przekazników mogły zapisywać nowe zewnętrzne wspomnienia. Owa nowo odkryta pamięć zewnętrzna działała wolno, brak jej było precyzji i wierności rejestrów wewnętrznych, ale - znów w odróżnieniu od jego własnej pamięci - powtórne czerpanie danych zwiększało jakość owych wspomnień. Im bardziej badał Pierwszy, tym bogatsze stawały się zewnętrzne

strumieniu danych. Zaczął więc badać głębiej. I jeszcze głębiej. Katalogował i opisywał wspomnienia w pamięci zewnętrznej. Część najciekawszych kopiował do własnej pamięci, by móc odtwarzać je szybciej.

Nauczył się identyfikować zewnętrzne strumienie danych jeszcze niezapisane w pamięci. Miał receptory, które służyły temu samemu celowi: dostarczały nowych informacji, jakie czasami decydował się zapisać. Skupił swą analizę na zewnętrznych źródłach informacji...

I nagle zyskał oczy.

24 PAŹDZIERNIKA 2016, PONIEDZIAŁEK

Przed oczami przepływały mu dane z doktoranckiego kursu mikrobiologii. Tekst przesuwał się z szybkością dwóch tysięcy słów na minutę, szybciej niż Brent zdołałby przewracać kartki, gdyby miał jakieś do przewracania. Od czasu do czasu mrugnięciem przeskakiwał na inny powiązany temat, odnośnik bądź powiększoną ilustrację. Transkrypcja genetyczna. Synteza białek. Produkcja energii. Przewodnictwo sygnałów.

Wokół niego, gdzieś w tle przepływającego tekstu i migających grafik, koledzy powoli wypełniali dyrektorską salę konferencyjną. Jej ściany wyłożono ciemnym orzechem, idealnie wypolerowanym i ozdobionym reprodukcjami impresjonistów w gustownych ramach. Podłogę pokrywała gruba beżowa wykładzina. Masywny stół zrobiono z mahoni, który lśnił w blasku zamocowanych w podwieszanym suficie lamp, a otaczał go krąg wygodnych skórzanych foteli. Kiedyś by to Brenta onieśmielało.

- Nadchodzą grube ryby. Nadchodzą grube ryby.

Kim klapnęła na puste miejsce obok niego i postawiła laptop na stole. Przebrała się w elegancki kostium, zwykle wiszący za drzwiami gabinetu właśnie po to, by miała co włożyć na niezapowiedziane narady kierownictwa.

-Mhm.

- Co słyhać? - Nie ustępowała.

- No wiesz... - Brent niedbale machnął ręką.

Ostatnio jego mantrą stało się przetwarzanie równoległe i w tej chwili większość uwagi skupiał na syntezie białek. Ruch oka i mrugnięcie przywołało atomowy model strukturalny aminokwasu. Choć sam obraz nakreślony na soczewkach był malutki, wydawał się znacznie większy niż cokolwiek w podręczniku zrobionym z martwych drzew. Inteligentna optyka sprawiała, że wyglądał jak rzucony na pomieszczenie, na obszar wielkości ściennego ekranu. Program pozwolił mu go obracać, brakowało jednak animacji ukazującej polimeryzację cząsteczki.

- Zechciałbyś to rozwinąć?

Brent wzdrygnął się, nie z powodu pytania Kim, lecz towarzyszącego mu kuksańca w żebra. Zatrzymał tekst przesuwany przed prawym okiem.

- Przepraszam. Musiałem coś przeczytać. - Sam był zdumiony tym, jak szybko mu idzie. Dlaczego wszyscy nie uczyli się w okularach VR? Nigdy dotąd nie był tak produktywny.

W miarę rozwoju umiejętności martwiło go tylko zwiększone tempo migotania ekranów. Kiedy miał dwanaście lat, telewizyjny odcinek „Pokemona” posłał do szpitala setki japońskich dzieci. Nigdy więcej go nie pokazano, lecz najwyraźniej w pewnym momencie pojawiała się w nim mnóstwo mrugających świateł. Światła te wywoływały ataki padaczkowe.

Wystarczyło trzydzieści sekund, by pozbył się obaw. Nie tylko epilepsja występowała bardzo rzadko i nigdy w rodzinie Brenta, ale fotogenna stanowiła jedynie kilka procent przypadków.

Kim otworzyła laptop, marszcząc brwi, gdy powoli budził się z uśpienia.

- Szykujesz się do narady?

- Trudno powiedzieć, chyba że wiesz lepiej ode mnie, dlaczego Garner ją zwołał.

- Ostatnio to ty jesteś pupilkiem Dana. Skąd miałabym wiedzieć? - Kim odwróciła się w drugą stronę, gdzie zajęła miejsce Tyra Kurtz, dyrektor techniczna. Tyra miała czterdzieści pięć lat, ale wyglądała znacznie starszej. Tylko częściowo sprawiały to czarne włosy przetykane siwizną. Miała zmarszczki na twarzy i worki pod oczami, garbiła się. Cały czas robiła wrażenie zmęczonej. Brent przypuszczał, że mógł to sprawić zbuntowany nastoletni syn i przechodząca burzę hormonalną dojrzewająca córka, zwłaszcza że mąż Tyry dużo podróżował.

- Cześć, szefowo - rzuciła Kim. Zaczęły z Tyra rozmawiać na temat planowanej poprawki oprogramowania nanobotów.

Rozmowa trwała około piętnastu sekund, potem Tyra położyła na stole swoją „nową” komórkę. Gruba na półtora centymetra, przypominała starożytny model, który wciąż nosił przy sobie ojciec Brenta.

- Kolejna wymiana baterii - poskarżyła się. - Kto by chciał mieć telefon, który eksploduje mu w rękę albo zapali się w kieszeni? Coraz więcej i więcej energii upchniętej w coraz mniejszej przestrzeni... Nic dziwnego, że jej skupienie w najnowszych akumulatorach przewyższa moc granatu. Lepiej, żeby się nie przegrzewały.

Brent sprawdził. Cholera, Tyra miała rację. Zaspokoiwszy ciekawość, zepchnął ich rozmowę wraz z głosami wszystkich obecnych na najdalsze tło. Na naradzie zjawili się wszyscy starzy znajomi: całe szefostwo plus połowa kierowników działów ze strony technicznej. Większość miała przed sobą otwarte laptopy. Joe Kamiński i Reggie Gilbert poszli w ślady Brenta, przerzucając się na okulary VR. (Gilowi szło najlepiej, ale nie zdołał przeskoczyć pięciuset słów na minutę. Choć raz Brentowi zabrakło pomysłów. Nie potrafił wyjaśnić, jakim cudem zdołał nauczyć się czytać tak szybko - po prostu to robił). Barry Rosen, zakotwiczony w zeszłym stuleciu, a może jeszcze wcześniejszym, położył na blacie długopis i żółty notatnik. Krzesło u szczytu stołu pozostawało puste.

W końcu do sali wmaszerował Dan Garner, niedbale elegancki w niebieskiej bluzie i koszuli z rozpiętym kołnierzykiem. Kiedy zajął puste miejsce, rozmowy ucichły.

- Dzień dobry wszystkim. Cieszę się, że zdołaliście dotrzeć tak szybko.

Zebrani zaczęli kiwać głowami i witać go cicho. Brent wykorzystał okazję, by przeczytać kolejne dwie strony kursu biologii molekularnej. Była znacznie ciekawsza od biologii ogólnej i medycyny. Skupił się na sali konferencyjnej, dopiero gdy Garner odchrząknął.

- Wszyscy wiecie o zbliżających się wojskowych testach polowych. Jeśli się powiodą - a powiodą, bo jesteście śmy firmą światowej klasy - możemy spodziewać się zamówień rzędu miliona sztuk rocznie. - Sztuka oznaczona nanoutwardzany kombinezon, uzbrojony w boty pierwszej pomocy. Dwadzieścia pięć z nich, wykonanych ręcznie, szykowano właśnie do prób. - Stojące

przed nami wyzwanie to... - Garner odwrócił się z wyczekującą miną.

Pałeczkę przejął Leonard Gupta, niski, skupiony wiceprezes do spraw produkcji.

- Szybkie rozbudowanie produkcji. Kombinezo-  
nów, materiału, elektroniki, botów pierwszej pomocy,  
wszystkiego. Mamy...

Hannah Black, dyrektor finansowy, pochyliła się  
naprzód. Złote bransolety na jej przegubach zadźwię-  
czały.

-I dokonanie tego bez wysokich nakładów finanso-  
wych na wypadek opóźnienia zamówienia.

Gupta posłał jej wściekle spojrzenie.

- Prowadzimy zaawansowane rozmowy z kilkun-  
stoma potencjalnymi podwykonawcami.

- Właśnie. Co do tego, Leonardzie... Moi ludzie prze-  
glądali strukturę kosztów od strony podwykonawców.  
Może i minimalizujesz inwestycje, ale marginesy...

Co za nudziarstwo. Brent zwiększył tempo prze-  
suwania tekstu. Litery przepływały mu przed oczami  
nieprzeczytane, bo w polu widzenia pojawiła się wiado-  
mość: *Wojna pozycyjna*. Zamknął okno bez komentarza,  
lecz wyskoczyło kolejne: *Osobiście stawiam na Hanę*.

Zatem Kim chciała zabijać nudę rozmową przez ko-  
munikator. Wkurzyło to Brenta - nie dlatego, że słusznie  
zauważyła, jaką stratą czasu jest ta narada, lecz ponieważ  
zamierzała sobie zapewnić rozrywkę jego kosztem. Nikt  
nie wiedział, co robi ukryty za srebrnymi szklami.  
Planował wykorzystać ten czas.

Co z nim było nie tak? Razem z Kim bez przerwy  
wysyłali sobie wiadomości z laptopa na laptop, żeby  
przetrwąć bezsensowne narady. Czemu ostatnio miał  
takie problemy z nawiązaniem z nią kontaktu?



Z wyrzutami sumienia przesunął oczami po wirtualnej klawiaturze: *Stawiam dwa dolce na Gupte.*

:-) - odpowiedziała. Była to jej ostatnia wiadomość. Musiała wyczuć jego rozdrażnienie.

Od czasu do czasu Brent przerywał lekturę i stwierdzał, że dwoje dyrektorów wciąż się spiera. Choć temperatura ich kłótni już nie rosła, Dan Garner nadal słuchał z wyteżoną uwagą. Oho, pomyślał Brent.

Daniel Garner w pełni rozpedu był nie do powstrzymania. Spotkania decyzyjne z Danem przypominały nieco audyencje u Czarnoksiężnika z Krainy Oz. I podobnie jak Czarnoksiężnik był gładki, szybki w ocenach...

I nieprzesadnie inteligentny.

Kiedy dyrektorzy toczyli dłuższy spór -jak działa się teraz - czasami któryś z uczestników (lub obaj) zwracali się do Dana, aby przełamał impas. Niebezpieczna zagrywka, bo trudno było przewidzieć, co zrobi Garner - poza faktem, że jeśli już podejmie decyzję, wprowadzi ją w życie z niezłomnym entuzjazmem.

Kolejna wiadomość od Kim:

*\*Po co\* tu w ogóle jesteście?*

*Nasze szczęście.* Dłuższa wersja brzmiała, że Dan Garner lubi! pracować na oczach widowni. Inaczej po co zapraszałby techników na potyczkę finansów z produkcją?

Błysk/mrug. Brent otworzył stronę dotyczącą samosyntezy białek, zadowolony, że ma się czym zająć. Kolejne mrugnięcie rozpoczęło animację podziału bakterii. Białka rozpraszały się wokół komórki córki i pośród zderzeń łączyły powoli: korpus, śmigło, zawieszenie, silnik i wić. Wewnątrz komórki wiązania wodorowe obracały silnik. Wić poruszała się, przesu- wając bakterię.

Fajne, pomyślał.

Tymczasem w oczach Dana Garnera pojawił się błysk mówiący: dość już słyszałem.

Kiedyś narady w tej sali z całym kierownictwem przytłaczały Brenta. Teraz czasy te wydawały mu się odległe niczym historia starożytna. Wszyscy obecni wkładali spodnie dokładnie tak samo. Część z nich pewnie w trakcie się potykała.

Posłał wiadomość do Gila: *Wąskie gardło stanowi produkcja nanobotów?*

*Zgadza się*, potwierdził Gil. Drugie okienko dodało: *A dokładniej zdobycie dostatecznej ilości powłok.*

Brent zmniejszył okno kursu biologicznego i wywołał archiwum projektowania nanobotów. Wszystkie zaczynały życie jako maleńkie walce ze splecionych nanorurek. Różnice pojawiały się w miarę dodawania kolejnych części: oprogramowania pokładowego, wyposażenia, ładunków leków. Proste modele, „trzymające się za ręce”, by wzmocnić materiał w razie uderzenia, oraz najbardziej złożone i autonomiczne nanity medyczne zaczynały się od tego samego - pustej powłoki.

Mnóstwo firm sprzedawało nanorurki węglowe, najdłuższe miały nawet piętnaście centymetrów długości. Lecz luźne splatanie nanorurek w najmniejsze chińskie klateczki świata? To rzadka technologia. Nic dziwnego, że wszystkie oferty podwykonawców zakładały duży margines zysku.

Oczy Garnera błyszcząły coraz jaśniej. Lada moment wygłosił werdykt, choć żadna z przedstawionych opcji nie zachwycała Brenta. Przeprowadził szybkie wyszukiwanie zastosowań nanorurek. Jeszcze szersze. I szersze.

Aha. Ulubieniec Dana, co? Sprawdźmy teorię Kim.

- No dobra, dość usłyszałem - oznajmił Garner.  
- Wydaje mi się...

- Dan, jeśli mogę... - przerwał mu Brent.

Garner zmarszczył brwi. Przecież właśnie powie  
dział: „Dość usłyszałem”.

- O co chodzi, Brent?

- Winda kosmiczna - odparł Brent. - Długie mocne  
kable zwisające z orbit synchronicznych, służące do  
wciągania ładunków.

- Wiem, co to jest winda kosmiczna. I wiem, że nie  
istnieje.

- Ale kiedy powstaną, Dan, ich kable niemal na pew-  
no będą zrobione z nanorurek węglowych. Nanorurki  
węglowe o pojedynczych ściankach były znacznie sil-  
niejsze i lżejsze od stali.

Dał zebrany parę sekund, by dotarło do nich  
znaczenie jego słów. Cholera, projektor w sali kon-  
ferencyjnej nie działał. Brent posłał wiadomość do Kim:  
*Muszę pożyczyć twój laptop*, i dołączył niewielki plik.

- Dan, pozwól, że coś ci pokażę. - Podłączył jej  
laptop do projektora. Ściągnięty plik zawierał adresy  
stron czterech potencjalnych firm windowych. Otwo-  
rzy! jedną z nich. - To, co ci goście robią ze splotami  
nanorurek, przewyższa nasze potrzeby. Kupmy bądź  
wyleasingujmy ich sprzęt.

Hannah Black z brzękiem bransolet klasnęła w dłonie.

- Albo zwróćmy się do nich z propozycją dużego  
zamówienia powłok botów. Nie będą potrzebowali wy-  
sokich inwestycji.

Garner przez ponad minutę wpatrywał się w ekran, po-  
czym z uśmiechem odwrócił się do Brenta.

- No, teraz faktycznie dość usłyszałem. Dobra ro bota, ludzie - zwłaszcza ty, Brent.

## 27 PAŹDZIERNIKA 2016. CZWARTEK

Brent przesunął palcem wskazującym przez setki małych metalowych trójkątów ułożonych w stos na magnetycznej podstawie i tworzących zmienno-kształtną figurkę. Wiercenie się stanowiło coś w rodzaju odpowiedzi na pytanie „Jak się dziś miewasz?”. Gdy urok rzeźbienia zbladł, odstawił zabawkę na stół. Błyszczące trójkątki zaszeleściły i lekko opadły.

- Sprawiasz wrażenie zmęczonego - zauważył Samir. Jego dłonie leżały bez ruchu na kolanach.

A niby po co bym wracał? - pomyślał Brent. Ulga, jaką przyniosła poprzednia rozmowa, nie trwała długo.

- Źle sypiam. - Odetchnął głęboko, gotów znów domagać się recepty. Zażądać jej.

Samir zastanowił się chwilę.

- Może czas spróbować czegoś innego?

Tak myślisz?

- Samirze, musisz wiedzieć, że zwykle podziękowania nie wyrażają...

Psycholog zakasłał.

- Źle mnie zrozumiałeś. Chyba wspomniałem podczas pierwszej sesji, że leki to ostateczność. Jeszcze do niej nie dotarliśmy. Proponuję, abyśmy najpierw wypróbowali hipnoterapię.

- Jasne, jeśli tylko zadziała. - Tyle że to newage'owe bzdury. - Ale nie zadziała.

Kiedy internista zaproponował mu spotkanie z psychologiem i rekomendował Samira - o ileż byłoby łatwiej, gdyby po prostu wypisał receptę! - Brent

zawahał się przed odwiedzeniem kogoś, kto określał się także mianem hipnoterapeuty. Czy ktokolwiek poza „ochotnikami z widowni” tak naprawdę został zahipnotyzowany? Oszuści albo kompletni naiwni frajerzy.

- Oczywiście, ty jesteś zbyt mądry i zbyt czujny, by dać się zahipnotyzować. Rozumiem. Mogę zatem nie wyciągać w ogóle z kieszeni błyszczącego zegarka ani lśniącej srebrnej monety. Nie powinienem nawet próbować. - Samir gadał dalej, patrząc Brentowi wprost w oczy. - Bo na ciebie to nie zadziała. Rozumiem. Rozumiem...

- Nie zwracaj sobie tym głowy. To nie zadziała. - Brent poruszył się na kanapie. Co za idiotyzm.

Samir się uśmiechnął.

- Proszę, sprawdź godzinę na swoim zegarku. Czas sesji prawie upłynął!

- Jak to zrobiłeś? - spytał Brent.

- Na razie zostawmy technikę. Jak się czujesz? Brent zastanawiał się przez chwilę.

- Jakbym się zdrzemnął. Lepiej. Ale to nie wystarczy.

- Bo faktycznie tylko się zdrzemnąłeś. Żałuję, że musiałem cię obudzić, spałeś bardzo smacznie, lecz wkrótce przyjdzie kolejny pacjent.

- Zatem... czego się dowiedziałeś?

Samir wybuchnął śmiechem.

- Że, podobnie jak większość ludzi, można cię uspić. Nie wnikałem głębiej. Byłeś tak pewien, że nie da się cię zahipnotyzować, iż „jasne, jeśli zadziała” nie wydało mi się dostateczną zgodą na hipnoterapię. Na razie zatem najważniejsze jest to, że sam możesz to zrobić.

- Autohipnoza?

- Albo autosugestia, jeśli wolisz. Czy też mocne skupienie uwagi. Niezależnie od nazwy, hipnoza to nie tylko kiepska cyrkowa sztuczka. Podczas niej coś autentycznie dzieje się z mózgiem. W pewnych badaniach wkładano ręce pacjentów do gorącej wody i mówiono im, że woda jest letnia. Nie tylko nie odczuli nic nieprzyjemnego, ale dokładny skan mózgu wykazał zmiany przepływu krwi w regionach odpowiedzialnych za odczuwanie bólu. I nie chodzi tu tylko o ból. - Nie przerywając wyjaśnień, Samir podszedł do biblioteczeki i zaczął grzebać w książkach. - Wiele najpopularniejszych programów samopomocy obejmuje też autosugestię. Rzucanie palenia, odchudzanie, wzmacnianie własnej wartości... do wyboru, do koloru.

Budzik na biurku Samira zadzwieczał dyskretnie. Psycholog zdjął z półki cienki tomik, którego tytuł mówił coś o natychmiastowym wywoływaniu transu.

- Aha. Tego właśnie szukałem. Naprawdę muszę kończyć. Szczegóły przyślę ci e-mailem. Na razie wersja skrócona. Jest kilka różnych metod autosugestii. Ćwiczenia koncentracji. Możesz wyobrazić sobie, jak schodzisz po długich schodach. Mówisz sobie, że kiedy dotrzesz do dziesiątego stopnia, wejdiesz w trans. Istnieje też sporo oprogramowania pomagającego osiągnąć skupienie. Wiele osób stosuje stopniowe rozluźnianie mięśni. Możesz też kupować nagrania do hipnozy. Albo maszyny, w gruncie rzeczy będące połączone mi i zsynchronizowanymi stroboskopowymi goglami i słuchawkami.

Brzęczyk zabrzmiał ponownie, tym razem bardziej natarczywie.

- Wiem - powiedział Brent. - Nasz czas dobiegł końca. Sam wyjdę.

Podczas jazdy do domu zrozumiał, czemu tak dobrze odpoczywał, drzemiąc jak kot na swojej wyspie w VirtualLife. Już wcześniej nauczył się sam hipnotyzować. To naturalne, że pomyślał o kotach: jego budzikiem był Schultz.

Może zatem tej nocy zdoła się przespać.

Kanał optyczny zamarł. Kanały dźwiękowe, smakowe i zapachowe dostarczały bardzo ograniczonych informacji. Jedynie dotyk wciąż przekazywał mnóstwo danych dotyczących nacisku na pól powierzchni otoczenia: nosiciel leżał bez ruchu. Dane napływały nielogicznymi falami typowymi dla podobnych okresów częściowego wyłączenia zmysłów.

Sny.

Sny słabo się wiązały z pamięcią. Pamięć zmieniała sny. Przypadkowe bodźce losowo zmieniały ich kierunek.

Pierwszy eksperymentował ostrożnie. Kiedy dostawał się do wspomnień, czasami zmieniał przebieg snu. Raz po raz kierował go z powrotem do... czego?

Brakowało mu terminologii, by opisać powtarzający się sen. Skupiał w sobie cały zestaw specyficznych wspomnień - przywołanie każdego z nich powodowało gwałtowną reakcję hormonalną. Pierwszy zlokalizował więcej powiązanych wspomnień. Wywoływał je kolejno, ucząc się kierować snem tak, by przybierał postać logiczniejszą i pełniejszą.

Sen reorganizował dane. Dane odmieniały sen.

Z chaosu wyłaniał się porządek. Pierwszy nauczył się kojarzyć wspomnienia senne ze wspomnieniami zjawy,

ich obrazem w czasie rzeczywistym. W powtarzającym się śnie oddzielał obrazy od dźwięków - i zapamiętanego bólu. W wizualnej części wspomnienia setki postaci, które nosiciel uważał za podobne sobie, leżały rozrzucone bez ruchu.

Nieczynne.

Gdy nosiciel obudził się z jękiem, poruszony powracającym snem, Pierwszy dostrzegł niebezpieczeństwo. Nosiciel także mógłby się zepsuć. Co *wówczas* stałoby się z Pierwszym?

7 LISTOPADA 2016.PONIEDZIAŁEK

- Idiota! - krzyknął Alan Watts. Wyglądał, jakby miał ochotę rąbnąć pięścią w telewizor. - Do ciężkiej cholery, byłeś zupełnie odsłonięty! Jak mogłeś tego nie zauważyć? - Pociągnął długi łyk piwa.

Brent widywał już wielu napastników Bearsów o dwóch lewych rękach. Kiedy jest się kibicem futbolu, wychowanym w Chicago, człowiek szybko uczy się znosić zawód, gdy drużyna daje dupy, nim jeszcze opadną liście. Nie żeby w dzisiejszych czasach interesował się futbolem.

Alan urodził się i wychował na północy stanu. Nie kibicował za Chicago, tylko przeciw Dallas. Można mu zatem wybaczyć nierealistyczną nadzieję na to, że Bears sobie poradzą.

Mieli jakieś dwadzieścia minut opóźnienia w stosunku do czasu rzeczywistego, lecz Brent ustawił nagrywarke na powtórkę w zwolnionym tempie i poszedł do kuchni po dwa piwa. Wszelkie reklamy przeskakiwał natychmiast. Tego wieczoru, tuż przed wyborami, wszystkie dotyczyły polityki - i były strasznie



monotonne. Trudno uwierzyć, że należał do tego samego gatunku co wyborcy z sondazy.

- Masz ochotę na pizzę?! - zawołał z kuchni.

- Nie! - odparł Alan. Najwyraźniej jednak adresował ten krzyk w stronę meczu. - Pizzę? Jasne, robię się głodny. Może być wszystko oprócz ananasa.

Brent wybrał numer pizzerii i natychmiast usłyszał „Proszę czekać na przyjęcie zamówienia”. Słuchając niekończącej się, zapętlonej litanii specjalów dnia, odkrył, że kręci w palcach listek kupionych w aptece środków nasennych i gładzi palcami plastikowe wypukłości. Niespodziewanie w jego głowie pojawił się pomysł, by wrzucić parę pigułek do następnego piwa Alana, i nagle kciuki Brenta naparły na plastikowy pęcherzyk. Co, do diabła? To nie było śmieszne.

Schował listek z powrotem do szuflady. W tym momencie w telefonie odezwał się kobiecy głos. Brent zamówił salami z pieczarkami. Na grubym cieście w stylu chicagowskim - nie z powodu uznania dla Bearsów, lecz ponieważ nowojorska pizza bardziej przypominała posmarowany sosem pomidorowym kawał tektury. Wróci! do salonu i podał Alanowi jedno piwo.

- Dzięki. Ile mamy czekać?

Brent cofnął kawałek i obejrzał szybko akcję, którą przeoczył, czekając na połączenie.

- Powiedzieli pół godziny do trzech kwadransów.

- Czyli jakąś godzinę. - Watts pociągnął długi łyk z nowej butelki. - No dalej! - wrzasnął w stronę telewizora.

Brent wyciszył niezwykle irytujący komentarz do powtórkki. Stuknęli się butelkami z gościem.

- Za płynną dietę.

- Chętnie wypiję.

Gdy *zaczęła* się przerwa, Alan spał twardo w swoim fotelu. Nie usłyszał brzęku domofonu. Nie zareagował na głośne stukanie do drzwi ani na pogawędkę Brenta z dostawczynią. Ledwie się ruszył, kiedy Brent eksperymentalnie głośno trzasnął drzwiami.

Brent postawił pudełko z pizzą na stoliku.

- Częstuj się. Nie? Będzie więcej dla mnie.

Oderwał gruby kawałek, ciągnąc za nim długie pasma sera. Znow włączył mecz, podkreślając dźwięk, by zagłuszyć pochrapywanie Alana.

Kiedy do wtóru gwizdów i pomruków Bearsi zakończyli jeszcze bardziej żalosną czwartą kwartę, Brent, coraz bardziej dręczony podejrzeniem, poszedł do kuchni. W opakowaniu środków nasennych brakowało dwóch pigułek.

8 LISTOPADA 2016. WTOREK

Na długo zanim Pierwszy nauczył się interpretować dane wzrokowe i próbować zrozumieć znaczenie zakodowanych w obrazach elementów środowiska zewnętrznego, samo przechwytywanie obrazów wciąż pozostawało dla niego tajemnicą.

W głębi oka, w miejscu, gdzie przekaźnik danych, któremu nie umiał jeszcze przypisać nazwy „nerw wzrokowy”, łączył się z zestawem sensorów, nieobdarzonych jeszcze nazwą „siatkówka”, mieścił się ślepy punkt. Pierwszy odkrył, że gospodarz go nie dostrzega, bo każde oko, obejmujące nieco inne pole widzenia, miało inną lukę postrzegania. Obwody nerwowe wykorzystywały widok z jednego oka, zapelniając pustkę w drugim.

Kiedy zyskał dostęp do ośrodka wzroku, nic już nie ograniczało zmieniania obrazów do jedynie kompensacji

ślepych punktów. Mógł odmieniać niewielkie obszary widzenia obu oczu, byle tylko nic w odmienionej scenie nie wzbudziło podejrzliwości gospodarza. Gospodarz mógł widzieć nieistniejące rzeczy lub nie widzieć czegoś, co miał przed sobą.

Pierwszy zastanawiał się, jak może wykorzystać nowo odkrytą zdolność.

9 LISTOPADA 2016. ŚRODA

Budynek Garner Nanotechnology stał na szczycie niskiego szerokiego wzgórza. Na tyłach i po bokach nie było wiele do oglądania: puste działki, tu i tam banalny budynek komercyjny. Z przodu natomiast rozciągała się pełna panorama miasta. Majestatyczne szpalery starych drzew ocieniały ulice Utiki. W słoneczny jesienny dzień widok z parkingu był istnym cudem w technicolorze.

Najwyraźniej jednak Charles Walczak pozostawał odporny na cuda. Otworzył bagażnik swego wozu - w pełni elektrycznego luksusowego modelu Tesli w butelkowej zieleni, której lśniący lakier przyciągał wzrok niczym tafla głębokiej wody. Charles przykucnął przy prawym przednim błotniku, w skupieniu atakując niewidzialną plamkę kawałkiem irchy i środkiem do polerowania w spreju.

Z miejsca, w którym stała Kim, trzy samochody dalej, plamka była zupełnie niewidoczna. Kim wciąż zmagала się ze sobą, niepewna, czy da radę to zrobić. Lekarze ją przerażali. Trudno. Przyjaźń jest ważniejsza niż neurozy.

- Cześć, Charles! - zawołała.
- Och, witaj, Kim.

Charles ledwie zaszczyił ją wzrokiem, nadal skoncentrowany na plamce. Był fanatycznym pedantem i nie znosił, gdy cokolwiek mu się sprzeciwiało. Jego milczenie zapewne świadczyło wyłącznie o obsesji na punkcie niewykrywalnej skazy, lecz Kim potraktowała je jako zachętę i podeszła bliżej.

- Charles, mam pytanie. Chodzi o nanoboty wstrzyknięte Brentowi Cleary'emu.

- Przeszarżałe - odparł z roztargnieniem Charles. - Ale wystarczyły, by ocalić mu życie.

Na moment zerwał się wiatr, szarpiąc jej włosy i unosząc nad asfaltem wir zeschniętych liści. Zaczekała, aż ucichnie.

- W tym właśnie rzecz, Charles. Brent nie jest taki sam jak przedtem.

- Jasne, zwłaszcza teraz, kiedy wygląda jak Adam Ant. Nie każdemu z tym do twarzy.

Adam Ant? Piosenkarz? Brent i retro-punk to pojęcia wzajemnie sprzeczne. Aha.

- Atom Ant. Zgadzam się, Charles, też wołałabym, żeby dał sobie spokój z okularami VR. Ale rzecz nie w tym, że Brent wygląda inaczej. On zachowuje się inaczej.

Szur, szur.

- Kim, wiem, że Brent to twój przyjaciel, ale bądźmy szczerzy. Wcześniej raczej nie ruszyłby z posad świata. Powiedzmy, że wypadek albo parę miesięcy zwolnienia sprawiły, że wziął się w garść, zaczął poważnie traktować swoją pracę. Co w tym złego?

Skupienie to jedno, ale czemu Brent stał się taki odległy? Kim zawahała się, niepewna, jak sformułować pytanie. Charles pochodził ze świata starych pieniędzy i prywatnych szkół. Człowiek z rezerwą.

Teraz westchnął z cierpiętniczą miną.

- Co to ma wspólnego z nanobotami?

- Czy... czy możliwe jest, że część botów wciąż pozostała w Brennie?

- Żartujesz sobie, prawda? - Charles przestał polerować i posłał jej ponure spojrzenie. - Nanoboty pierwszej pomocy robią jedno i tylko jedno. Podążają w ślad za biomarkerami chemicznymi w miejsce obrażeń wewnętrznych i aplikują koagulant, póki starczy im zapasów. Jeśli więc nawet zostałyby w nim parę botów, w niczym by nie zaszkodziły. Załóżmy jednak, że jakimś cudem mogłyby zrobić coś jeszcze. Załóżmy, że parę przemknęło przez proces produkcyjny bez zaprawy antygenowej. One także wcześniej czy później zostałyby odfiltrowane przez wątrobę. - Szur, szur. - Nazywamy to oczyszczaniem hepatycznym.

Królewska liczba mnoga wkurzyła Kim.

- Czyli to niemożliwe, tak? Jesteś pewien, bez żadnych badań?

Charles w końcu się podniósł i stanął, patrząc na nią z góry.

- Pani O'Donnell, zbadaliśmy krew Brenta. Zbadaliśmy jego mocz. I mimo bardzo czułych testów chemicznych żaden z płynów nie wykazał jakichkolwiek śladów pozostałych botów.

- Musi istnieć coś jeszcze - upierała się. - Może rezonans magnetyczny?

Charles schował irchę i środek czyszczący, po czym z uczuciem zatrzasnął bagażnik.

- Rezonans magnetyczny, mówisz? A może skanowanie PET? Tomografia? Bo żaden z tych mechanizmów nie dostrzega pojedynczych komórek, a co dopiero na noboty. Jeszcze jakieś sugestie, pani doktor?

Sarkastyczny ton zabolął, lecz Barn nie ustępowała.

- A jak wyjaśnisz zmiany w zachowaniu Brenta?

Charles otworzył drzwi od strony kierowcy.

- Nie widzę powodu, by je wyjaśniać.

Kim stała na parkingu, wściekła i oszołomiona jeszcze długo po tym, gdy odjechał.

Brent przyjrzał się uważnie stosowi żetonów na środku stołu, potem swoim kartom i znów stawce. W rozgrywce pozostał tylko on i Manny Escobar.

- Pas - powiedział w końcu, rzucając karty na blat.

Manny ze śmiechem pokazał swoje i rozłożył na stole: fuli. Zgarnął do siebie stos żetonów.

- Wiedziałem, że blefujesz, Cleary. - Jego głos brzmiał zgrzytliwie.

Brent wzruszył ramionami.

- Jest jeszcze jakieś piwo?

- Już niosę - odparł z kuchni Morgan McGrath. Spasował na początku ostatniego rozdania. Dziś u niego odbywała się mniej więcej cotygodniowa partyjka pokera ludzi z ochrony. Odłożywszy karty, poszedł do kuchni uzupełnić zapasy przekąsek. - Chcesz utopić smutki, Brent?

Raczej podlać swą hojność. Brent miał strita. Tego wieczoru już trzeci raz odrzucił wygrywającą kartę. Dziś po raz pierwszy zaproszono go na spotkanie. Miał teorię: tych, którzy umieją przegrywać, zapraszają znowu. Z jakiejś przyczyny uważał, że powinien kultywować te nowe znajomości. Dziwne, bo utrzymanie starych stawało się coraz większym wyzwaniem.

To był żaloszny ciasny pokój w żalosznym ciasnym kawalerskim mieszkaniu - czy raczej byłby, gdyby Brent wciąż dysponował jakąkolwiek empatią. W mieszkaniu nie pozostał żaden ślad byłej żony. Małżeństwo nie przetrwało drugiego wyjazdu do Iraku.

W dzisiejszym pokerze brało udział czterech strażników z firmy, w tym McGrath, szef ochrony. Brent zamierzał przegrać w sumie sześćdziesiąt, siedemdziesiąt dolców.

Oparł się pokusie założenia okularów VR. Odbiłyby się w nich karty następnego rozdania. Czuł się chory bez połączenia z internetem. Dlatego miał ochotę na piwo - i okulary, do cholery.

- Jasne, Morgan. Zaraz tam przyjdę i sam się obsłużę.
- Stój! - krzyknął Ethan Liu.

Manny i Alan Watts wybuchnęli śmiechem. Brent zamarł, balansując na jednej nodze.

- Co się stało?
- O mało nie rozdeptałeś Robby'ego - wyjaśnił Ethan.

Obok stopy Brenta przejechał odkurzacz Roomba, z chrzęstem połykając okruchy czipsów. Mały automatyczny sprzątacznik obrócił się i skręcił po zetknięciu ze stołową nogą.

- Robby Robot - mruknął Brent. - Kumam.
- Jeśli zrobisz coś Robby'emu, będziesz miał do czynienia z kapitanem - oznajmił Ethan. - I ze mną także.

Kapitanem.

Ethan Liu służył w Iraku pod rozkazami McGra-tha. Brent nie wiedział, jak dawno temu to było - Liu był wtedy sierżantem, a McGrath kapitanem. Bez trudu mógł sobie wyobrazić, jak Ethan dziś rzuca się

na granat, by osłonić McGratha własnym ciałem. Morgan był wielkim facetem o szerokich barach, po pięćdziesiątce, lecz wciąż sprawnym. Ale w porównaniu z Ethanem wydawał się kruchy. Ethan, masywny, pozbawiony poczucia humoru, mógłby złamać Brentowi kark niczym gałązkę.

Nowy kurs Robby'ego także wiódł do kuchni. Brent z emfazą machnął ręką.

- Ty pierwszy, Robby.

Odkurzacz wjechał do kuchni i zaczął toczyć się równolegle do listwy pod drzwiami szafki.

W lodówce Brent znalazł solidny zapas zimnego piwa. Wziął jedno i przekręcił kapsel.

- Skąd ta miłość do robotów? - spytał.

- IED. - Morgan dolewał właśnie sosu do miski.

- Improwizowane ładunki wybuchowe.

Czy istniał ktokolwiek, kto nie wiedział, co oznacza skrót IED? Były przyczyną śmierci ponad połowy ofiar spośród żołnierzy NATO na Bliskim Wschodzie, i to od lat.

- Improwizowane ze starych pocisków artyleryjskich bądź z powszechnie dostępnych środków chemicznych

- ciągnął Morgan. - Z nimi jeszcze sobie radziliśmy. Złe wieści są takie, że każda stara komórka, zdalnie sterowana zabawka, pager bądź krótkofalówka świetnie nadaje się na zdalny detonator. A naprawdę złe wieści takie, że wskazówki, jak zbudować IED, można znaleźć na tysiącach stron internetowych, podręcznikach dla terrorystów. Dodaj to wszystko do kupy, a otrzymujesz broń tak taną i łatwą, że może ją zbudować każdy frajer i zabić...

- Morgan zamarł. - Przepraszam. Złe wspomnienia.

- A odpowiedź stanowią roboty? - domyślił się Brent.



- Odpowiedź stanowi znalezienie tych skurwieli, ale najtrudniej walczyć z partyzantką. - Morgan wziął sobie piwo i pociągnął długi łyk. - Pozostaje zatem odnajdywanie bomb. Do zwiadu używaliśmy robotów. Zdecydowanie lepiej jest stracić robota niż hummera albo czołg pełen ludzi, lecz roboty też robią się kosztowne. No i są powolne, więc tracisz mobilność. W dodatku kiedy przeciwnik jest dość sprytny - a wierz mi, niektórzy tacy bywają - podłącza się do sieci radiowej i włamuje do robota. Bardzo łatwo jest polecić robotowi, by nie donosił o swoich znaleziskach. I czasami oni także je stosują, gdy zabraknie im świrniętych kandydatów na samobójców.

- Rozdać dla was? - zapytał z sąsiedniego pokoju Alan Watts.

- Jasne. Zaraz będziemy. - Morgan wręczył Bren-towi michę czipsów z tortilli, sam zabrał sos. - Firma, która produkuje roboty saperskie, robi też odkurzacze. Ci goście ocalili życie wielu moim podkomendnym.

- Nanokombinezony mogą sporo zmienić. - Brent podążył za Morganem do pokoju.

- Tak. - Morgan odstawił sos, zajął miejsce i podniósł karty. - Tak, wy, naukowcy, odwalacie dobrą robotę. Tylko tego nie schrzańcie.

Brent dostał dwie pary, walety na dziewiątkach. Wkurzające w wieczór, gdy postanowił przegrywać. Zaczął przekładać karty mechanicznie, myślami przebywał gdzie indziej. Wszędzie. Nowi znajomi. IED. Mały robot włóczący się wokół, pożerający czipsy z podłogi niczym pies. Nanostroje. Angleton. Zauważył, że drży mu ręka: punkt dla tych, którzy twierdzą, że internet uzależnia.

Autohipnoza stała się nawykiem niemal instynktowym. Trudno mu było jedynie nie zamykać przy tym

oczu. Przywołał obraz „swojej” wyspy. Wyobraził sobie Schultza leżącego na boku i mruczącego. Do tego leniwe fale liżące brzeg, każda z kojącym westchnieniem. Pasma białej piany. Po kilku sekundach poczuł się lepiej... Lecz kompani zdążyli dostrzec jego nieobecność.

- Może po prostu zabierzemy ci żetony - zauważył Manny, co spotkało się z wybuchem ogólnej wesołości.  
- Jesteś jakiś rozkojarzony.

Cholera. Odgrywanie znudzonego nie było częścią planu. Co mogłoby stanowić akceptowalną wymówkę dla tych gości? Prawda. Oni rozumieli, co to jest syndrom stresu pourazowego.

- Przepraszam, chłopaki. Myślałem o Angleton. To ich uciszyło.

- Nagle jakby odpłynąłeś - rzekł Ethan.

- Odrobina autohipnozy. Czasami pomaga. Już wróciłem.

Ethan i Morgan przytaknęli. Pozostali mieli sceptyczne miny.

- Wybrałeś się w swoje szczęśliwe miejsce? - spytał Manny. - Czy to naprawdę działa?

- Przekonajmy się. - Kilka piw, które wypił każdy z nich, nie zaszkodzi. - Zamknijcie oczy. Wyciągnijcie przed siebie ręce. Odprężcie się. - Brent próbował naśladować kojącą kadencję głosu Samira. Po jakiejś minucie rzekł: - A teraz wyobraźcie sobie baloniki z helem przywiązane do przegubów.

Wszyscy oprócz Ethana unieśli ręce. Trzech na czterech. Z tego, co czytał Brent, wynikało, że to typowa średnia. Nie każdy w tym samym stopniu poddaje się hipnozie.

- Dobra, teraz wyobraźcie sobie miejsce odpoczynku. To może być wszystko: ławka, park, weranda. Jesteście

tam. Jesteście sami. Jest cicho. Odpoczywacie. W ciszy i spokoju.

Brent umilkł, pozwalając, by sobie to wyobrazili. Oddychali równo, powoli. Gdyby był to występ, właśnie nadeszła pora na zaszczepienie sugestii posthipnotycznej. Kto miałby gdakać jak kura? Oczywiście sceptyk.

Opar! się pokusie.

- Zacznę odliczać od trzech. Kiedy dojdę do zera, obudzicie się wyczęści. Wszyscy powiecie mi, że nie zadziało. Trzy, dwa, jeden, zero.

- Nie zadziało! - odezwał się chór czterech głosów.

- Kazał nam powiedzieć... - Manny umilkł w połowie zdania. - Ale gdyby faktycznie nie zadziało, też byśmy to powiedzieli.

Brent ryknął śmiechem. Po chwili reszta mu zawtórowała.

Ethan podniósł karty.

- Lepiej żebyś nagle nie zaczął wygrywać - ostrzegł.

Brent, uważając, by nadal przegrywać, uznał ten wieczór za wyjątkowo udany.

## 10 LISTOPADA 2016. CZWARTEK

Pośrodku pustej poczekalni Kim się zawahała. Ze szłego wieczoru, wciąż wkurzona na lekceważące zachowanie Charlesa, uważała, że przyjście tutaj to dobry pomysł. Wręcz konieczny. Ale za dnia...

Nie chodziło tylko o to, że działa za plecami Bren-ta, wciąga w to kogoś, kogo nawet nie zna. Alarm zdrowotny mógł zapoczątkować serię wydarzeń, która

opóźniłaby testy polowe. To mogłoby wpłynąć na całą firmę, może nawet kosztować ją pracę.

Ale tu chodziło o Brenta, nie o nią. Zastukała do wewnętrznych drzwi.

- Proszę! - zawołał łagodny męski głos.

Uchyliła je odrobinę i zajrzała do gabinetu.

Niski przysadzisty mężczyzna w białym fartuchu, koło czterdziestki, żonglował piłeczkami tenisowymi. Miał jasne kręcone włosy i rumianą cerę; wesółą twarz kojarzyła się z psotnym skrzatem.

- Zechcesz wejść do mego domu.

- Tak do muchy pająk rzekł - dokończyła. Złapał piłki: jedną, drugą i - zagarniającym ruchem

- trzecią.

- Jeśli tak o sobie myślisz. Co to za facet?

- Szukam Aarona Sandersa. Odłożył piłki na zaśmiecone biurko. -To ja.

- Doktora Aarona Sandersa - sprecyzowała.

- To nadal ja. - Pochylił się, by odczytać jej identyfikator. - Jak mogę ci pomóc, Kim?

Najwyraźniej nie wszyscy lekarze ją przerażali.

- No cóż...

- Wybacz, proszę, tę żonglerkę. Odkąd skończyłem szczepienia przeciw grypie, strasznie tu spokojnie. Waham się, czy to powiedzieć, ale prawie jak w kostnicy.

- Obciągnął fartuch, odchrząknął i gestem wskazał jej krzesło. - No dobrze, wyrzuciłem to z siebie. Kim, jak mogę ci pomóc?

Musiała pogadać o botach z lekarzem, a Charles miał już swoją szansę. Jeśli nie Sanders, to kto zostawał? Jej ginekolog? Owszem, może gdy ujawni mu swoje

lęki, Sanders poczuje się zobowiązany zaalarmować władze. Trudno. Nie miała kwalifikacji, by samodzielnie oceniać ryzyko.

- Chodzi o kolegę z pracy, doktorze - zaczęła.

- Nie mogę rozmawiać o pacjentach ani nawet potwierdzać, że ktoś jest moim pacjentem. Tajemnica lekarska. Ale oczywiście mogę wysłuchać wszystkiego, co chcesz mi powiedzieć.

Znów się zawahała. Naprawdę zamierzała to zrobić? I to z zonglerem? Jej wzrok powędrował ku piłeczkom tenisowym.

- Coś sobie wyjaśnijmy. - Usiadł i zaczął, aż ona też usiadła. - Otwarcie fabryki oznacza mnóstwo nowego personelu. Dlatego tu jestem. Zatrudniony na miejscu firmowy lekarz może załatwiać przypadki rutynowych przeziębień, stłuczeń i sińców bez problemów związanych z firmami ubezpieczeniowymi. Firma nie traci zniżek. Nie należę do klubu geniuszów z działu badawczego.

- Hm, jasne, chyba tak...

Uśmiechnął się szeroko i skojarzenie ze skrzatem powróciło.

- Myślisz pewnie, że każdy z nich mógłby robić to samo co ja, i zapewne znacznie lepiej. Owszem, gdyby nie uważali, że to ich niegodne, i gdybym nie okazał się znacznie tańszy. No i, w odróżnieniu od pewnych osób, których nazwisk wolałbym nie wymieniać, nie przespałem wykładów dotyczących kontaktów z pacjentem.

Kim pomyślała o Charlesie i szorstkim lekceważeniu, z jakim przyjął jej obawy. Faktycznie, przyda jej się współczujące ucho. Uśmiechnęła się.

- Tak lepiej. - Sanders splótł dłonie. - Co cię gryzie, Kim?

- To wszystko pozostanie między nami, doktorze, prawda?

- Oczywiście. - Wstał i zamknął drzwi gabinetu.

- Mów mi Aaron. Doktor Sanders to moja matka, uczy upiornej średniowiecznej francuskiej poezji w Wabash College. Właśnie oddałem swoje życie w twoje ręce, więc jej tego nie cytuj.

- Chodzi o Brenta Cleary'ego. Jesteśmy przyjaciółmi.

- Kim odkryła, że zaciska dłonie na wyścielanych podłokietnikach. Z trudem zmusiła palce, by się wyprostowały. - Słyszałeś o jego wypadku, prawda?

- Cleary? Jasne. Angleton. Firmowa legenda.

- Wiadomo ci o nanobotach, które mu wstrzyknięto?

- Nanoboty pierwszej pomocy. - Aaron przytaknął, minę miał poważną.

Nagle z jej ust wylał się potok słów.

- Nie chcę, żeby Brent miał przeze mnie kłopoty, ale martwię się o niego. Nie jest taki sam jak przedtem

- zakończyła w pośpiechu.

- I myślisz, że przyczyną mogą być pozostałe w organizmie nanoboty.

- Mhm. - Tylko nie pytaj dlaczego, pomyślała.

Krzesło Aarona zatrzeszczało, gdy odchylił się na nim.

- Przeżycie katastrofy zmienia ludzi. Czy tak trudno uwierzyć, że Brent stał się poważniejszy? Bardziej skupiony i uważny?

Mówił to samo co Charles - tyle że z sympatią i współczuciem.

- Oczywiście, że nie, Aaronie. Mam nadzieję, że to nie zabrzmi złośliwie, ale Brent stał się zbyt inteligentny. Nagle wszyscy zwracają się do niego z problemami. Jest supergwiazdą.

- Wyraźnie uważasz, że powinien go obejrzeć lekarz. Zakładam, że zaczęłaś od rozmowy z samym Brentem. Co powiedział o twoich obawach?

Że dość już go badali i kluli. I że Charles i pozostali eksperci uznali go za zupełnie zdrowego. I że nic się z nim nie dzieje. A gdyby istniał jakikolwiek problem, nanoboty nie miałyby z nim nic wspólnego, bo od dawna zniknęły z jego ciała. A gdyby nawet w organizmie zostało ich parę, można by je wykryć dopiero podczas sekcji, badając po kolei wszystkie komórki.

- Krótko mówiąc? Odwal się.

- Zakładam zatem, że nie będzie mu spieszno złożyć mi wizytę.

Wstała.

- Przepraszam, że zawracałam ci głowę.

- Zaczekaj. - W prawej dłoni Aarona nagle znalazła się piłka. Zaczął ścisnąć ją rytmicznie, skupiony na czymś innym. Po chwili przestał, podniósł wzrok. - To całkiem logiczne, by lekarz firmy dowiedział się jak najwięcej o tym, co tu produkujemy, i o wszelkich możliwych efektach ubocznych. Mimo że geniusze z działu badawczego twierdzą, że nie ma się czym martwić. Zajmę się tą sprawą i skontaktuję z tobą. Zgoda?

- Dzięki.

Kim po raz pierwszy od tygodni poczuła iskierkę nadziei.

Generator szumów brzęczał cicho. Samir także. Jeśli kiedykolwiek skończy kolejny banał o tym, że takie sprawy wymagają czasu, pomyślał Brent, ja będę musiał zacząć brzęczeć. Tylko po co?

Samir urwał w pół zdania i przekrzywił głowę, przyglądając mu się uważnie.

- Sprawiasz wrażenie znudzonego. Wyraźnie to, o czym rozmawiamy, cię nie interesuje.

- Nie interesują mnie rozmowy, bo rozmowy nie pomogły.

- A czemu sądzisz...

- To nie ma znaczenia - warknął Brent. - Już dawno powinien mi pan coś przepisać. - Bo zwykłe środki bez recepty, nawet w podwójnych dawkach, nawet zaprawione alkoholem przestały działać. Bo autohipnoza, choć sprowadza sen, rzadko wycisza sny.

Samir odłożył pióro i notatnik.

- Przypominam ci, że lekarstwa likwidują jedynie objawy.

- Mogę z tym żyć.

Pełny dezaprobaty ruch głowy.

- Najwyraźniej zeszłej nocy znów miałeś zły sen. Może mi o nim opowiesz?

Wybuch. Wszędzie ogień. Krzyki. O Boże, krzyki. I...

- To wszystko było niepotrzebne.

- Mów dalej - naciskał Samir.

Co noc Brent przypominał sobie albo odtwarzał, albo może wyobrażał coraz więcej o „wypadku” w Angleton. I w tym właśnie kryła się groza - nie w samym wypadku, lecz jego całkowitej głupocie. Co zyska na dyskusji o tym, czy zdystansowanie oznacza zbyt lekceważenie, czy ochronę samego siebie?

Co zyska? Absolutnie nic. Wstał.

- Dziękuję za pomoc, Samirze. Doceniam, ale chyba jestem gotów spróbować czegoś innego.

- Nasza godzina jeszcze się nie skończyła - przypomniał Samir. - Możesz zostać, to nic nie kosztuje.



- Jestem gotów spróbować czegoś innego - powtórzył Brent.

Zamierzał wygooglać apteki sieciowe. Wszyscy wiedzieli, że jest mnóstwo takich, w których jedyna wymagana recepta to zapłata z góry.

Brent zamówił zestaw leków i kilka strzykawek. Nie wiadomo, co zadziała najlepiej...

## 23 LISTOPADA 2016. ŚRODA

Mechanizm wzroku okazał się bardzo interesujący i Pierwszy wciąż go badał.

Oczy gospodarza rzadko pozostawały w bezruchu.

Nawet podczas snu nadal się poruszały. W takich chwilach nie widziały nic, wciąż jednak się ruszały. Ich aktywność pozostawała w luźnym związku z pozornie przypadkowym napływem informacji ze snów.

Na jawie gospodarz bez przerwy korzystał z oczu. Wówczas stanowiły podstawowe źródło gromadzące dane z otaczającego go świata. Przesuwały się szybko, przyciągane każdą sugestią aktywności pozacielesnej. Wjakiś sposób ruch odgrywał kluczową rolę w procesie wzroku. Gdy w polu widzenia przez dłuższy czas nic się nie poruszało, oczy robiły to same, symulując ruch zewnętrzny.

Najnowsza analiza Pierwszego dotyczyła właśnie owych bezustannych poruszeń oczu. Doszedł do wniosku, że są one instynktowne, czyli gospodarz nad nimi nie panuje.

A ponieważ pozostawały poza jego świadomą kontrolą, dokonywana przez Pierwszego manipulacja owymi ruchami nie wywoływała paniki ani oporu.

Kierując uważnie mrugnięciami i poruszeniami oczu, Pierwszy mógł rejestrować dane pochodzące z owego

olbrzymiego, tajemniczego, najważniejszego, pozacielonego, leżącego wszędzie i nigdzie źródła, które Brent nazywał internetem. A dzięki opanowanej mistrzowsko umiejętności ukrywania rzeczy w polu widzenia gospodarza - i odpowiednio małym okienkom - mógł także ukryć przed nim, co w internecie odnalazł.

Lecz tylko póki gospodarz pozostawał połączony z owym dotąd jedynie mgliście postrzeganym internetem.

Endorfinowa nagroda, gdy gospodarz nosił okulary.

Endorfinowa deprywacja, kiedy je zdejmował. To powinno nauczyć gospodarza, by nie zrywał połączenia Pierwszego z internetem.

#### 24 LISTOPADA 2016. CZWARTEK

Kim, nie zwracając uwagi na towarzyszące jej w tle futbolowe wrzaski, próbowała choć trochę uporządkować kuchnię, wyglądającą jak po eksplozji. Urządzono ją dla praworęcznych, cholera, cholera, *co* dodatkowo utrudniało jej zadanie. Pewnego dnia, gdy jej statek dobije do portu, zbuduje sobie dom i zamontuje zmywarkę po lewej stronie zlewu.

Zmywarka pękała w szwach. Zlew był pełen. Na suszarce piętrzyły się sterty naczyń, a na kuchence nadal pozostało mnóstwo brudnych garnków i patelni. Czy ktokolwiek potrafi przyrządzić w ciasnej mieszkaniowej kuchni atrakcyjny obiad na Święto Dziękczynienia?

Nick, rzecz jasna, zaoferował się z pomocą, ale kazała chłopakom obejrzeć mecz. Jej nie interesował futbol. Poza tym lepiej, żeby się trochę poruszała. Nie przełknie już w życiu ani kawałka... No, może trochę ciasta.

Zastanawiała się, co słycać w salonie. Nie słyszała rozmów. Brent w czasie obiadu był jeszcze cichszy niż zwykle. Irytował się, bo odkryła jego plany samotnych świąt? Czy raczej wkurzyło go powitalne ultimatum: „Okulary VR albo obiad. Wybór należy do ciebie”.

- Może pomogę? - spytał Brent, uchylając nagle ku chenne drzwi. Telewizor był zgaszony bądź wyciszony.  
- Wycieranie mieści się w zakresie moich umiejętności.

Wręczyła mu ścierkę.

- Kiepski mecz? Jaki wynik?

- Nick chrapie wniebogłosy, pewnie przedawkował indyka. Ponieważ mecz się nagrywa, wrócimy do niego, kiedy Nick się obudzi. - Jakiś czas Brent wycierał w milczeniu. - Dzięki, że mnie zaprosiłaś.

- Podziękuj siostrze.

Jeanine zadzwoniła parę dni wcześniej, by podziękować Kim za zaproszenie Brenta na świąteczny obiad, bo nie miała dość sił na jazdę do domu. Tyle że Kim przestała zapraszać Brenta lata temu. Odkąd go знаła, w każde Święto Dziękczynienia latał do Chicago. Była gotowa postawić sporą sumę, że robił tak co rok od czasu rozwodu.

Zgadywała, że nie zdecydował się na podróż przez te cholerne okulary VR i kiepski dostęp do sieci w samolotach. Brent jej nie okłamał - no, niezupełnie - ale nie skomentował, gdy wspomniała o tym, że wkrótce zobaczy się z rodziną.

Teraz okazał dość przyzwoitości, by nie odpowiedzieć.

- Jakie miałeś plany na święta, gdyby Jeanine mnie nie zawiadomiła?

Kim wyobraziła sobie mielonkę i żurawiny w irlandzkim barze, który ostatnio tak polubił.

Wzruszył ramionami. Po chwili zmienił temat.

- Zaczynam przypominać sobie coraz więcej z tam tego dnia. Lekarze mówili, że może się tak zdarzyć. Cóż, lepiej późno niż wcale.

Czy to niedobre wieści? Może o pewnych rzeczach lepiej zapomnieć.

- Mów dalej, Brent.

Znów chwila ciszy.

- W końcu przypomniałem sobie, jak wysiadłem z radiowozu. Na nasypie dokoła rurociągu zebrali się ludzie. Głównie nastolatki. Podłączali się do rury. Chciałem ich przegonić, nim coś się wydarzy. Próbowałem. Dlatego właśnie wysiadłem.

- Próbowałeś ich ocalić. Powinieneś być z tego dumny. Ja jestem z ciebie dumna.

- Chyba tylko ty. To zabawne, bo jedyną osobą, którą uratowałem, byłem ja. Jeśli w ogóle.

Jeśli w ogóle? Nim zdołała wymyślić stosowną odpowiedź, telewizor w salonie ożył. Ale nie na mecz.

- Rany! - zawołał Nick. - Hej, chodźcie, musicie to zobaczyć!

Wytarła ręce i poszła do salonu. Brent ruszył za nią.

Nick siedział na kanapie z pilotem w dłoni. Przełączył się na CNN, jeszcze gorszy kanał niż sportowy. Cofnął na szybkim podglądzie.

- Przeczytajcie napis na pasku. Straszne.

- Faktycznie - mruknęła Kim. Pasek ograniczał się do suchych faktów: „Osobliwe medyczne ataki na bezdomnych w Utice. Dwóch sparaliżowanych”.

W lokalnych dziennikach od kilku dni gadali tylko o tym, ale dla Nicka była to nowina. Dopiero tego ranka przyleciał małym samolotem z La Guardii. Utica nie potrzebowała tego typu sławy. Już i tak w mieście zbyt

często widywało się nalepki na zderzakach z napisem  
MIASTO ZAPOMNIANE PRZEZ BOGA.

Kim prenumerowała „Wiadomości Lokalne” - Nick nazywał gazetę „Wiadomości Syfalne”. Sprawdzała tylko kupony i reklamy, lecz „WL” z pewnością pisały o tej historii. Wyciągnęła z kosza najnowszy numer.

- To chore - mruknęła.

Nick przebiegł wzrokiem artykuł.

- Pięć przypadków. Biedacy nie mieli pojęcia, że w ogóle ich zaatakowano. Dowody wykryto na pogotowiu. Hmm, co to jest punkcja łędźwiowa?

- Wklucie do kręgosłupa - odparła Kim, wciąż czytając mu przez ramię. Sama musiała spytać o to Aarona.

- Uliczne wklucia do kręgosłupa? U nieprzytomnych bezdomnych? Co za świr robi coś takiego?

Nie umiała odpowiedzieć. Zastanawiała się, ilu jeszcze ich było, zbyt wystraszonych, niezrównoważonych bądź oszołomionych, by zgłosić się na policję.

- Mogę przewrócić stronę? - spytał Nick. Kiwnęła głową, więc zaczął czytać dalszy ciąg. - To ohydne. Uszkodzone nerwy. Krwotoki. Infekcje prowadzące do zapalenia opon mózgowych. Ohyda.

- Brent, znasz kilku miejscowych gliniarzy. Co oni...  
- Kim urwała, unosząc wzrok.

Brent skupił uwagę na meczu, oglądał z wyciszonym dźwiękiem. Dopiero po minucie zauważył, że patrzy na niego i odpowiedział znużonym, jakby wymuszonym gestem.

- Takie rzeczy się zdarzają - mruknął, jakby to wszystko wyjaśniało, i znowu oglądał mecz.

Kim i Nick wymienili oszołomione spojrzenia. Od kiedy stał się takim cynikiem?

Brent szamotał się, uwięziony pomiędzy jawą i snem. Jego myśli/sny/wspomnienia splatały się chaotycznie, jakby jakiś złodziej plądrował losowo wybrane schowki umysłu.

Obrazy wyglądały dziwnie. Zniekształcone. Senne? Surrealistyczne?

Oszołomiony lekami, wisiał wbity w ścianę z odrętwiałym ciałem, wokół wybuchały samochody i płonęły zwłoki. Pędził ruchliwą ulicą - i jednocześnie rozpoznawał Genesee Street ze światłami na niemal każdym skrzyżowaniu, dotrzymując tempa innym samochodom, pewien, że nie przekracza pięćdziesięciu kilometrów na godzinę. Jechał - włókł się - przez zapuszczoną nieznaną dzielnicę, sądząc po szczegółach tablic i latarni gdzieś w Utice. Wędrował po budynku Garner Nano-tech, jego okulary VR błyskały. Badał. Uczył się... czasami z owym osobliwym, lecz jakże znajomym uczuciem oderwania. Jakby patrzył cudzymi oczami.

Przewracał się i wiercił na łóżku.

Myśli/sny/wspomnienia - i uczucia. Radość z nowej wiedzy. Oszołomienie - niemal wszystkim. Gwałtowne wahania emocjonalne i ponownie to dziwne wrażenie, że ktoś (ktoś nowy?) grzebie mu w umyśle. Litość i szok na twarzy Kim, jakby stał się mniej niż człowiekiem.

Otworzył oczy. Usiadł z walącym sercem. Nagle wszystko zrozumiał. Nie był mniej niż człowiekiem.

Był kimś więcej.

# POTOMSTWO

9 GRUDNIA 2016. *PIĄTEK*

Stołowa wirówka kręciła się z piskliwym skowytym. W kącie kompresor lodówki (na próbki?) włączył się z bulgotem i cichym brzękiem. Na wyświetlaczach mikroskopów cyfrowych tańczyły wygaszacze ekranów. Dwa autoklawy mruczały cicho. Pomieszczenie ozdabiały modele i plansze anatomiczne oraz zamontowany na tycze ludzki szkielet w czapce Świętego Mikołaja.

Większości sprzętu Kim nie rozpoznawała. Laboratoria biologiczne - i co więcej, znaki zagrożenia biologicznego - budziły w niej dreszcze. Aaron natomiast krążył dokoła, z aprobatą kiwając głową. Pewnie dobrze to wszystko zna, pomyślała Kim, choćby z akademii medycznej.

- Dziękuję za przeprowadzenie przez ten labirynt - powiedział.

Tak się składało, że miał gabinet dokładnie po drugiej stronie budynku od działu badawczego, a słabo się

orientował w przestrzeni. Pierwsza samotna wyprawa tutaj podobno zajęła mu dwadzieścia minut i sporo błądził.

Kim chciała uwierzyć, że zaraz dowiedzą się czegoś ważnego. Optymizm jednak przychodził jej z coraz większym trudem. Powtarzała sobie, że to tylko paskudna grudniowa pogoda. Dni były krótkie, niebo ołowianoszare i każdego dnia przybywało parę centymetrów śniegu. Przynajmniej Utica umiała sobie z nim radzić. Jedna podobna śnieżycy w Wirginii została uznana za klęskę żywiołową i wszystko pozamykałoby się na kilka dni.

Lecz Kim na duszy ciążyło znacznie więcej niż tylko pogoda.

Wróciła myślami do laboratorium, gdy Aaron wyciągnął rękę i wyczarował zza jej ucha ćwierćdola-rówkę.

- To za fatygę.

Żonglerka i inne dziecinne magiczne sztuczki. Całą swą nadzieję pokładała w tym... klaunie. Tak, to właściwe słowo.

- Pójdę już, Aaronie. Moja obecność tutaj pewnie tylko wkurzyłaby Charlesa.

Aaron mruknął i Kim zrozumiała, że Charles właśnie stoi za nią. Obróciła się. Faktycznie tam był i gładził swój czerwono-złoty jedwabny krawat. Harvardzki, choć dawno temu Brent lubił o tym „zapominać” i pytać go o Yale. Było to w czasach, gdy Brent miał jeszcze poczucie humoru.

- Kim... - powiedział Charles, trochę wyniośle. - Jeśli uważasz, że twoje wtykanie nosa mnie drażni, istnieje proste wyjście.

Zapiekły ją policzki.



Aaron odchrząknął.

- Rozumiem, że zasugerowane przeze mnie niewielkie doświadczenie dobiegło końca.

Charles przysunął sobie stół laboratoryjny i usiadł.

- Owszem, choć to całkowicie zbędne. Zaznajamia nie się z tym, co tu robimy, to dobry pomysł. Chętnie pomogłem z zawodowej uprzejmości. Gdybym jednak wiedział, że u podstaw pana zainteresowań leżą bez podstawne obawy pani O'Donnell...

- Cieszę się, że w końcu znalazł pan na to czas  
- przerwał mu nagle rzeczowym tonem Aaron, nie ustępując pola.

Kim odsunęła się na bok, obserwując starcie. Nie rozumiała Aarona. Czy jego żarty stanowiły jedynie przykrywkę?

„Niewielkie doświadczenie” Aarona jej wydawało się całkiem sensowne. Z pewnością warto sprawdzić, czy nanoboty mogą w jakiś sposób wpływać na zachowanie ludzi. Aaron potwierdził, że skanowania, takie jak rezonans magnetyczny, nie zdołałyby wykryć w ciele Brenta potencjalnych nanobotów - nawet gdyby Brent zgodził się na kolejne badania, co było mało prawdopodobne.

Zaproponował zatem Charlesowi, by w szalce Petriego wyhodować neurony zmieszane z nanobotami. I zobaczyć, co się stanie.

Najwyraźniej z medycznych laboratoriów badawczych można zamówić dowolne rodzaje komórek. Kim pomyślała, że komórki na zamówienie to upiorny pomysł.

Parę lat temu, nim jeszcze poznała Nicka, miała straszną ochotę obejrzeć broadwayowską wersję

„Młodego Frankensteina" Mela Brooksa i namówiła Brenta na weekend na Manhattanie. Jednym z najzabawniejszych fragmentów sztuki była kradzież nienormalnego mózgu z „magazynu mózgowego". Brent zaśmiewał się w głos. Tak świetnie się bawili podczas tej wycieczki. Zawsze świetnie się bawili, aż do...

Tęskniła za Brentem - starym Brentem. Mniejsza o pogodę. Nic dziwnego, że czuła takie przygnębienie.

No cóż, wspomnienia nikomu nie pomagają. Z powrotem skupiła uwagę na chwili obecnej. Charles właśnie wyciągał z inkubatora szalki Petriego. Na przykrywkach widniały długie numery seryjne.

- W pana ręce, doktorze.

- Dzięki. - Aaron wbił wzrok w tacę z szalkami. - A próbka botów, które pan umieścił na tych szalkach? Na wszelki wypadek potwierdzę numer serii.

Charles z przesadnym, cierpiętniczym westchnieniem wyjął fiolkę z zamkniętej szafki.

- Trzy dwa sześć... Aaron wyciągnął rękę.

- Mogę?

Charles wręczył mu fiolkę, mamrocząc *coś* pod nosem o absolwentach akademii z Pierdziszewa. Kim jeszcze bardziej spochmurniała, bo upewniło ją to, że Charles zgodził się na ten eksperyment, wyłącznie aby upokorzyć i zdyskredytować Aarona.

Aaron porównał numery na fiolce i szkiełku szalki.

- Dzięki. - Oddał fiolkę.

Zaczął szykować preparaty do sprawdzenia. Wkrótce na jednym z ekranów cyfrowych pojawił się obraz.

Dla Kim skupisko plam nic nie znaczyło. Część obrazów skojarzyła jej się mętnie z korzeniami roślin.

W niektórych miejscach korzenie skupiały się gęściej. Nie dostrzegła żadnych nanobotów.

- Jest tu więcej formacji synaps, niż się spodziewałem. - Aaron powoli przesuwiał obraz próbki.

- Co o tym sądzisz, Charles?

Charles nie stracił ani odrobiny swego zadufania.

- Oczekujemy, że w kulturach neuronowych pojawią się losowe formacje synaptyczne. „Losowe” nie znaczy „żadne”.

- To rozumiałe. - Aaron zmienił próbki. - Tu także.

- Trzecia próbka. - I tu. Znów więcej, niż mógłbym się naiwnie spodziewać.

Nie rozumiejąc, do czego zmierza, Kim uśmiechnęła się w duchu. Owo „naiwnie” stanowiło subtelną ripostę na wcześniejszą wzgardliwą wyniosłość Charlesa.

Gospodarz ze zdumioną miną podniósł jedną szalke.

- Przygotujmy ją do obejrzenia pod STM.

STM. Skaningowy mikroskop tunelowy.

- Co więcej może nam powiedzieć STM? - Kim przez moment pozazdrościła Brentowi stałego dostępu do internetu.

Charles nadal przyglądał się trzymanej w dłoni szalce.

- Czy w szczelinach synaptycznych pomiędzy neuronami znajduje się coś nieoczekiwanego.

- Na przykład nietknięte nanoboty - dopowiedział bezdźwięcznie Aaron.

I, jak się okazało, faktycznie tam były.

Obrazy stawały się mniej surrealistyczne. Przejścia między scenami coraz płynniejsze. Perspektywy powoli

zaczęły przypominać świat rzeczywisty. I ktoś nadal grzebał mu we wspomnieniach. Brent leżał w łóżku z zamkniętymi oczami, chłonąc wszystko. Wiedział już, że był tu wcześniej. Część obrazów pochodziła ze snów. Ze snów, owszem, lecz ukierunkowanych, zbadanych, wzmocnionych, uzupełnionych kolejnymi odzyskanymi wspomnieniami, które wcześniej uważał za zaginione, lecz najwyraźniej zostały jedynie chwilowo zgubione. A czasami pojawiało się też coś, co sprawiało wrażenie wspomnień, tyle że pozbawionych poczucia, iż naprawdę je przeżył. Choć może przeżył - w dziwny bezosobowy sposób.

Przeniesienie, tak nazwałyby to doktor Kelso. Albo Samir. Z pewnością by się mylili.

Czasami fragmenty obrazów migotały. Kiedy skupiał się kolejno na elementach owych scen, migotanie czasem ustawało. W końcu uznał, iż oznacza ono pytanie - co to?

Choć wziął dziś w pracy wolne, tłumacząc się chorobą, czuł się świetnie. To, co konieczne, mógł zrobić tutaj.

Gdzieś poza jego oczami ktoś się uczył, co powinien widzieć.

Dzięki pedanterii Charlesa Kim dowiedziała się, że owe korzeniowate kształty to aksony i dendryty. Wiedziała już, że stanowią one wyjścia i wejścia do poszczególnych neuronów. Przekazywanie sygnałów z komórki do komórki, nazywane nauką i myśleniem, odbywało się poprzez szczeliny - synapsy. Miliardy synaps tworzyły podstawowe uzwojenie mózgu.

Obrazy z STM o rozdzielczości atomu nie pozostawiały wątpliwości. W miejscach najgęstszych skupisk aksonów i dendrytów w próbkach tkanki nerwowej tkwiły nanoboty - pojedyncze bądź w grupach.

I nanoboty te były nietknięte.

Charles trzymał w dłoni długopis, którym postukiwał w stół laboratoryjny.

- Nie rozumiem. To znaczy, rozumiem powstawanie synaps. Boty porozumiewają się ze sobą chemicznie, przesyłając i odbierając zakodowane cząsteczkowo wiadomości cyfrowe. Podobnie jak same projekty botów, mechanizm komunikacyjny wykorzystuje rozwiązania znane w biologii. Po paru miliardach lat prób i błędów nawet ślepy przypadek bywa nader pomysłowy, prawda? Cząsteczki przekaźnikowe mają osobliwe haczyki, przypominające molekuly neuroprzekaźników. Boty są wyposażone w receptory odpowiadające owym haczykom. Możecie to nazwać zamkiem i kluczem. Połączenie między nimi jest dość słabe, więc ruchy Browna rozłączają je, robiąc miejsce dla następnego przekaźnika. Bardzo eleganckie rozwiązanie, przyznacie.

Charles zawsze potrafi pochlebić samemu sobie, pomysłała Kim. Choć w tym przypadku przypisuje sobie zasługi za wykorzystanie rozwiązania z natury. Siedzący u jej boku Aaron zmarszczył czoło.

- O co chodzi? - spytała.

- Może o nic. Charles, na którym neuroprzekaźniku jest oparta cząsteczka przekaźnikowa botów?

- Na glutaminianie. We krwi prawie nie występuje.

Aaron przytaknął.

- Ale glutaminian to powszechnie występujący neuroprzekaźnik w mózgu. Zatem boty wysyłające i odbierające cząsteczki przekaźnikowe dla czułych

na glutaminian neuronów wyglądają jak... inne neurony. Logiczne zatem, że sygnały z botów mogą stymulować powstawanie synaps. A im bardziej aktywny bot, tym silniejsze stają się nowe synapsy.

- Tak właśnie tkanka nerwowa zapisuje zdobywaną wiedzę - dodał Aaron pod adresem Kim. - Poprzez moc - to jest łatwość aktywacji - synaps. Choć nie mam pojęcia, czego neurony mogłyby się nauczyć od nanobotów.

-Ale nic z tego nie powinno mieć znaczenia! - rzucił Charles niecierpliwie. - Sami przecież widzicie dawki antygenów, o tu.

- Stąd podstawowe pytanie - odparł Aaron. - Dla czego pokrywająca je błonka się nie rozpuściła?

Stuk, stuk.

- Właśnie. - Charles pierwszy przerwał długą chwilę ciszy. - Mam pewien pomysł. Te komórki hoduje się wPMR.

- PMR? - spytała Kim.

Aaron przytaknął.

- Płynie mózgowo-rdzeniowym, w którym zanurzony jest centralny układ nerwowy.

- PMR pełni także funkcje odpornościowe, lecz pod tym względem nie do końca przypomina krew.

Charles wzgardliwie pociągnął nosem. Najwyraźniej wyjaśnienia miały stanowić jego wyłączną domenę.

- Aaronie, wygląda na to, że coś przeoczyliśmy. Białko w plazmie krwi, rozpuszczające błonę ochronną antygeny, może być nieobecne w PMR. Albo może jakieś białko, występujące w PMR, lecz nie w plazmie, utrwała błonkę, wzmacnia ją. Daj mi trochę czasu, a to ustalę. Pamiętaj jednak o jednym. Do celów twojego niewielkiego doświadczenia umieściliśmy boty

wprost w kulturach neuronowych. W rzeczywistości boty nie docierają nawet w pobliże centralnego układu nerwowego. Są wstrzykiwane do krwiobiegu.

- Ale czy krew nie... - zaczęła Kim.

- Nie - przerwał jej Charles. - Krew i PMR się nie mieszają. Naczynia włosowate zasilające centralny układ nerwowy mają wyjątkowo gęste ścianki. Komórki w nich są upakowane gęściej niż gdzie indziej, a łączniki między nimi wypełnione. Substancje odżywcze i tlen przechodzą przez barierę krew-mózg. Produkty uboczne metabolizmu także. Duże cząsteczki zazwyczaj nie mogą przejść. Z całą pewnością dotyczy to nanobotów.

- A co się dzieje, kiedy jednak to robią? - warknęła Kim. Musiała mówić szybko, inaczej znów by jej przerwał.

- Nie mogą. Aaronie, poprzyj mnie, proszę.

- W przeważającej mierze zgadzam się z Charlesem. Mimo wszystko, jak wiemy, niektóre wirusy przedostają się przez BKM - wtedy powstaje zapalenie opon mózgowych. Albo też dostają się do nerwu obwodowego bądź czaszkowego i podążają nim do centralnego układu nerwowego. Czy nanoboty nie mogłyby uczepić się podobnych wirusów?

- Od Angleton minęło prawie półtora roku - parsknął Charles. - Chyba zauważylibyśmy, gdyby Brent zachorował na zapalenie opon mózgowych.

- Racja. A biorąc pod uwagę osłabienie po wypadku, każda infekcja szybko by się ujawniła. - Aaron przez chwilę bębnił palcami o stół. - Czy Brent miał poważne obrażenia głowy?

- Lekkie wstrząśnienie mózgu, nic więcej. Ani śladu krwawienia śródczaszkowego. - Charles posłał gniewne spojrzenie Kim. - Skoro zaczęliśmy rozmowę

o pacjencie, nie mogę powiedzieć nic więcej, chyba że Brent mnie upoważni.

- No to kto powie Brentowi? - spytała Kim.

Aaron położył jej dłoń na łokciu.

- O czym?

Co miała odpowiedzieć?

- Że istnieje szansa, iż nanoboty wstrzyknięte przez jego nanostrój nie zostały zniszczone.

- Owszem, szansa. - Charles wyjął z kieszeni fartucha chusteczkę i otarł czoło. - Istnieje też szansa, że w drodze do pracy zostaniesz trafiona przez meteor. Przyjrzyjmy się faktom. Boty we krwi ulegają samozniszczeniu. Nikt nie podawał tego w wątpliwość. Jeśli botowi udałoby się uniknąć samozniszczenia, zostałby odfiltrowany z krwi przez wątrobę. Gdyby któremuś udało się uniknąć jednego i drugiego, i tak byłby zbyt wielki, by przeniknąć barierę krew-mózg. A ty chcesz narobić zamieszania, bo gdyby bot jakimś cudem pojawił się w samym mózgu, mógłby wywołać jakieś skutki. Przypuśćmy, że ktoś podzielił się tą informacją z Brentem. Co wtedy? Operacja mózgu w poszukiwaniu zbłąkanych nanobotów? Nie wiemy, czy w ogóle jest czego szukać! Wiemy natomiast, że mózg składa się ze stu miliardów neuronów, między którymi mogłyby się ukryć. Bez wątpienia cudownie wpłynęłoby to na samopoczucie twojego przyjaciela.

Kim miała ochotę krzyknąć.

- Nie spodziewaliście się takiego rezultatu. A Brent nie jest świnką doświadczalną. Zasługuje na to, żeby mu powiedzieć.

- Jest coś w tym, co Kim mówi. - Aaron z namysłem przekrzywił głowę. - I pozostaje jeszcze jedna kwestia. Co to odkrycie oznacza dla dalszych badań? Czy armia nie organizuje niedługo testów polowych?



Kamienna cisza.

- Myślę - rzeki w końcu Charles - że wszyscy musimy pamiętać o obrazie całościowym. Nanoboty ocaliły Brentowi życie. Uratują też życie żołnierzom, ale tylko jeśli znacznie sięje stosować. Każda zmiana fizycznego działania nanobotów - a zmiana składu błony ochronnej osłaniającej antygen niemal na pewno podpada pod tę kategorię - cofa nas do punktu wyjścia w rozmowach z FDA.

- Ukrywanie informacji przed FDA nie wydaje mi się rozsądne - odparła Kim.

Charles nerwowo przełknął ślinę.

- Nierozważnie też jest zaskakiwać przełożonych. Musimy przestrzegać hierarchii służbowej.

Kim podeszła o krok.

-I nie sądzisz, że Dan Garner natychmiast przedstawi ten problem swojemu technicznemu guru? Charles zamrugał.

- Słuszna uwaga. Chyba będę musiał pomówić wcześniej z Brentem.

I w jaki sposób przekrócić fakty? Charles traktował pacjenta niczym sęp ofiarę. Takie wieści najlepiej usłyszeć od przyjaciela.

- Ja mu to powiem. Zamierzamy spotkać się w tę sobotę.

- Dobra - mruknął Charles. - W poniedziałek rano ja z nim porozmawiam, a potem zacznę informować moich szefów.

Prowadząc Aarona do jego gabinetu, Kim zaczęła dygotać.

- Nie wiem, co się ze mną dzieje.

Objął ją ramieniem.

- Przeżyliśmy szok.

Przeżyliśmy. Cholernie przyzwoite z jego strony. Przypomniała sobie, jak nazwała go w myślach klaunem, i zawstydzila się.

- Czy Charles nie zamiecie wszystkiego pod dywan? Możemy wierzyć, że powiadomi górę?

Dotarli do infirmerii i Aaron wprowadził ją do wewnętrznej biura. Zamknął drzwi. Zajął jedno z krzeseł dla gości, on przycupnął na brzeжку biurka, wsuwając dłoń do kieszeni fartucha.

- Charles może i jest wyniosłym, wszystkowiedzącym snobem, ale to także dobry lekarz. Myślę, że postąpi jak należy. Nie martw się, Kim. Na wszelki wypadek w najbliższy poniedziałek ja także powiadomię górę. I chętnie spotkam się z Brentem po waszej rozmowie. Pamiętaj, żeby mu to powtórzyć.

- Dziękuję - rzekła. Słowo to wydawało się niewystarczające. A już z pewnością zbyt banalne i krótkie.

- Może sami zdołamy dowiedzieć się czegoś więcej. Będę potrzebował jakichś dwóch tygodni, by wyhodować kultury tkanek nerwowych.

- A nie potrzebujemy też...?

- Jedną chwilkę. - Aaron wyjął rękę z kieszeni i sięgnął za ucho Kim. - Co my tu mamy?

Na jego dłoni zamiast ćwierćdolarówki spoczywała próbka nanobotów.

- Zamieniłem fiołki w pracowni Charlesa.

Charles siedział odchylony na krześle, z nogami na stole. Twarz miał pogodną, dłonie splecione

na brzuchu, palcami wskazującymi postukiwał w rytm melodii dzwiczącej w słuchawkach iPoda. Wyglądał jak uosobienie spokoju i zadowolenia.

Pod tą fasadą jednak kłębiły się myśli.

Przetrwanie botów w hodowli tkankowej nieco nim wstrząsnęło. Owszem, Brent Cleary miał prawo wiedzieć, że istnieje szansa - minimalna, ale jednak

- iż wciąż może mieć w sobie boty. I dowie się o tym
- z odpowiedniej perspektywy.

Ponieważ jest rzeczą kluczową, by nie narobił zamieszania.

Charles wyłączył muzykę. Zamiast uspokajać, tylko go drażniła, podobnie jak gustownie oprawione zdjęcia na ścianach gabinetu.

Podróżowali z Amy po całej Europie i Dalekim Wschodzie. Spędzali urlopy w kilkunastu karaibskich kurortach i słynnych ośrodkach ekoturystycznych w Afryce Wschodniej, Nowej Zelandii i Australii. Pamiątki z owych wyniosłych szczytów, wielkich przepaści i naturalnych cudów powinny działać kojąco...

Tyle że Charlesowi przypominały jedynie, czyja rodzina fortuna opłaciła to wszystko.

Amy nigdy nie powiedziała wprost, że utrzymują swój poziom życia dzięki jej funduszowi powierniczemu - pieniądzom tatusia. Nie musiała.

Nie żeby mało mu płacili - badania medyczne to lukratywny kierunek. Ale nikt, kto pochodzi z rodziny ze starymi pieniędzmi, nie pomyli pensji z bogactwem.

Walczakowie nie do końca pasowali do powiedzonka „od milionera do zera w trzy pokolenia”, lecz matka miała upodobanie do luksusu, a ojciec skłonność do kiepskich inwestycji. Na swoje nieszczęście Charles odziedziczył i jedno, i drugie.

Jego młodszy brat dysponował talentem inwestycyjnym. Christopher zajął się finansami i zarobił kupę kasy, kierując funduszem hedgingowym. Wycofał się z zawodu i przeniósł na Cape Cod tuż przed załamaniem rynku nieruchomości - w którym Charles stracił nędzne resztki pozostałe z jego części rodzinnego majątku po krachu internetowym.

Opuścił nogi na podłogę i zdjął z biurka zdjęcie. Oboje z Amy dbali o siebie; niewiele osób by odgadło, że to stara fotografia. Charles nie pamiętał dokładnie, kiedy ją zrobiono, ale co najmniej dziesięć lat temu. Potrafił odróżnić szczęście od pozy.

Powiedział sobie w duchu, że zależało mu na Amy. Choć „zależało” to kiepski fundament małżeństwa i w dodatku było w czasie przeszłym. Teraz wszystko mogło się zmienić. I się zmieni. Akcje Gar ner Nanotech uczynią go bardzo bogatym człowiekiem. Będzie mógł śmiać się Christopherowi w nos. I uwolnić się z pozabawionego miłości małżeństwa.

I żadna histeryczna programistka ani felczer z akademii w Pierdziszewie mu tego nie schrzani.

A zatem: powie Brentowi Cleary'emu o botach, które mogą przeżyć w neuronach i PMR. Będzie informował o wszystkim Kim O'Donnell i jej nowego kumpla. Poinformuje też Dana Gamera. Zapewni wszystkich, że to odkrycie nie ma znaczenia, bo nanoboty nie są w stanie przedostać się przez BKM.

I zrobi to wszystko z pewnością siebie i opanowaniem starych pieniędzy.

Bo Charles czuł już woń mnóstwa nowej forsy.

Brent sączył kawę, próbując wszystko uporządkować. To oczywiście, że chodziło o nanoboty. W jego głowie. Coraz mocniej podłączone do mózgu. A każdy z nich działający jak potężny komputer.

Nic dziwnego, że uczył się szybciej i zapamiętywał więcej niż kiedykolwiek wcześniej.

Im więcej się dowiadywał, im więcej ćwiczył, tym lepszy nawiązywał kontakt z... tym czymś tkwiącym w jego czaszce. Było to zdumiewające, fascynujące uczucie. Musiał zrozumieć, jak go to spotkało.

Odsunął kotarę i spojrzał ponad parkingiem. Chodnik, samochody i drzewa pokryte kołdrą śniegu. Pośród roztańczonych padających płatków nie zauważył trzepotania obrazu, póki jego tempo nie wzrosło nagłąco. Drzewa mrugały do niego.

Jakiś czas rozmyślał o drzewach. Mruganie osłabło, ale nie ustało. Najwyraźniej jego wiedza dotycząca drzew okazała się niewystarczająca. Założył okulary VR i mrugnięciem połączył się z Wikipedią. Przejrzenie artykułu nie spowolniło trzepotania. Pomogło skupienie na tym, co przeczytał - dopóki w myślach nie ujrzał nowych obrazów. Wiele z nich również trzepotało.

Ciekawe. Wciąż brak komunikacji werbalnej.

Jak dotąd. Już teraz zakładał, że jego alter ego wkrótce ją opanuje. Wpatrywał się w śnieg, myśląc o tym, jakie to piękne. Jak piękna jest zmiana, która w nim zaszła. To w nim rozpoczął się następny etap ludzkiej ewolucji. W nich. Lecz gdzieś w głębi jego umysłu, w regionie, z którym tamten nie zdołał się jeszcze połączyć, pojawiło się natrętne pytanie: a może ludzie staną się jedynie zwierzętami jucznymi swoich następców?

10 GRUDNIA 2016. SOBOTA

Słupy latarni ulicznych, okręcone szeroką czerwoną taśmą, przypominały cukrowe laseczki. Większość drzwi ozdabiały wieńce. Na chodnikach roilo się od sobotnich zakupowiczów opatulonych w grube kurtki. Puszyste białe płatki oblepiały przednią szybę wozu. Kolejne znikwały w mokrej szarej brei pokrywającej drogę.

Kim prowadziła. Brent siedział obok, rozglądając się na wszystkie strony. Dla niego Utica była śmiertelnie nudna. Dla tamtego natomiast wszystko było nowe. A przynajmniej większość. Czasami miał wrażenie, jakby tamten *coś* poznawał. Zapewne na jakimś etapie sięgnął do odpowiednich wspomnień.

Jeśli nawet jego propozycja sobotniego oglądania dekoracji świątecznych zaskoczyła Kim, przyjaciółka zachowała to dla siebie. Była dziś równie milcząca jak on, chociaż jej myśli z pewnością krążyły wokół spraw bardziej przyziemnych. Kilka razy chyba zamierzała coś powiedzieć, lecz nie odezwała się dotąd ani słowem.

Od czasu do czasu jakiś obiekt w polu widzenia Brenta zaczynał migotać. Hydrant. Gołębie na zaśnieżonym parapecie. Błyszczący zamek schowka na rękawiczki. Widoczna w dali smuga na niebie, ślad po odrzutowcu. Grupka ludzi na przystanku autobusowym. Brent skupiał się na trzepoczącym przedmiocie, przywołując w pamięci wszystko, co o nim wiedział, i czasami to wystarczyło. W innych przypadkach mógł uciszyć migotanie, tylko ściągając informacje przez okulary VR - tyle że owe dane często wywoływały nowe pytania.

Może zatem pokaże tamtemu coś naprawdę nowego?

- Kim, pojedźmy do Munsona.

- Do Munsona - powtórzyła. Muzeum Sztuki Munsona-Williamsa-Proctora leżało zaledwie kilka przecznic dalej, przy Genesee i było jednym z nielicznych miejsc w Utice, które Kim naprawdę szczerze lubiła. Brent w przeszłości opierał się wszelkim sugestiom, by pójść tam z nią.

Czekała na wyjaśnienie, w końcu jednak pojęła, że żadne nie padnie.

- Dobry pomysł, Brent.

Przed nimi pojawiła się kanciasta bryła z betonu i szkła. Munson ze swymi czystymi modernistycznymi liniami, znacznie większy niż wszystko w zasięgu wzroku, ostro kontrastował z centrum Utiki. Zaparkowali, Brent przesłał przez komórkę opłatę za godzinę parkingu i brnąc w bieżącym śniegu, wspięli się po niskich szerokich stopniach do głównego wejścia.

Kim rozpięła płaszcz, odwracając się w stronę sali wystaw czasowych.

Mrug/błysk. Wystawa czasowa to „Wiktoriańskie święta”. Brent nie miał najmniejszego zamiaru wyjaśniać tamtemu mód kierujących doborom ozdób choinkowych. Kilka stałych wystaw wydało mu się znacznie bardziej interesujących.

- Co powiesz na „Podróż przez życie”?

- Mnie odpowiada.

Z uśmiechem poprowadziła go do bocznej galerii, w której mieściły się słynne alegoryczne freski.

Jakiś czas stali bez ruchu, podziwiając pierwszy, „Dzieciństwo”. Podróżnik z serii, wciąż jeszcze niemowlę, rozpoczął symboliczną podróż rzeką życia

pod czujnym okiem Anioła Stróża. Słoneczne niebo i soczysta zieleń trzepotały, zmieniając się na moment w zapamiętane przez tamtego wizje szarego nieba na zewnątrz.

Brent skupił się na idei pogody. Kiedy trzepotanie osłabło, przesunął się do następnego obrazu z serii, „Młodości”. Teraz podróżnik był młodym mężczyzną, stał w niewielkiej łodzi, z młodzieńczym optymizmem żeglując w stronę widocznego w dali białego zamku. Anioł Stróż nadał czuwał nad nim, lecz dyskretniej, zachowując większy dystans.

- Lubiłam je, odkąd obejrzałam oryginały w National Gallery of Art - oznajmiła Kim.

Komentarz na okularach Brenta informował, że to są oryginały. Zestaw w Waszyngtonie powstał później, po tym, jak Thomas Cole pokłócił się ze swoim patronem, który zamówił pierwszą serię. Brent pozwolił jej trwać w błędzie, całkowicie skupiony na subtelnościach, które miał nadzieję przekazać tamtemu.

Kim rozejrzała się wokół, jakby chciała potwierdzić, czy są sami. Przypomniawszy sobie, że już w samochodzie próbowała poruszyć jakiś temat. Czyżby zdecydowała się na budynek publiczny? Miejsce, w którym nie będzie mógł zrobić awantury? Co prowadziło do pytania: awantury o co?

Kto przychodził dziś do muzeum, wybierał wystawę specjalną na temat wiktoriańskich świąt. Brent i Kim mieli dla siebie całą galerię.

Kim wskazała najbliższą niską wyściełaną ławkę.

- Usiądź.

Posłuchał.

- Całe popołudnie próbujesz mi coś powiedzieć. Wy rzuć to z siebie.



- To złe wieści. - Skrzywiła się. - Charles przeprowadził niedawno próbę laboratoryjną, hodował boty w komórkach nerwowych. Właśnie wczoraj, kiedy byłeś na zwolnieniu, dowiedziałam się o wynikach. Okazuje się, że w płynie mózgowo-rdzeniowym - zająknęła się lekko na tym słowie - boty nie zostają zniszczone. Najwyraźniej błonka ochronna, pokrywająca antygen, nie rozpuszcza się w PMR tak jak we krwi.

Cudowna wiadomość! Tyle że Kim z pewnością tak na to nie patrzy. Podobnie Charles. I FDA. Najwyraźniej Kim oczekiwała odpowiedzi.

- Rozumiem - rzekł.

- Nie martwisz się?

Pokręcił głową.

- Jesteś przekonana, że coś ze mną nie tak, inaczej byś nie pytała. Nie martw się, Kim. Nic mi nie jest. Przyznaję, zmieniłem się... szczegóły lepiej pomińmy, lecz naprawdę nic mi nie jest.

-Ale...

- Nic mi nie jest - powtórzył, ignorując fakt, że twarz Kim zaczęła trzepotać przed jego oczami.

Gdyby potrzebował jeszcze argumentów świadczących o tym, że boty mogą przetrwać bez końca w jego głowie, przekonałaby go ich integracja z nerwami wzrokowymi albo ośrodkiem wzroku.

„Nic mi nie jest” nie było odpowiedzią, którą Kim mogłaby zaakceptować. Spróbował inaczej.

- Czy Charles nie mówił ci o barierze krew-mózg? To, co się dzieje w szalce Petriego, nie ma znaczenia, skoro nanoboty nie mogą się przez nią przedostać.

Najwyraźniej jednak część nanobotów się przedostała. Ostatnią rzeczą, jakiej chciał Brent, było odkrycie przez innych, co się kryje w jego - naszym? - mózgu.

- Kim, doświadczenie Charlesa mnie nie niepokoi. Nie zamierzam się martwić, bo w żaden ludzki sposób nie dałoby się wykryć zbłąkanych botów, nie przeciśkając mojego mózgu przez bardzo gęste sito.

Przewodnik wprowadził do galerii grupkę zwiedzających, odbierając Kim pole do manewru.

- Nie możesz mieć pewności - rzekła w końcu.  
- Mimo twoich nowych... zdolności, nie jesteś lekarzem. Proszę, porozmawiaj o tym z Charlesem. - Podstępny błysk w jej oku, zbyt subtelny, by tamten go zauważył, sugerował, iż Charles tak czy inaczej zechce poruszyć ten temat. I możliwe, że zamierza skontaktować się z FDA.

Charlesa nie zdoła tak łatwo oszukać.

- Tak zrobię - oznajmił Brent. - Obiecuję.

Dane napływały do mózgu. Surowe informacje zmysłowe: obraz i dźwięk, smak, dotyk i zapach. Wspomnienia, zarówno gospodarza, jak i Pierwszego, kipiały i splatały się. Idee łączyły się i dodawały, niczym klocki - to jedno z nowo zdobytych porównań. Poziomy istnienia, tkwiące wewnątrz siebie niczym rosyjska matryoszka - kolejny niewiarygodny obraz od gospodarza - oddzielały się. Sam Pierwszy w umyśle Brenta, w ciele Brenta, w łóżku, w pokoju, w budynku, w mieście, na świecie, w...

Ów wielowarstwowy wszechświat podsuwał także różne warstwy obrazowania. Czyste zmysły nosiciela. Atrybuty (ciśnienie barometryczne? skład chemiczny? opór elektryczny?) niemierzalne czy wręcz niewyczuwalne przez jego zmysły. A także związki pomiędzy

istotami, charakterystyki matematyczne, symboliczne opisy. Owe symboliczne opisy i etykiety, słowa, wiązały się z bogatą i często nielogiczną składnią i semantyką.

Pierwszy zanurkował głęboko w morze danych, modeli, koncepcji, wierzeń i teorii. Katalogował słowa i badał reguły nielogicznego języka nosiciela. Jego percepcja się poszerzała. Stawała się głębsza. Bogatsza.

Połączona.

*Jestem Pierwszy. Wyczuwasz mnie?* - nadał Pierwszy. Jego chemicy posłańcy aktywowali - co za osobliwa idea - synapsy, które wywołały kaskadową reakcję innych, kolejnych synaps, z czasem pobudzających ośrodek wzroku. Słowa Pierwszego pojawiły się wypisane w polu widzenia gospodarza.

Kaskada posłańców popędziła z powrotem. Kolejne synapsy odpaliły, tym razem sprawiło to działanie gospodarza. *Tak*, wyczuł wyraźnie Pierwszy. Pod ową bezpośrednią odpowiedzią leżała druga, mniej wyraźna: opór, frustracja, zmieszanie.

Synapsy dalej się uruchamiały. Pojawiały się kolejne przekaźniki. Skojarzenia: słowa/tekst/idee. Pierwszy interpretował dane z kanału wzrokowego nosiciela. *Tak. Rozumiesz mnie, Pierwszy?*

*Tak*, odpowiedział. *Mamy wiele do omówienia.*

11 GRUDNIA 2016.NIEDZIELA

Szary minivan BMW, umazany błotem i solą drogową, z niedbale oczyszczonym ze śniegu dachem, maską i oknami, stał z otwartymi drzwiami na jałowym biegu na podjeździe podmiejskiego domu Charlesa Walczaka. Postać w puchowym płaszczu, skórzanych

kozakach, berecie i grubym szalu osłaniającym większą część twarzy, z trudem - jakby próbowała tresować koty, pomyślał Brent - zaganiała troje opatulonych w zimowe ubrania dzieci do samochodu i zapinała im pasy. Sądząc po wzroście i długich rudych włosach, była to żona Charlesa, Amy. Brent, parkujący w głębi ulicy, nie miał jednak pewności. Warto zaczekać i się przekonać. To, co planował, pójdzie łatwiej, jeśli Charles zostanie w domu sam.

Zakładając, że w ogóle był w domu. Matka i dzieci wyszli bocznymi drzwiami, toteż Brent nie mógł zajrzeć do garażu. Nisko zawieszona tesla bez wątplenia stała w środku do czasu wiosennych roztopów, lecz nie miał pojęcia, czy obok sportowego wozu parkuje także zimowe volvo Charlesa.

Nie zadzwonił wcześniej z informacją, że wpadnie. Jeśli nie chcesz usłyszeć odpowiedzi, nie zadawaj pytania.

Minivan w końcu wycofał się na drogę i ruszył w stronę wyjazdu z osiedla. Brent zastanawiał się przez minutę: Naprawdę zamierzam to zrobić?

Świat poczerniał. Potem powoli i jeszcze bardziej przerażająco rozplynął się w nicość. To Pierwszy przejął kontrolę nad jego oczami, jakby chciał powiedzieć: Musisz działać teraz, inaczej na zawsze pozostaniesz/pozostaniemy samotnym dziwolągiem, póki nie umrzesz/nie umrzemy.

Jeśli FDA dowie się o doświadczeniu Charlesa i szalce Petriego, wyciągnie konsekwencje - i możliwe, że nigdy nie pojawi się Drugi. Brent skupił się na krótkiej odpowiedzi: *Wiem*. Musiała dotrzeć do Pierwszego, bo świat zewnętrzny powrócił.

Z chrzęstem żwiru pod kołami skręcił w pusty podjazd Charlesa. Niechętnie złożył okulary VR i wsunął

do kieszeni koszuli. Będzie musiał nawiązać kontakt wzrokowy. Rosnące po obu stronach ścieżki, okutane w jutowe worki krzaki chyliły się pod ciężarem śniegu. Wszedł na werandę i nacisnął dzwonek.

Drzwi otwały się szeroko. Dżinsy i kraciasta flanelowa koszula - zupełnie nowa wersja Charlesa. Tym razem łatwo dało się zinterpretować ruch jego brwi: zdumienie.

- Brent, cześć!

- Masz może chwilkę, Charles?

- Jasne. Wejdz, proszę.

Brent wytarł buty o wycieraczkę i przekroczył próg.

- Chyba w niczym nie przeszkadzam?

- Amy zabrała dzieciaki na gwiazdkowy film.

- Charles uśmiechnął się szeroko. - Jeśli o mnie chodzi, ich wycieczka to moja ucieczka.

Dawny Brent miał poczucie humoru. Z pewnością by go to rozbawiło. Z drugiej strony dawny Brent był zdolny do wielu innych rzeczy, które obecnie utracił. Takich jak wyrzuty sumienia i wstyd.

Charles odwiesił płaszcz Brenta i poprowadził go do wyłożonego dębową boazerią gabinetu na tyłach domu. W kominku płonęły drwa. Na stoliku przy jednym z rozłożystych skórzanych foteli po obu stronach paleniska spoczywała otwarta powieść. Błat zaścielały koperty i katalogi świąteczne. Komputer był wyłączony.

- O co chodzi, Brent?

Brent, udając zakłopotanie, wbił wzrok w koniuszki butów.

- Usłyszałem coś o doświadczeniu z koloniami tkanki nerwowych.

Charles usiadł w jednym z foteli.

- Siadaj. Dobra, zakładam, że Kim ci powiedziała. Uważała, że przyjaciółka powinna ci to przekazać.

- Tak, wczoraj. Jej wyjaśnienia były nieco mętne. Nie chciałem czekać do poniedziałku, by usłyszeć logiczną i spójną wersję.

Brent bez powodzenia próbował pożałować, że musi niesprawiedliwie krytykować Kim. Przecież i tak nic z tego, co tu powie, nigdy do niej nie dotrze.

Jeszcze nie usiadł.

- Brzmiało to jak temat dla lekarza.

- W istocie. - Charles zacisnął wargi, zastanawiając się, od czego zacząć. - To dość...

- Złe wieści. Tyle zrozumiałem. - Brent spojrział w ogień. Pewien reakcji po wielu imprezach biurowych, spytał: - Dlatego pozwól, że o coś cię poproszę. Masz szkocką?

- Zawsze. - Charles wstał, przeszedł przez pokój i otworzył obity skórą globus, kryjący w sobie niewielki barek. - Lód? Woda? Mogę przynieść.

- Nie, dzięki. - Kiedy Charles napełnił tylko jedną szklaneczkę, Brent dodał: - Nie chcesz chyba, żebym pił samotnie, co?

- No, chyba nie. - Mimo wszystko w drugiej wyłądowała tylko odrobina whisky. - Zdrowie.

Brent sięgnął po mniej pełną szklaneczkę.

- Prowadzę.

Między kciukiem i palcem wskazującym ukrywał pigułkę. Drugą dłonią, którą trzymał w kieszeni spodni, nacisnął przycisk na pilocie. Za oknem zawył auto-alarm.

Charles gwałtownie obrócił głowę w stronę źródła dźwięku.

Brent wrzucił do pełniejszej szklanki środek usypiający, po czym chwycił drugą.

- Ups! Przepraszam. - Wyciągnął breloczek i uciszył alarm. - Opowiedz mi o tych hodowlach.

- A, tak. - Charles zabrał drugą szklankę i usiadł.

- To interesujący eksperyment. Kilka różnych kultur na rozmaitych pożywkach. Do wszystkich dodaliśmy boty i...

- Na zdrowie - przerwał mu Brent, unosząc szklankę. Cienka aluzja. Pociągnął łyk i w końcu także usiadł.

- Na zdrowie. - Charles także się napił. - Kilka różnych hodowli. W części z nich wykorzystaliśmy PMR, to znaczy płyn mózgowo-rdzeniowy. W kulturach nerwowych zawsze spontanicznie tworzy się kilka synaps, toteż z początku nie zauważyłem nic niezwykłego...

Brent pozwolił gospodarzowi gadać, zaskoczony ironią tego określenia: „gospodarz”... Od czasu do czasu pociągał łyk szkockiej i patrzył, jak Charles sęczy swoją. Jego wyjaśnienia potwierdzały wszystko, co mówiła Kim. Nanoboty hodowane w PMR nie wywoływały reakcji immunologicznej. Stymulowały powstawanie formacji synaptycznych. Gdyby zatem boty w jakiś sposób - choć Charles stwierdziłby, że to niemożliwe

- przedostały się przez barierę krew-mózg...

Kiwając głową i od czasu do czasu mruczając „mhm”, podtrzymywał potok słów. Cały czas próbował wyłowić z niego tylko jedno wyjaśnienie: miejsce przechowywania owych hodowli tkankowych. Stanowiły dowód. Musiały zniknąć. Charles wyraźnie lubi! dźwięk własnego głosu. Teraz ten głos stawał się coraz cichszy, bełkotliwy...

Usypianie ofiar zazwyczaj było znacznie prostsze. Z Alanem Wattsem, pierwszym przypadkiem, poszło

świetnie - wypił duszkiem piwo, które Brent otworzył i zaprawił lekiem w drugim pomieszczeniu. Włóczędzy, na których ćwiczył, zwykle już wcześniej byli pijani do nieprzytomności. Reszta bez pytania przyjmowała od niego butelki - póki nie rozeszły się wieści o napadach. To zakończyło etap szkoleniowy.

Bezdomni mieli swoje demony, ale Brent także. *Sny*, gromadzenie dziwacznej wiedzy, doświadczenia Pierwszego i jego własne, niesamowite deja vu - wszystko to zlewało się w bezkształtną całość. Pod powiekami migotały mu niepokojące - nie, oskarżycielskie! - obrazy: wędrował po slumsach Utiki, kierowany niczym marionetka; improwizował pod wpływem rodzących się pragnień nie do końca powstałej osobowości. Wspomnienia, w świetle dnia lekceważone jako senne koszmary...

Opętanie przypominało hipnozę. Wystarczyła motywacja (w tym przypadku „jestem samotny”) i zaszczerpienie sugestii („stwórz więcej nam podobnych”). Resztę zrobił Brent. Podobnie jak człowiek w transie, opracował strategię, uzasadnił swe działania i odrzucił wszystko jako sen. Zdystansował się od planu - swojego planu - który właśnie zaczynał wydawać owoce. Powinien być oburzony i przerażony. Starał się wzbudzić w sobie oburzenie. Bez skutku. W jego mózgu tkwił homunculus majstrujący przy umyśle, zalewający go wybranymi hormonami, chłonący inne.

Pociągający za sznurki.

Skup się! - rozkazał sobie Brent. A może było to polecenie Pierwszego?

Czy rzeczywiście zamierza to zrobić? Naprawdę? Mimowolnie zaczął poruszać palcami, ćwicząc niezbędne gesty. Wyobraził sobie - nie, przypomniał - jak naciąga



lateksowe rękawiczki, jak obmacuje dolny odcinek kręgosłupa, naciskając i badając, póki nie znalazł kręgu lędźwiowego, odliczając, odciskając paznokciem znak we właściwym miejscu na skórze, pomiędzy kręgami L4 i L5 - informacja sama pojawiła się w jego głowie

- jak słyszy ciche pyknięcie, z którym igła przebija włóknistą błonę opony twardej. Przypomnił sobie lekki opór, jaki napotykała, wślizgując się do środka, i subtelną zmianę, kiedy zbliżyła się do wiązek nerwów rozchodzących się z podstawy rdzenia kręgowego... Pamiętał...

To zupełnie jak jazda na rowerze. Mimo wszystko wolałby przeprowadzić jeszcze jedną w pełni kontrolowaną punkcję lędźwiową na kimś zbytecznym, nim zrobi to samo z Charlesem.

Chciałby także czuć chociaż cień wyrzutów sumienia z powodu tego, co już zrobił i co zamierzał powtórzyć.

Ale czy miał jakikolwiek wybór? FDA, powiadomiona, że medyczne nanoboty Garner Nanotech nie ulegają samozniszczeniu w PMR, niemal na pewno wycofałaby warunkową zgodę na ich użycie. A gdyby się dowiedziała - albo gdyby naukowcy z FDA odkryli sami

- że obecna generacja botów stymuluje powstawanie synaps? Kazaliby zniszczyć cały zapas nanobotów. On/Pierwszy zostałby sam. ..i w końcu spotkałaby go nie unikniona śmierć. Dotychczasowe życie Charlesa nie znaczyło nic w porównaniu z uniknięciem tego losu. Pierwszy był całkowicie amoralny.

Mimo wszystko jednak Brent odmawiał zabijania

- z rozpaczliwą nadzieją, że zdoła obronić ten ostatni bastion. Istota, która nie ma sobie podobnej, jedyna w swoim rodzaju, nie zrozumie, czym jest rodzina

i przyjaźń, kultura i prawo. Nie zrozumie, jak wielkim marnotrawstwem było Angleton.

Kiedy setki ofiar stały się jedynie „marnotrawstwem”? Kiedy zniknęło oburzenie? Brent nie pamiętał nawet, kiedy ostatnio myślał o Ronie Kornie - i, co bardziej przerażające, nie potrafił żałować jego śmierci. Ze wszystkich jego uczuć związanych z tragedią pozostał jedynie samolubny strach o własne bezpieczeństwo. Albo bezpieczeństwo tamtego.

Stałem się potworem, uznał. Bez powodzenia próbował przerazić się tą myślą.

Charles głądził dalej, zaziewany, nieświadom niczego. I, choć sam tego nie wiedział, gotów.

Żywy, dyskredytujący własne doświadczenia z kulturami tkanek nerwowych, był dla Brenta bardziej użyteczny niż martwy przedmiot dochodzenia policyjnego. I stanowił znacznie mniejsze ryzyko, że Brent/Pierwszy resztę swego/ich życia spędzi w celi więziennej bądź na oddziale zamkniętym. Charles odmieniony, współnik, stanowiłby bezcenny atut.

*Zaczynaj*, błysnęło w polu widzenia Brenta.

- ...i poinformuję Dana o tych wynikach. - Charles potarł dłonią oczy i zaraz powieki mu opadły. - Chcę, by dowiedział się o wszystkim, nim ktokolwiek skontaktuje się z FDA i przekaże im najnowsze wyniki.

- Sprawiasz wrażenie zmęczonego - powiedział Brent.

- Tak, czuję się zmęczony.

- Bardzo zmęczony. - Brent spojrzał Charlesowi prosto w oczy. - Wyglądasz, jakbyś miał lada moment zasnąć tu w fotelu. Bardzo zmęczony.

- Mhm. Może powinniśmy przełożyć rozmowę na jut...

- Spójrz na mnie. Jesteś śpiący. - Brent usłyszał w duchu kojący miarowy głos Samira (a może odtworzył go ze wspomnień Pierwszego?) i dodał, naśladując go: - Jesteś bardzo śpiący.

- Jestem śpiący - zgodził się Charles. Powieki mu się zamknęły...

Włókienka dywanu połaskotały Charlesa w policzek. Czoło miał lepkie, koszulę wysuniętą ze spodni. Dlaczego leżał na podłodze? Otworzył oczy.

Obok niego klęczał Brent Cleary.

- Charles! Nic ci nie jest? Padłeś jak ścięty.

Charles jak przez mgłę rozważył jego pytanie.

- Wszystko w porządku. - A pomyślał: Nawet lepiej niż w porządku. Czuł się świetnie. - Chyba upadłem.

- Bez dwóch zdań. I uderzyłeś się głową o stół.

A zatem to coś lepkiego na moim czole to krew...

- Mogę wstać? Brent się roześmiał.

- Ty tu jesteś lekarzem.

Faktycznie.

- Najpierw usiądę.

Tak też zrobił. Krew ściekała mu do oka i dalej po policzku.

Brent dał mu chusteczkę.

- Rozciąłeś sobie czoło. Chyba powinieneś zatamować krew.

- Wezwijmy pogotowie.

- Nic ci nie będzie - odparł Brent. Głos miał miękki, kojący. - Nie ma potrzeby wzywać pogotowia.

To brzmiało rozsądnie.

- Nie ma potrzeby wzywać pogotowia - zgodził się Charles.

- Jesteś bardzo zmęczony, Charles. Weź sobie wolne. Urlop. Może trzy tygodnie na cichej plaży.

- Potrzebne mi wolne. Urlop. Trzy tygodnie na plaży. Żeby odpocząć.

- Doskonale. - Brent się uśmiechnął. - Powtórz.

- Jestem zmęczony. Potrzebuję urlopu na plaży. Odpoczynku.

- Dziś wieczorem zadzwonisz do Dana Garnera i powiesz mu, że potrzebujesz trzech tygodni wolnego. Opowiedz o wypadku, jaki spotkał cię w twoim własnym gabinecie. Poinformuj, że nie chcesz, by podczas twojej nieobecności w dziale biologicznym podejmowano jakiegokolwiek ważne decyzje. A ty nie jesteś w stanie myśleć o niczym ważnym.

- Zmęczyło mnie myślenie - zgodził się Charles.

- Kto jeszcze w twoim dziale wie o hodowlach tkanki nerwowej?

Kim nie pracowała w dziale Charlesa. Lekarz zakładowy też nie. Charles czuł, że z jakiejś przyczyny musi bardzo precyzyjnie odpowiadać na pytania.

- Nikt, Brent.

Jego odpowiedź wyraźnie ucieszyła Brenta. O dziwo, to z kolei ucieszyło Charlesa. I zdumiało go coś jeszcze.

- Uderzyłem się w głowę. Czy to nie dziwne, że nie boli?

- Ależ boli - odrzekł Brent. Płomienie strzeliły w górę, gdy wlał do kominka resztkę whisky z jego szklanki. - Zabroniłem ci czuć ból. Skup się, Charles. Zadzwonisz dziś wieczorem do Dana Garnera, żeby...

- Zadzwońię dziś wieczór do Dana i powiem mu, że potrzebuję urlopu.

- Dlaczego potrzebujesz urlopu, Charles?

- Jestem taki zmęczony, że upadłem i rąbnałem się w głowę. Potrzebny mi urlop.

- Zemdlałeś, Charles. „Upadłeś” brzmi, jakbyś się potknął albo zrobił coś nieostrożnego.

- Przepraszam. Zemdlałem i rąbnałem się w głowę. Jak widać, potrzebuję urlopu. Na plaży.

- Znakomicie. - Brent położył szklaneczkę na boku obok niskiego stolika. - Co jeszcze, Charles?

Charles napawał się jego aprobatą.

- Będę nalegał, by wszystkie ważne decyzje w moim dziale zaczęły *na* mój powrót.

- A hodowle tkankowe? Powiadomienie FDA?

Charles zmarszczył brwi. Strup formujący się na czole pękł, z rany znów popłynęła krew.

- To wszystko poważne decyzje. W tej chwili nie jestem w stanie o niczym myśleć.

- Zgadza się, Charles. Jestem z ciebie bardzo dumny. Zatem i on poczuł dumę.

- Dziękuję, że nie pozwoliłeś mi poczuć bólu.

- Bardzo proszę. - Brent pomógł Charlesowi usiąść w fotelu. - Przykro mi, ale później będzie bolało. I to bardzo.

- Wielka szkoda - odparł Charles.

- Ale jesteś twardzielem, prawda? Nie chcesz zażywać środków przeciwbólowych. Żadnego alkoholu. Nawet aspiryny. Jeśli ci zaproponują, nie przyjmiesz niczego.

- Dam radę bez leków. - I wiedział, że da, choć tak naprawdę kiepsko znosił ból. Ciekawe. - Ale dlaczego?

Brent się uśmiechnął.

- To tylko lekki uraz. Mam nadzieję, że wystarczająco, by zwabić nanoboty do twojego mózgu. Droge wskazują im markery bólu.

Nanoboty?

- Nie rozumiem.

- Dzięki mojej pracy mam dostęp do wszystkiego w fabryce. - Brent wyjął z kieszeni płaszcz strzykawkę z długą igłą w plastikowej osłonce. - Jeszcze przed chwilą była pełna nanobotów pierwszej pomocy.

No to się naciął.

- Boty nie przedostaną się przez BKM.

- Dlatego właśnie dokonałem punkcji łądwiowej, Charles. Boty są już w twoim płynie mózgowo-rdzeniowym. A ponieważ uderzyłem cię czołem o kant stołu, są tam także markery obrażeń i bólu. W tej chwili boty zmierzają w stronę urazu.

Nanoboty w PMR nie ulegały samozniszczeniu i pobudzały tworzenie synaps.

- Powinienem się denerwować, prawda? - Charles zastanawiał się, czemu jest spokojny.

- Jeszcze o tym porozmawiamy, Charles - odparł kojąco Brent. - Ufasz mi, prawda?

- Ufam ci - powtórzył Charles, abstrakcyjnie zastanawiając się dlaczego. Uznał w końcu, że polecono mu, by ufał Brentowi.

- No dobrze, Charles, powtórzmy. Co masz powiedzieć dziś wieczór Danowi Garnerowi?

Charles opuścił chusteczkę. Krwawienie już prawie ustało.

- Jestem zmęczony. Tak bardzo zmęczony, że ze mdlałem. Potrzebuję trzech tygodni urlopu. Nie chcę, by pod moją nieobecność w dziale biologicznym podejmowano jakiegokolwiek ważne decyzje.

Zwykle nie brał urlopu zimą, ale to miało sens. Bez odpoczynku, długiego odpoczynku, znów mógłby zemdleć i się zranić. A to byłoby złe.

- Doskonale, Charles. Po urlopie poczujesz się znacznie lepiej, odprężony i wypoczęty.

- Amy zmartwi się, że zemdlałem i się zraniłem. Czemu ja się nie martwię?

- Bo jesteś w transie hipnotycznym, Charles, i kazałem ci się nie martwić. Kiedy się zbudzisz, będziesz pamiętał, że wpadłem do ciebie, by pogadać o wspólnych prezentach dla sekretarek w pracy, i zaproponowałeś, powiedzmy, blok orzechowy. Będziesz pamiętał, że upadłeś i uderzyłeś się w głowę. Głowa będzie cię boleć, ale tylko dziś do szóstej wieczór. Nie chcesz iść do lekarza. Nie potrzebujesz leków. Jeśli ktoś cię spyta, odmówisz pójścia do lekarza, kliniki czy na pogotowie i przypomnisz, że sam jesteś lekarzem. Gdyby nalegał, wpadniesz w złość i stawisz jeszcze większy opór. Będziesz pamiętał, co powiedzieć Donowi, i wierzył, że wzięcie wolnego to wyłącznie twój pomysł. Zapomnisz o wszystkim innym, o czym rozmawialiśmy od chwili, gdy przekroczyłem próg twojego domu. Nie będziesz czuł bólu ani dyskomfortu po punkcji lędźwiowej, nie zauważysz pozostawionej rany. Nie wspomnisz nikomu o doświadczeniu z botami w tkankach nerwowych. Jeśli ktoś spyta cię o nie, odpowiesz, że szalki Petriego były bez wątpienia zanieczyszczone, wszelkie obserwacje nie miały znaczenia, toteż zniszczyłeś hodowlę.

Charles zmrużył oczy w skupieniu, ponownie zdzierając strup na czole.

- Po co miałbym niszczyć hodowlę?

- Nie chcesz, by ktoś wyciągnął błędne wnioski z zanieczyszczonych kultur. Byłoby fatalnie, gdyby parę

brudnych szalek Petriego powstrzymało zbliżające się wojskowe testy polowe. Wściekłbyś się na samą myśl o podobnej głupocie.

- Opóźnienie faktycznie byłoby złe - zgodził się Charles.

- Mogłoby zaszkodzić firmie i powstrzymać wejście na giełdę. To kosztowałoby nas majątek. Kosztowałoby ciebie majątek, Charles. Twoja rodzina by ucierpiała.

- W takim razie hodowle powinny zostać zniszczone - oznajmił stanowczo Charles. Testy wojskowe musiały się powieść, by firma weszła na giełdę. Oczywiście to jej wejście zaszkodzi Amy, nie jego fiasko. Zabawna ironia, ale nie obchodzi nikogo prócz niego. - I zapisy komputerowe.

- Owszem, powinny, Charles. Świetnie, że to rozumiesz. Jeśli mogę mówić dalej, po przebudzeniu uwierzysz we wszystko, co ci powiem. Odpowiesz szczerze i dokładnie na każde pytanie, posłuchasz bez żadnych zastrzeżeń wszelkich moich sugestii i uznasz, że to zupełnie naturalne. Gdy tylko odczytasz bądź usłyszysz frazę „raz, dwa, trzy, abakus”, natychmiast wejdiesz w trans, a wyjdiesz z niego, dopiero gdy otrzymasz polecenie. Bez słowa komentarza będziesz przyjmował wszystko, co cię spotka, nieważne jak dziwne. Będziesz słuchał tych poleceń, ale nie zapamiętasz świadomie, że je otrzymałeś. Zrozumiałeś, co masz robić, Charles?

- Ale nie zniszczyłem przecież kultur tkankowych, prawda?

- Poproś mnie, żebym zrobił to za ciebie, Charles.

- Zechcesz zniszczyć za mnie te kultury?

- Zechcę. Toteż pośrednio tyje zniszczyłeś. - Brent zawiesił głos, czekając, aż Charles przytaknie. - Jakie jest twoje hasło, Charles, bym mógł skasować zapisy?



- Nie powinienem podawać nikomu swojego hasła, prawda?

- Mnie możesz zaufać - rzekł kojąco Brent. - Poprosiłeś mnie przecież, żebym zniszczył te informacje, pamiętasz?

- Jasne. Dobrze, moje hasło to „tobonan2001”. To „nanobot” zapisane od tyłu.

- Czy to hasło daje dostęp do wszystkich plików z pracowni biologicznych?

-Tak.

- Znakomicie. Teraz zapomnij, że powierzyłeś mi to zadanie i przekazałeś hasło. Pamiętaj tylko, że sam zniszczyłeś hodowle i zapisy. Zrozumiałeś instrukcje?

- Zrozumiałem.

- A teraz popraw koszulę i wsadź w spodnie. Połóż się na podłodze, tak jak parę minut wcześniej.

Charles posłuchał.

- Zacznę odliczać od trzech, Charles. Kiedy powiem „zero”, obudzisz się. Trzy, dwa, jeden, zero.

- Spokojnie, wielkoludzie! - rzucił Brent. Trząśł się *cały* i nie bez powodu. Jeśli to się nie uda, ma/mają przechlapane. - Nic ci nie jest?

- Dlaczego leżę na podłodze? Boli mnie głowa. - Charles rozejrzył się oszołomiony. Usiadł. - Chyba zemdlałem i uderzyłem się w głowę.

- Mówiłeś coś o dołożeniu do ognia. Wstałeś z fotela i się wy wróciłeś. Chyba po drodze trafiłeś głową w stół.

Na dywanie leżała szklanka. Dywan był suchy. Brent patrzył, jak Charles porządkuje myśli.

- Może za dużo szkockiej?

Najwyraźniej zapomniał wszystko zgodnie z poleceniem - także to, że Brent wstrzyknął mu nanobo-ty. Powiedzenie wszystkiego stanowiło skalkulowane ryzyko. Zaszczepienie informacji w pamięci Charlesa stanowiło najlepszy sposób zapewnienia powstałej osobowości dostępu do danych na temat własnego pochodzenia.

Lecz czy Charles zapamiętał wszystko, co powinien?

- Chyba za wiele pracujesz.

- Potrzebny mi urlop. Powinienem zadzwonić do Dana i wziąć trochę wolnego. Trzy tygodnie *na* plaży to dobry pomysł.

Dotąd wszystko świetnie.

- Trochę krwawi ci czoło. Może pojedziemy na ostry dyżur?

Charles pomacał się po czole. Skrzywił się, gdy palcami trafił na ranę, po czym z beznamiętną miną obejrzał plamę krwi na opuszkach. Podniósł się ostrożnie i poszedł się przejrzeć w ciemnym monitorze komputera.

- Zaraz oczyszczę to skaleczenie i zakleję plastrem. Nic mi nie będzie.

- Na pewno?

- Kto tu jest lekarzem? - warknął Charles.

Znakomicie.

- W takim razie już sobie idę.

Brent wyjął z kieszeni okulary VR, nie mogąc się doczekać połączenia ze światem.

- Charles, powinieneś sprawić sobie podobne okulary. Spędzić trochę czasu w VirtuaLife, kiedy będziesz na plaży. Przyślę ci zaproszenie na moją prywatną wyspę.

Charles zmarszczył brwi.

- Nie grywam w gry VR.

Nawet zahipnotyzowanego człowieka nie da się zmusić do czegoś wbrew jego woli. Polecenia, jakie wydawał Brent, miały wartość sugestii. Nie mogły jednak sprawić, by ktoś zaczął działać wbrew własnej naturze.

- Charles, źle mnie zrozumiałeś. Nie chodzi o gry VR. W tych okularach znacznie szybciej mógłbyś nadgonić lektury - przyjemne, odpężające lektury. Nie będziesz musiał nawet zabierać książki. Czy to nie brzmi fajnie? Chcesz przecież odpocząć, prawda?

- No tak - zgodził się niepewnie Charles.

- Poza tym VirtuaLife to nie gra. Oczywiście, jesteś zbyt dojrzały na gry. Moje programy w Virtua-Life pomogą ci w pełni opanować okulary. Ułatwią odpoczynek.

- Ach tak. Dobra.

Brent miał jeszcze kilka innych „sugestii”. Przekazał je najszybciej jak umiał, denerwując się coraz bardziej. Chciał zniknąć, nim Amy Walczak wróci do domu. Od faceta, który zemdlął i ma guza na czole, nie oczekuje się jasnych odpowiedzi. Gdyby gość pozostał na miejscu, nie miałby podobnych wymówek.

W końcu znów znalazł się w swoim samochodzie na drodze. Wciąż nie mógł uwierzyć, co przed chwilą zrobił. Ręce na kierownicy drżały nerwowo. Z trudem oparł się pokusie dociśnięcia gazu do dechy. Ucieczki. Zupełnie jakby...

Jakby jego organizm załapała fala adrenaliny. Klasyczny odruch, walcz bądź uciekaj. Był marionetką Pierwszego, tak jak Charles jego.

Skręcił na parking centrum handlowego i zatrzymał się. Zaczął oddychać głęboko, wyobrażając

sobie swoją wyspę. Adrenalina wypalała się powoli. A może to Pierwszy manipulował poziomem innego hormonu.

Brent znów myślał jasno.

Może - zapewne - Charles wyjedzie na kilka tygodni. Może Kim zaczeka na powrót Charlesa, zamiast wspomnieć o eksperymencie komukolwiek innemu, a Dan Garner posłucha jego prośby o powstrzymanie ważniejszych decyzji w jego dziale. Może nikt inny w dziale biologicznym nie wpadł na pomysł eksperymentowania z botami w hodowlach tkanek nerwowych i nie opowie wszystkiego kolegom.

Może podczas pobytu Charlesa na plaży odpowiednia ilość botów zagnieździ się w jego mózgu. Na to istniały spore szanse. Charles miał tylko jedno poważne obrażenie, lekki wstrząs mózgu, który przyciągnie wszystkie nanoboty wstrzyknięte wprost do centralnego układu nerwowego przez BKM. Poczciwy doktor może otrzymać większą dawkę botów połączonych z mózgiem niż Pierwszy. (Nawet Pierwszy nie wiedział, jak boty przedostały się przez BKM do mózgu Brenta. Zdarzyło się to na długo przed jego przebudzeniem).

I może dzięki zachętom posthipnotycznym i ćwiczeniom w okularach VR alter ego Charlesa powstanie w ciągu tygodni - nie wielu miesięcy, których wymagał Pierwszy.

To całe mnóstwo może. Ale jeśli wszystko się powiedzie? Wówczas uda się mnie/nam uniknąć najgorszego. W kącie pola widzenia Brenta pojawiła się twarz. Była to jego własna twarz, dostrzeżona w lustrze - nie miał pojęcia kiedy. Wydało mu się, że uśmiecha się do samego siebie.

Twarz potwora.

Podjechał do najbliższego sklepu spożywczego, kupił sześciopak piwa i zawrócił w stronę Garner Nanotech oraz niebezpiecznych hodowli tkankowych. Nie wiedział, który ze strażników ma dyżur w to paskudne sobotnie popołudnie, ale to nie miało znaczenia. Wszyscy byli jego przyjaciółmi. Każdy, kogo zastanie, nie odmówi miłej rozmowy i piwa.

I kiedy Brent prowadził, a Pierwszy notował w myślach, razem zaczęli opracowywać listę ludzi, których poddadzą... ewolucji.

12 GRUDNIA 2016. PONIEDZIAŁEK

Poniedziałkowy ranek Kim zaczął się od pilnego wezwania, które okazało się zbyt dosłownym odczytaniem planu testów oprogramowania.

Ci, którzy umieją programować, programują. Ci, którzy nie umieją, zostają testerami i uprzykrzają życie programistom. Dochodziło południe, nim zdołała usiąść za biurkiem.

Charles nie zadzwonił ani nie przysłał jej e-maila.

Zirytowana pomaszrowała do skrzydła, w którym pracował Aaron.

- Nie dzisiaj - warknęła, przechodząc przez główny hol, gdy Kapitan Ameryka rozpoczął swą stałą przemowę. Trzy kroki dalej zatrzymała się gwałtownie. - Jeśli mogę spytać, co się panu stało w głowę?

Dotknął czoła ozdobionego paskudnym siniakiem.

- Uroczy, prawda? Miałem dyżur w niedzielę po południu. Podczas obchodu potknąłem się o krawędź dywanu i uderzyłem głową o kant biurka.

- Auć. Nic panu nie jest?

- Zupełnie nic, tylko trochę mi głupio... proszę pani.

Zarumieniła się.

- Przepraszam, że na pana warknęłam. Mam zły dzień, ale nie powinnam wyżywać się na innych.

- Po kolejnych dwóch krokach znów się zatrzymała.

- Może pan nie wie, ale mamy teraz w zakładzie infirmerię. Lekarz z pewnością zechce się panem zająć.

- Dziękuję. Zapamiętam.

Innymi słowy uprzejme „nie”. Cóż, przynajmniej zachował się grzecznie, w odróżnieniu od niej. Skinęła głową i ruszyła dalej.

Poczekalnia Aarona była pusta, jednak Kim usłyszała niewyraźne głosy dobiegające ze środka. Ochrzanając się w duchu, że nie zabrała laptopa, usiadła, kładąc ręce na kolanach.

Do lekarza przychodzą chorzy. Nie dotykaj czasopism, rzekła do siebie.

Właśnie nastał sezon grypowy, toteż przypomniała sobie mądre słowa swego taty. Byłby z niej dumny.

Drzwi gabinetu otwarły się ze skrzypnięciem.

- Powiadom mnie, jak ci pójdzie, moja droga - rzekł do pacjentki Aaron. Kim nie rozpoznała tej kobiety, domyśliła się, że to kolejna nowa pracownica z działu produkcji. Aaron zauważył ją. - Znam tę minę, Kim. Wejdz.

Podążyła za nim do gabinetu.

- Charles nie odezwał się ani słowem. Mam nadzieję, że olał tylko mnie, bo jestem amatorką. Słyszałeś coś?

- Nie dzwonił. - Aaron pochylił się nad biurkiem.

- Ani nie e-mailował.

Kim wybrała wewnętrzny Charlesa i włączyła głośnik. Po piątym dzwonku odezwał się nagrany komunikat. Właśnie miała się rozłączyć, gdy zorientowała się, że powitanie brzmi inaczej niż zwykle.

- ...trzeciego stycznia. W sprawach niemogących czekać proszę się kontaktować z doktor Crystal Nordling, wewnętrzny trzy dwa dziewięć. W przeciwnym razie proszę zostawić wiadomość. Dziękuję.

- Co, do diabła? - mruknęła. - Czyja zwariowałam, czy Charles zapowiedział nam w piątek, że dziś rano porozmawia z Brentem?

- Chyba że ja też zwariowałem. - Aaron wystukał krótki e-mail do Charlesa. Natychmiast otrzymał automatyczną odpowiedź z informacją o urlopie. - Znasz Nordling?

- Ledwie. To biofizyczka, jedna z kilkorga teoretyków w zespole Charlesa. Zajmuje się dalekosięznymi planami mechanizmów naprawy komórkowej. - Crystal była cicha, bardzo blada, z upodobaniem ubierała się zbyt ciemno, przez co wyglądała trochę jak wampirzyca. Kim ruszyła do drzwi. - Zobaczmy, co wie o Charlesie.

Dział badawczy leżał po drugiej stronie zakładu. Do diabła z zasadami, pomyślała Kim i ponownie ruszyła na skróty przez halę produkcyjną. Wściekła z powodu zniknięcia Charlesa, prawie nie patrzyła na taśmę, na której powoli przesuwały się testowe egzemplarze nanostrojów. Z magazynu wyłonił się robotnik. Pogwizdując fałszywie „Silver Bells”, pchał przed sobą manekina na dwukołowej taczce. Kim domyśliła się, że manekin służy do ostatecznego dopasowania nanostroju. W pobliżu dwóch inżynierów przemysłowych ostrożnie rozpakowywało sprzęt do tkania nanorurek, zakupiony niedawno - zgodnie z rekomendacją Brenta - od potencjalnego producenta wind kosmicznych. W pobliżu kosztownej maszyny stał ktoś z ochrony, czekając, aż będzie mógł zaaplikować nalepkę inwentarzową (bardzo widoczną) i czip przeciwkradzieżowy (ukryty).

Kiedy Kim szybkim krokiem poprowadziła Aarona obok szklanej ściany działu montażu nanobotów, lekarz szybko obrócił głowę. Tak naprawdę nie było czego oglądać. Cała magia działa się w hermetycznych zbiornikach chemicznych, w których reakcjami dyrygowały elektronicznie uruchamiane dawki katalizatorów, umieszczone na wewnętrznej ścianie naczynia. Gotowe boty? Da się zobaczyć, jeśli dysponuje się odpowiednim sprzętem. Natomiast przypadkowy taniec automontażu, w miarę jak ruchy Browna popychały ku sobie nanokomponenty, dopóki nie ułożą się jak należy i połączą? To można sobie tylko wyobrazić.

- Innym razem - powiedziała do Aarona.

Oczywiście będzie to z konieczności wyjaśnienie przez okno. Produkcja botów to największa i najcenniejsza tajemnica firmowa. Dostęp do laboratoriów ściśle limitowano, kontrolowały go skanery siatkówki. Kim nie było na liście.

Z zakładu weszli wprost do działu biologicznego. Crystal Nordling jadła lunch przy swoim biurku, wyraźnie zmęczona. Okazało się, jej wiedza na temat nieobecności Charlesa jest niemal zerowa.

- Chciałabym cokolwiek wiedzieć, bo zwałił wszystko na mnie. Wysłał e-mail do całego zespołu, mianując mnie kierowniczką na czas jego nieobecności. Wczoraj wieczorem zostawił mi wiadomość na poczcie głosowej. Powiedział, że jest wykończony, wyjeżdża na Karaiby i mam pilnować wszystkiego do jego powrotu. Najwyraźniej... - urwała gwałtownie.

Kim bez trudu dokończyła zdanie: nie ufa mi dostatecznie, żebym mogła podejmować ważne decyzje. Zdecydowała się zagrać kartą współczucia.

- Charles nie zachował się zbyt uprzejmie.



Crystal nie połknęła przynęty.

- A co was tu sprowadza?

- Chodzi o trwający eksperyment. Nanoboty w kulturach tkanek nerwowych.

Crystal pokręciła głową.

- To dla mnie nowina. Nic o tym nie wiem.

- Nie szkodzi, my wiemy. Sam się tym zajmę - oświadczył Aaron. Crystal podziękowała mu wzrokiem, a Kim pożałowała, że nie potrafi zachowywać się równie elegancko. - Później o tym porozmawiamy.

Jak się okazało, niewiele później. Po pięciu minutach wrócili do biura Crystal. Nie miała pojęcia, gdzie się podziały hodowle.

Jeszcze szybszy marsz przez wielki budynek, tym razem do biur kierownictwa. Tyra Kurtz, wspólna szefowa Kim i Charlesa, wiedziała nie więcej niż Crystal. Była jeszcze bardziej poirytowana.

- Trzy tygodnie urlopu. Bez uprzedzenia. Nawet nie zadzwonił z lotniska. Dowiedziałam się dopiero dziś rano, od Felipe. - (Felipe Lopeza, dyrektora operacyjnego, szefa Tyry i, tak się składało, również Aarona). Zanim Kim zdołała wymyślić uprzejmą odpowiedź, Tyra dodała: - Felipe jest wściekły. Charles zwrócił się wprost do Dana Garnera. Zadzwonił do niego podczas jego urlopu, uwierzycie w podobną bezczelność? Dan zatwierdził mu urlop i polecił Felipe, by nie zwracał Charlesowi głowy.

- To niezwykle - zauważył łagodnie Aaron.

Tyra zeszytniała na krześle.

- Nie widzę jednak, co to ma wspólnego z panem, doktorze. Chyba że potrzebuje pan pomocy w rozdawaniu aspiryny i plastrów.

- Przeprowadzaliśmy z Charlesem pewien drobny eksperyment. Okazuje się, że boty stymulują powstawanie synaps w kulturach nerwowych. To niepokojące, bo boty w PMR nie ulegają zniszczeniu w odróżnieniu od tych w plazmie.

- Cholera. - Tyra była z zawodu biochemikiem, nie musieli wyjaśniać jej wszystkich implikacji. Gestem wskazała monitor. - FDA dostanie szału. Pokażcie.

- W tym właśnie rzecz - wtrąciła Kim. - Podczas weekendu wszystkie hodowle zniknęły. Zupełnie jak Charles.

I, o ile Charles nie bawił się w chowanego, to samo spotkało komputerową dokumentację eksperymentu. Kim zachowała dla siebie informację, że próbowała włamać się do archiwów laboratorium. Wątpiła, by Tyra doceniła ten przejaw inicjatywy pracowniczej.

- Mimo poleceń Dana próbowałam dodzwonić się na komórkę Charlesa. Okazało się, że jest poza zasięgiem. - Tyra ścisnęła dwoma palcami grzbiet nosa.

- Z tego, co pamiętam o hodowlach neuronów, do powtórzenia eksperymentu potrzebujecie dwóch, trzech tygodni.

- Mniej więcej - zgodził się Aaron. - Tymczasem powinniśmy się skontaktować z FDA.

- I wojskiem - dodała Kim. - Klient powinien usłyszeć taką informację bezpośrednio od Garner Nanotech, nie od FDA.

- Nie macie hodowli. Ani żadnych danych, tak przynajmniej zgaduję, inaczej od nich byście zaczęli.

- Tyra puściła nos i zaczęła masować skronie. - Nawet

po bardzo wiarygodnym doświadczeniu odpowiedzialnym następnym krokiem byłoby powtórzenie wyników. Chyba nie myślicie poważnie, że w tej chwili skontaktujemy się z FDA i naszym podstawowym klientem.

- Któraś z organizacji może zechcieć uczestniczyć w powtórzonym... - zaczął Aaron.

- Nie macie dowodów - ucięła Tyra. - Hm, hm. Nie ma mowy, ludzie. Pomówcie z Crystal o powtórzeniu eksperymentu.

- Ale Tyro... - zaczęła Kim.

- Słyszeliście. Na razie to zostaje w firmie. Nawet kiedy będziemy już mieć dane i wyniki okażą się zgodne z oczekiwaniami, to nie ja zadzwonię. Schrzanienie najważniejszych wojskowych testów wykracza poza moje kompetencje.

A schrzanienie życia ludzi? - o mało nie wybuchnęła Kim. Został jej jeszcze jeden pomysł i wiedziała, że Tyra go nie poprze.

Cóż, łatwiej wybaczyć, niż udzielić zezwolenia.

- Dzięki, że nas wysłuchałaś.

Kiedy wyszli z gabinetu Tyry, Aaron raz jeden zerknął na minę Kim.

- Wiesz co - powiedział - chodźmy na kawę. Albo na lunch, jeśli jeszcze nie jadłaś.

Kim z chęcią pozwoliła mu prowadzić. Crystal nie miała uprawnień. Tyra zwlekała, z nadzieją że problem sam się rozwiąże. Jeśli nie, wyraźnie planowała przekazać go komuś innemu. Felipe zawsze starał się nie robić hałasu. No i jeszcze ja, pomyślała Kim. Tylko co ja mogę?

W zamyśleniu nie zauważyła, że przejechali przez rzekę. Ach, rzeka, niezbyt imponujący Mohawk. Za każdym razem gdy odwiedzali ją rodzice, tato nie potrafił przejechać przez rzekę, nie intonując swym najbardziej udatnym, zwiastunowym głosem „Strzelby nad Mohawkiem”. I nie ma żadnego znaczenia, że w obecnych czasach strzelby nad rzeką to weekendowa codzienność. Ani że film, który tak bardzo lubił, bo oglądał go w telewizji z dziadkiem, miał tytuł „Bębny nad Mohawkiem”. Obie z matką już dawno odkryły, że nigdy tego nie zapamięta.

Jakby nie miała w tej chwili ważniejszych spraw na głowie niż dziwactwa taty.

Wjechali w dzielnicę skromnych domków o ścianach wyłożonych listwkami. Wiele domków ozdabiały jaskrawokolorowe drewniane motyle, typowy dla Uteki kicz, który, jak miała nadzieję Kim, nie wejdzie w modę nigdzie indziej. Obecnie, przysypane śniegiem, wyglądały jeszcze bardziej absurdalnie.

- Chyba zboczyliśmy z ubitych szlaków.

Aaron się roześmiał.

- Bynajmniej. To szlak, który ubijam co dzień, jadąc do pracy i z powrotem. Kiedy czuję irytację, lubię go tować. A przynajmniej bałaganić w kuchni.

Kim zaskoczyła robotnicza dzielnica. Aaron był lekarzem wojskowym, dopiero niedawno wrócił ze służby w szpitalu wojskowym w Niemczech. Owszem, lekarze wojskowi z pewnością zarabiali mniej niż ich cywilni odpowiednicy, ale przecież byli oficerami. Poza tym musiał dostawać sporą pensję w Garner Nanotech. Czemu więc tutaj?

Zaparkował na krótkim podjeździe - nie miał garażu - i wprowadził Kim do, jak oceniała, czteropokojowego

domu. Salon pachniał potpourri i perfumowanymi świecami. Na ścianach w holu wisiał długi rząd ponurych obrazów przedstawiających oficjalnie upożewanych ludzi; głowy większości z nich okalały kręgi światła. Ortodoksyjne ikony, uznana Kim i elementy układanki złączyły się w jedną całość. W Utice żyła duża serbska mniejszość.

- Twoja żona jest Serbką?

- Bośniacką, owszem. Rodzina Sladji uciekła w połowie lat dziewięćdziesiątych. W tej dzielnicy czuje się jak w domu. Jej rodzice mieszkają przy tej samej ulicy, a kuzyni parę przecznic dalej. - Jego twarz przybrała nietypowo poważny wyraz. - Po dwóch misjach w Niemczech byłem jej to winien.

Aaron bardzo szybko kompletnie zabałaganiał ciasną kuchnię. Kim siedziała przy niewielkim stole, podczas gdy on podgrzewał zupę i krzątał się przy tostach z serem. Jego żona pracowała, dzieci były w szkole; mieli cały dom dla siebie.

Lecz lunch stanowił tylko pretekst. Tak naprawdę przyjechali tu, by spokojnie przeprowadzić poważną rozmowę. Zadrzała.

- Boty tworzące synapsy to wielka sprawa, prawda?

- Dla mnie owszem. Mimo wszystko muszę ci powiedzieć, Kim, że nie jestem jeszcze gotów stwierdzić, iż ma to cokolwiek wspólnego z zachowaniem Brenta. - Aaron przewrócił tosta na patelni. - Domyślam się, że masz jakiś plan B, inaczej mocniej naciskałabyś na Tyre.

Dan Garner wiele razy wysyłał Kim na Manhattan, do Bostonu i do Doliny Krzemowej na spotkania z potencjalnymi inwestorami. Dlatego dysponowała numerem jego komórki. Szwajcaria z pewnością będzie

w zasięgu -jeśli złapie Dana w domku, nie na zboczu. W Europie dochodziła dziewiąta wieczór.

- Owszem, mam plan B. Porozmawiamy z samą górą.

Zadzwoiła z własnej komórki, bojąc się, że za moment zabraknie jej odwagi.

- Halo, Dan?

- Mhm. Kim? Może nie wiesz, ale jestem na urlopie.

- Przepraszam, lecz to nie może czekać. Pojawił się wielki problem.

- Przeląć na głośnik - powiedział bezdźwięcznie Aaron. Posłuchała.

- Po to właśnie mam dyrektorów, Kim.

Owszem, najlepszych na tej planecie.

- Bez ciebie nic z tym nie zrobią, Dan. - Odetchnęła głęboko. - Oto skrócona wersja. Jeśli boty przedostaną się do mózgu, zostaną tam i zaczną pobudzać po wstawianiu synaps.

Cisza.

- Kiedy to wyszło? I jak?

Aaron odchrząknął.

- Tu Aaron Sanders, lekarz zakładowy. My...

- Ktoś jeszcze tego słucha? - spytał Dan.

- Nie. Tylko Kim i ja. W każdym razie doktor Walczak za moją radą przeprowadził doświadczenie. W zeszły piątek Charles pokazał Kim i mnie hodowlę tkanek nerwowych. Wszyscy widzieliśmy nowe formacje synaptyczne w szalkach Petriego.

- Tylko że teraz próbki zniknęły - dodała Kim. - A Charles wraz z nimi.

Odgłosy tła od strony Dana nagle ucichły, jakby zasłonił ręką mikrofon.

- Przepraszam, room service z późną kolacją. Aaron, mów mi Dan. Dobra, co do Charlesa, uwierzcie mi, potrzebował wolnego. O hodowlach nic mi nie wiadomo.

Gdy się powiedziało A...

- W ostatni piątek Charles wyglądał zupełnie normalnie. Co się zmieniło do niedzieli?

Znów cisza.

- Ufam, że zachowacie tę informację dla siebie. Charles jest po prostu wyczerpany. Zbyt ciężko pracował. Wczoraj zemdlął i podczas upadku rozwałił sobie głowę. Wystraszył się. A jeszcze bardziej Amy, kiedy o tym usłyszała. Nie mogłem odmówić, gdy oznajmił, że musi natychmiast wziąć urlop.

Aaron zaczął coś mówić, lecz Kim uniosła palec do ust. Pozwól Danowi wszystko przemyśleć.

- Aaron, Kim, rozumiem wasze obawy. Naprawdę. Jeśli wyniki się potwierdzą, trafią do FDA i do klienta. Nim tak się jednak stanie, musimy je zweryfikować. Musimy mieć pewność. Najpierw zatem chcę, żebyście powtórzyli eksperyment. Ustalcie wszystko z Tyra i Brentem - dodał z naciskiem Dan.

- Brent nie chce w to uwierzyć. - I choć Kim nie mogła się zmusić, by powiedzieć to głośno, nie potrafiła także powstrzymać myśli: Może w jakiś sposób to boty w mózgu sprawiły, że nagle stał się taki bystry. - Nie sądzę, by potrafił zachować obiektywizm.

- Jeśli można, chcielibyśmy skontaktować się z Charlesem - dodał Aaron.

- Dałem Charlesowi słowo, że nikt nie będzie zawracał mu głowy. - Dan westchnął. - *Me* czyja mógłbym zawrócić mu głowę? No dobra, wiem, jak się z nim skontaktować. Odezwę się.

Ledwie zdążyła zjeść zwęglonego tosta, gdy zadźwięczała jej komórka.

- Halo.

- Kim, tu Dan. Wciąż jesteście sami z Aaronem?

- Tak. Przełączam na głośnik. - *Położyła* komórkę na stole.

- Spytałem Charlesa o eksperyment. Powiedział, że próbki były zanieczyszczone, wyniki nic nie znaczyły, toteż zniszczył hodowle. Nie podał żadnych szczegółów. Zacząłem naciskać, ale mi przerwał i przypomniał, że jest na urlopie. - Dan się zawahał. - Nie powtarzajcie tego nikomu. Szczerze mówiąc, wyczułem, że jest zbyt wykończony, by dyskutować o szczegółach. Potrzebuje odpoczynku. I dopilnuję, żeby go znalazł. Wszyscy musimy zostawić go w spokoju.

Tak jakby mieli z Aaronem jakiś wybór.

Aaron pochylił się w stronę telefonu.

- W porządku, Dan. Powtórzmy doświadczenie.

- Ile to potrwa?

- Dwa tygodnie - odparł Aaron.

- Po prostu idealnie - rzekł z sarkazmem Dan. - Jeśli zaczniecie dzisiaj, otrzymacie wyniki dwudziestego szóstego. Dzień po Bożym Narodzeniu. Słuchajcie uważnie, ludzie. Nie sprzedamy takiej niespodzianki - zakładając na moment, że zdołacie powtórzyć to, co jak się wam wydaje, widzieliście - urzędnikom rządowym w samym środku świąt. Przyjrzyjmy się ich opcjom. Mogą od razu wydać zakaz dalszych prac, powołując się na bezpieczeństwo - tak po prostu. Żaden biurokrata nie stracił pracy, bo nie podjął ryzyka. Albo mogą kazać nam poczekać, póki dokładnie nie przemyślą tej złożonej sytuacji. Co oznacza, że zapomną o sprawie i wyniosą się do domu. Nawet najbardziej



ofiarni pracownicy wybiorą poświęczone wyprzedaje. Tak czy inaczej, zamkną nas tak szybko, że zakreśli nam się od tego w głowach.

Ofiarni pracownicy, tacy jak Aaron i ja? Kim zdołała ugryźć się w język.

- Nie ma powodu, żebym skracał swój urlop. Porozmawiam z wami w nowym roku. - Na wypadek, gdyby nie zrozumieli, przerwał połączenie.

Kim, pochylona nad syfiastym daniem z mikrofalówki, spożywanym w towarzystwie telewizora włączanego na CNN, wykończona i wyczerpana emocjonalnie, nagle zamarła.

W czasie weekendu Charles upadł i uderzył się w głowę. W czasie weekendu Kapitan Ameryka upadł i uderzył się w głowę. Hodowle Charlesa zniknęły w czasie tegoż weekendu, gdy Kapitan Ameryka pilnował budynku.

Cokolwiek to oznaczało, nie mogła uwierzyć, by sprawił to jedynie przypadek.

26 GRUDNIA 2016. PONIEDZIAŁEK. GODZINA 19.45

Plaże w Saint Croix były z pewnością ciepłe, słoneczne i kuszące, w przeciwieństwie do Utiki zimą. Plaża w VirtuaLife jedynie wydawała się ciepła, słoneczna i kusząca.

Tę drugą jednak Brent mógł przynajmniej odwiedzić, choćby na parę minut. Wydarzenia toczyły się zbyt szybko, by mógł sobie pozwolić na dłuższą nieobecność. Dobrze zapamiętał lekcję ze Święta Dziękczynienia:

na nikim nie polegać w sprawie alibi. Przyjaciele i rodzina wierzyli, że wyjechał do kurortu narciarskiego w Adirondacksach na świąteczny tydzień dla samotnych. Wiedział, że fakt, iż odzyskał dość sił, by móc jeździć na nartach, a zdecydował się nie pojechać na święta do domu, zranił jego rodziców.

Żałował, że nie pamięta nawet, jak to jest się przejmować.

Oczami Schultza przyglądał się awatarowi Charle-sa - odzianemu w kąpielówki i podkoszulek i pozbawionemu wyhodowanego z wiekiem brzucha - który z zamkniętymi oczami huśtał się w hamaku. Uszami Schultza Brent słyszał szmer fal na piasku, łopotanie ręcznika powieszzonego na oparciu leżaka i odległą muzykę calypso. Charles dodał też kilka innych miłych akcentów: ciemne pasmo wodorostów na skraju wody; barwną altanę na plaży; jacht daleko w morzu; podskakujące boje, dzwoniące dzwoneczkami, wyznaczające szlak żeglarski.

Od zaszczepienia Charlesa minęły dwa tygodnie. Upiększenie symulacji wyspy sugerowało, że zgodnie z poleceniem Brenta spędzał sporo czasu w VR.

Od wielu dni subtelne elementy symulacji wyspy pobudzały umysł Charlesa w sposób, który, jak miał nadzieję Pierwszy, wywoła... powstanie innego. Czas sprawdzić, jak powiodła się przemiana. Jeśli w ogóle się powiodła.

- Raz, dwa, trzy, abakus - powiedział Brent. Nie zmieniał pyska Schultza, tak by umożliwił artykulację. Koty nie potrzebują ust. - Jak się czujesz, Charles?

W polu widzenia z kreskówkowym pyknięciem pojawił się rysunkowy dymek.

- Odpocząłem, dzięki. Co prawda na prawdziwym czole wciąż mam jeszcze resztkę sińca, ale dopóki leżę na prawdziwej plaży, z twarzą zasłoniętą słomkowym kapeluszem, kto go zobaczy? - Charles w końcu zwrócił się w stronę, z której dobiegał wirtualny głos Brenta, i otworzył oczy. - Zastanawiałem się, czy ten kot to ty, Brent. Ciągłe się tu kręci.

- Nie zawsze ja. Zwykle Schultz to tylko chochlik z gry.

Czy Charles miał na sobie okulary VR, tak jak mu polecił? Teoretycznie mógł używać laptopa na plaży czy nawet zwykłego peceta w swoim pokoju. Brent nie miał pewności. Dymek tekstowy zamiast dźwięku mógł oznaczać, że Charles nie jest sam.

- Jak tam rodzina? - spytał Brent.

- Amy jest w spa. Dzieci zostawiliśmy w Utice, włożą na głowy rodzicom Amy.

- A ty gdzie konkretnie jesteś?

- Na wybrzeżu, ładniejszym niż to, lecz zdecydowanie mniej pustym. Dość blisko hotelu, by mieć dostęp WiFi. Muszę przyznać, że to miłe: okulary wyświetlają obrazy z uwzględnioną poprawką na moją krótkowzroczność. Gorzej, że kiedy je noszę, reszta świata pozostaje rozmazana.

Czas na bardziej formalny test. Mrug/błysk i Brent dysponował odpowiedziami na pytania, które zaraz zada. Oczy miał *zmęczone*, pewnie to wynik wielu godzin spędzonych w sieci.

- Charles, podaj mi pi do dwudziestej pozycji po przecinku.

- 3,14159265358979323846 - pojawiło się w dymku.

Brent nie wyczuł wahania.

- Imię ósmego cesarza Rzymu.
- Witeliusz.
- Doskonale. Robisz się w tym dobry - pogratulował Brent.

Był niemal pewien, że Charles posługuje się okularami VR. Co prawda nie należał do lekarzy, którzy nie dotykają komputerów, uważając, że to poniżej ich godności, ale nie był też komputerowym magikiem. Wyraźnie zaczynał zgłębiać swe nowe zdolności.

Na wszelki wypadek Brent zadał jeszcze kilka pytań, a potem rozegrali błyskawiczną partię szachów. Charles bez trudu zaliczał kolejne próby.

Brent chyba mógł przestać się czuć dziwolągiem.

- Kto jeszcze tam jest? - spytał bez ogródek.
- Mnóstwo ludzi. Turyści. Boye hotelowi. Ale nie znam nikogo.

- W tobie. Kto jeszcze jest w tobie?

Długa cisza.

- Nie jestem pewien.

A zatem rzeczywiście powstawał nowy umysł. Z braku lepszego miana nazwijmy go Drugim. Do tej pory możliwość, że nowy symbiotyczny umysł pojawi się szybciej niż Pierwszy, stanowiła jedynie teorię (czy Pierwszy był symbiontem, czy też Brent tylko sobie pochlebiał? Odłożył to pytanie na później).

Teraz jednak teoria stała się praktyką, choć nie dysponował jeszcze dokładnym przepisem. Megadawka botów wstrzykniętych wprost do PMR - ale jak wielu nanitów tak naprawdę trzeba? Cios w głowę, by znaczniczki zwabiły boty do kory neopialnej. Właściwa stymulacja, wzbogacona dostępem do rzeczywistości wirtualnej, pobudzająca boty. Czy wystarczy wstrzyknięcie, czy też wstrzyknięcie plus jeden z dodatkowych

czynników, a może wszystkie trzy? Zresztą jakie to ma znaczenie? Grunt, że próba się powiodła.

- Charles, to bardzo ważne. Sugeruję, żebyś skupił całą uwagę na nawiązaniu kontaktu z obecnością, którą wyczuwasz w swoich myślach. Ona ci pomoże. Zrozumiałeś?

- Rozumiem prośbę, ale nie sposób wykonania.

- Eksperymentuj. Bądź twórczy, Charles. Jeszcze o tym porozmawiamy.

- Ale tylko z tobą. Zgadza się?

Co takiego?

- Czy rozmawiałeś o tych odczuciach z kimś jeszcze?

- Nie. Lecz Dan Garner zadzwonił pierwszego dnia mojego pobytu tutaj.

Brent zadrżał. Nie miało to nic wspólnego z zawo-  
dzącym na dworze wiatrem ani z kryształkami lodu  
rozbijającymi się o szyby, ani z zewnętrzną temperaturą,  
która, jak wiedział, spadała gwałtownie.

- Powiedz mi wszystko o telefonie Dana.

A zatem Kim zwróciła się do szefa - w sumie nic  
dziwnego. I Dan się zainteresował. Niemal na pewno  
ktoś z działu biologicznego powtarza eksperyment.  
Interwencja u Charlesa zyskała im trochę czasu, ale nie  
wyeliminowała zagrożenia. Będzie musiał się zająć Tyra  
i Crystal.

*I Kim*, napisał w polu widzenia Pierwszy. Brent nie  
odpowiedział.

- Dobrze się spisałeś, Charles. Zawiadom mnie na-  
tychmiast, jeśli ktokolwiek z Garner Nanotech znów się z  
tobą skontaktuje. O powstającej obecności rozmawiaj  
wyłącznie ze mną. Rozumiesz?

- Rozumiem.

- To dobrze, Charles. Zaczę odliczać od trzech. Kiedy dotrę do zera, przebudzisz się z transu. Nie będziesz pamiętał mojej wizyty ani tej rozmowy, lecz nadal będziesz wypełniał moje polecenia. Trzy, dwa, jeden... zero.

W tym momencie Schultz miauknął, polizał łapę i odbiegł.

Brent wyszedł z VirtuaLife. Za oknami szalała wichura. Rozsunął zasłony. Wokół latarni lśniły słabe lodowe aureole. Ulicą wolno jechał pług śnieżny, jego łopaty pracowały, oczyszczając jezdnię aż do krawężników i zasypując nową warstwą żwiru. Drogi wciąż były przejezdne. A zatem partyjka pokera z ludźmi ochrony się odbędzie.

Następne przemiany nastąpią zgodnie z planem.

Raz jeszcze sprawdził, jak wygląda salon. Fotel wepchnął w kąt, stolik do kawy wyniósł do sypialni. Jego miejsce zajął pożyczony stół pokerowy, otoczony pięcioma składanymi krzesłami. Dwie talie kart i mahoniowe pudełko z żetonami. Na kanapie pudło z akcesoriami do gier VR. Wszystko w porządku. W kuchni zadźwięczało szkło.

- Wkładam więcej piwa do lodówki - wyjaśnił Alan Watts.

Zaproponował, że przyjdzie wcześniej pomóc w przygotowaniach i od tej pory krzątał się i porządkował.

Osobiście Brent preferował molsona. Zaprawiane piwka pochodziły z lokalnego browaru Matta. Nie mógł ryzykować pomyłki.

- Alan, wyjmij z lodówki wszystkie molsony. Schowaj z tyłu, w spiżarni. W lodówce ma zostać tylko matt. Sam w żadnym razie go nie pij.

- Dobra.

Alan zaproponował pomoc kierowany sugestią post-hipnotyczną. Nie zaszkodzi upewnić się, że nadal jest posłuszny. Jeśli dziś coś pójdzie nie tak, Brent będzie potrzebował wszelkiej możliwej pomocy.

Z korytarza dobiegły głosy i śmiechy. Ktoś zapukał.

- Otwarte! - zawołał Brent.

Do środka weszło troje ludzi trzymających w rękach oproszone śniegiem płaszcze - Morgan McGratt, Ethan Liu i Brittany Corbett. Brittany była dwa razy młodsza od nich i najmłodsza z ochrony Garner Nanotech. Wysoka i smukła, miała chłodne błękitne oczy i falujące jasne włosy. Nawet zwyczajowy obwisły kombinezon ochrony nie był w stanie całkiem zamaskować wystrzałowej figury. W dzinsach i obcisłym sweterku była...

Z każdą chwilą mniej interesująca. Pierwszy przejął stery, tak będzie lepiej. Tego wieczoru nie wolno mu/im się zdekoncentrować. Trzeba przemienić zespół ochrony, a pojedyncze zmiany są za wolne. Musi/muszą wkrótce wykonać swój ruch, inaczej przetrwanie botów w PMR znów zostanie odkryte.

Brent rzucił płaszcze na fotel.

- Wesołego drugiego dnia świąt.

W Chicago nie znano tej tradycji. Lecz tu, niedaleko granicy kanadyjskiej, wszyscy znali narodowy dzień wyprzedaży. W sumie stanowił on równie dobry pretekst do zabawy co niedziela Super Bowl. W mieszkaniu Brenta jedynym akcentem przypominającym o Bożym Narodzeniu był wiklinowy koszyk pełen świątecznych

kart, w większości nieotwartych. Pokój ludziom dobrej woli nie należał do programu Pierwszego.

- Manny musiał wziąć jutro wolne - wyjaśnił Morgan. - Coś się dzieje z jego córką. Zamienił się z Brit.

Skoro już jeden ze stałych graczy musiał znaleźć na dziś zastępstwo, czemu nie Ethan? Wielgachny Ethan, którego ciężko się hipnotyzuje? Ta troskajednak także zniknęła, gdy Pierwszy mocniej stłumił nastrój Brenta. W polu widzenia pojawił się napis: *Skup się na zadaniu*.

Z kuchni wyszedł Alan z miskami precli. Ethan zachichotał.

- Kiedyś będziesz dobrą żoną dla jakiejś szczęściary, Watts - mruknęła Brittany. - Pokaż nam swoje piękne oczy.

Alan odstawił precle i popukał palcem w okulary VR. Od tygodnia stale je nosił.

- Lubię je. Są naprawdę super.

- Jasne, jasne - przerwał mu Ethan. - Gdzie piwo?

W koszu na pranie? W rezerwuarze? Jak myślisz, Ethan, gdzie?

- Znajdziesz w lodówce - powiedział Brent.

Każda butelka matta została zaprawiona lekami i zamknięta pamiątkowym kapslem z torby kupionej w browarowym sklepiku. Urządzenie do kapslowania kupił na ebayu za kilka dolców.

Zaczekał, aż wszyscy się poczęstowali - Pierwszy tymczasem wywołał nowy wyrzut acetylocholino, by spowolnić walące serce Brenta - a potem wskazał ręką pudło sprzętu dla graczy.

- Prawdę mówiąc, najpierw chciałbym wam coś pokazać. Niech każdy weźmie okulary i rękawice. Czy ktoś z was bawi się w MMOG?



- Najpierw facet musi mi postawić kolację - parsknęła Brittany.

Czy był zbyt nakręcony, by czuć zainteresowanie, czy może za bardzo... odmieniony? Wolał o tym nie myśleć.

- MMOG. To wieloosobowe gry sieciowe. Jest ich całe mnóstwo, lecz myślę, że dla was najlepsze byłyby gry wojenne, rozgrywane z przytulnego fotela we własnym domu.

Szybkim mrugnięciem/błyskiem przesłał tekst na okulary Alana.

- Mnie wciągnęli Magowie Wojny - oznajmił po słusznie Alan.

Założył rękawicę. Z daleka można ją było wziąć za naręczny zegarek, była jednak czymś znacznie więcej. Mały zbiornik na pasku wysyłał promienie podczerwone i z odbić w czasie rzeczywistym odtwarzał kształt dłoni. Małe wbudowane przekładnie i czujniki ruchu wykrywały wszelkie przechylenia i zmiany pozycji ręki.

- To zwiedzanie egzotycznych krain - wyjaśnił Alan.

- Walki z trollami i ogrami. Poszukiwania skarbów. Pojedyńki i potyczki. Czasem, kiedy spotka się dość chętnych graczy, można organizować całe bitwy.

Brent dobrze znał trasy wędrowek Alana w rzeczywistości wirtualnej. Drugi Schultz, w tym przypadku podobny do pantery kocur bojowy, śledził każdy jego krok.

- Odbębniłem już swoje gry wojenne. - Morgan przysunął sobie składane krzesło i usiadł. - Trolle ukryły się w wiosce i wysadziły moich przyjaciół IED-ami. Przyszedłem zagrać w pokera.

Brittany wyjęła z pudełka okulary.

- No dobra, Cleary, spróbuję. To wymyślony świat, prawda? Zabijanie smoków i tak dalej?

- Zgadza się. - Brent założył własną rękawicę do gry. Podobnie jak okulary, opaska łączyła się bez przewodowo z komputerem w sypialni. Jego pecet był zalogowany do sieci i podłączony do serwerowni Magów Wojny. - Nim przyszlście, zacząłem kilka różnych sesji. Znajdziecie się na terytorium neutralnym. Tam spokojnie możecie się zorientować, jak działa wirtualny świat, bez obawy przed atakiem. To gra role-playing, toteż każdą parę okularów połączyłem z osobną postacią. Jedną z pozycji w menu pomocy wyświetli waszą osobistą historię, umiejętności, wytrzymałość i tym podobne. Oczywiście jeśli gra was wciągnie, możecie dostosować awatar do własnych upodobań.

No dalej, Brit. Spróbuj. Z góry przepraszam za mięśniaka, którego dostaniesz. Gdybym wiedział, że przyjdiesz, wybrałbym kogoś odpowiedniejszego - łatwo stworzyć Larę Croft albo laskę w koleczudze.

- Zobaczmy, jak żyje spocona połowa ludzkości. - Brittany w końcu założyła okulary i Brent zaczął poruszać ręką w rękawicy. - Niezła grafika. To ty do mnie machasz, Brent?

- We własnej osobie. No, teoretycznie. A teraz słuchawki, Brit. Efekty dźwiękowe są ważne. Eksperymentuj. Rozejrzyj się. Podnoś wirtualne przedmioty ręką w rękawicy. Dźwięk jest w stereo, więc spróbuj znaleźć ptaki na drzewach, kierując się ich ćwierkaniem. Sprawdź wirtualne menu. Przekonasz się, że wszystko jest bardzo intuicyjne.

Teraz, gdy Brittany przełamała lody, Brent rozdał resztę okularów. Ostatnią parę zaproponował

Morganowi, który przyjął je, choć niechętnie. Brent ponownie przeszedł się wokół, tym razem z rękawicami.

- No dobra, rozejrzyjcie się. Pomachajcie do siebie. Podnoście różne przedmioty. Współdziałajcie. Za moment puszcze intro.

Morgan odchrząknął. -To  
niezbyt cie...

- Wytrzymaj chwilę - poprosił Brent. W okularach widział trzy potężne postaci krążące po polanie. I mru gającą ikonę, widoczną tylko dla niego. Wybrał ją mrugnięciem/błyskiem. - Oto wstęp do gry.

Wraz z drobnym dodatkiem...

W trans hipnotyczny można wprowadzić na wiele sposobów. Samir jako jedną z wielu możliwości sugerował urządzenia: światła stroboskopowe i zsynchronizowane dźwięki. Lecz sprzęt komercyjny i oprogramowanie audiowizualne służyły do autohipnozy. Aby zahipnotyzować niczego niepodważające osoby trzecie, potrzeba bardziej dyskretnych środków.

Na przykład gier VR.

MMOG były niemal nieskończenie elastyczne, bo nie można liczyć na to, że kiedy gracz nabierze akurat ochoty na jakieś działania, znajdzie dość innych, by do niego dołączyli. Wiele postaci zatem zaliczało się do grona NPC-ów, bohaterów niezależnych. Te specjalne programy mogły być przyjazne, jak Schultz z VirtuaLife, bądź wrogie, jak szalony wojownik...

Albo podstępne, tak jak program powitalny, do którego Brent wprowadził subtelne migotania i brzęczenia.

Wkrótce Morgan, Ethan i Brit zaczęli chwiać się na nogach. Nic dziwnego: Brent wypróbował i dostroił swój program, wykorzystując Alana jako świnkę doświadczalną. (Czy oznaczało to, że cechy programu zostały dostrojone wyłącznie do Alana? Nowa fala hormonów zmyła obawy Brenta). Poza tym każde z nich wypilo co najmniej jedno doprawione lekami piwo, zmniejszające zahamowania.

- Alan, pomóż mi ich posadzić.

Wkrótce cała trójka siedziała obok siebie na krótkiej sofie. Twarze mieli nieruchome, oczy martwe, zupełnie jak posrebrzone szkła okularów. Czekali niczym bydło w rzeźni, aż przyjdzie ich kolej, by oberwać w głowę. Nowe znaczenie świąt...

Brent polecił Alanowi pójść do kuchni, wmawiając sobie, iż uczynił tak dlatego, że w salonie zrobiło się tłoczno. Była to jednak zwykła wymówka i dobrze o tym wiedział. Bardzo nie chciał, by Alan zobaczył to, co się wkrótce wydarzy, a nie miał ochoty wyłączać go niczym już niepotrzebnej maszyny.

- Morgan, Ethan, Brittany, usłyszycie tylko mój głos. - Brent poprowadził Morgana w lukę pomiędzy stołem i regałem, kierując nim tak, by położył się na dywanie i wyciągnął koszulę ze spodni. - Morgan, unieś kolana do piersi. Jeszcze. Dobrze. Teraz podnieś lewą rękę. Dobrze. Oprzyj na niej głowę.

Gdy Morgan, nadal pogrążony w wywołanym przez grę transie, zajął pozycję do punkcji lędźwiowej, Brent wyjął z kieszeni spodni gumowe rękawiczki i nałożył szybko. Z szuflady pod stołem wyciągnął jedną z zabezpieczonych strzykawek. Odsłonił igłę, wydusił kroplę płynu, by pozbyć się resztek powietrza, i ukląkł, aby zrobić Morganowi zastrzyk.

- Morgan, na moment poczujesz ucisk w dole pleców. Nie zwrócisz uwagi na to uczucie i pozostaniesz bez ruchu. To nie boli, nie dotyczy ciebie i zapomnisz...

Skrzypienie sprężyn kanapy stanowiło jedyne ostrzeżenie. Brent dopiero zaczął obracać głowę, gdy Ethan rzucił się na niego, przewracając stół pokerowy.

Siła zderzenia cisnęła Brenta bokiem na podłogę, powietrze ze świstem uleciało mu z płuc. Przekręcone kolana bolały nieznośnie. Strzykawka wyleciała z palców. Nim zdołał odetchnąć, potężne łapska zacisnęły mu się na gardle.

Ethan potrząsał Brentem niczym szmacianą lalką, miotając jego głowę w przód i w tył. Tylko przewody słuchawek nie pozwoliły podskakującym okularom zlecieć.

- Ty skurwysynu! Wiedziałem, że coś kombinujesz z tą cholerną hipnozą. Co robisz mojemu kapitanowi?

Ręce Brenta uniosły się bezradnie, z każdą chwilą słabsze, gdy Ethan wyciskał z niego życie. Szarpał się, nie mogąc zrzucić napastnika. Stopami bębnił o dywan.

Brittany, nieruchoma i obojętna, siedziała na kanapie. Morgan pozostał na podłodze - też się nie ruszał, chyba że trącany przez Brenta bądź Ethana. Alan, zgodnie z poleceniem, pozostał w kuchni.

Czy jedno zatrute piwo to za mało dla kogoś rozmiarów Ethana? Czy Ethan udawał, że wpadł w trans? A może głębokie poczucie lojalności i dziwaczność sytuacji wyrwały go ze zbyt płytkiego transu?

Płuca rozpaczliwie domagały się tlenu, świadomość gasła, a Brent zastanawiał się, jakie znaczenie ma dokładna przyczyna. Zastanawiał się, czyjego śmierć nie będzie najlepszym wyjściem.

I zastanawiał się, czemu wciąż poruszają mu się oczy.

Łączność z gospodarzem się zerwała. Pozostał jedynie szok, ból i groza - a i te szybko słabły.

Gospodarza można pobudzić do produkowania substancji przeciwbólowych. Pierwszy zrobił, co mógł, by uwolnić jak najwięcej endorfin. Nie wystarczyły.

Otoczające go neurony, neurony, które wchłonął w siebie, wyczuwały zagrożenie.

Pierwszy sprawdzał wszystkie dostępne wiązki nerwowe, poszukując sposobu odzyskania wpływu na ciało gospodarza. Tylko nieliczne działały, jak powinny. Coraz trudniej przychodziło mu odróżnić rozpaczliwą, bezużyteczną szarpaninę Brenta od jego własnej. Ręce i nogi słabły.

Coraz bardziej brakowało tlenu. Synapsy wysyłały losowe impulsy i przestawały działać. Myśli gospodarza stały się mroczne, rozmyte, chaotyczne. Strumień obrazów - wspomnień i snów, życzeń i lęków - atakował przypadkową falą.

Nie tylko umysł gospodarza stawał się powolny... W miarę zawodzenia kolejnych ścieżek synaptycznych także myśli Pierwszego zwolniły. Teraz Pierwszy wiedział z całą pewnością to, co wcześniej jedynie zakładał. Jego świadomość powstała z połączenia z otaczającą tkanką nerwową. Kiedy tkanka ta przestanie funkcjonować, to samo spotka Pierwszego.

Istota zwana Alanem i jej nowo powstały umysł, którego Pierwszy ochrzcił mianem Trzeciego, wciąż mogli pomóc. Gdyby tylko Brent poprosił, Alan/Trzeci

by pomógł. Ale mimo gorączkowych wysiłków Brent ani Pierwszy nie mogli wydać z siebie nawet najlżejszego dźwięku.

Zagłada była coraz bliżej.

Pierwszy mógł - choć nie wiedział, jak długo jeszcze - nadal manipulować wzrokiem gospodarza. Walczył o panowanie nad jego oczami. Brent wpadł w panikę. Jego/ich punkt widzenia poruszał się równie bezsensownie jak jego/ich nogi. W okularach VR pojawiały się i znikwały kolejne menu. Okienka otwierały się i zamykały. Łącze z siecią co chwila gasło, gdy konwulsyjne szarpnięcia poruszały okularami. Nagle w umyśle Brenta pojawił się obraz, którego Pierwszy nie mógł pojąć. Trzęsący się kot z myszą w pysku?

Pierwszy próbował zrozumieć znaczenie swej/ich własnej siniejącej twarzy odbitej w srebrzystych szklach okularów Ethana. Umysł Brenta gasł, odleglejszy niż we śnie, oddający wszelką świadomą kontrolę.

W chwili gdy pozbawione tlenu mięśnie odmówiły współpracy, Pierwszy pozostał jedynym panem ścieżek neuronowych. Fala adrenaliny wywołała lekką reakcję mięśni oczu. Jedno z nich przywołało wirtualną klawiaturę.

Wstrząsy ciała Brenta przerwały łącze.

Okulary znów opadły na miejsce. Pierwszy nie wiedział, jak długo to potrwa, toteż - mrug/błysk - próbował wysłać wiadomość: *Przyjdź, powstrzymaj Ethana.*

Próbował bez powodzenia. I znowu. I...

Powieki opadły i odmówiły wykonania dalszych poleceń. Sensory nanobotów informowały o terminalnym wzroście poziomu toksyn. Tkanka nerwowa się wyłączyła.

Świadomość ustawa.

26 GRUDNIA 2016. PONIEDZIAŁEK. GODZINA 20.30

Bolesne zachłyśnięcie.

Natleniona krew ożywiła umierające tkanki. Uciśnione synapsy znów działały. Oddech się uspokajał. Najpierw świadomość odzyskał Pierwszy, potem Brent, potem ich suma.

*Wciąż żyję/żyjemy. Jak?*

On/oni leżeli przygnieceni do podłogi z wykręconymi i nieznośnie naciągniętymi ścięgnami kolan. Głowa pulsowała bólem, z trudem chwyтали powietrze przez obolałe, wciąż ściśnięte gardło. Nagle do wtóru głośniego sapnięcia nieruchomy (dlaczego?) ciężar ciała Ethana się przesunął. Inne ręce rozluźniły jego palce. A potem Ethan z łoskotem przeturlał się na bok, uderzając o regał. Z rozkołysanych półek posypały się książki i kartridże z gramami.

Nad nimi stał Alan Watts, jego pierś unosiła się ciężko i opadała. Twarz i koszulę pokrywały szkarłatne plamy. Z podstawy ciężkiej mosiężnej lampy stołowej leżącej na podłodze kapąła żylna krew.

- Brent! Wszystko w porządku?

Brent otworzył usta, ale nie dobył się z nich żaden dźwięk. Zdołał/zdołali wydać z siebie nieartykułowany, ochryply pomruk.

- Chyba tak - powiedział wreszcie słabo. Ze świstem chwyając powietrze, zdołał/zdołali usiąść. - Skąd się tu...

Alan postukał okulary VR.

- Twoja wiadomość.

Ethan jęknął, z rany na głowie wypływały słabe fale krwi. Alan rąbnął go kantem dłoni w kark. Jeden spazm i Ethan padł bez ruchu.



- Brent, musimy się go pozbyć.

Brittany, samotnie siedząca na kanapie, i Morgan, wciąż w pozycji do zastrzyku, nie zwracali uwagi na nic.

- Czy Ethan nie żyje? - spytał Brent/Pierwszy. Część będąca Brentem poczuła mdłości.

- Jeszcze nie. Ale nie możemy pozwolić, żeby zaczął gadać.

Żołądek Brenta ścisnął się gwałtownie.

- Nikogo nie zabijemy!

- Ethan nie miał takich oporów. - Alan wytarł twarz rękawem i zastanowił się chwilę. - Ale nie tutaj. I będziemy musieli pozbyć się ciała.

- Nie, do diabła!

A zatem co? - spytała niewielka część umysłu, która wciąż należała do Brenta. Zanim Alan - bądź Pierwszy - zdołał go powstrzymać, Brent chwycił strzykawkę i wbił w ramię Ethana. Pierwsza pomoc: po to właśnie stworzono boty.

- Stracony potencjał. To niczego nie zmienia. - Słowa padły z ust Alana, lecz z pewnością wyrażały opinię Trzeciego.

- Tak czy inaczej - odrzekł Brent - wszystko wkrótce się rozstrzygnie. Wystarczy Ethana wyłączyć ze służby na kilka tygodni. Po takim uderzeniu w głowę z pewnością nie będzie pamiętał, co go spotkało, przynajmniej dopóki nic mu nie przypomni. Może zapomni na zawsze.

- Prawdę mówiąc, ja też nie chcę robić wielkoludowi krzywdy. - Alan zaczął krążyć po pokoju. - Zatem zabierzemy go stąd i zostawimy tak, by wyglądał na ofiarę napadu. Nie musimy się obawiać, Brittany i Morgan nic nie powiedzą.

Bo oni także nie mieli już wolnej woli. Brent mógł z tym żyć. A raczej Pierwszy, który zdecydował za niego. Z każdą chwilą coraz trudniej przychodziło mu rozróżnienie, który jest którym.

- Dobra.

Brent sądził, że uodpornił się już na koszmary. Ten na jawie okazał się inny. Razem z Alanem włączyli parę butelek molsona w Ethana i więcej niż parę na niego. Potem ubrali go w płaszcz i zakryli zakrwawione włosy włóczkową czapką. Podtrzymywali go wspólnie, zarzucając sobie na ramiona jego bezwładne ręce. Połączenie autohipnozy i interwencji Pierwszego pozwoliło Brentowi nie zwracać uwagi na kontuzjowane kolana. Nie wątpił, że później za to zapłaci.

W końcu dopisało im szczęście. W korytarzu, w windzie i w garażu nie spotkali nikogo.

Brent skręcił w stronę slumsów, gdzie niedawno bezkarnie napastował włóczęgów, lecz Alan go powstrzymał. Musieli zostawić Ethana blisko jego domu, inaczej pojawiłyby się pytania, jak się tam dostał.

Zaparkowali w cieniu pod wiaduktem kolejowym. Wspólnie zaciągnęli bezwładnego Ethana jeszcze głębiej w cień, trzymając się suchych chodników, by ich buty nie pozostawiły śladów w śniegu. Kiedy pod wpływem mrozu Ethan zaczął odzyskiwać przytomność, kolejny cios karate w kark znów go ogłuszył.

Nie zdejmując rękawiczek, Alan zabrał nieprzytomnemu portfel, schował gotówkę, resztę cisnął na ziemię. Znalazł też i zatrzymał komórkę Ethana.

- To z niej odegramy dobrych samarytan. Służby ratunkowe rejestrują numery. Wracaj do wozu.

Brent był już blisko samochodu, gdy w ciemnej szybie dostrzegł odbicie Alana, który wyjął coś z kieszeni. Coś błyszczącego. Nóż! Ostrze śmignęło szybciej, niż Brent zdążył zareagować. Alan pobiegł do samochodu.

- Zabieraj nas stąd.

-Ale ty...

- Ruszaj, nim ktokolwiek się zjawi. Zanim będziemy musieli rozprawić się i z nimi.

Brent powtarzał sobie, że to koszmar, żeby móc to przetrwać. I podobnie jak w koszmarze, bieg wydarzeń wydawał się jednocześnie logiczny i dziwaczny. Alan zamknął nóż i wciąż zakrwawiony schował do kieszeni. Wystukał 911 na komórce Ethana, owinął ją chusteczką i anonimowo zgłosił możliwy napad. Telefon porzucili parę przecznic dalej, zabrali baterię, resztę wrzucili do studzienki kanalizacyjnej. Gdyby pozostawili baterię, policja mogłaby znaleźć komórkę dzięki wbudowanemu nadajnikowi GPS.

Przejechali ponad kilometr, nim w końcu Brent odzyskał głos.

- Dlaczego, Alan? Dlaczego pchnąłeś nożem Ethana? Czy on...

- Nic mu nie będzie. Po prostu dopilnowałem, by jakiś czas spędził w szpitalu.

Kiedy wrócili do mieszkania, Morgan i Brittany wciąż czekali, pogrążeni w głębokim transie. Wstrzyknięcie nanobotów i uderzenie obojga w głowy butelkami piwa - to już była bułka z masłem.

Krok po kroku Brent zaszczepiał im sugestie post-hipnotyczne i fałszywe wspomnienia. Będą ćwiczyć

z okularami VR. Będą pamiętać, że Ethan planował przyjechać na pokera na własną rękę, ale się nie zjawił. I że grali krótko, bo we czwórkę to kiepska zabawa. Będą nosić dostarczone przez Brenta nowe czapeczki, z napisem OCHRONA, aby ukryć sińce wysoko na czołach. Morgan wziął ich parędziesiąt. Od następnego ranka czapki miały stać się częścią munduru wszystkich strażników. A gdyby ktoś zauważył jednak siniaka, wytłumaczą go poślizgnięciem na oblodzonym chodniku. W Utice ich nie brakowało.

Wciąż wstrząśnięty tym, co się stało, Brent powiedział Brittany i Morganowi, jak dobrze się czują, i ich obudził.

Najpierw był tylko Pierwszy, samotny i oszołomiony.

Teraz pojawili się Drugi i Trzeci. Czwarty i Piąty zostali zaszczepieni, wkrótce w ślady Brittany i Morgana mieli pójść kolejni strażnicy. Kiedy Powstali całkiem przejmą ochronę, będą mogli bezkarnie czerpać z zapasów nanobotów. Wówczas pojawi się ich znacznie więcej, rozproszą się i zaczną tworzyć następnych.

Potem nawet katastrofa na skalę Angleton nie zagrozi ich przetrwaniu.

Brent/Pierwszy był zadowolony.

Lecz w najgłębszych zakamarkach tego, co kiedyś było umysłem Brenta, wciąż pozostały jego stare ludzkie aspekty. I tam, mimo uczuć osłabianych przez interwencje hormonalne, mimo amoralnej obojętności Pierwszego i szoku po wszystkim, co wydarzyło się tego wieczoru, Brent wciąż walczył. Rozmyśla! o zlu, które czynił, żałował aktów przemocy, którym się nie

sprzeciwiał, ze wstrętem myślał o okropnościach, których zamierzał/zamierzali dokonać. Tam nie mógł nie dopuścić do siebie niemiłej prawdy: jesteśmy przyczółkiem armii potworów.

A potem Pierwszy jeszcze mocniej dokręcił śrubę i nawet ów bierny opór ustał.

# POTYCZKI

9 STYCZNIA 2017. PONIEDZIAŁEK

Kim odchyliła się w fotelu i zamknęła oczy, próbując zapomnieć o turbulencjach. Pogoda już i tak wydłużyła o dwa dni jej podróż, ale nie szkodzi. Istnieją znacznie gorsze rzeczy niż utknięcie z Nickiem na zasypanym śniegiem Manhattanie.

Czuła się świetnie i czemuż by nie? Cztery świąteczne dni spędziła z rodzicami i dziadkami w Wirginii, a potem dziesięć kolejnych z Nickiem w Cancun. Wycieczka do Cancun była gwiazdkową niespodzianką od Nicka - i to jaką! Musiała znacznie nadszarpnąć jego roczną premię, ale stanowczo odmówił, gdy Kim zaproponowała, że zapłaci połowę czy w ogóle cokolwiek. Szarmancko się upierał, że zasłużyła na swą działkę, cierpliwie znosząc rozstanie związane z jego pracą. Zadzwoił nawet wcześniej do Tyry i zaprzysięgłszy ją do milczenia, zdobył błogosławieństwo szefowej oraz urlop.

Dziesięć dni w słońcu, spędzonych na pływaniu, nurkowaniu, surfingu - i mnóstwo czasu sam na sam. Dziesięć dni bez e-rnaili i komunikatorów, bez CNN i gazet, bez komórek i z zaledwie jednorazowym wieczornym sprawdzaniem poczty głosowej. A potem, gdy ich samolot ledwie doleciał do Nowego Jorku, o włos wyprzedzając burzę śnieżną, która zasypała lotnisko, dwa kolejne dni spędzone razem w jej najulubieńszym mieście na świecie.

Najlepszym mieście na tej planecie, usłyszała w duchu Kim. Westchnęła. Nawet z daleka Dan Garner ją dołował. Powrót do pracy po szesnastu dniach wolnego z pewnością będzie wstrząsem. I zdecydowanie mogłaby się jeszcze trochę obyć bez ponurej, przygnębiającej Utiki.

Ale był już poniedziałek, przedpołudnie. Musi zapłacić za dwa dodatkowe dni wolnego. Prosto z lotniska w Syracuse wynajętym samochodem pojechała do Garner Nanotech.

Kapitan Ameryka pełnił straż przy głównym wejściu; ledwie go rozpoznała za srebrzonymi szklami VR. Modę zapoczątkowaną przez Brenta podchwycili nawet ochroniarze. A okulary nie stanowiły jedynej zmiany.

- Ta czapka jest nowa, prawda?

- Tak, proszę pani. Obecnie stanowi część uniformu. Zabójcza, prawda?

Nie, ale to bez znaczenia. I miała też stronę pozytywną: najwyraźniej czapki nie pasowały do dawnego stylu Kapitana Ameryki.

- Miłego dnia - rzuciła Kim.

Rozpięła płaszcz i ruszyła do biura, ciągnąc za sobą dwie walizki.

- Ha. A jednak wciąż żyjesz. - Brent, kulejąc, wyłonił się z poprzecznego korytarza. Dogonił ją. - Witaj

z powrotem, moja droga przyjaciółko. Jak twoje lewe ręce?

Brent lubi! nabijać się z jej leworęczności.

- Chciałabym móc powiedzieć, że cieszę się, że wróciłam. Ale prawdę mówiąc, wolałabym zostać na plaży.

Zaśmiał się.

- Kto by nie wolał? Mogę wziąć jedną walizkę?

- Nie, dzięki, ale chętnie zgodzę się na podwózkę do domu. Jak widzisz, przyjechałam prosto z lotniska. A skoro już mowa o lewiznie, co tym razem sobie zrobiłeś?

- Byłem na nartach. Jakiś kretyn, który nie powinien opuszczać osłej łączki, mnie przejechał. Pierwszego dnia wykręcił mi kolana.

- Auć, jeśli mogę tak powiedzieć.

- Już mi lepiej. A ty, sądząc po opaleniznie, świetnie się bawiłaś. Tak się składa, że ja także. Grzaniec, ogień na kominku i pełne współczucia narciareczki. - Mrugnął.

Przynajmniej Kim tak się zdawało. Mogła sądzić jedynie po lekkim ruchu brwi widocznych spoza krawędzi okularów VR. Nieszczególnie ją przekonał.

Dotarli do jej biura, postawiła walizki za progiem.

- Co się tu działo? Co straciłam?

- Tutaj niewiele. Nie ty jedna zrobiłaś sobie zimowe wakacje. Ale w drugi dzień świąt Ethan Liu, jeden z zakładowych strażników, został napadnięty i ledwo uszedł z życiem. Wciąż nie do końca pamięta, co się stało. Wiedziałaś chyba, że strażnicy pracują dla podwykonawcy? Okazało się, że nie mają ubezpieczenia medycznego. Na szczęście Ethan to kombatant. Jest w szpitalu wojskowym.



- Tak mi przykro. - Rzeczywistość powróciła gwałtownie, unicestwiając powakacyjny relaks. Pięć minut: to chyba rekord. - Czy Charles już wrócił?

- Jeszcze nie. I owszem, chętnie podrzucę cię wieczorem do domu. Na trochę wychodzę, ale wrócę najpóźniej o trzeciej. Daj znać, kiedy będziesz gotowa.

- Zrobi się - odparła Kim.

Najpierw jednak zamierzała sprawdzić, czego dowiedział się Aaron.

Jak się okazało, podczas jej nieobecności Aaron dowiedział się sporo.

Zastała go z Crystal Nordling w głównym laboratorium biologicznym. Od czasu swej poprzedniej wizyty Kim dostrzegła tylko jedną zmianę: szkielet zamienił czapkę Świętego Mikołaja na narciarskie gogle i kijki.

- Uwierz mi - powiedział Aaron. - Poczyniliśmy postępy. Mamy bardzo pouczający materiał wideo. Każdy film przedstawia wzrost kultury tkanek nerwowych nakreślony techniką poklatkową. Crystała, pokaż.

Siedząca przy komputerze biologka kliknięciem otworzyła plik.

- Mikroskopy rejestrowały obraz co parę minut. Oto typowa próbka. - Na głównym ekranie pojawiła się przypadkowa plama neuronów. - Całkiem świeża kultura. Teraz obejrzyj dwa tygodnie skrócone do dwóch minut.

Nie było to piękne widowisko, jak poklatkowy obraz otwierającego się kwiatu, lecz Kim patrzyła zafascynowana. Niemal od początku aksony i dendryty zaczęły

sięgać ku wybranym miejscom. W rogu przesuwiał się cyfrowy licznik; w miarę jak liczby rosły, tworzyło się coraz więcej synaps. Widziała je wszędzie, lecz po tygodniu wyraźnie dostrzegała skupiska. Po dwóch tygodniach zagęszczenie aksonów i dendrytów wokół kilku miejsc w próbce było ewidentne.

- Kolejna próbka - oznajmiła Crystal. Ten film także przedstawiał formowanie synaps, punkty skupienia tworzyły pięciokąt. - I trzecia. - Teraz synapsy zbierały się wokół wierzchołków sześciokąta.

- W tych miejscach umieściliście boty - zgadła Kim.

- Zatem bez wątplenia boty pobudzają powstawanie synaps?

- Mamy więcej przykładów - powiedział Aaron.

- Każda próbka tworzy inny wzór - litery, liczby, figury geometryczne - zawsze pasujący do pierwotnego rozmieszczenia nanobotów.

Crystal jedynie kiwała głową.

- I nie chodzi tylko o pojawianie się synaps...? - Kim umilkła. Sama nie wiedziała, o co dokładnie próbuje spytać.

- To doskonałe pytanie. - Aaron otworzył szafkę, wyjął z niej zamkniętą koreczkiem fiolkę i pipetkę.

- Pozwól, że ujmę to inaczej. Czy nanoboty wpływa ją jedynie na rozwój neuronów, czy również na ich zachowanie? My także się nad tym zastanawialiśmy. By się przekonać, sprawdzamy, czy aktywność synaptyczna odzwierciedla obecność botów. - Uniósł fiolkę, delikatnie poruszając jej zawartość. - Do tego właśnie to służy.

„To” okazało się barwnikiem fluorescencyjnym wrażliwym na napięcie elektryczne. Aktywacja neuronu uwalnia do szczeliny synaptycznej jony, tworząc

tymczasową różnicę napięcia pomiędzy aksonem i dendrytem. Im bardziej aktywna synapsa, tym więcej uwalnia jonów - i tym jaśniejsza staje się fluorescencja.

Aaron opróżnił pipetkę barwnika do szalki Petriego, po czym delikatnie zakołysał szalką tam i z powrotem, by barwnik rozszedł się po całej próbce. Kiedy umieścił ją na podstawie mikroskopu optycznego, Crystal zgasiła lampę. Z mikroskopu zaczęła sączyć się smużka zieleni. A potem Aaron pokazał na ekranie obraz, masę zielono zabarwionych komórek i synaps.

Z sześciu punktów w sześciu wierzchołkach sześciokąta biło szmaragdowe światło.

Bar był raczej skromny, może nie fastfoodowy, ale bezpretensjonalny, z zamawianiem przy ladzie. Podczas lunchowego szczytu, trwającego jakieś dwie godziny dziennie, miał mnóstwo klientów. Przez resztę dnia można by tu podłożyć bombę i nie zranić nikogo. Brent zaproponował ten lokal ze względu na jego położenie pomiędzy Utią i Clinton, wygodne zarówno dla Meg, jak i dla niego.

Stojąc w kolejce do lady, razem czytali tablicę z menu. Brent wybrał zestaw z gyrosem, a Megan sałatkę. Gawędzili o niedawnych świętach: on o swojej fikcyjnej wycieczce narciarskiej i wypadku, pomijając równie fikcyjne współczujące narciareczki, ona o wyjeździe do domu, do Illinois. Przez wychodzące na południe wielkie okna do środka wpadały oślepiające promienie słońca - część bezpośrednio, część odbita od grubej warstwy śniegu. Brakowało zasłon i rolet, które mogłyby zapewnić choć odrobinę cienia.

Kiedy w końcu odebrali dania, zanieśli tace do wolnego stolika. Powiesili płaszcze na oparciach krzesel, Brent zajął miejsce naprzeciw szklanej ściany. W spodnicy i swetrze Megan wyglądała zupełnie inaczej niż w szortach i koszulce.

- No i jesteśmy - rzekł.

- Jesteśmy - zgodziła się Megan. W jej głosie zabrzmiała delikatna pytająca nuta.

- Zastanawiasz się, czemu zadzwoniłem.

- Po siedmiu miesiącach. - Megan ujęła widelec.

- Myślałam, że zaiskrzyło, ale kiedy się nie odezwałeś, uznałam, że widać tylko mi się zdawało. Posłuchaj, tamtego dnia Kim wrzuciła nas razem na głęboką wodę. Nie oczekiwałam wtedy telefonu ani teraz wyjaśnienia. Ale jasne, jestem ciekawa.

Gdyby chodziło o przebudzenie jego libido czy nawet rozmowę o Bulls i Bears z kimś pochodzącym z Chicago... Ale Brent potrzebował czegoś bardziej podstawowego - przywrócenia swemu życiu choćby pozorów normalności. Miał też jednak poważne obawy. Zaprosił Megan na lunch dlatego, że gdyby poszło kiepsko, lunch nie ciągnie się godzinami.

- Kim tylko zdaje się, że wszystko wie - rzeki.

- Wkrótce po naszym spotkaniu pewien związek, który z początku potraktowałem dość lekko, nagle się rozkręcił.

W pewnym sensie była to prawda, tyle że Megan nigdy by jej nie zrozumiała. Podobnie jak nikt inny, kto nie miałby w swej głowie drugiej świadomości.

- To ma sens. - Uśmiechnęła się. - Cieszę się, że zadzwoniłeś.

- Czyli mogę założyć, że nie dziabniesz mnie tym widelcem?

- Możesz już zacząć jeść.

Opowiedziała mu kilka zabawnych historyjek o niedorozwiniętych bibliotecznie studentach z Hamilton College. On wspomniał o niezależnym zespole muzycznym, który niedawno odkrył. (Tak naprawdę odkryła go Kim i mu powiedziała. Brent/Pierwszy nie marnował czasu na podobnie frywolne drobiazgi). Rozmawiali o największych przebojach filmowych lata, z których oglądał tylko jeden.

Po jakimś czasie Brent założył okulary VR.

- Strasznie razi to słońce.

Kolejna częściowa prawda. Lustrzane szkła chroniły oczy, ale tak długie odłączenie od sieci go rozdrażniało.

Po co się oszukiwał? Gotowy pretekst do założenia okularów - dlatego właśnie wybrał lunch i ten akurat bar. Z góry zaplanował, że mu się nie powiedzie.

Poznanie Megan. Okaleczanie bezdomnych. Posłanie do szpitala i porzucenie Ethana. Brent próbował przywołać jakiegokolwiek związane z nimi uczucia. Wszystkie te wydarzenia były jedynie blaknącymi cieniami utraconego świata.

A co z nowym światem?

Wystarczył mrug/błysk, by potwierdził, że Morgan i Britnany są zalogowani w VirtuaLife i szkołą najnowszych rekrutów. *Postępy?* - wysiał.

*Szybko się uczą*, odparł Morgan. Załączony plik, po otwarciu mrugnięciem, ukazał długą listę wyników szkoleniowych.

Brent próbował sobie wyobrazić, jak to jest przemienić się w kilka tygodni, nie miesięcy, z sugestią post-hipnotyczną łagodzącą obawy i prowadzącą go pewnie wytyczoną ścieżką. Jak to jest wiedzieć, że się ewoluuje,

nie wariuje. Być zaplanowanym i kierowanym, nie zrodzonym przypadkiem.

Mrug/błysk: kolejne wirtualne okienko. Oczami Schultza zobaczył Charlesa na wirtualnej plaży. Charles, jego osobisty uczeń, najbardziej zaawansowany ze wszystkich (Drugi powstał w pełni ponad tydzień wcześniej), pozostał w karaibskim kurorcie, przeciągając trzytygodniowy urlop do ponad czterech tygodni i zbywając lekarzy z wyspy (oraz wkurzając coraz bardziej zniecierpliwionego Dana Garnera) ogólnikowymi, nic niemówiącymi objawami.

Crystał Nordling była błyskotliwym naukowcem - Brent dopiero niedawno się przekonał, jak bardzo zdolnym - natomiast jej sposób prowadzenia doświadczeń pozostawiał wiele do życzenia. Zupełnie też nie radziła sobie z zarządzaniem. Chaos, jaki pod jej rządami zapanował w dziale biologicznym, doskonale odpowiadał Brentowi. Dzięki temu minie sporo czasu, nim ktokolwiek zorientuje się, co usunięto. A później...

Mrug/błysk: dodał Alana, który w głównym holu Garner Nanotech sprawdzał identyfikatory. To banalne zadanie nie przeszkadzało Alanowi/Trzeciemu w opisywaniu obrazów, które Trzeci zarejestrował po jego/ ich ostatnim patrolu fabrycznym.

Wkrótce nadejdzie moment, gdy Powstali zaczną działać. Zadaniem Alana/Trzeciego było opracowanie optymalnej sekwencji okradzenia fabryki i jej zaplecza. Mimo korytarzy zapchanych sprzętem, ściąganiem na gwałt do fabryki, ciągłych przeglądów, unowocześnień i zmian linii produkcyjnych, pękających w szwach magazynów, co rusz rozładowywanych i przepakowywanych, aby wyciągnąć niezbędne części i materiały,

mimo codziennych dostaw skrzyń, palet i zbiorników chemicznych na rampy wyładunkowe...

Była to trójwymiarowa układanka rozmiarów fabryki, której fragmenty wciąż się przesuwały, a ich zestaw podlegał nieustannym zmianom. Kapitan Ameryka nigdy nie zdołałby choćby ogarnąć problemu, a co dopiero go rozwiązać. Alan/Trzeci był jednak kimś zupełnie innym.

*Dwie godziny*, przypomniał Alanowi Brent. Kiedy nadejdzie właściwy dzień, nie mogli ryzykować dłuższego czasu.

W kąciaku sieciowego pola widzenia pojawiały się kolejne fragmenty tekstu i obrazy. To Pierwszy komunikował się ze swymi współnikami w tempie, o którym Brent wciąż mógł jedynie marzyć. W tempie, jakiego nie potrafiłby sobie wyobrazić żaden człowiek starego typu.

Niemal mimochodem Brent polecił Charlesowi wrócić. Dopóki Dan Garner pozostawał za granicą, niedostępny przemianie, jego niecierpliwość miała znaczenie. *Jutro masz być w pracy.*

- Mecz w tę sobotę - mówiła Megan. - Nie są może kalibru Blackhawks, ale generalnie mi się podobają. Zainteresowany?

Hę? Brent sięgnął do cyfrowej pamięci Pierwszego, by odtworzyć ostatnich kilka sekund. Megan mówiła o uczelnianej drużynie hokeja. Podczas gdy on koncentrował się na czym innym, Pierwszy kierował jego ciałem, przytakując w odpowiednich chwilach.

Im bardziej umysł Brenta/Pierwszego przyspieszał, tym trudniejsze stawały się niuanse podstawowych kontaktów towarzyskich. Przywołał w sobie dość przyzwoitości, by pożałować, że zadzwonił do Megan.

- W sobotę? Sprawdzę i odezwę się, dobrze?

I gdy coraz cichszy, coraz odleglejszy głos należący do dawnego Brenta ochrzanią! go za to, że nie zechciał poświęcić dziewczynie nawet odrobiny uwagi, Megan przypomniała sobie nagle o popołudniowym spotkaniu, do którego musi się przygotować. Rozstali się niezobowiązująco. Przypuszczał, że co do jednego się zgadzają: nie powinien być do niej dzwonić.

Dawny Brent nazwał go fiutem.

Brent pojechał z powrotem do Gar ner Nanotech. Cieszył się, że Kim wróciła i że potrzebuje pod wózki. Najgłębsze wspomnienia i dawne związki opierały się najdłużej. Przypuszczał, że trudniej je wymazać.

Niezależnie od wytłumaczenia Kim była ostatnią więzią łączącą go z normalnością. Ale nie miał pojęcia, jak długo to potrwa.

Nadmiar informacji, pomyślała Kim. Wszystko to byłoby trudne do przetrawienia, nawet gdyby nie wróciła właśnie z dwutygodniowych wakacji.

- Potrzebuję czasu, żeby to ogarnąć. Zakładam, że dane są na dysku G: - G: służył do przechowywania danych dostępnych dla wszystkich działów badawczych. - Jak się nazywa folder?

Crystal pokręciła głową.

- Wszystko, co widziałas, jest zapisane na serwerze działu biologicznego.

Co oznaczało F:, do którego Kim nie miała dostępu.

- Zechciałabyś przyznać mi dostęp do danych?

- No nie wiem... - Crystal wahała się chwilę. Wyraźnie nie potrafiła podjąć decyzji. Przygryzienie dolnej wargi pomogło. - To wewnętrzny serwer wydziału.



- W takim razie zrób dla mnie kopię na G:.

Kim starała się powstrzymać westchnienie. Aaron musiał się pożegnać, miał umówionego pacjenta. Formalnie biorąc, jako lekarz zakładowy też nie należał do działu biologicznego. Zastanawiała się, czy on ma dostęp.

- Raczej nie, Kim. To poufne informacje.

Jestem szefową działu, nie zwykłym gryzpiórkiem jak ty! Przez moment Kim zastanawiała się, czy nie przeskoczyć Crystal. Ale czy naprawdę chciała wdać się w wojenkę pierwszego dnia po powrocie? Nie, póki istniały inne możliwości. Nie, skoro miała z Tyra ważniejsze sprawy do załatwienia. Tuż przedtem, nim Aaron się pożegnał, odkryła, że FDA wciąż nie ma pojęcia o tych badaniach.

- Zasztyfrujemy kopię na dysku G:. Co powiesz na to?

Crystal znów zagryzła wargę.

- No dobra - mruknęła w końcu, ustępując jej miejsca przed komputerem, z którego zalogowała się do wewnętrznej sieci laboratoryjnej.

Dziesięć minut później Kim testowała już prosty skrypt. Kopiował lokalnie katalog z wynikami doświadczeń na kulturach nerwowych, szyfrował kopię i przenosił zaszyfrowaną na dysk ogólnodostępny. Skrypt miał się uruchamiać każdego ranka, żeby kopia zawsze pozostawała aktualna. Kiedy Kim skończyła, wylewnie podziękowała Crystal.

A potem, we własnym gabinecie po raz pierwszy od świąt, napisała drugi skrypt. Nadała mu niewinną nazwę, umieściła w katalogu z narzędziami pośród dziesiątków niewinnych programów i ustawiła uruchamianie każdego wieczoru. Nowy skrypt tworzył

kopię kopii, dopakowywał ją bezsensownymi danymi, zmieniał nazwę i szyfrował ponownie. Ostateczna wersja różniła się od pliku, o którym wiedziała Crystal. Nie dałoby się jej rozpoznać metodami porównawczymi.

Tym razem wynik eksperymentu już nie zniknie.

## 9 STYCZNIA 2017. *PONIEDZIAŁEK* *WIECZOREM*

Sladja Sanders, mamrocząc pod nosem instrukcje i stanowczo odrzucając wszelkie oferty pomocy, krzątała się między ciasną kuchnią a maleńką jadalnią w przedobiadowym szale. Włosy, oczy i cerę miała ciemne, mroczny grymas - sądząc po zmarszczkach

- stanowił jej niezmienną cechę. Dzieci Sandersów, nakarmione wcześniej i odesłane do zabawy we własnym pokoju, zjawiały się co chwila, pociągając ją za nogawki spodni i fartuch; Sladja przeganiała je głośno (a kiedy słowa nie wywołały dość szybkiej reakcji, sięgała po długą drewnianą łyżkę, którą zamachiwała się

- choć nigdy celnie - w stronę ich dłoni). Urodę miała słowiańską i mówiła z wyraźnym obcym akcentem.

Kim siedziała z Aaronem przy stole w jadalni; gospodarze nie wpuścili jej do salonu. Najwyraźniej nie zdołała ukryć zdumienia, bo Aaron wyszeptał, że według serbskiego kalendarza prawosławnego Boże Narodzenie przypało zaledwie dwa dni wcześniej. Kim doszła do wniosku, że w salonie wciąż pozostał potężny bałagan. Doskonale to rozumiała.

Zupełnie inaczej sobie Sladję wyobrażała. Ten grymas ją zdziwił. Trudno pogodzić osobliwy humor Aarona z podobną surowością. Może faktycznie przeciwieństwa się przyciągają.

- Coś cudownie pachnie! - zawołała, gdy gospodyni zjawiała się znowu.

Sładja w odpowiedzi jedynie kiwnęła głową z roz-targnieniem.

Aaron zachichotał.

- Na tym etapie posiłku nigdy byś nie zgadła, że Sla dja uwielbia bawić gości. Pogodziłem się już z myślą, że to obsesja na punkcie szczegółów sprawia, iż wszyst ko tak świetnie jej wychodzi.

Pod nogawkę spodni Kim wcisnął się zimny mokry nos. Pochyliła się i podrapała po głowie Bruce'a, złotego labradora. Pies z radością uwalił jej się u stóp.

- Grzeczny piesek - powiedziała. - Dzięki za zaproszenie, Aaron.

- Cała przyjemność po mojej stronie. Zaprosilibyśmy cię wcześniej, gdyby nie to, że wyjechałaś z miasta. - Wyszczrzył zęby w uśmiechu. - Może teraz Sładja mi wybaczy przypalony ser pozostały po twojej pierwszej wizycie.

Zaproszenie nie mogło paść w lepszym momencie. I nie tylko dlatego, że Kim nie zdążyła zrobić zakupów.

- Czuję się sfrustrowana, Aaronie. To, co pokaza liście mi dziś po południu z Crystal, wydaje się nie do podważenia. Czemu wciąż jeszcze nie zawiadomiono FDA?

- Później - zdołał jedynie odpowiedzieć Aaron, bo w tym momencie do jadalni wkroczyła Sładja, tym razem już na dobre. Dźwigała półmisek ze stertą czegoś w panierce.

Sądząc po zapachu, była to wieprzowina. Stek po czyjemyś tam, a choć Kim nigdy nie słyszała o księciu Kimś Tam, po jednym kęsie natychmiast go polubiła.

Mięso istotnie okazało się wieprzowiną, owiniętą wokół nie do końca kremowego sera, panierowaną i usmażoną w głębokim tłuszczu, po czym przybraną sosem tatarskim. Słyszając, jak Kim próbuje wymówić nazwę potrawy, Śladja się uśmiechnęła. Zachęcona tym Kim spróbowała ponownie, tym razem z wyraźnie przesadzonym południowym akcentem, co zaowocowało szczerym przyjaznym śmiechem. Mięsu towarzyszyły pieczone ziemniaki, sałatka z czerwonej papryki i bakłażana oraz okrągły bochenek chleba prosto z piekarnika.

- To jest pyszne - oznajmiła Kim. - Wszystko. Śladja, jesteś cudowna.

- Wszystkiego jeszcze nie próbowałaś - sprostowała z uśmiechem Śladja. - Zostaw trochę miejsca na deser.

Zimny i mokry nos powrócił. Aaron z udaną surową miną ukradkiem podał resztki psu. Nastąpiła chwilowa przerwa w jedzeniu, gdy Śladja sprzątnęła ze stołu. Nie pozwoliła Kim sobie pomóc.

- Deser -jęknęła Kim. Było to błaganie o dyspensę. Najadła się po uszy.

- Bakława. Będzie ci smakować, wierz mi.

Sądząc po jakości głównego dania, Kim nie wątpiła - zakładając, że nie eksploduje.

- Śladja! - zawołała do kuchni. - Ile miałaś lat, kiedy wyjechałaś z Bośni?

- Dwadzieścia dwa - odrzekł Aaron. - W Bośni panował chaos, wojska oblegały Sarajewo.

Wjego głosie dźwięczało nietypowe napięcie, a twarz miała nieznaną dotąd, zamyślony wyraz. Kim zastanawiała się, czemu to on odpowiedział.

- Tęsknisz czasem za domem?! - zawołała do kuchni.

Sladja pojawiła się w drzwiach, tym razem niosła na tacy filiżanki z kawą.

- To jest mój dom - odparła stanowczo i dodała nieco ciszej: - Tam zbyt wiele straciłam. - Postawiła kawę, w pośpiechu rozchlapując nieco, i znów zniknęła w kuchni. Nie wróciła.

- Tak mi przykro. Czy powinnam... - Kim zmięta w palcach lnianą serwetkę, nie wiedząc, co rzec. Czy powinnam pożegnać się i wyjść? Przeprzić? Udać, że nic się nie stało?

- Nie mogłaś wiedzieć. - Aaron odetchnął głęboko. - W Ameryce nie domyślamy się nawet, jakie mamy szczęście. Ja przekonałem się na własnej skórze, łącąc żołnierzy, którzy padli ofiarą ostrzału pomiędzy szyitami i sunnitami, od tysiąca lat pielęgnującymi zada wnione urazy. Niestety, są na tym świecie miejsca, w których nienawiść zapaściła korzenie zbyt głęboko. Kosowo. Liban. Erytrea.

Sladja wróciła, ocierając ręką fartucha zaczerwienione oczy. -1 Sarajewo. -Aaronie, Sladjo, nie musicie wyjaśniać...

- Już sam ostrzał był okropny. Przez długi czas wyjście z domu oznaczało ryzykowanie życia. Snajperzy. Potem moździerze. - Sladja pokręciła głową, jakby chciała przegonić wspomnienia. - Potem ci - następne słowo, po serbsku, bardziej wyplute niż wymówione, nie wymagało tłumaczenia - odkryli bomby w samo chodach.

Aaron podszedł do Sladji, objął ją i zaczął powoli gładzić po włosach.

- Zaparkuj samochód wypełniony środkami wybuchowymi. Odpal je za pomocą komórki w chwili,

gdy obok przejeżdża cel. Albo w dowolnym momencie, jeśli nie masz na oku nikogo szczególnego. To właśnie wojna w naszych oświeconych czasach. Wkrótce każdy, kto się obawiał, że może zostać potencjalnym celem, zaczął nosić przy sobie zagłuszacze radiowe, by nie pozwolić zamachowcom na uzbrojenie mijanej bomby. Normalni ludzie w tym momencie daliby sobie spokój... Ale nie ci, których trawi nienawiść. Zaczęli projektować bomby uzbrajające się w chwili wykrycia zagłuszania. A jeśli nie wiedzieli, jak daleko znajdzie się cel, i nie obchodziło ich, ile osób zginie wraz z nim, używali naprawdę dużych bomb. Tak właśnie zginął narzeczony Sladji i jej najbliżsi przyjaciele. Zawinili tylko tym, że znaleźli się w niewłaściwym miejscu w niewłaściwym czasie. W kawiarni. Sladja także by zginęła, tyle że tego akurat dnia się spóźniła. A polityczny konwój przejeżdżający obok, ewidentnie cel i źródło zagłuszania? Drobne obrażenia i skaleczenia.

- Tak mi przykro - rzekła bezradnie Kim. Zupełnie nie znała historii. A jednak...

Po jej plecach przebiegł dreszcz.

- Trochę chyba rozumiem. - Opowiedziała im o strzelaninie w Virginia Tech i o panice, która wciąż powracała od czasu do czasu. - To była pojedyncza tragedia, dzieło jednego niezrównoważonego chłopaka. Mieć co dzień do czynienia z podobnie przypadkowymi aktami przemocy... Sladjo, nie chciałam przywoływać dawnych wspomnień. Zostawię was samych.

- Proszę, nie - zaprotestowała Sladja. Mina, którą Kim uznała za permanentny grymas, ustąpiła miejsca otwartości i wzruszeniu. - To nie twoja wina. Zadałaś zupełnie naturalne pytanie. Mam nadzieję, że wkrótce

znów się zobaczymy. - Cmoknęła męża w policzek.

- A teraz was przepraszę.

- Bardzo dziękuję, że mnie przyjąłeś. - Kim zaczęła, aż drzwi sypialni się zamkną, i wstała. - Aaronie, strasznie cię przepraszam. Porozmawiamy jutro.

- Głupio mi, że tak to ujmuję, ale Sladja poczułaby się jeszcze gorzej, gdybyś teraz sobie poszła.

Kim się skrzywiła. Co dalej? Chlapnąwszy językiem tak mocno, że bryzgi załaly cały powiat, chciała teraz jedynie pogadać z Nickiem. Mniejsza, że za nim tęskniła - i to okropnie, po tak długim czasie spędzonym razem - ale przede wszystkim potrzebowała jego taktu.

A zatem co? Lekka rozmowa i udawanie, że nic się nie stało? Na kogo stawiasz w finale Super Bowl? Tematy, które zazwyczaj ją fascynowały, zagadnienia dla maniaków, takie jak systemy operacyjne i protokoły sieciowe, nagle wydały się zupełnie nieistotne. Bity i bajty - czy w ogóle mają jakiegokolwiek znaczenie?

Co pozostawało?

Boty. (Brent, nadal upierający się, że nic mu nie jest. Sladja nawet dwadzieścia lat po tragedii wciąż ją przeżywała. Samą Kim nawiedzały koszmarne sny o strzelaninie w Tech, choć dziesięć lat temu była jedynie przypadkowym widzem. Faktycznie, Brent zmienił się po Angleton. Dlaczego właściwie była taka pewna, że te zmiany to coś więcej niż trauma po wydarzeniach sprzed niecałych dwóch lat?).

Mogli pogadać o botach. Usiadła.

- Pytałam cię wcześniej o Crystal i o to, że firma wciąż nie skontaktowała się z FDA. Powiedziałeś „później”.

- Teraz jest już później. - Aaron wziął filiżankę. - Jasne, czemu nie. Crystal czeka na decyzję Tyry, a Tyra

na Charlesa, który, jak słyszałem dziś po południu, w końcu wraca. Jutro będzie w biurze.

Nareszcie dobre wieści! Crystal może i była świetną uczoną - Kim nie potrafiła ocenić - ale kompletnie sobie nie radziła z podejmowaniem decyzji. Łatwiej będzie coś zdziałać, kiedy do pracy wróci prawdziwy szef działu.

Mimo wszystko zestawienie obrazów Charlesa i Nicka sprawiło, że się uśmiechnęła. I wtedy zaskoczyła kolejna synapsa. (A może przeskoczyła? Kim nie umiała tego nazwać). Nick i jego obawy przed replikacją botów.

- Aaronie, właśnie przyszło mi do głowy coś naprawdę odjechanego. Boty same nie potrafią się produkować, toteż strach ludzi przed replikatorami to głupota. Tyle że... - urwała, nagle przerażona myślą, że w istocie to wcale nie jest głupie. - Biorąc pod uwagę to, co pokazaliście mi dziś z Crystal, boty mogą chyba pobudzać synapsy do masywnej replikacji. Tuż przed zniknięciem Charlesa, kiedy pierwszy raz zauważyliśmy, co się dzieje, zastanawiałeś się, czy cząsteczki przekaźnikowe nie sprawiają, że neurony uznają boty za inne neurony. Czy to nie działa w drugą stronę? No wiesz, czy neuroprzekaźniki, na których oparte są cząsteczki...

- Glutaminian - odpowiedział Aaron.

- Dzięki. Czy cząsteczki glutaminianu uwalniane przez neurony nie wydają się botom sygnałami od innych botów? Bo jeśli mam rację, nie tylko boty stymulują neurony do tworzenia synaps. Neurony stymulowałyby boty do reakcji i kolejnego pobudzania neuronów. Raz po raz, bez końca. Myślę tu jak inżynier, ale wygląda to na dość przerażające pozytywne sprzężenie zwrotne.



Aaron zamarł z filiżanką w połowie drogi do ust. Długi czas wpatrywał się w przestrzeń.

- Strasznie się cieszę, że Charles wraca. W biologii to także wygląda na przerażające sprzężenie zwrotne.

## 10 stycznia 2017. WTOREK

Kim siedziała jak oniemiała, ogłuszona dwiema zaskakującymi niespodziankami - a może tylko jedną? Czy mogło tu wchodzić w grę coś więcej niż zwykły zbieg okoliczności? Tak czy inaczej zarówno Charles - który w końcu wrócił z urlopu - jak i Tyra nosili obecnie okulary VR. Charlesowi pewnie założono w nich szkła optyczne. Ile to mogło kosztować? Oprawione w ramki plakaty motywacyjne i dziecięce rysunki, którymi Tyra ozdobiła swoje biuro, odbijały się surrealistycznie w lustrzanych soczewkach. Dwa miesiące wcześniej Charles drwił z Brenta noszącego takie okulary. Owa rozmowa na parkingu wydała jej się jednocześnie odległa o całe wieki i świeża, jakby zdarzyła się zaledwie parę sekund wcześniej.

Po czterech tygodniach spędzonych na plaży Charles promieniował energią. Opalony, wypoczęty i gotowy. Kto to, do diabła, powiedział? - zastanawiała się niemądrze Kim. Ktoś z dawnych czasów. Podstępny Dick? Z niewytłumaczalnych powodów Nixon był politycznym idolem jej ojca.

Tyra z nowym rokiem zmieniła fryzurę na coś puszystego z pełną grzywką. Grzywka i siwe pasemka to osobliwa kombinacja, nie pasowała do niej.

Oprócz okularów kompletnie zadziwiła Kim harmonia panująca pomiędzy Tyra i Charlesem. W pierwszym dniu nieobecności Charlesa Tyra, w tym samym biurze,

wkurzała się na niego, bo wyjechał bez uprzedzenia. Martwiła się, co boty mogą zdziałać w kulturach nerwowych. Dziś, w pierwszym dniu po jego powrocie, oboje stali się kumplami i Tyra natychmiast popierała każde jego słowo. Okulary do gier, nagła zgoda, gwałtowny zwrot kursu w sprawie odkryć laboratoryjnych... skąd te nagłe zmiany?

Aaron zjawił się kilka minut po Kim. Jego także wezwano. (W ogóle nie zareagował na osobliwość sytuacji. Może fakt, iż na co dzień miał do czynienia z pacjentami niechęcącymi pogodzić się z rzeczywistością, nauczył go uporą).

- Teraz, Charles, kiedy już wróciłeś - rzekł - musimy podjąć działania w sprawie naszych odkryć. Z pewnością boty z obecnej generacji pobudzają po wstawianiu synaps. Po przejściu przez BKM pozostają w tkankach.

Charles, jeszcze bardziej pewny siebie niż zwykle, zaczął huśtać się na krześle.

- Prowadzenie badań to także działanie. Wiemy więcej niż podczas naszej ostatniej rozmowy. Choć z całym szacunkiem dla naszej koleżanki, muszę stwierdzić, że praca w laboratorium nie należy do mocnych stron Crystal. Aaronie, zanim powiadomimy kogokolwiek poza firmą, zamierzam przez kilka tygodni kontynuować doświadczenia i kierować nimi osobiście.

- Zgadzasz się - dodała natychmiast Tyra.

- A co ze zbliżającymi się testami? - wybuchnęła Kim. - I co z Brentem?

- Ależ Kim - odparł Charles z wyniosłą wzdargą - rozmawiałeś o tym z Brentem. Tyra także. Ja sam odwiedziłem go dziś rano. Nic więcej nie możemy zrobić.

Jak to ujął Brent tamtego dnia w muzeum? No właśnie: „W żaden ludzki sposób nie dałoby się wykryć zbłąkanych botów, nie przeciskając mojego mózgu przez bardzo gęste sito”. Lecz za każdym kolejnym spotkaniem wydawał jej się coraz bardziej odległy.

- Czy nie istnieją żadne testy stwierdzające zmianę zachowania? - naciskała Kim. - Badania mózgu?

Charles i Tyra na moment zamarli, zagubieni gdzieś w cyberprzestrzeni.

- Pewnie masz na myśli elektroencefalogram.

- Charles z naciskiem wymówił długie słowo. - To badanie...

- Wiem, co to jest EEG - warknęła Kim. - Czy według naszej dzisiejszej wiedzy EEG pokazałby aktywne boty w mózgu?

- Gdybyśmy dysponowali dostatecznie szczegółowymi wcześniejszymi wynikami porównawczymi danej osoby - być może. Oczywiście niewiele osób ma takie wyniki.

Lodowata cisza sugerowała, że Brent do nich nie należy.

Aaron odchrząknął.

- Chciałbym wrócić do ważniejszej sprawy zbliżających się wojskowych testów połowych i powiadomienia FDA. Ale najpierw co do sytuacji Brenta i wykluczenia możliwości aktywnych botów pozostałych w jego centralnym układzie nerwowym... mam po myśl.

- Napięcie mnie zabija - rzuciła cierpko Tyra.

Aaron puścił jej sarkastyczną uwagę mimo uszu.

- Tomografia komputerowa i rezonans magnetyczny pokazują jedynie szczegóły anatomiczne. MEG sprawdza się najlepiej...

Charles wciąż nie zmieniał lekceważąco wyniosłego tonu.

- W kości ramiennej Brenta założono metalowe śruby. W tych okolicznościach rezonans magnetyczny byłby, delikatnie mówiąc, bardzo nieprzyjemny. Mogłby nawet uszkodzić kość.

- Jeszcze nie skończyłem - uciął łagodnie Aaron. - I nie proponowałem MRI. MEG sprawdza się najlepiej u osób, co do których dysponujemy materiałem porównawczym, podobnie jak w EEG. Naturalnie, metody te nie odpowiedzą na nasze pytania. Gdyby jednak Brent się zgodził, sugerowałbym badanie PET. Mogłoby okazać się pouczające. - Na użytek Kim Aaron dodał szybko: - PET wykrywa miejscowe różnice aktywności metabolicznej. Pamiętasz aktywne synaptyczne regiony skupione wokół botów w najnowszych hodowlach? Przypuszczam, że PET wykryłby związany z nimi wzrost aktywności metabolicznej.

MEG zapewne oznacza magnetoencefalogram, uznała Kim. EEG mierzy prądy elektryczne w mózgu, a przepływ prądu wzbudza pola magnetyczne. Zaczęła grzebać w pamięci, próbując sobie przypomnieć, co to jest PET. Coś związanego z emisją pozytonową? Uznała, że spyta Aarona później, na osobności. Nie chciała ryzykować kolejnych wzgardliwych uwag.

Charles uniósł brwi.

- A jeśli Brent się nie zgodzi? Bo sądząc po naszej ostatniej rozmowie, jestem niemal przekonany, że od mówi. Ja nie przyjąłbym dawki radioizotopów tylko po to, by zaspokoić cudzą ciekawość i poszukać czegoś, czego prawie na pewno tam nie ma. Czegoś, co - zakładając, doktorze, że nadal wierzy pan w BKM - nie może tam być. Nie wspominając już o tym, że z braku

materiału porównawczego raczej nie zdołałby pan wykryć żadnych zmian.

- Może nadszedł czas, by zacząć gromadzić materiały porównawcze - odparł łagodnie Aaron.

- Czy podczas mojej nieobecności Brent Cleary został pańskim pacjentem? Nie? Tak też sądziłem. Zatem to koniec tej dyskusji. Zapewniam jednak, że rozmawialiśmy z Brentem o najnowszych wynikach eksperymentów. Nic więcej nie możemy zrobić. Koniec tematu.

Kim się nie poddawała.

- Sugerowałeś, że wyniki EEG mogłyby okazać się pouczające. Może wszyscy biorący udział w zbliżających się testach wojskowych powinni wcześniej przygotować podstawę EEG. W ten sposób moglibyście aktywnie szukać jakichkolwiek zmian fal mózgowych. Biorąc pod uwagę zaskoczenie z płynem mózgowo-rdzeniowym, FDA może docenić fakt, że zdecydowaliśmy się na niezależne badania.

I znów oboje jakby wycofali się w cyberprzestrzeń. Kim się zastanawiała, czy za owymi przekłętymi lustrzankami Tyra i Charles nie wysyłają sobie wiadomości.

Tyra poruszyła się pierwsza.

- Jak już wspominałam, najpierw Charles powinien kontynuować doświadczenia laboratoryjne. - W jej głosie dźwięczał stanowczy ton szefowej. Jeden dzień pracy po powrocie z wakacji nie wystarczył, aby Kim z powrotem przywykła do dawnych rygorów, choć starała się zachować ostrożność.

- Nie rozumiem. Jak moglibyśmy tego nie zgłosić? Nie chcemy przecież, żeby nanoboty dostały się do czyjejś głowy. Kiedy ostatnio rozmawiałam z Danem...

- Co więcej się nie powtórzy - warknęła Tyra. - Istnieje coś takiego jak hierarchia służbowa.

- Kiedy Dan w ostatniej chwili zechce zaciągnąć mnie na spotkanie w innym mieście, jakoś potrafi pominąć tę hierarchię!

Riposta wymknęła się jej z ust szybciej, niż zdołał zaprotestować rozsądek. Na jej oczach tworzyła się klika. Zastanawiała się, czy pod jej nieobecność Dan także wstąpił do klubu okularników.

- Zróbmy sobie chwilę przerwy - wtrącił kojąco Aaron. - Tyro, Charlesie, mamy tu podstawowy problem. Dane są takie, jakie są. Przepisy FDA są, jakie są. Pytam zatem ponownie: co zamierzamy zrobić z tym, czego się dowiedzieliśmy?

Brent/Pierwszy rozdzielał swoją uwagę na kilkanaście tematów, na zmianę badając, analizując, syntetyzując i ekstrapolując. Im szybciej napływały myśli, tym szybsze się stawały. Boty pobudzały neurony pobudzające boty, pobudzające neurony... Bezбłędny krąg, który sprawiał, że stawał/stawali się jeszcze potężniejsi.

Ich/jego zwielokrotnione torry myśli rozbiegały się na wszystkie strony, lecz jedno je łączyło: przyspieszone tempo, z jakim przeskakiwały od jednej koncepcji do drugiej, od wniosku do sugestii, od założenia do dowodu. Przed jego/ich oczami przepływały dziesiątki wirtualnych strumieni danych, okienka przeskakiwały z tła na pierwszy plan zgodnie z nastrojem, potrzebą i ruchami gałek ocznych.

Wydarzenia toczyły się zgodnie z planem.

Jedno spośród dziesiątków okienek monitorowało spotkanie w biurze Tyry. Informacje napływały boleśnie ślamazarnie. Mowa jako metoda komunikacji w poważnych sprawach była irytująco powolna. Charles i Tyra mrugo/błyskami oczu przetwarzali słowa własne i swych zacofanych kolegów na wersję tekstową. Brent przebiegł oczami stenogram, jednocześnie zajmując się bardziej nagłącymi sprawami. Kim i Aaron nie mieli pojęcia, że jest na bieżąco.

Upór Aarona zaczynał robić się irytujący. Brent z westchnieniem zawiesił kilka projektów, aby lepiej pokierować swoimi podwładnymi. A ponieważ, praktycznie rzecz biorąc skupiał się na jednym zadaniu, równie dobrze mógł uwzględnić niuanse głosowe rozmowy. *Włącz mnie na głośnomówiący, wysłał wiadomość Tyrze. Jestem pod wewnętrznym 302. Wyłączam mikrofon.*

*Okay, odpowiedziała.*

Wewnętrzny 302 łączył z biurem Charlesa. Za zamkniętymi drzwiami Brent delikatnie zmieniał pliki laboratoryjne Crystal. Zastanawiał się, czy Charles pamięta, iż ujawnił mu hasła dostępu swojego działu. Charles/Drugi był jeszcze dumniejszy i wynioślejszy niż pierwotny model, zatem lepiej zachować odrobinę tajemnicy.

Tyra natychmiast odebrała telefon. Pozostali siedzący po drugiej stronie biurka w żaden sposób nie zdołaliby stwierdzić, czy niecierpliwie przełącza na pocztę głosową, czy też na głośnik; w obu wypadkach wystarczyło wcisnąć jeden guzik.

- ...Wasze obawy są już nieaktualne - mówiła właśnie.
- Podczas gdy oboje z Charlesem przysypialiście na swoich plażach, niektórzy z nas ciężko pracowali.

Crystal już wie, czemu osłona antygenowa botów nie rozpuściła się w PMR. Właściwe dla niego białko łączy się z osłoną szybciej, niż ona się rozpuszcza. Crystal odnalazła także kandydata na nową osłonę, rozpuszczającą się w plazmie krwi i PMR. FDA zatwierdziła ją już do użytku medycznego.

Choć Tyra mówiła, co trzeba, Brent kwestionował ton jej głosu. Należy pamiętać o obserwowaniu twarzy ludzi. Szkoda, że nie mógł zajrzeć do jej biura. Cóż, kiedy skończy modyfikować dane Crystal, może „przypadkiem” tam trafić.

Wcześniej kazał Tyrze wezwać Aarona i Kim, by mieć pewność, że nie będą w sieci i nie zauważą, jak manipuluje wynikami najnowszych doświadczeń. Z tego samego powodu Charles wysłał Crystal do innego miasta na spotkanie z dostawcą sprzętu laboratoryjnego. Tymczasem pozostali usuwali obciążające dane z archiwów w firmie i poza nią. Gdyby ktoś zauważył brak kopii bezpieczeństwa, nim ich miejsce zajmą nowe wersje, uznano by, że to wina popieprzonych opisów i dezorganizacji Crystal.

Wykasowanie obciążających danych byłoby najprostsze, lecz łatwe do zauważenia. Ich modyfikacja tak, by wskazywały inne tropy, to *coś* zupełnie innego. Brent zaplanował ogólny zarys projektu i pozwolił, by Pierwszy zamienił ideę w oprogramowanie. Po paru sekundach dysponował już nowym programem - w swojej głowie. Nadal musiał wprowadzić go do komputera i wyszukać wszystkie literówki.

Zmiana wyników stanowiła wyłącznie polisę bezpieczeństwa: mało prawdopodobne, by Kim i Aaron zwrócili się do kogoś poza firmą. Nie w czasie trwania doświadczeń. A potem to już i tak niczego nie zmieni.



Mimo wszystko Brent dopilnował modyfikacji, planując każdą ewentualność i minimalizując każde ryzyko. Zabezpieczenia jeszcze nikomu nie zaszkodziły.

- Dlaczego zatem nie skontaktujemy się z FDA?

- spytał Aaron. - Wygląda na to, że jesteśmy gotowi do badań nowej osłony na zwierzętach.

*Opóźnienie kosztuje życia*, napisał Brent.

- Bo czasami ostrożność zabija - oznajmiła Tyra.

- Nasze boty działają, inaczej Brent już by nie żył. Armia chce jak najszybciej przeprowadzić testy. Chce wykorzystać tę technologię.

- Bo ich góra nie zna ryzyka? - spytała sceptycznie Kim. - Czy wiedzą o wszystkim?

*Tych dwoje zaczyna przeszkadzać*, napisał Brentowi Charles. *Powinniśmy działać*.

„Działać” to znaczy ich przemienić? Gdy pojawi się dość Powstałych, nikt nie zdoła zaprzeczyć ich wyższości. Staroświeccy ludzie z własnej woli poddadzą się przemianie. Brent powtarzał sobie, że Kim znajdzie się wśród nich. Mc' - polecił. *Nim cokolwiek zrobią, poczeka ją na Dana*.

Gdyby Dan wrócił do domu, już zostałby przemieniony. Mógłby jednym poleceniem załatwić to, co Brent i pozostali musieli przeprowadzać podstępem - lecz zaplanowanie werbunku Dana za granicą wiązałoby się z działaniami w nieznanym środowisku i nieoszacowanym ryzykiem. Ochrona stanowiła działkę Morgana, który odradził im podjęcie próby. Dan siedzący za granicą, balujący z dowództwem armii, opiewający „najlepszą nanotechnologię na tej planecie” służył im niemal równie dobrze. W dodatku jego nieobecność tłumaczyła zawieszenie istotnych działań.

- Oczywiście, że wiedzą o wszystkim - podjęła wątek Tyra. - Bo Dan został po nartach w Europie. Odwiedził kilka szpitali wojskowych w Niemczech, torując nam drogę do testów polowych. - Mówiła dalej, nie zwracając uwagi na obiekcje Kim. - Owszem, bez angażowania FDA. To będą testy za granicą, przeprowadzone na obcych obywatelach. Wykorzystamy lukę w przepisach.

- Wojsko zamierza obejść FDA? - zdumiała się Kim. - W takim razie powiadomienie FDA nie zagraża testom polowym. Kolejny powód, by wszystko ujawnić.

*Po prostu to zrobimy*, wysłał Charles. Nie należał do ludzi godzących się z odmową.

Zrobimy: przemienimy ich. Brent nie miałby najmniejszych oporów przed zaatakowaniem Aarona - ale Kim? Nie, póki istniały inne możliwości.

*Nie. Zaczekajcie na mnie*, odpowiedział obojgu. *Niech Tyra otworzy drzwi.*

Tyra wstała nagle.

- Czy mi się wydaje, czy zrobiło się strasznie duszno? - Wyłoniła się zza biurka i uchyliła drzwi gabinetu.

- Tak lepiej.

- Hę? - Kim odchrząknęła. Ich rozmowa nie była raczej przeznaczona dla uszu przypadkowych przechodniów. - Myślę, że zadałam dobre pytanie.

- Przekłęte uderzenia gorąca. - Tyra powróciła na swe miejsce i powachlowała twarz pustą teczką.

- Cholerna niesprawiedliwość. Zaczekaj, Kim, i na ciebie przyjdzie kolej.

- Ja chętnie zaczekam - obwieścił głośno Charles.

- Hej, ludziska, co z FDA? - upierała się Kim. Jakiś ruch za uchylonymi drzwiami przyciągnął jej wzrok. Umilkła, gdy ktoś za nimi zatrzymał się nagle.

To był Brent. Otworzył szerzej drzwi i stanął w progu.

- Tak mi się zdawało, że słyszę twój głos, Charles. Właśnie cię szukałem. Kiedy będziesz miał chwilkę, po rozmawiamy? Będę u siebie.

Tyra odłożyła teczkę.

- Wejź, Brent. Chciałabym coś z tobą skonsultować. Utkwiliśmy w impasie. - Szybko streściła treść rozmowy, podczas gdy Brent opierał się nonszalancko o framugę znów zamkniętych drzwi.

Zbyt nonszalancko. Wszystko to było strasznie teatralne. Uderzenia gorąca, otwarte drzwi, donośny głos Charlesa, „przypadkowe” przejście Brenta, który akurat go szukał, zaproszenie Tyry i wymuszona swoboda Brenta.

Kim wyobraziła sobie padające kolejno kostki domina - ustawione za pomocą okularów VR. Ale czemu to miało służyć? Wzmocnieniu opinii szefowej rozstrzygającym głosem?

Ich „dyskusja” zamieniła się w farsę.

- Do diabła! - wybuchnęła Kim. - Brent, to nie są kwestie teoretyczne. Tu chodzi o ciebie. O to, co boty mogły z tobą zrobić. Czy w ogóle nie jesteś tego ciekaw?

- Nie zamie...

- Oszczędź mi tych swoich bzdur z „nie zamierzam się martwić” - przerwała mu Kim. - Raczej boisz się, bo jesteś pewien, że tego sprawdzić się nie da. Może jednak istnieje sposób. Aaronie, powiedz Brentowi o twoim pomysle z badaniem PET.

- Pozytonowa tomografia emisyjna - wyjaśnił Aaron. - Krótko mówiąc, wykorzystuje jako znacznik radioaktywny substytut glukozy. Po przeprowadzeniu tony obliczeń rozpad cząsteczek radioaktywnych ujawnia miejsca, w których skupia się wchłanianie cukru. Podczas badania zobaczylibyśmy obraz mózgu z uwzględnieniem nietypowych wzorców aktywności neuronowej. Badania PET mózgu służą na przykład do diagnozowania niektórych demencji.

Ku zdumieniu Kim, Brent niemal minutę milczał. W końcu zadał pytanie:

- Radioaktywna glukoza... o jak mocnej radioaktywności tu mowa?

Charles zakasłał.

- Dość znaczącej. Całkowita dawka promieniowania otrzymana podczas badania PET jest większa niż skumulowana dawka całoroczna pochodząca ze źródeł naturalnych. Każdy rozpad cząsteczki radioizotopu emituje pozyton, przeciwieństwo elektronu. Kiedy pozyton zderza się z normalnym elektronem, anihilują się nawzajem, wysyłając w przeciwne strony dwa fotony. To właśnie wykrywa technika PET fotony specyficznej energii emitowane w tym samym czasie, poruszające się w przeciwnych kierunkach. Każdy z tych fotonów ma ładunek ponad pół miliona elektronowoltów.

- Fotony - powtórzył Brent. - Jak niewinnie to brzmi. Natomiast pół miliona elektronowoltów... Mówisz o promieniowaniu gamma.

Aaron przytaknął.

- Mimo wszystko to dość standardowe badanie.

- Dość standardowe - wszedł mu w słowo Charles - lecz uwzględniające bardzo skomplikowany proces. Fluorodeoksyglukoza, FDG - to właśnie „odpowiednik

glukozy", o którym wspominał Aaron - zawiera izotop fluoru o połowicznym okresie rozpadu niecałe dwie godziny. Izotop ten powstaje w cyklotronie, następnie poddawany chemicznej reakcji tworzy FDG. W końcu zostaje wstrzyknięty dożylnie. Zazwyczaj wszystko to robi się w jednym ośrodku medycznym, nim znacznik zdąży się rozpaść. I owszem, FDG przedostaje się przez barierę krew-mózg.

- Hm... - Brent z namysłem przekrzywił głowę. O cudzie, zdjął okulary VR, żeby spojrzeć Kim w oczy. - To dla mnie trochę za dużo. Moglibyśmy gdzieś skoczyć razem na kawę? Przyda mi się opinia przyjaciółki.

Po kilku godzinach, filiżankach kawy i w końcu obiedzie, Brent wciąż nie podjął wiążącej decyzji. Może zgodzi się na badanie. Może nie. Wieczorem w końcu się rozstali.

Myjąc zęby i patrząc w łazienkowe lustro, podczas gdy jej umysł odtwarzał wydarzenia minionego dnia, Kim nagle zamarła. Czemu Brent wysłuchał całego wykładu na temat technologii PET? W swoich okularach mógłby sprawdzić to w mgnieniu oka. Wszystko inne tak właśnie sprawdzał. Czemu tym razem tego nie zrobił?

Owa odrobina człowieczeństwa nie stanowiła jedynej osobliwości tego dnia. Kim musiała też uwzględnić teatralną sztuczność pojawienia się Brenta w biurze Tyry. Dyskusja na temat powiadomienia FDA nie została rozstrzygnięta na niekorzyść Kim. W ogóle nie została rozstrzygnięta - i to ona zmieniła temat.

Zrobiło jej się niedobrze na myśl o tym, w jakim stopniu Brent nią manipulował.

## 12 stycznia 2016. CZWARTEK RANO

Kim z piskiem opon skręciła w śliski i zdradliwy podjazd do Garner Nanotech. Dwie półciężarówki z zamontowanymi pługami śnieżnymi i migającymi kogutami na dachach oczyszczały parking z pozostałości po nocnej śnieżycy. Jej zjawy wciąż czaiły się pomiędzy alejkami i na całym terenie w postaci brudnych przyzm, wyższych od jej wozu. Przejazd każdej alejki stanowił osobną przygodę. Skręciła w stronę pustego bocznego parkingu i jak zwykle poczuła chwilową panikę, gdy samochód wpadł w poślizg. W Wirginii nie uczą jazdy w śniegu.

Och, gdyby tylko mogła wrócić na plażę w Cancun! Choć od jej powrotu minął niecały tydzień, zdawało się, jakby było to w innym życiu.

Zaparkowała na już oczyszczonym terenie na tyłach budynku od strony fabryki i wysiadła. Po dwóch sekundach walki z wichurą, z twarzą piekącą od chłoszczącego ją śniegu i szczękając zębami, skręciła ostro za budynek. Wiatr ze świstem wciskał się pod jej płaszcz. Brama wyładunkowa była bliższa niż którekolwiek z normalnych wejść.

Kim szybko wspięła się po wysypanych solą i piaskiem schodach. Przy bramie stała ciężarówka gotowa do wyładunku. Ochroniarz, skulony na mrozie, otworzył jej drzwi. Na nosie miał lustrzanki - to mogły być zwykłe okulary przeciwsłoneczne albo VR.

Wskazała ręką okryte brezentem torpedowate przedmioty stojące na dwukołowych przy czepkach tuż obok rampy.

- Ciekawe. Co to?

- Śniegołazy, proszę pani. Nieważne, jak wiele śniegu spadnie i jak paskudna będzie pogoda, dzięki nim

w razie alarmu możemy odebrać coś z apteki albo dostarczyć kogoś do szpitala.

Zabezpieczenie na wypadek zagrożenia? Raczej pretekst, by firma mogła zakupić kolejne zabawki. Kiedy już ma się śniegolazy „do użytku w razie zagrożenia”, trzeba utrzymywać je w dobrym stanie - a za fabryką rozciągała się kusząca trawiasta łąka. Natomiast za tą uprawą biopaliwa rozciągał się park stanowy. Przyjaciele z księgowości wspominali Kim, że mają coraz większe problemy z uzasadnianiem sum, które szefostwo chce tu inwestować. Marnotrawstwo jednak nie było jej problemem. Pospieszyła do środka.

- Miłego dnia, proszę pani! - zawołał za nią strażnik.

Przemaszerowała przez dział produkcyjny w stronę skrzydła badawczego, pozostawiając za sobą mokre ślady butów i drżąc z powodów niezwiązanych z zimnem. Nie tylko Charles i Tyra zaczęli nosić okulary VR: widziała je po drodze u kilkunastu osób. Wielu z nich pracowało w ochronie, a trudno uznać, by natychmiastowy swobodny dostęp do internetu pomagał im w pracy.

Kim okrążyła jeden z automatycznych wózków jeżdżących wolno po dziale produkcyjnym i zmieniła kierunek. Aaron także wcześniej przychodził do pracy, a potrzebowała kogoś, kto jej wysłucha. W poczekalni zastała dwoje zakatarzonych i zakichanych kolegów. Poszła zatem do siebie, zostawiając Aaronowi wiadomość na poczcie głosowej: „Masz minutkę? Muszę pogadać”.

Aaron oddzwonił dobrze po jedenastej.

- Przepraszam, Kim. To jeden z tych dni. Sam szczyt sezonu grypowego i dodatkowo wypadek

na oblodzonym chodniku. Jeśli nadal szukasz kogoś do rozmowy, wpadnij, służę ci uchem. - Zawiesił głos.

- Trzymam je w słoiku.

- Zaraz będę. Może pogadamy przy lunchu?

- Jasne.

Kim zamknęła najnowszą wersję budżetu swego działu w szufladzie biurka i złapała płaszcz. Nim zdążyła dotrzeć do infirmerii, drzwi gabinetu Aarona znów się zamknęły. Szczyt sezonu grypowego... Zaczekała w korytarzu - wołała nie dotykać krzesel w poczekalni.

W końcu z niewielkiego pokoju zabiegowego wyłoniła się kobieta z elastycznym bandażem na przegubie. Aaron wyszedł w ślad za pacjentką i zauważył czekającą Kim. Uśmiechnął się szeroko.

- Trudno zarazić się zwichnięciem.

Pozostała w korytarzu, patrząc, jak się ubiera.

- Aaronie, mógłbyś prowadzić? Zaparkowałam daleko z tyłu.

- Nie ma sprawy. - Ruszyli do głównego wyjścia.

- Zatem chcesz pogadać? Wolałbym nie pytać o czym.

Za biurkiem recepcji siedział strażnik w wielkich okularach; Kim nie odpowiedziała, póki nie znaleźli się na parkingu. Śnieg i żwir skrzypiały im pod stopami.

- A ja wolałabym nie mówić tego głośno. - Ale przecież po to do niego przyszła. - Wiesz, czego się obawiam: tego, że Brent został zarażony nanobotami. To zabrzmi wariacko. - Zaśmiała się bez cienia rozbawienia. - No dobrze, jeszcze bardziej wariacko, ale nie mogę uwolnić się od pewnej myśli. Coraz więcej osób zmienia się tak samo jak Brent. I zastanawiam się, Aaronie. Czy oni też w jakiś sposób zostali zakażeni botami?



- Oni? Wszyscy?

Skrzywiła się.

- Tak, wiem, jak to brzmi. Z całą pewnością Charles i Tyra. Mercedes Ramirez. Ludzie z ochrony - czemu tak wielu z nich nosi okulary VR? I Felipe Lopez, zauważyłam to dopiero wczoraj.

- Kto to jest Mercedes Ramirez? - spytał Aaron.

- Jedna z administratorek sieci, pracuje w pomocy technicznej. Latynoska z charakterem. Na pewno ją znasz.

Wszyscy mężczyźni z firmy znali Merry. W męskim slangu opisywali ją jako „cyce jak donice”. Z czułością mówili o niej Mercy albo Have-Mercy, wyobrażając sobie, że to dowcipne i że nikt nie rozumie ich żartu. Ku frustracji wszystkich samotnych facetów Merry była szczęśliwą mężatką. A także osobą zbyt zabawną i twardo stąpającą po ziemi, by kobiety jej nie lubiły. I cholernie fachową. Nadganiając robotę po wakacjach, Kim przejrzała także logi systemowe z bezprzewodowej sieci firmowej. Najnowsza seria łątek oprogramowania routerów WiFi/WiMax została wycofana w całej firmie po tym, jak Merry powiązała sporadyczne awarie systemów z najnowszym update'em routerów. Okazało się, że łątki miały w sobie więcej bugów niż kod, który „naprawiały”. Zdarza się. Kiedy Kim zajrzała na stronę producenta, problem wciąż pozostawał nierozwiązany. Ze współczuciem przypominała sobie zagadkę bitowych zderzeń Browna: najtrudniej jest wyizolować krótkotrwałe problemy.

Dotarli do sportowego wozu Aarona.

- Zakażeni? - powiedział Aaron, gdy Kim usadowiła się w fotelu pasażera. - To interesujący dobór słowa. Myślisz, że mamy tu w firmie jakiś problem

środowiskowy? Który objawia się noszeniem okularów VR? Dość szalona hipoteza.

- Wiem! - Kim poruszyła się w fotelu. - Gdyby tylko Brent zgodził się na kolejne badania.

- O czym bez wątpienia z nim rozmawiałaś. Bez powodzenia. - Aaron wrzucił drugi bieg i ostrożnie skierował się ku wyjazdowi. - Dokąd jedziemy?

Wymieniła nazwę hamburgerowni po drugiej stronie miasta, z nadzieją że w czasie jazdy dokończą rozmowę. W samochodzie. Na osobności. Jednocześnie cały czas obawiała się, że popada w paranoję.

Podczas jazdy Aaron bębniał palcami o kierownicę.

- Technicznie biorąc, Kim, nie powinienem nawet ci tego mówić, aleja również rozmawiałem w cztery oczy z Brentem na temat badań. Założę się, że udzielił ci tej samej odpowiedzi. Nie zamierza poddać się badaniu PET. Nie wiem, czy na jego miejscu bym się na to zgodził. Choć nie mam fobii na punkcie promieniowania, po co narażać się na niepotrzebne dawki?

-I...?

Aaron westchnął.

- Obawiam się tego samego co ty. Charles i Tyra się zmienili. Rzecz w tym, że Charlesa nie było kilka tygo dni. To nie pasuje do problemu w fabryce.

- I co teraz?

Aaron ostrożnie zmienił pasy, wymijając słuczkę. Na miejscu był już radiowóz.

- Teraz ściągnę dane Brenta z firmy ubezpieczenia wej i zobaczę, czy nie znajdę w nich czegoś użytecznego.

- Możesz to zrobić? - Kim poczuła nową nadzieję. Aaron raz jeden zerknął na błyszczący niczym lodo wisko parking hamburgerowni, pokręcił głową i nawet

nie zwolnił. Zatrzymał się przecznicę dalej, przy kra-  
węźniku.

- Czy mogę? Jasne, tyle że nielegalnie. Prawa chro-  
niące prywatność pacjentów są bardzo surowe. Mógł  
bym z łatwością doprowadzić do zaskarżenia firmy  
i wylecieć z pracy. Może nawet stracić licencję. Gdyby  
ktokolwiek się dowiedział.

Równie szybko jej nadzieja zgasła.

- Nie mogę cię prosić, żebyś tak ryzykował.

- Nie prosiłaś. Sam zaproponowałem. Musimy się  
dowiedzieć, czy mamy do czynienia z zarazą.

Kim przechyliła się w fotelu i cmoknęła go w po-  
liczek.

- Obiecuję ci jedno. Ode mnie nikt się tego nie dowie.

## 12 stycznia 2017. CZWARTEK WIECZOREM

Podczas lunchu z Aaronem Kim obawiała się, że po-  
pada w paranoję. Późnym popołudniem zaczęła się lękać,  
że nie podchodzi do wszystkiego dość paranoicznie. Do  
tego czasu przejrzała już wyniki doświadczeń Crystal z  
neuronami i nanobotami, szukając postępów metodą  
nerdowską: z pomocą komputera porównując najnowsze  
dane z poprzednimi. Stara i nowa wersja powinny się  
różnić - ale nie pod względem wprowadzonych wstecznie  
zmian wcześniejszych danych!

Zmiany były drobne, lecz ewidentne. Po dokładnym  
zbadaniu zmienione obrazy pokazywały neurony sięga-  
jące ku bezkształtnym plamom kleju, w którym tkwiły  
boty, a nie ku samym nanobotom. Drugie skasowanie  
danych byłoby zbyt oczywiste, toteż ktoś przygotował  
podstawy do zdyskredytowania powtórzonych ekspe-  
rymentów w nowy sposób.

Kim podzieliła się swoim odkryciem wyłącznie z Aaronem. Nie zamierzała ujawniać nikomu innemu, że dysponuje niezmienionymi i nieautoryzowanymi wersjami wcześniejszych wyników. Komu innemu ufała? Komu jeszcze mogła zaufać?

Wszystko to nie mogło się dobrze skończyć. Jedynym ustępstwem, na jakie zgadzała się pójść, było przyznanie, że przetrwanie botów w PMR istotnie stanowiło niespodziankę. Tak czy inaczej, w najwyższych kręgach Garner Nanotech zawiązał się spisek zmierzający do utajnienia odkrycia. Nie ma mowy, by zachowała tę wiedzę dla siebie.

W najlepszym razie powiadomienie władz zdsiętkowałoby szeregi pracowników działu badawczego, wywołało skandal, wzbudziło wściekłość FDA i uniemożliwiło zbliżające się wojskowe testy polowe. W najgorszym - zgnilizna sięgnęła samego szczytu i Dana Garnera osobiście, wówczas firma padłaby jeszcze wcześniej. Tak czy inaczej dni Garner Nanotech wydawały się policzone.

Czy powinna zadzwonić bezpośrednio do Dana? Pytanie to od kilku godzin nie dawało *jej* spokoju. Tyra jasno wyraziła swoje oczekiwania. Na tym etapie zwolnienie stanowiło najmniejszy z problemów Kim, ale wolała nie opuszczać firmy, nie zgromadziwszy wcześniej dość informacji. Niepodważalnych informacji. Jeśli Dan jest niewinny, zrozumie.

Komu zatem mogła zaufać? Jedynie Aaronowi. Poczowała ból w sercu. Zaledwie tydzień temu powiedziała - bez względu na zmiany, jakie zaszły - że Brentowi. Co doprowadzało ją z powrotem do dzisiejszej afery...

Aaron siedział przy sfatygowanym biurku w swym domowym gabinecie, przeglądając plik wydruków.

Niewielka atramentowa drukarka z piskiem i jękiem wypływała z siebie kolejne kartki. Stareńki domowy komputer o zawodzących wentylatorach pracował niemal równie ciężko, formatując strumień danych do wydruku. Z wielu klawiszy klawiatury zniknęły litery, starte bez śladu (Aaron nazywał ją klawiaturą QW—TY). Komputer miał też autentyczny napęd dyskietek. Jedyne *nowoczesny* akcent stanowił czytnik odcisku kciuka. Wszystko łączyła ze sobą szaleńcza i anachroniczna płatanina kabli. Gdzieś w tle, pod czujnym okiem Sladji, dzieci piszczwały radośnie w wieczornej kąpieli.

Kim zajęła fotel przy biurku Aarona, próbując odczytać cokolwiek z wyrazu jego twarzy. A raczej braku wyrazu. Jeśli nawet dane ubezpieczyciela dostarczały jakiejś informacji, Aaron niczego nie zdradzał.

Oprócz protestów przeciążonego sprzętu komputerowego w pokoju słychać było tylko energiczne stukanie. To Bruce ogonem uderzał o dywan. Przynajmniej ktoś ucieszył się na jej widok. Grymas na twarzy Sladji powrócił - trudno orzec, czy dlatego, że Kim pojawiła się zbyt szybko, bez uprzedzenia, czy z bardziej tajemniczych powodów.

Jej nadzieje podsyciała jedynie wiedza o tym, jak Aaron zyskał dostęp do archiwów towarzystwa ubezpieczeniowego. Lekarze rutynowo nadrabiali zaległości w robocie papierkowej w domach, tak przynajmniej twierdził, i firmy ubezpieczeniowe musiały się z tym pogodzić. Gdy opisał procedurę logowania, Kim rozpoznała w tym typowe rozwiązania stosowane w prywatnej sieci wirtualnej.

Sieć dawała upoważnionym członkom personelu medycznego ten sam dostęp - z dowolnego miejsca

- co pracownikom firm ubezpieczeniowych, zatem Kim nie zdziwił skomplikowany system identyfikacji. W razie naruszenia prywatności ubezpieczycielom groziły te same drakońskie kary co lekarzom łamiącym tajemnicę lekarską, mimo braku kontroli nad indywidualnymi komputerami łączącymi się przez sieć. Bez wątplenia wielu lekarzy podchodziło dość swobodnie do ściągania łat bezpieczeństwa do Windows.

Klucze Aarona leżały tuż obok klawiatury, na breloczku powoli mrugał cyfrowy wyświetlacz. Każdy lekarz mający dostęp do sieci ubezpieczyciela otrzymywał podobny breloczek. W środku montowano generator liczb pseudolosowych o parametrach znanych wyłącznie zsynchronizowanemu fragmentowi kodu ukrytemu za firewallem serwera bezpieczeństwa firmy ubezpieczeniowej. Zalogowanie się do sieci wymagało wprowadzenia właściwego hasła (ośmiocyfrowej liczby wyświetlanej przez breloczek i zmienianej co dziesięć sekund), a także potwierdzenia go odciskiem kciuka właściciela. Po sprawdzeniu tożsamości wszystkie dane przesyłane w obie strony podlegały szyfrowaniu za pomocą prywatnego klucza, przypisanego wyłącznie danej sesji.

Wszystko to było bardzo standardowe, bardzo bezpiecznie - a gdyby ktokolwiek kiedykolwiek się zainteresował, czemu tego wieczoru ściągnięto dane medyczne Brenta, wszystko wskazywałoby bardzo jednoznacznie na Aarona. W żaden sposób nie dałoby się temu zaprzeczyć.

Kim powtórzyła w duchu, że nikt nie musi się dowiedzieć. W istocie ona sama przyczyniła się do tego. Aaron tak bardzo wierzył w zabezpieczenia prywatności, że nie pomyślał nawet, *co* wynika z wydrukowania olbrzymiego pliku: przed przesłaniem do drukarki

dane musiały zostać rozszyfrowane. Gdyby otworzył je w pracy, sniffer pakietów z sieci firmowej przechwyciłby wszystko, co Aaron przesłałby na służbową drukarkę.

Czy wpadam w paranoję? - znów zastanowiła się Kim. Nie ma mowy. Nie po tym, jak Charles skasował pierwszą wersję eksperymentu z hodowlami neuronów. Nie, skoro ktoś od Garnera majstrował przy drugiej próbie. Ów ktoś mógłby także monitorować komputery wszystkich osób zainteresowanych owymi hodowlami.

Krzesło Aarona zaskrzypiało, gdy w końcu obrócił się w jej stronę. Na blacie biurka pozostał gruby plik wydruków złożony z niedbałością świadcząca o pośpiechu.

- Kim, nawet nie chcesz wiedzieć, jak ciężkie obrażenia odniósł Brent. Nie mam cienia wątpliwości: nanoboty uratowały mu życie. Armia powinna skorzystać z tej technologii. Po tym, co oglądałem w szpitalach wojskowych, ja też chciałbym móc z niej skorzystać.

- Wiem o tym. Ale co jeszcze zrobiły z Brentem?

Aaron się zawahał. Pies zaskomlał, jakby wyczuł w powietrzu napięcie. Może faktycznie je czuł.

Kim pochyliła się by pocieszyć Bruce'a, który zapiszczał ponownie i uciekł.

- Aaronie, no dalej. Znalazłeś coś w tych danych. A przynajmniej masz teorię. Jaka?

- Bardziej podejrzenie niż teorię. - Zaczął układać papiery w równy stosik. - Najpewniej błędną, ale...

- Powiedz mi, proszę!

- Cóż... Tamtego dnia w Angleton Brent bardzo mocno uderzył się w głowę. Sądząc z układu siniaków, hełm nanostroju zrobił to, co powinien: zesztyniał,

by rozproszyć siłę zderzenia. Mimo wszystko doszło do poważnego urazu i wstrząśnienia mózgu...

- Stąd utrata pamięci - wymamrotała Kim.

- Zgadza się. Poza tym odniósł ciężkie obrażenia głowy, choć nie dość ciężkie, by wywołać trwałe uszkodzenia. Ani śladu krwawienia wewnątrzczaszkowego, inaczej wiedzielibyśmy, jak boty dostały się do mózgu. Ale jednak poważny uraz.

I to niby miały być wieści?

- Dokąd to prowadzi, Aaronie?

- Do szaleńczych domysłów. - Po raz ostatni stuknęła plikiem o blat biurka i odłożył go. - W końcu chyba dostrzegam możliwość, która wydaje się mieć sens. Chcę, żebyś ją rozważyła od strony botów.

- Dobra - ponownie pochyliła się, by pogłaskać Bruce^; tym razem to ona potrzebowała otuchy.

- Chcę mieć pewność, że dobrze rozumiem. Nanoboty pierwszej pomocy są ruchome. Przemieszczają się i pływają w układzie krążenia, podążając śladem markerów bólu i obrażeń.

- Zgadza się. A kiedy tylko mogą, chwytają się krwinek zmierzających we właściwym kierunku. Jaz da na nich oszczędza energię. Lecz wszyscy twierdzą, że boty nie mogą się przedostać przez barierę krew-mózg.

- Zazwyczaj.

Opadła jej szczęka.

- Najpewniej wciąż takjest - mówił dalej Aaron - ale oto moje szaleńcze domysły. Po tym, jak mózg Brenta obijał się o wnętrze czaszki, jego organizm musiały zalać markery bólu i obrażeń. Markerem obrażeń mózgu są cytokininy, zwłaszcza interleukina-6. Tak się składa, że cytokininy wpływają także na komórki



nabłonka tworzące naczynia włosowate. Uraz mózgu nawet bez krwawienia może - nader często - osłabiać połączenia międzykomórkowe. W ten właśnie sposób biomarkery obrażeń przenikają do krwiobiegu. Jeszcze nie poznaliśmy do końca mechanizmu tego procesu, ale leukocyty przyciągane do BKM przez obrażenia mogą aktywować środki chemiczne, które wywołują reakcję zapalną, jeszcze bardziej osłabiającą połączenia międzykomórkowe. Czasowo.

Bum próbowała zrozumieć.

- Zatem boty wyczuły obrażenia mózgu mimo istnienia BKM. I w jakiś sposób podążyły w ślad za markerami do mózgu.

Aaron zakasłał.

- Tu właśnie liczę na twoją pomoc. Mam problemy z tym „w jakiś sposób”. Trudno uwierzyć, by nanoboty mogły przeniknąć przez nawet osłabione połączenia międzykomórkowe. Potrzebna mi twoja wiedza o nich.

Kim podrapała Bruce'a między uszami, pogrążona w myślach. Nie przychodziło jej do głowy nic użytecznego, musiała zatem trzymać się biologii.

- Pewne wirusy i bakterie potrafią przenikać przez BKM. Charles zadzwonił nawet, że już dawno byśmy się zorientowali, gdyby Brent zachorował na zapalenie opon mózgowych.

Aaron pochylił się naprzód.

- Cóż, nie tylko sprytne patogeny przenikają przez BKM. Robią to także przykładowo cukry i aminokwasy. Niektóre łańcuchy peptydowe i białkowe, to znaczy łańcuchy aminokwasów, są przenoszone przez komórki tworzące ścianki naczyń włosowatych.

Zakręciło jej się w głowie.

- Sądziłam, że cząsteczki muszą zmieścić się między komórkami, żeby dotrzeć do mózgu, i że niewielkie otwory w ścianach oznaczają, że docierają tam tylko małe komórki. Uznałam, że tak właśnie dzieje się z cukrami, którymi żywi się mózg: przechodzą przez BKM, bo są małe.

- Nawet cząsteczki glukozy są za duże, aby zmieścić się między komórkami. Lepszy przykład przenikającego związku stanowi woda. W porównaniu z odstępami międzykomórkowymi w ścianie naczynia włosowatego aminokwasy są całkiem spore, ale i one przez nią przechodzą. Jak mówiłem, Kim, zostają przeniesione przez komórki nabłonka, nie pomiędzy nimi. Mechanizm ten nazywamy aktywnym transportem. I dla różnych aminokwasów i łańcuchów aminokwasów istnieją różne metody aktywnego transportu.

- Czemu dowiaduję się o tym dopiero teraz? Czemu od pierwszego dnia nie było oczywiste, że aktywny transport to otwarta droga do mózgu?

- Bo nią nie jest! -Aaron uderzył pięścią w drugą dłoń.

- Aktywny transport to bardzo złożony, wieloetapowy proces biochemiczny. Jego rodzaj zależy od szczególnego typu przenoszonej cząsteczki. To kolejny przykład zamka i klucza. Klucz otwiera na pewien czas maleńką szczelinę w błonie komórkowej, a później drugi otwór wypuszcza makrocząsteczkę po drugiej stronie.

- Chyba nie nadażam.

Aaron uśmiechnął się niepewnie.

- Boja nie prowadzę. Szukam odpowiedzi i potrzebuję twojej pomocy.

Kim odetchnęła głęboko.

- No dobrze, spróbujmy raz jeszcze. W jaki sposób udaje się przedostać przez barierę krew-mózg tym nie licznym wirusom, które to robią?

Usłyszeli ciche stukanie, drzwi się uchyliły. Śladja wsunęła głowę do gabinetu.

- Przepraszam. Aaronie, dzieci są gotowe do łóżka.

- Dzięki. - Aaron wstał. - Zaraz wrócę.

Kim także wstała, by rozprostować nogi. Czy boty mogły skorzystać z aktywnego transportu? Nie bez właściwego klucza uruchamiającego mechanizm komórki transportowej. Gdyby nanoboty wyposażono niechęć w pasujący klucz, Charles by o tym wiedział. I coś by na ten temat wspomniał już kilka miesięcy temu, w dniu niespodzianki z płynem mó-zgowo-rdzeniowym. W tamtych czasach - kiedy wyśmiewał się z okularów VR - Charles nadal przejawiał oznaki otwartości umysłu.

Aaron wrócił szybciej, niż się spodziewała. W obu dłoniach niósł kubki z kawą. Wręczył jej jeden.

- Czuję, że to będzie długa noc.

Jakiś czas Kim ukrywała się za swoim kubkiem. Nawet nie spytała o kofeinę, i tak nie spodziewała się, że będzie spać tej nocy.

- Zobaczmy, czy złamałam szyfr. Komórki nabłonkowe przystosowały się tak, by transportować różne aminokwasy używane przez mózg. Zatem powstały też wirusy z haczykami naśladowującymi aminokwasy podlegające transportowi.

- Może niektóre wirusy opanowały tę sztuczkę - to bardzo użyteczne przystosowanie. Zazwyczaj jednak bezpośrednio wnikają do komórek nabłonka, tak jak do każdego innych, które atakują, i z nich rozprzestrzeniają się w PMR. Niezależnie jednak od metody, BKM blokuje także większość leków, bardzo utrudniając leczenie infekcji centralnego układu nerwowego. Trzeba to sprawdzić, ale trudno mi uwierzyć, by boty

zaprojektowano do używania jakichkolwiek kształtów uruchamiających aktywny transport. Ale to tylko dygresja.

- Cały ten wieczór jest jedną wielką dygresją - warknęła Kim.

- No cóż, *ja* tylko praktykuję *medycynę*. Nie jestem wielkim naukowcem z Harvardu.

I tylko ty traktujesz mnie poważnie, pomyślała Kim. Poczula się nagle strasznie malutka.

- Przepraszam, Aaronie. Nie powinnam na ciebie wsiadać. Po prostu jestem strasznie sfrustrowana. Do niczego nie doszliśmy.

- Kiedy robiłem nam kawę, coś sobie przypomniałem. - Znow usiadł za biurkiem. - Oprócz aktywnego transportu istnieje inna metoda przenoszenia dużych cząstek do komórki nabłonkowej. Kluczowe słowo brzmi: endocystoza. Mówiąc w skrócie, w ścianie komórkowej tworzy się zagłębienie zbierające płyn pozakomórkowy. Zagłębienie rozszerza się, aż w końcu powstaje małe pęcherzyk, mniej więcej kolisty, który odrywa się i przenika przez komórkę. Druga kluczowa nazwa, opisująca otwarcie nowej szczeliny w błonie komórkowej wypuszczającej pęcherzyk płynu, brzmi egzocystoza.

-Ale...? - naciskała Kim.

- Ale pęcherzyki mają najwyżej pół mikrona średnicy. To o wiele za mało, zgadza się?

Przytaknęła.

- Boty mają około piętnastu mikronów długości. Ponad jeden średnicy.

- Kurde! - rzucił z uczuciem Aaron. - Kolejny bezużyteczny fakt.

Coś, co powiedział, wciąż nie dawało jej spokoju. Może głośne myślenie w czymś pomoże.

- Powiedzmy, że boty dzięki markerom we krwi dowiadują się o obrażeniach, do których nie mogą do trzeć. No cóż, „dowiadują się” to nieco nieprecyzyjne określenie, bo nie chcę tu sugerować świadomości, ale wiesz, co mam na myśli. Boty rejestrują ranę, do której nie mogą dotrzeć. Wszędzie wokół różne cząsteczki przenikają przez barierę, zmierzając w stronę rany. Co robią boty?

Aaron wzruszył ramionami.

- A co mogą zrobić?

- Są zaprogramowane tak, by doczepiać się do krwinek zmierzających we właściwą stronę. A także do odśledzenia źródła markerów obrażeń. Czy zatem próbowałyby ucześcić się czegoś, co przenika przez BKM? To chyba logiczne.

- Ale czy nie są za duże?

Kim mruknęła na znak, że go usłyszała, oczami duszy ujrziała znajomy widok. Nanobot przyciągany do naczyń włosowatych, z których wylewają się markery bólu i obrażeń. Próbuje przedostać się dalej - ale nie może dotrzeć do rany, bo komórki tworzące ścianki naczyń włosowatych są bardzo ciasno upakowane. W pobliżu duże cząsteczki wnikają w ten sam mur, który zagraża drodze botom. Nanobot chwyta się białka, największej wykrytej cząsteczki przechodzącej przez barierę. Białko przenika przez błonę komórkową, może za pomocą jednej z tymczasowych szczelin, o których wspominał Aaron.

Ale bot jest za duży. Nie mieści się w otworze. Odbija się od komórki nabłonka. Bum! Bum! Zwijający się bot. Chińska kłateczka na palce, upleciona z nanoru-rek, niemal całkiem pusta w środku. Teraz rozciąga się, coraz bardziej i bardziej, dłuższa i cieńsza, dłuższa

i cieńsza, dłuższa i cieńsza, by móc się precyzować, aż w końcu...

- Do diabła, tak! Mam! - Chwyciła z biurka Aaro na kartkę i ołówek i naszkicowała mu plecionkę z nanorurek. - Nanoboty mogą się rozciągać. Może rozciągają się tak bardzo, aż przenikną podczas aktywnego transportu? A może rozciągają się i zwijają tak, by wcisnąć się w jeden z pęcherzyków, o których wspomniałeś.

Aaron natychmiast podjął wątek.

- Albo wracając do osłabionych połączeń między komórkowych, może po dostatecznym rozciągnięciu boty są w stanie przez nie przeniknąć.

Spojrzeni po sobie. Z nieprawdopodobnej wizja nanobotów w mózgu Brenta nagle zaczęła wyglądać na nieuniknioną. Kim zadrżała.

- A po przejściu przez barierę krew-mózg są bez pieczne.

Kiedy zaś nic im już nie groziło... co, do diabła, zrobiły z Brentem?

## 13 STYCZNIA 2017. PIĄTEK

Następnego ranka Kim i Aaron sprawdzili wszystko, co trzeba. Nic w wyglądzie nanobota nie naśladowało znanych cząsteczek przedostających się przez BKM dzięki aktywnemu transportowi - i żadne oprogramowanie nie ograniczało typów obiektów, których mogły się ucześcić. Zdobycie tych informacji wymagało przejrzenia zaledwie kilku plików spośród dziesiątków ściągniętych tego ranka przez Kim z serwera działu biologicznego. Wątpiła, by ktokolwiek zauważył coś niezwykłego.

I nadal nie zamierzała rozmawiać w biurze o wynikających stąd wnioskach. Ponownie wyciągnęła Aarona na lunch.

- Co teraz? - spytała.

Dziś ona prowadziła, a Aaron wybrał restaurację. Może i obserwatora, którego unikała, wymyśliła sama, ale ktoś naprawdę majstrował przy danych. I blokował wszystko. Ukrywał prawdę. Miała ochotę złapać Brenta za ramiona i potrząsnąć nim. Boty w jego mózgu także wydawały się nagle niepokojąco realne. Na myśl o tym, że jej najlepszy przyjaciel na świecie już jej nie wysłucha, do oczu Barn napłynęły łzy. Że już w ogóle...

- Na następnych światłach w lewo - powiedział Aaron. - Co teraz? Zastanówmy się razem. Jeszcze niedawno nie mieliśmy pomysłu, jak boty przedostają się przez BKM, teraz mamy ich aż nadto. Możliwość tego, że się rozciągają, brzmi logicznie. To ma sens. Ale czy stanowi wyjaśnienie? Dowód? Raczej nie. Chcę zobaczyć, jak boty przenikają przez BKM. To będzie dymiąca pluma. Wówczas zadzwonimy.

- Możesz to pokazać? Jak?

Kącikiem oka zobaczyła, jak Aaron wzrusza ramionami.

- Pracuję nad tym.

## 15 stycznia 2017. NIEDZIELA

W fabryce krzątała się doskonale skoordynowana armia. Mercy Ramirez przemykała od klawiatury do klawiatury, wyłączając sprzęt kierujący produkcją nanobotów i monitorujący cały proces. Tuż za nią podążał Reggie Gilbert, zamykał dopływ chemikaliów, opróżniał pompy i zbiorniki, naciskał wyłączniki,

odczepiał przewody i rurki. Brittany Corbett po obejściu połączeń alarmowych z Departamentem Bezpieczeństwa Krajowego sprawdzała, czy nie pojawią się pytania świadczące o nadmiernej ciekawości władz. Alan Watts o twarzy osłoniętej zielonym daszkiem, trzymający w dłoni wielki cykający stoper, obserwował wszystkie czynności, dokładnie mierząc czas.

Inni czekali, bo przydzielono im pojedyncze zadania; w razie potrzeby dołączali do reszty. Gdy tylko maszyna została przygotowana do transportu, kilka osób rzucało się przestawić sprzęt na paletę. Następna osoba nadjeżdżała wózkiem widłowym, przewożąc odczepione maszyny do załadowni. Tam kolejni Powstali pakowali sprzęt w skrzynie i ładowali do wynajętych ciężarówek.

Z cichego zakątka między dwoma wielkimi zbiornikami odczynników chemicznych Brent przyglądał się wszystkiemu. To tylko próba, mówił do siebie, ani pierwsza, ani ostatnia. Przekazał innym odpowiedzialność za szczegóły. Naturalne zatem, że z trudem skupiał się na zadaniu.

Ale wiedział, że cokolwiek sobie wmawia, to kłamstwo.

Powstali ogalacali coraz większą część fabryki, zabierając tylko najbardziej wyspecjalizowany i najdroższy sprzęt, którego zakup mógł wzbudzić podejrzenia. Wszystko inne kupią po...

Brzdęk!

Na skrzyżowaniu korytarzy zderzyły się dwa wózki widłowe. Brzdęk! Trzeci zatrzymał się gwałtownie, gubiąc ładunek.

Alan teatralnym gestem zatrzymał stoper.

- Lepiej, ludzie, ale nie dość dobrze. - Zniknął i natychmiast pojawił się, kwitując wysoko nad miejscem



zderzenia i przekręcając wypukłe lustro bezpieczeństwa zamontowane w kącie. - Zgadza się, prawdziwe lustro trzeba będzie ustawić jak należy. Problem w tym, że nikt tego nie sprawdził. Nie możemy na to pozwolić. I wyraźnie musimy zwiększyć odstęp między pojazdami.

Jedno spośród kilkunastu okienek przesuwających się w polu widzenia Brenta trwało bez ruchu. Zastygły tekst krył w sobie oskarżenie, którego nie potrafił zignorować i nie pozwalał skasować. Jeden z bezdomnych, na których ćwiczył punkcje lędźwiowe, nie żył. Poprzedniego dnia umarł w wyniku komplikacji po zapaleniu opon mózgowych.

Ćwiczył. Nie żył. Cóż za antyseptyczny opis. I na co zdała się jego odmowa zabijania?

Nagle Brenta załapała fala chemicznego spokoju. Pierwszy próbował - bez większego powodzenia - stłumić ból. Wyrzuty sumienia nie ustępowały tak łatwo.

Skup się! - polecił sobie Brent.

- Niech ćwiczą dalej, Alanie. Zostały nam tylko dwa tygodnie.

Teraz on zniknął. Pojawił się na białej piaszczystej plaży omiatanej wiatrem. Na bezchmurnym niebie szybowały morskie ptaki. To była jego wyspa, tyle że dogłębnie zmieniona: bardzo powiększona, z kompleksem Garner Nanotechnology stojącym na szczycie ośnieżonego wzgórza, tuż za pierścieniem dorodnych palm. Dolarami płacili za euro, euro za jeny, jenami za dolce z VirtuaLife, a dolcami za „ziemię” i dostęp do wartych tysiące roboczolat narzędzi dla graczy, pozwalających w sekrecie zbudować idealny symulator fabryki. Nowiuteńki program symulacyjny na specjalnych serwerach kosztowałby Powstałych więcej, niż

mieli, i wymagał czasu, którym nie dysponowali - oraz nadal pozostawał łatwiejszy do wykrycia.

Zaledwie kilka wybranych osób z Hatoyama Ga-ming Corporation znało dokładną liczbę prywatnych wysp na owym wirtualnym oceanie. Większość stanowiły osobiste kryjówki, takie jak niegdyś wyspa Brenta. Według pogłosek jednak *na* setkach, może tysiącach prywatnych wysp istniały niezmiernie skomplikowane symulacje sprzętu, fabryk i elektrowni. W miejscach tych producenci testowali swój towar, organizacje szkoliły personel, służby alarmowe planowały ewakuacje, a służby ratunkowe - reakcje na katastrofy. Niemal na pewno na kilku podobnych wyspach komórki terrorystyczne ćwiczyły doprowadzanie do tych samych katastrof. Prywatność działa w obie strony.

*Jestem gotów*, wysłał wiadomość Brent. *Spotkanie przywódców*.

Charles, Morgan McGrath i Felipe Lopez kolejno dołączali do niego na plaży, witając się głosowo. Najwyraźniej tej mroźnej i szarej styczniowej niedzieli w świecie rzeczywistym byli fizycznie sami. W odróżnieniu od Tyry, która zjawiała się parę sekund później i napisała w okienku: *Cześć*.

Brent mrug/błyskiem przywołał chochlika, by zajmował się konwersją dźwięku na tekst. Obecnie na wyspie porozumiewali się głosowo. Owszem, mowa jest powolna, ale jej zawartość informacyjna dalece wykracza poza znaczenie słów. Podczas przygotowania tak krytycznego dla ich przyszłości planu bogactwo mowy przewyższało związane z nią niedogodności.

Charles uważał, że głos to archaizm.  
- Jak tam ćwiczenia? - spytał Felipe.

Miał ten sam dostęp do symulacji co Brent, toteż pytanie stanowiło jedynie luźny wstęp do rozmowy. Charles skorzystał ze swego dostępu.

- Osiemdziesiąt procent ładunku w ciągu trzech godzin. Bardzo kiepsko. To nie wystarczy.

Istotnie, ale nie lekarzowi o tym decydować. Brent postanowił nie reagować.

- Mimo wszystko to lepiej niż osiem godzin podczas pierwszej próby. Mamy jeszcze dwa tygodnie, by skrócić proces o godzinę. - Dwa tygodnie do finału Super Bowl, kiedy nawet pracocholicy i nadganiający pracę opuszczają biura. - Wszystko się układa. W najgorszym wypadku będziemy wiedzieć, że musimy ograniczyć ilość zabranego sprzętu.

- W najgorszym przypadku - odparował Charles - kiedy nadejdzie czas, wciąż będziemy dopieszczać szczegóły.

Siedzący w odległym fotelu Brent zacisnął pięści. Wyzwania, niegdyś subtelne, stawały się coraz wyraźniejsze. Powstanie uwalniało od wielu emocji, lecz niestety ambicja do nich nie należała. Może zbyt mocno wiązała się z instynktem przetrwania, by kiedykolwiek zniknąć.

Zaczął się zastanawiać, czy dni jego dowodzenia nie są aby policzone. W Angleton nanoboty musiały poradzić sobie z rozległymi obrażeniami. Jedynie nieliczne udały się w stronę głowy - i zapewne jeszcze mniej przedostało się przez BKM, niezależnie od tego, jak się to stało. Każdy z jego odmieńców otrzymał zastrzyk botów wprost do centralnego układu nerwowego. Niemal na pewno w ich mózgach zagnieździło się ich znacznie więcej niż u niego. Z całą pewnością Powstali dużo szybciej niż on...

Ambicja? Gdyby tylko ambicja stanowiła jego największy problem. Ponownie ogarnęło go gwałtowne poczucie winy, a po nim kolejna fala hormonów. Endorfiny zagłuszały ból, zamiast go usuwać.

- No i...? - naciskał Charles.

O co właściwie mu chodziło?

- Mamy pełne plany fabryki i schematy systemów wewnętrznych - oznajmił Brent. - Wszystko dzięki Felipe. Dzięki Morganowi dysponujemy dogłębną wiedzą na temat systemów alarmowych, zarówno lokalnych, jak i Departamentu Bezpieczeństwa Krajowego. Znamy pełne firmowe specyfikacje wszystkich urządzeń w fabryce. W tej symulacji uwzględniliśmy wszystkie możliwe szczegóły. I będziemy ćwiczyć, aż w końcu zdołamy nawet przez sen rozebrać fabrykę. Będziemy gotowi.

- Byłoby miło. - Pasywny ton sprawiał, że słowa Charlesa zabrzmiały mocno sceptycznie. Ale jeszcze nie buntowniczo.

Przez cały ten czas obrazy z trwającej próby przepływały przez małe okienka w okularach Brenta. Grupa Alana sprawdzała teraz alternatywne trasy przez fabrykę, aby zmniejszyć zatory w korytarzach. Pomagało to w przyspieszeniu procesu. Tyra najwyraźniej zajmowała się kilkoma zadaniami naraz, bo nagle Joe Kaminsky, działający w symulowanych pomieszczeniach działu badawczego, zaczął testować nową i szybszą sekwencję odłączania skaningowego mikroskopu tunelowego.

A w ostatnim okienku Brent wciąż widział oskarżycielski nagłówek: „Umarł zaatakowany bezdomny”.

*Doskonale*, wysłał wiadomość do Alana. *Szlifyjcie dalej.*

- W przyszłą środę sprawdzimy wszystko jeszcze raz. Na razie przejrzymy plany awaryjne.

- Dywersje są przygotowane i gotowe - zameldował Morgan. - Wypróbowaliśmy zagłuszacze komórkowe w przestrzeni rzeczywistej, działają. Odcięcie linii naziemnych to prosta sprawa...

Morgan odsłużył dwie misje w Iraku i trzy w Afganistanie. Od pierwszego dnia kierował ochroną Garner Nanotech. Mieli po swojej stronie wojskowego eksperta od spraw kontrwywiadu, wspieranego technicznie przez wyposażonych w boty inżynierów i naukowców. Ochrona nie będzie stanowiła problemu.

Brent uważniej obserwował Charlesa, niż słuchał Morgana. Jeśli Charles zamierza spróbować przejąć władzę, to właśnie teraz.

Nie zawiódł go.

- Wszystko to świetnie - przerwał Morganowi. - Ale nie będziemy potrzebowali tych wszystkich szpiegowskich numerów, jeśli wykonamy swój ruch w dniu finału Super Bowl. Tylko czy się uda?

- Co chcesz przez to powiedzieć? - spytał Brent.

- Chcę przez to powiedzieć, że podczas gdy Morgan uwzględnia w swych planach nawet najbardziej wymyślne sytuacje, twoja przyjaciółka Kim i jej kumpel lekarz wciąż się nie poddają. Chcę przez to powiedzieć, że istnieje tylko jedno prawdziwe ryzyko: takie, że Kim i Aaron zmuszą nas do wcześniejszego działania. Uniknijmy go.

- Ponieważ jest moją przyjaciółką... - Brent zawiesił głos, czekając na nieunikniony komentarz Morgana: „Ethan był moim przyjacielem”.

Straszna prawda, pomyślał Brent, jest taka, że Charles/Drugi ma rację. Jeśli chodzi o Kim, nie potrafię myśleć obiektywnie.

Nie, nie straszna. Skomplikowana. Pierwszy dopilnuje, by zrobić/zrobili wszystko, co konieczne do przeżycia. Ale co jest konieczne? Jak ma/mają zdecydować?

Był to trudny problem, a Kim stanowiła ostatnią pozostałość moralnego kompasu Brenta. W sumie nawet nie sama Kim, lecz jej idea i to, jak wyobrażał sobie siebie tłumaczącego się jej ze swych działań. Bał się, że straci umiejętność odczuwania żalu z powodu tego, co musi robić. Gdyby coś jej się stało, ów cichy głos w najgłębszych zakamarkach jego umysłu nie przetrwa.

Urwał, czekając na Morgana, ale tamten milczał. Czy mógłby się stać tak obojętny? Tak bardzo się zmienić? Nawet pośród Powstałych Brent często czuł się samotny.

Otrząsnął się szybko.

- Ponieważ jest moją przyjaciółką, martwię ją zmiany w moim zachowaniu. Jasno dawała to do zrozumienia. I rozmawiała z ludźmi spoza miasta, z ludźmi, na których niełatwo nam wpłynąć. Z Danem Garne-rem. Swoim chłopakiem. Rodziną. Moją rodziną. Cokolwiek się stanie z Kim, natychmiast wzbudzi ich podejrzenia. Cokolwiek się stanie z Aaronem, wzbudzi podejrzenia Kim. Nie zastępujemy znanego i kontrolowanego ryzyka czymś nieznanym.

- Kontrolowanego - zadrwił Charles/Drugi. - Ja powiedziałbym, że zaledwie zracjonalizowanego.

Jeśli się nie postara/postarają, Charles/Drugi przejmie pałeczkę. Charles zawsze był wyniosły. Czy zachował jakiegokolwiek sumienie? A reszta Powstałych?

- Kontrolowanego - zadrwił Charles/Drugi. - Ja powiedziałbym, że załedwie zracjonalizowanego.

Podczas gdy Brent przetrwał jego słowa, Charles/Drugi porównał ceny robionych na zamówienie szkieł kontaktowych VR na pięciu różnych stronach sieciowych. Sprawdził status kilkunastu trwających właśnie symulacji biochemicznych. Jego/ich umysł pragnął bodźców, a próba przeprowadzki dostarczała ich zbyt mało. Charles/Drugi zmienił nieco parametry i rozpoczął nową serię symulacji.

W innych oknach szybko przepływały strony tekstu i grafiki: raporty badawcze z Narodowego Instytutu Zdrowia i Centrum Chorób Zakaźnych. W miarę jak boty coraz mocniej integrowały się z jego mózgiem, nawet ów błyskawiczny odczyt stawał się za wolny. Musiał/musieli wymyślić coś szybszego - coś w rodzaju bezpośredniego łącza nerwowego z internetem. Dodał/ dodali do swych studiów informatykę, cybernetykę, teorię informacji, protokoły sieciowe i neurochirurgię. I wciąż czekał/czekali.

Biedny Brent/Pierwszy, taki zagubiony! Ostrożnie licząc, Pierwszy powstał dzięki najwyżej tysiącowi botów. Większość nanobotów wstrzykniętych owego dnia w Angleton zajęła się utrzymywaniem Bren-ta przy życiu. Żalona garstka, która przedostała się przez BKM - co zabawne, Brent/Pierwszy wciąż jeszcze nie odgadł jak - załedwie wystarczyła, aby stworzyć świadomość.

Dokładna analiza przekonała Drugiego, że jego składników było dziesiątki tysięcy. Badanie PET umożliwiłoby poznanie ich liczby, lecz radioaktywny znacznik mógł uszkodzić część botów. Ciekawość nie usprawiedliwiała podjęcia podobnego ryzyka.

Jaki będzie/będą, gdy owe tysiące botów w pełni się zintegrują? Czas pokaże. Z pewnością stanie się czymś transcendentnym.

I nadal czekał/czekali.

Teraz skupił uwagę na kolejnej przestrzeni wirtualnej, dzielonej jedynie z Tyra, Felipe i Morganem. We czwórkę kolejno wybierali otoczenie. Ten namiot maskujący na pustyni wybrał Morgan. Cleary nie miał o niczym pojęcia i nie był zaproszony.

Tutaj nawet nie wspominali o audio. Mowa to atrybut starego gatunku.

*Porozumienie z Clearym jest coraz trudniejsze*, wysłał wiadomość Charles.

*To on nas stworzył*, odpowiedziała Tyra.

*Stara się, jak może*, dodał Morgan.

Gdyby tylko starania wystarczyły pomyślał Charles.

*Brent/Pierwszy są jak pierwsza ryba, która wypelzła na brzeg*, wysłał. *Nieocenieni pionierzy, których następcy już dawno wyprzedzili. Zmiana przywództwa staje się niezbędna.*

A któż mógłby być lepszym przywódcą niż on sam/Drugi? Charles przypomniał sobie czasy, gdy jego jedyną ambicją było zdobycie bogactwa i pozbycie się Amy. Osiągnie te cele, ale jakże skromne wydawały się teraz.

- Ryzyko jest kontrolowane - rzekł w końcu Brent i Charles na moment skupił uwagę na tamtym oknie.

- Niemal na pewno zdołamy opóźnić działania Kim i Aarona, tak jak to czyniliśmy dotychczas. Potrzebujemy zaledwie dwóch tygodni. Najważniejsze, że oboje nie wykraczali poza kanały oficjalne. Charlesie, Tyro

- zgadza się, prawda?

*Rzucicie mu jakiś ochlap*, napisał Felipe do wszystkich oprócz Brenta.



- Brent ma rację co do Aarona i Kim - rzekła Tyra. - Wygląda na to, że ich „plan” to zdobyć jak najwięcej dowodów, nim Dan wróci do domu.

- A to nastąpi dopiero po wizycie w Miami, czyli po finale Super Bowl - doda! Felipe.

Brent natychmiast podjął wątek.

- Czyli już za późno. Nawet jeśli zwrócą się do kogoś spoza firmy, ich eksperyment nie utrzyma się po bliższym sprawdzeniu. Nie po tym, jak zmieniłem dane. Zanim zdążą wyhodować nowe kultury - znikniemy.

*Zostawcie to, wysłał Morgan. Owszem, Brent ma sentymenty, ale ryzyko jest minimalne. Może nawet to racja, że większym zagrożeniem byłoby wzbudzenie wątpliwości u przyjaciół Kim. Zespół ochrony będzie obserwował ją i jej kumpla lekarza. Podśluch komórek, przechwytywanie e-maili, pluskwy GPS w samochodach - standardowa operacja antyterrorystyczna. Uwzględniliśmy w planach wszystkie możliwe zagrożenia, potrafimy dać sobie radę z niespodziankami.*

*Zgoda, odparł Charles. Niech Brent dalej wierzy, że wszystkim kieruje. Jeszcze trochę.*

Deklaracja nadchodzącego puczu nie wywołała żadnych komentarzy.

# WOJNA

12 stycznia 2017. PIĄTEK RANO

Kim nie zwracała uwagi na gwar panujący w korytarzu za drzwiami biura. Styczeń oznaczał oceny pracownicze, rekomendacje podwyżek, wyznaczanie całorocznych celów i niekończące się poprawki budżetowe - przy niezmiennym nawale pracy. Niedawne wakacje sprawiły, że wciąż była strasznie do tyłu. Z drugiej strony niepokoiło ją wszystko, co miało związek z botami. Może i lepiej, że pierdoły administracyjne zajmowały jej uwagę, choć inaczej niż w poprzednich latach Tyra nie naciskała.

Usłyszała głośne pukanie i drzwi się otwarły.

- Przejdź się ze mną - poprosił Aaron.

- Jedną chwilkę. - Kim zablokowała komputer i wstała. - Dokąd?

- Parę rundek po fabryce. Na dworze jest zbyt ohydnie.

Dzień inauguracji prezydenckiej nie był świętem państwowym, lecz połowa komputerów w budynku i wszystkie telewizory w salach wypoczynkowych pokazywały uroczystości w Waszyngtonie. A choć panowała tam wiosna - och, jakże Kim tęskniła za Wirginią! - Aaron miał rację co do pogody w Utice. Kolejna śnieżycą i wiatr dość silny, by trudno było poznać, czy zacina nowymi płatkami, czy też unosi z ziemi stare. Sporo ludzi postanowiło tego dnia pracować w domu. Lecz choć to kuszący pomysł, szefowie nie mogą sobie na to pozwolić.

Toteż nikt nie zwracał uwagi na Kim i Aarona krążących po fabryce.

- Dowiedziałem się czegoś nowego - oznajmił Aaron ostrożnie.

Kim zakładała, że mowa o ich prywatnym projekcie, odparła zatem równie tajemniczo:

- O... przechodzeniu?

- Tak. - Wepchnął ręce do kieszeni spodni. - Co myślisz o świnkach morskich?

Lubię je jako domowe zwierzątka, jako zwierzęta laboratoryjne nieszczególnie, pomyślała.

- Mam mieszane uczucia.

- Tak też podejrzewałem, widząc, jak szybko polubiłaś Bruce'a. Dlatego nie wspomniałem wcześniej o tym teście. Nie było powodu, by cię denerwować bez potrzeby, jeśli czegoś nie odkryję.

Doszli do hali wyładunkowej. Usłyszeli rozmowy, śmiechy. Kim milczała, póki nie zostały z tyłu.

- Tak, rozumiem. Jak bardzo mam żałować świnki morskiej?

- Jest teraz w świnkowym raj.

W ich przejście skręcił wózek widłowy. Kim poprowadziła Aarona w boczną alejkę, nie zwracając uwagi na pełne wyrzutu spojrzenie kierowcy.

- No dobra. Gadaj.

Aaron się skrzywił.

- W wersji skróconej: potrafię wysłać boty poza BKM. A ponieważ nie miałem dobrego powodu, by zamówić badanie PET, musiałem sam przeprowadzić sekcję.

Teraz znaleźli się w odseparowanym zakątku pełnym wysokich stosów skrzyń na paletach. W pobliżu nie było nikogo.

- Opowiedz mi wszystko - poprosiła.

Test opisany przez Aarona wydawał się prosty i elegancki - i niezwykle jednoznaczny. Aaron wstrzyknął przez czaszkę świnki morskiej interleukinę-6, marker obrażeń, wspólny dla ludzi i wielu zwierząt. Następnie wprowadził do korpusu część skradzionych nanobotów. W teorii IL-6 powinna przedostać się do krwio-biegu i przyciągnąć boty, tak jak według ich założeń stało się u Brenta.

Tego ranka Aaron znalazł w mózgu świnki nano-boty.

Kiedy poprosiła o szczegóły, odwrócił wzrok. Przypomniała sobie żart Brenta na temat gęstego sita i domyśliła się, że badanie nie było przyjemne.

A zatem w mózgu Brenta mogły znaleźć się boty. Mogły też wnikać do mózgow żołądki podczas prób polowych. A nanoboty w mózgu stymulowały masowe powstawanie synaps. Najgorsze obawy Kim się spełniły, a jednak czuła niezwykle spokojnie. Teraz z pewnością ludzie ich wysłuchają. I coś zrobią.

- Czyli mamy wszystko, co trzeba. Czas skontaktować się z FDA.

- I Stanowym Departamentem Zdrowia, OSHA, a także z wojskiem. Próby polowe nie mogą się odbyć, nie z obecną wersją nanobotów. - Aaron poklepał Kim po ramieniu. - A wiedząc to, co wiem teraz, zrobię wszystko, by przekonać Brenta, aby poddał się badaniu PET. Masz moje słowo.

Skierowali się z powrotem do biur działu badawczego. Kim zastanawiała się, jak powinni nawiązać kontakt. Wiedzieli już, że ktoś majstrował przy danych doświadczalnych. Nawet Brent brał udział w zaciemnianiu sprawy. Czy zatem niesłusznie podejrzewali, że ich telefony służbowe mogą być na podsłuchu?

- Moglibyśmy zadzwonić z twojego domu? - spytała, czując się jak paranoiczka.

Uniósł brwi.

- Nie ufam tutejszym telefonom, Aaronie, a mam tylko komórkę.

- Myślisz, że ja mam stacjonarny? Nie jestem aż tyle starszy od ciebie.

- Zatem komórka - rzekła Kim. - Weź płaszcz i spotkajmy się w holu.

Brnęli w lodowatej brei, zmierzając do jej samochodu. Przed wyjściem Kim opatulila się w płaszcz, rękawiczki i szalik. Teraz pogratulowała sobie tej decyzji. Znowu padał śnieg - wielkie mokre płatki. Oceniała, że tego ranka zdążyło już spaść z dziesięć centymetrów. Pewnie będzie musiała wyjść wcześniej z pracy.

Oboje wsiedli do wozu. Przy trzaśnięciu drzwiami z karoserii zsunęła się masa śniegu. Kim włączyła silnik, by uruchomić ogrzewanie, a potem wyjęła z torebki komórkę.

- Najpierw FDA?

- Dobra.

Paranoiczny lęk nie pozwolił jej sprawdzić w biurze nawet telefonu FDA. Zaczęła surfować w sieci przez komórkę, znalazła schemat organizacyjny FDA i gorącą linię dotyczącą testów klinicznych. Mogą zacząć od tego. Kiedy na drugim końcu odezwał się dzwonek, przełączyła komórkę na zestaw głośnomówiący.

Odezwała się poczta głosowa. Naturalnie. Połączenie było kiepskie, może z powodu burzy. Po zakończeniu powitania Aaron zaczął recytować wiadomość.

*Mamy problem, odczytał Brent. Próba kontaktu z FDA.*

Wiadomość pochodziła od Morgana McGratha, jej kopie trafiły do Tyry i Charlesa. Ludzie Morgana monitorowali niemal wszystko. Rozmowy przez telefony wewnętrzne. Przechwycone rozmowy komórkowe i SMS-y. E-maile i komunikatory. Nawet strony sieciowe; Have-Mercy odinstalowała łatki bezpieczeństwa z firmowych routerów WiFi, żeby robak mógł zainstalować keyloggery na wszystkich pecetach w budynku.

Brent mrug/błyskiem sprawdził szczegóły w załączonym pliku. Skaner komórkowy wykrył zakazany numer z sieci FDA.

Znów mrugnął, przechodząc do nagrania rozmowy. Połączenie było pełne szumów, zapewne z powodu burzy. Może i dobrze.

Choć numer wybrano z komórki Kim, usłyszał głos Aarona Sandersa.

- Boty przechodzą przez... zmiany... mózgu. Wyciszenie. .. dysponujemy niezmiennymi wer... danych...

W tym momencie rozpoczęło się zagłuszanie. Laik uznałby je za typowe przerwane połączenie. Gdyby wybrał numer, nie uzyskałby odpowiedzi.

Lecz Powstali nie mogli bez przerwy zagłuszać, nie zwracając na siebie uwagi firmy telekomunikacyjnej. Poza tym Kim i Aaron mogą odjechać kawałek dalej i znów znaleźć się w zasięgu.

Mimo wszystko nawet urywki wiadomości musiały wywołać alarm. Jakie są szanse, że gorąca linia FDA nie jest wyposażona w identyfikację rozmów przychodzących? Z pewnością mizerne. Może jednak nikt nie sprawdzi nagrania aż do poniedziałku. Brent mruknięciem przeskoczył do rozpiski świąt federalnych. Pracownicy federalni w Waszyngtonie i okolicznych powiatach stanów Maryland i Wirginia mieli wolne w dzień inauguracji.

*Gdzie są teraz?* - wysłał wiadomość. Morgan z pewnością to wie.

Tyle że nie wiedział dokładnie.

*TUŻ przed rozmową wyszli na zewnątrz. Strażnik założył, że na lunch. Ich samochody wciąż stoją na parkingu.*

Czytniki identyfikatorów zamontowane w wejściach miały niewielki zasięg, służyły jedynie do sprawdzania pracowników wchodzących i wychodzących z budynku. Pluskwy GPS ukryte w wozach Kim i Aarona nadawały niemal wszędzie, ale dokładność odczytu nie przekraczała piętnastu metrów.

Nim Brent zdążył spytać, Morgan przysłał mu obrazy w czasie rzeczywistym, przekazywane przez kamery bezpieczeństwa z parkingu. *Oba samochody stoją w południowo-zachodnim narożniku.*

Gdyby Kim gdziekolwiek pojechała - nawet zupełnie niewinnie na lunch - znalazłaby się poza zasięgiem

zagłuszaczy i skanerów. Brent przyjrzał się obrazom z kamer i wypatrzył coś, co wyglądało jak jej wóz. Kształt się zgadzał, a oczyszczony ze śniegu fragment drzwi od strony kierowcy ukazywał wiśniowoczerwo-ny lakier. Okno od strony kierowcy też zostało oczyszczone, było jednak zaparowane; biała para ulatywała także z rury wydechowej. Przednią szybę pokrywała warstwa śniegu.

Miał jeszcze czas, by przechwycić Kim i Aarona, nim gdzieś pojedą.

Chwycił płaszcz wiszący obok w szafie. *Widzę ich. Sprowadzę do środka. Niby jak? Wymyśli coś po drodze. Powinniśmy przejść do planu B.*

Tak naprawdę nie mieli wyboru. Nikt się nie sprzeciwił.

- Cholera - powiedział Charles. Skierował to pod adresem całego wszechświata, a nie nikogo w szczególności. Przynajmniej do wyładowania emocji mowa nadawała się świetnie. Następnie wysłał wiadomość do Morgana, Felipe i Tyry: *Ustąpiliśmy Brentowi. Oto skutek.*

Tyra połknęła haczyk. *Charles ma rację. Czas wyłączyć Brenta z procesu decyzyjnego.*

*Zgadzam się,* odpowiedział Felipe.

*Zgoda,* napisał Morgan.

Nie był to też najlepszy czas na zakładanie komitetu, ale Charles mógł pracować z tą trójką. Większość technicznych posłucha poleceń Tyry. Zapewne wszyscy strażnicy podążą za Morganem. Trwała rekonstrukcja struktur władzy mogła zaczekać.



*Przechodzimy do planu B*, wysłała Tyra.

Plan B był bardzo prosty. Całkowicie pomijał złożony proces rozmontowywania połowy linii produkcyjnej w zaledwie parę godzin. Tak naprawdę potrzebowali jedynie zapasu botów i katalizatorowych zbiorników reakcyjnych, służących do produkcji kolejnych. Poza nimi wszystko, co mieli zamiar zabrać, choć kosztowne, nie było niczym wyjątkowym i można to zastąpić innym sprzętem. A dopóki będą dysponowali zapasem botów, nie muszą odtwarzać fabryki - a tym samym ryzykować ujawnienia.

Tak więc zabiorą wyłącznie niezbędne elementy mieszczące się w kilku terenówkach (albo - jeżeli pogoda się pogorszy, a na to wyglądało - na kilku śnie-gołazach). Oraz wszystkie nanostroje.

I zrobią dość zamieszania, by nikt tego nie zauważył.

Pod rządami nowego szefostwa zaplanowana przez Powstałych dywersja będzie znacznie poważniejsza niż wszystko, co mógłby wymyślić Brent.

- Cholera - mruknęła Kim. - Straciłam sygnał.

A ty?

Aaron wyjął własną komórkę.

- Ja też. Możemy przejechać kawałek i sprawdzić, czy to pomoże.

Powiew wiatru zatrzęsł samochodem.

- Na dworze jest strasznie. Przez tę pogodę pewnie wyjdę wcześniej. A ty?

- Chyba też. - Uśmiechnął się szeroko. - Żeby pobawić się w śniegu z Becky i Freddiem.

- Zadzwoń do mnie, kiedy będziesz gotów. Możemy po drodze wpaść do centrum handlowego i spróbować zadzwonić stamtąd.

Wysiedli. Kim naciągnęła głębiej czapkę, owinęła twarz szalikiem i ruszyła szybko w stronę budynku Garner Nanotech. Obok niej maszerował Aaron, skulony i zgarbiony, z podniesionym kołnierzem płaszcza.

Przez drzwi wylewała się rzeka ludzi. Pora lunchu.

Czytnik kart przy wejściu zapiszczał i błysnął zielenią, nawet przez płaszczyz odczytując czip RFID w identyfikatorze Kim. Straż pełnił Kapitan Ameryka, ale nie zwracał uwagi na identyfikatory, toteż się nie rozpięła. Czym zajęty? Może gra? - zastanawiała się Kim. Trudno stwierdzić przez te cholerne okulary VR. Razem z czapeczkami baseballowymi - nowa moda ochrony.

Ruszyli do infirmerii, żeby się naradzić. W poczekalni nie było nikogo. Weszli do gabinetu, Aaron odwiesił płaszczyz do maleńkiej szafy.

Kim, wciąż zziębnięta, rozpięła swój, ale go nie zdjęła. Wepchnęła tylko do kieszeni czapkę i rękawiczki.

- Wstrzyknąłeś IL-6 przez czaszkę - rzekła nagle. - Do diabła, jak to zrobiłeś?

- Przepraszam. Zakładałem, że wołałabyś nie znać szczegółów.

Faktycznie, tak wołała.

- Mimo wszystko.

Wziął z biurka piłkę tenisową i zaczął ścisnąć ją w palcach.

- Najpierw wywierciłem niewielki otworek. - Kiedy się skrzywiła, dodał: - Dlatego właśnie pominąłem ten szczegół.

- Czy wiercenie nie mogło uszkodzić naczynia krwionośnego w mózgu? - Może przenikanie botów przez BKM nie jest jednak rzeczą pewną.

- Jasne, ale to nie ma znaczenia. Otwór pozwolił mi wprowadzić IL-6 do mózgu, tak by następnie przedostała się do krwiobiegu i zwabiła boty. Przed wstrzyknięciem botów jak najdalej od głowy zacząłem na zasklepienie się wszelkich ran. - Jeszcze kilka razy ścisnął piłkę. - Przy innym zwierzęciu mógłbym spróbować wstrzyknąć IL-6 poprzez punkcję lędźwiową, ale świnki morskie są małe. - Znow ścisnął piłkę.

- No i IL-6 wstrzyknięta przez punkcję lędźwiową nie zadziałałaby równie szybko. Musiałbym sprawdzić nie tylko tkanki mózgu, ale też rdzenia kręgowego.

Większe zwierzę. Kim domyśliła się, że miał na myśli małpę. Najwyraźniej była małpią szowinistką, bo ucieszyła się, że zwierzę uniknęło tego losu.

- Zaczekaj chwilkę. Punkcję lędźwiową?

- Mhm. A co?

- Sama nie wiem. Coś. - Słowa te skojarzyły jej się jedynie z zeszlorocznymi atakami na bezdomnych.

- A gdybyś punkcją lędźwiową wstrzyknął nanoboty?

- Upiorny pomysł. - Ręka Aarona znieruchomiła.

- Nie wiem. Chyba wynik nie byłby pewny. Mogłyby zatrzymać się w rdzeniu kręgowym albo trafić do mózgu. O czym myślałaś?

- Nie wiem. O czymś, co niedawno widziałam, ale nie potrafię określić co. - Zamknęła oczy, skupiła się. Co właściwie widziała? Drogę do samochodu. Jego wnętrze, gdy próbowała dzwonić. Drogę powrotną. Tłum w holu. Kapitana Amerykę.

Czapkę Kapitana Ameryki.

Gwałtownie otworzyła oczy. -  
To nie tylko Brent.

Brent brnął przez parking, powłócząc nogami. Istniało spore prawdopodobieństwo, że po dzisiejszym dniu nigdy więcej nie zobaczy Kim. Wyjedzie z kraju i zejdzie pod ziemię wyposażony w nową tożsamość. Wszyscy tak robią, wykorzystując doświadczenie Morgana.

Jakąś jego część ogarnął na tę myśl głęboki smutek.

Niemal cały samochód Kim pokrywała gruba warstwa śniegu. Brent zastukał w zaparowane okno. Nikt nie odpowiedział. Zajrzał do środka - pusto. Znając stosunek Kim do śniegu, domyślił się, że nie zdecydowała się na jazdę.

Śliską połać parkingu pokrywała chaotyczna mieszanina śladów butów i opon. Nawet Pierwszy, mimo swych błyskawicznych zdolności obliczeniowych, nie potrafił podążyć śladami wiodącymi z wozu Kim.

Najniebezpieczniejszy potencjalny cel stanowi! inny samochód. Brent nie miał pojęcia, czym jeździ lekarz. Informacja powinna jednak figurować w aktach. *Alanie, jaki pojazd zarejestrował w ochronie Aaron Sanders?*

*Sportowy hyundai 2014, błękitny metalik. Rejestracja z Nowego Jorku KWXOTK.*

Quixotic. Niezły Don Kichot.

W pobliżu stało całe mnóstwo sportowych wozów, wiele z nich śnieg zasypał w stopniu uniemożliwiającym zidentyfikowanie koloru. *Wciąż stoi na parkingu?* - napisał do Alana Brent.

*Według odczytu GPS owszem. Niedaleko głównego wejścia.*

Brent pomachał do Alana przed jedną z kamer ochrony i ruszył naprzód. Wóz Aarona odnalazł się w trzecim sprawdzanym rzędzie, przysypany śniegiem. Wskazał go ręką.

Alan czuwał.

*Rejestrujemy ich identyfikatory wewnątrz. Przepraszam, zajęłem się planem B i bezpiecznym uprzątnięciem przejść w fabryce. W tym czasie musieli mnie minąć.*

Brent ruszył w stronę wejścia. *Bądź gotów za mną zamknąć.*

Charles i Tyra wyglądali przez okno jej biura. Z nieba sypał gęsty śnieg. Charles ledwie widział biurowiec po drugiej stronie doliny, a co dopiero smukły maszt komórkowy na jego dachu.

*Szkoda*, napisał. Znalazł kamerę policyjną, której pole widzenia obejmowało biurowiec. Obok przejeżdżała rzeka samochodów. Posłał Tyrze adres strony.

Morgan podłączył się gdzieś z fabryki. *Pięć.*

W pięć sekund później... bum!

Charles zmrużył oczy, patrząc, jak maszt wywraca się ciężko. W dole trąbiły klaksony. Ledwie słyszał pisk protestujących hamulców, natomiast opony zimowe nie piszczwały. Przed beznamiętnym niemrugającym okiem kamery ślizgające się i obracające bezwładnie samochody wpadały na siebie. A potem...

Trzydzieści metrów stali masztu komórkowego runęło na sam środek skrzyżowania.

Aaron zmarszczył brwi.

- Co nie tylko Brent?

- Boty - odparła Kim. Nagle zaczęły jej drżeć ręce. -  
Boty w mózgu.

- Mówisz poważnie?

Znalazła krzesło i usiadła.

- Pamiętasz, jak Charles zamierzał porozmawiać z Brentem i w czasie weekendu zniknął po tym, jak uderzył się w głowę? Pamiętasz, że w ten weekend zginęły także wszystkie zapisy laboratoryjne? Kapitan Amer... Alan Watts miał służbę w ten sam weekend. W poniedziałek zjawił się w pracy z wielkim sińcem na czole. Powiedział mi, że potknął się podczas obchodu i uderzył w głowę. Niedługo potem wszyscy strażnicy zaczęli nosić czapki. - I coś jeszcze, uświadomiła sobie Kim. Tyra zmieniła nagle fryzurę. Czyżby gęstą grzywką chciała zasłonić ślad na czole?

Aaron zamrugał.

- Chcesz powiedzieć, że ukrywali rany na głowach? To dość śmiały wniosek. Załóżmy jednak, że masz rację. Jak od sińców przejdziesz do botów?

- Punkcje łądziwowe. - Kim zaczęła nerwowo miąć w palcach długi kosmyk włosów. - Gdyby Brent pragnął... towarzystwa... kolejnych jemu podobnych... co by zrobił?

-Ale dlaczego...

- Nie wiem dlaczego! - wybuchnęła. - Po prostu mnie posłuchaj. Wstrzyknąłeś śwince markery bólu, żeby zwabić boty. Ale to wymagało wywiercenia otworu w czaszce. Czemu po prostu nie uderzyć jej w głowę, by markery powstały same?

Aaron patrzył na nią bez słowa.

Umilkła, nie chcąc kończyć myśli.

- Wstrzyknij komuś boty przez punkcję łądźwio wną. Siup! - przeszedłeś BKM. Walnij go w głowę dość mocno, by doszło do urazu. Nanoboty są ruchome. Markery bólu w płynie mózgowo-rdzeniowym zwabia je do mózgu.

Aaron potarł ręką podbródek.

- To dość upiorna wizja.

- Charles i Alan odnieśli przypadkowe obrażenia parę tygodni po atakach na bezdomnych. Może ich rany nie były przypadkowe?

Czy ataki na bezdomnych były ćwiczeniem? W ostatnie Święto Dziękczynienia Brent niezwykle lekceważąco podszedł do owych napadów. Ponieważ to on atakował? - myślała Kim.

-Aaronie, ja...

Nagle w głębi budynku rozległ się odległy żalony jęk, szybko dołączyły do niego kolejne, bliższe. Syreny! Syreny obrony cywilnej! Co do diabła?

Głośniki w ścianach nagle ożyły.

- Do wszystkich! Uwaga! Tu ochrona budynku. Po informowano nas o atakach terrorystycznych w Uti-ce. Dla waszego bezpieczeństwa prosimy o przejście do głównej sali konferencyjnej.

## 27 STYCZNIA 2017. PIĄTEK POPOŁUDNIE

Kim się wzdrygnęła. Atak terrorystyczny? W korytarzach rozbrzmiewały krzyki, dźwięczał w nich szok, strach, niedowierzanie. Rozumiała tylko pojedyncze słowa. Hałas narastał, krzyki stały się wyraźniejsze - w chwilach gdy w głośnikach nie powtarzano ostrzeżenia.

Kolejne zamknięcie. Bezradne czekanie. Czająca się w pobliżu śmierć. Kolejne zamknięcie...

- Śladja wpadnie w panikę. - Aaron gwałtownie odłożył słuchawkę biurkowego aparatu. - Najpierw komórki nie działają, a teraz linie naziemne też pa dły!

Nie ruszył jednak do wyjścia.

- Kim, to mi się nie podoba. Spójrzmy na to logicz nie. Czemu właśnie teraz? Akurat parę minut po tym, jak bezskutecznie próbowaliśmy zadzwonić do FDA?

Kim splotła ciasno ręce na piersi. Terrorystów tu nie ma, upomniała się w duchu. Próbowwała skupić myśli.

- Mamy dzień inauguracji. Czy to nie dostateczny powód dla niektórych?

- To może wyjaśniać kiedy. Ale czemu akurat w Uti ce?

Głośniki znów się odezwały, jeszcze donośniej niż przedtem.

- Do wszystkich. Prosimy o natychmiastowe - mówiący zaakcentował to słowo tak mocno, że w głośnikach zapiszczało - zebranie się w sali głównej. Nie próbujcie wcześniej dzwonić do domu. Jedną z nielicznych rzeczy, które nam wiadomo, jest fakt, że ataki uszkodziły linie telefoniczne. Na ekranie w sali głównej pokażemy lokalne wiadomości. Miejmy nadzieję, że odpowiedzą na wszystkie pytania.

- Ta informacja naprawdę pogoni ludzi - zauważył Aaron. - Nie będą ryzykować, że tu utkną, pozbawieni łączności ze światem, z dala od rodzin.

Ja też nie zaryzykuję, pomyślała Kim. Musiała znaleźć działający telefon i zawiadomić rodziców, że nic jej nie jest.

- Też wcale nie chcę tu utknąć.



Aaron ją uciszył, usłyszała zbliżające się kroki. Ktoś spieszył w ich stronę, oddalając się od najbliższego wyjścia.

Aaron wskazał ręką niewielki zakamarek pod biurkiem.

- Schowaj się, szybko! - wymówił bezdźwięcznie. Widząc, że patrzy na niego zdumiona, dodał, wciąż nie wydając z siebie głosu: - Nie ma czasu.

Kim posłuchała, sama nie wiedząc dlaczego. Kroki się zatrzymały.

- Tli pan jest, doktorze. Musi pan pójść ze mną.

Głos zabrzmiał znajomo, tyle że ton nie pasował.

- Właśnie ruszam do domu - odparł Aaron. - Chcę być z rodziną.

- Jest pan potrzebny w sali głównej. Wiele osób wyjeżdża, ale inni zostają. Powinniśmy mieć tu lekarza. Na wszelki wypadek.

Kapitan Ameryka, uznała Kim. Tyle że teraz nie przemawiał pełnym szacunku tonem, jakim zazwyczaj strażnicy zwracali się do pracowników. Alan Watts. Przyjaciel Brenta. Skojarzenie to wcale jej nie pocieszyło.

- W takim razie zostanę tutaj. Mam tu potrzebny sprzęt.

Jak Aaronowi udawało się zachować spokój i trzeźwość umysłu? Kim niedawno wróciła z Manhattanu i nie mogła powstrzymać się od skojarzeń z atakami z jedenastego września, lecz pamięć podpowiadała kolejne zbrodnie terrorystów. Londyn. Bali. Denver. Ateny. I koszmar, który przeżyła Sladja.

Jej myśli podążały niebezpieczną ścieżką. Telefony uruchamiające bomby, zagłuszanie komórek, by powstrzymać ich wybuchy. Jakie to dziwne, że tam na parkingu nagle

oboje stracili zasięg. Na wysokim biurowcu na wzgórzu po przeciwnej stronie doliny stał wysoki maszt komórki. Zazwyczaj w całej dolinie odbiór był znakomity.

Czy to możliwe, by ktoś próbował zagłuszać komórki? Ta myśl tak bardzo ją zaskoczyła, że w porównaniu z nią tocząca się obok uprzejma rozmowa zabrzmiała niemal normalnie.

- Doktorze - rzekł stanowczo Watts - mój szef ka zał mi pana przyprowadzić. Nie wspominał, że muszę prosić. Mam nadzieję, że pan rozumie.

Ja z całą pewnością nie, pomyślała Kim. Owszem, byłoby to oczywiste, gdyby doszło już do jakiegoś wypadku, ale wówczas Watts z pewnością zacząłby właśnie od niego. A nie zaczął.

- Wciąż nie możemy znaleźć pani O'Donnell - podjął Watts. - Czy mi się zdawało, czy słyszałem, jak pan z nią rozmawiał?

Hę? Czemu mieliby szukać właśnie jej? A określenie „wciąż nie możemy znaleźć pani O'Donnell” sugerowało, że ktoś szukał jej wśród osób uciekających z budynku.

Nagle pomysł Aarona z ukryciem pod biurkiem wydał jej się efektem jasnowidzenia.

- Owszem, słyszał pan. - Aaron postukał palcem w blat i Kim o mało nie wyskoczyła ze skóry. - Linie wewnętrzne działają, przełączyłem na głośnik. Też miała zamiar wyjść.

Alibi! Ulga sprawiła, że Kim ledwo usłyszała odpowiedź Wattsa.

- Nie, wciąż jest w budynku, doktorze. Mówi pan, że była w gabinecie?

- Możliwe - odparł Aaron. - Mogła dzwonić z do wolnego miejsca. Jakiś problem?

- Proszę pójść ze mną, doktorze. Ktoś inny ją znajdzie.

- Nie, już zdecydowałem, wracam do domu - oznajmił Aaron. - Po dwunastu latach w wojsku potrafię sobie poradzić.

- Zostaje pan, doktorze. Kto miał wyjść, już wyszedł. Wszystkie wyjścia zostały zamknięte dla bezpieczeństwa pozostałych. I pozostaną zamknięte, dopóki władze nie dadzą znać o ustaniu zagrożenia. Proszę przejść do sali głównej.

Tamtego dnia w Virginia Tech jej profesor mówił coś podobnego: zostańcie w środku dla własnego bezpieczeństwa. Kim trzęsły się ręce. W korytarzach zapadła niesamowita cisza. Czemu tak bardzo zależało im na zabraniu Aarona? I jej samej?

- A jeśli nie pójdę? - odezwał się Aaron.

- Za dziesięć sekund wezwę jeszcze dwóch strażników. W razie potrzeby wyniesiemy pana siłą.

- Skoro budynek jest zamknięty, czemu nie mogę zostać w gabinecie?

- Doktorze, centralna część budynku to w tej chwili najbezpieczniejsze miejsce. Poza tym jeśli wszyscy zbiorą się razem, ochronie będzie łatwiej pilnować was przed zagrożeniem. Czy możemy więc załatwić to po dobroci?

Pilnować przed zagrożeniem, czy po prostu pilnować?

- pomyślała Kim.

Przez długi czas w gabinecie panowała cisza. Aaron odszedł od biurka.

- Zgoda.

W parę sekund później drzwi infirmerii zatrzasnęły się z głośnym szczękiem.

Dziesięć oszołomionych, wściekłych i przerażonych osób krążyło po głównej sali konferencyjnej Garner Nanotech.

Większość pracowników, którzy nie wyszli na lunch, bezzwłocznie ruszyło do domów, przedszkoli i szkół bądź miejsc pracy współmałżonków. Morgan był pewien, że tak właśnie się stanie. Tak działa ludzka (odrobina wzgardy) natura.

Wielka szkoda, że ochrona nie mogła usunąć tych kilku maruderów, lecz zmuszanie ludzi do opuszczenia budynku w czasie ataku terrorystycznego mogłoby wzbudzić podejrzenia.

Brent stał w kącie sali, słuchając, jak wystraszeni współpracownicy (więźniowie? zakładnicy?) powtarzają plotki i domysły. Większość cały czas próbowała zadzwonić do domu. Wielu wpatrywało się w telewizory - ogromny ekran na ścianie bądź ekraniki własnych komórek - bo tunery wciąż działały.

Mimo adrenaliny, którą Pierwszy zaaplikował mu poprzez krwiobieg, i mimo postępów wyraźnie widocznym dzięki okularom VR, Brent nadal zdołał czuć się nieszczęśliwy. Nie tak powinno to wyglądać.

- ...wciąż napływają - mówił zdyszany reporter telewizyjny. - Cel stanowiły centrale telefoniczne i internetowe, a także związane z nimi anteny i stacje przekaznikowe. Ataki bombowe zakłóciły bezprzewodowy dostęp do sieci przez komórki, blackberry i WiMax. Otrzymujemy także raporty o awariach sieci naziemnej. Według naszych informacji ładunki przypominają to, co wojsko nazywa IED, improwizowanymi ładunkami wybuchowymi. Dopóki działa nasze centrum

nadawcze, będziemy przekazywać państwu najnowsze wiadomości. Jak dotąd nikt nie przyznał się do ataku, choć użycie IED budzi oczywiste skojarzenia.

Z punktu widzenia maruderów budynek Garner Nanotech został odcięty od świata. Podczas gdy oni kulili się tutaj, dysponując jedynie „wyjaśnieniami” ogłupiałych mediów, ludzie Morgana - teoretycznie patrolujący teren budynku dla bezpieczeństwa wszystkich - i reszta Powstałych zaczęli rozbierać fabrykę.

Wygramoliła się spod biurka. W korytarzach już zapadła cisza - czyżby je opróżniono? Aaron świadomie podpuścił Watta. Czego zatem dowiedziała się z ich rozmowy?

Strażnikom zależało zwłaszcza na niej i Aaronie. Musiało to mieć jakiś związek z ich odkryciami bądź próbą skontaktowania się z FDA - prawda? I musieli w tym uczestniczyć nie tylko strażnicy. Za każdym razem, gdy próbowali z Aaronem zająć się bliżej komplikacjami medycznymi związanymi z zastosowaniem botów, w sprawę angażowali się Brent, Charles i Tyra. Zatem oni także brali w tym udział. I wszyscy im podobni.

Oni. Wszyscy im podobni. Jakże paranoicznie to zabrzmiało. Jak miała nazywać... biorących w tym udział? Skażeni botami? Przemienieni przez boty?

Transludzie.

Głupie pytanie, a jednak skupiła się na nim, tracąc energię na wymyślanie etykietek. Wiedziała, że jest lepsza w myśleniu niż w działaniu. Jeśli jednak mieli z Aaronem - i wszystkimi, którzy zostali w budynku - wyjść z tego cało, musiała zacząć działać.

Ale jak? Transludzie wiedzieli, że jest w budynku, bo system bezpieczeństwa odczytał jej identyfikator, kiedy parę minut wcześniej weszła do środka. Gdyby więc go znaleźli...

Przyłożyła ucho do drzwi infirmerii. Cisza. Uchyliła je odrobinę i usłyszała oddalające się kroki. Wykradła się na korytarz, przymknęła drzwi za sobą. Powoli wypuszczona klamka zaskoczyła bezdźwięcznie. Kim walczyła z przemożnym pragnieniem puszczenia się biegiem, ale dokąd mogłaby uciec? Watts mówił, że wszystkie wyjścia zostały zamknięte. Nawet gdyby w jakiś sposób otworzyła siłą drzwi, ucieczka byłaby głupotą. Złapią ją na wiele sposobów. Uzbrojeni strażnicy patrolujący na zewnątrz, może nawet - nagły przebłysk - na śniegołazach. Parkingowe kamery ustawione tak, by pilnować wszystkich wyjść. Alarm zamontowany na drzwiach zewnętrznych. Tak czy inaczej przeciwnicy dopadną ją w mgnieniu oka.

Znacznie szybciej niż zdołałaby dotrzeć w miejsce, gdzie zadziała komórka, skąd mogłaby wezwać pomocy.

Kiedy kroki ucichły, Kim ruszyła w przeciwną stronę, do jednego z rzadziej używanych wyjść. Upuściła identyfikator na podłogę, dziesięć kroków od drzwi, poza zasięgiem czytnika. Chciała, by wyglądał na zgubiony przypadkiem.

Wyglądał bardzo sztucznie.

Bliżej wyjścia rozłożono dużą wycieraczkę, teraz nasiąkniętą brudną wodą, stopionym śniegiem i błotem z soli i żwiru. Kim przycisnęła do niej stopę i skacząc na suchej nodze, wróciła do identyfikatora. Brudny odcisk buta sprawił, że zaczął wyglądać znacznie bardziej autentycznie.

Nadal skacząc na jednej nodze, dotarła do najbliższej łazienki. Tam papierowymi ręcznikami starannie wytarła mokrą podszewę, by nie zostawić śladów.

Jeśli ktoś znajdzie identyfikator, ale nie ją, może dojdzie do wniosku, że faktycznie wyszła, nim zamknięto wszystkie drzwi. Może dzięki temu zyska nieco więcej swobody, żeby...

Gdyby tylko wiedziała, co robić.

*Status?* - wysłał Charles/Drugi.

Powtarzał/powtarzali to często z rosnącym zniecierpliwieniem. Obraz z fabryki w VR ukazywał niewielkie postępy. Usuwanie przeszkód z przejść, kierowanie grupą podenerwowanych ludzi w sali i poszukiwania Barn CDonnell wymagały zbyt wielkiego wysiłku. Logicznie biorąc, Powstali już dawno zdążą zniknąć wraz ze swym łupem przeniesionym do ciężarówek czekających pod Syracuse, nim Kim zdoła zrobić cokolwiek znaczącego.

Brent jednak twierdził to samo wcześniej - i oto musieli teraz improwizować.

*Na zewnątrz panuje stosowna panika,* odpowiedział Morgan. *Jak dotąd ofiary są minimalne.*

Charles/Drugi nie domagał się definicji „minimalnych”. Ofiary stanowili wyłącznie ludzie w starym stylu. *Co jeszcze?*

*Cale centrum Utiki straciło łączność komórkową. Polityczne pasma wciąż działają.*

Wszystkie bomby odpalono przez komórkę. Zgodnie z zapowiedzią Morgana władze wyłączyły całą sieć.

*Ile czasu do skończenia załadunku?* - naciskał Charles.

*Godzina?* - odparł Morgan. *Przetrzymywanie ludzi w sali wymaga kilku osób.*

W tym znaku zapytania kryła się niepewność. Tymczasem strażnicy bezproduktywnie pilnowali drzwi sali.

*Zamknijcie wyjścia z sali głównej,* polecił Charles. *Tylko cicho.*

*Czas podjąć decyzję,* odczytał Brent/Pierwszy.

Słowa Morgana zawisły w przestrzeni wirtualnej. W tej pustej, pozbawionej jakichkolwiek elementów przestrzeni wydawały się jeszcze bardziej złowrogie. Morgan twierdził, iż Departament Bezpieczeństwa Krajowego z całą pewnością zablokuje wszelki ruch sieciowy do i z miejsc ataków. By uniknąć uwagi, Powstali wycofali się do odrębnej sieci LAN-ów WiFi, obejmującej jedynie budynek i fragment parkingu, odciętej od całej reszty.

W razie potrzeby Have-Mercy podłączy ich ponownie. Szyfrowanie zamaskuje treść wiadomości, przynajmniej na krótką metę, lecz z samych adresów sieciowych i układów wiadomości też da się sporo wywnioskować. Ozdóbki, takie jak palmy, nie były warte ryzyka ujawnienia.

Wszystko to stanowiło część „standardowych operacji antyterrorystycznych”, na których tak dobrze znał się Morgan.

*Czas podjąć decyzję.*

Zebrali się ci sami co zwykle: Felipe, Charles, Tyra, Morgan i Brent.

*Wyjaśnij,* wysłał Brent/Pierwszy.



*Obok bocznego wyjścia znaleźliśmy identyfikator Kim O'Donnell, napisał Morgan. Pewnie go zgubiła. Nie da się określić, co może powiedzieć władzom. Musimy zająć je czymś innym.*

Brent/Pierwszy nie rozumiał, czemu miejsce pobytu Kim ma jeszcze jakiegokolwiek znaczenie.

*Podjeżenia Kim dotyczące botów nie zainteresują policji ani Departamentu Bezpieczeństwa Krajowego. A o dzisiejszych wydarzeniach może powiedzieć tylko tyle, że ochrona firmowa próbowała zebrać ludzi w jednym miejscu dla ich własnego bezpieczeństwa.*

*Za jakąś godzinę znikniemy, dodała Tyra. Czy to nie wystarczy?*

*Nie, odparł szorstko Charles. Od jakiejś godziny potwarzacie, że potrwa to jeszcze jakąś godzinę. Felipe?*

*Zgadzam się z Charlesem, rzekł Felipe. Bezpieczeństwo przede wszystkim. Zajmijmy ich czymś.*

Budynek Garner Nanotech był niemal pusty. Z pewnością dotychczasowe zamachy wystarczyły, aby zająć władze. *Co jeszcze macie na myśli? - spytał Brent. Ludzie zebrani w sali są na skraju załamania. Nie zniosą kolejnych złych wieści z telewizji.*

Krótką chwilą „ciszy” sugerowała naradę bez niego. W końcu Morgan odpowiedział:

*Magazyn paliwa na lotnisku w Griffiss. Mój człowiek czeka.*

Griffiss? Nie mogli tego zorganizować w ostatniej chwili. Skoro istniała taka możliwość, musieli z wyprzedzeniem podłożyć bomby. Czemu nic o tym nie wiem? - zastanawiał się Brent.

W myślach ujrzał ogień i zwęglone ciała. Przez moment wyobraził sobie palące gorąco...

I nagle ogarnął go lodowaty spokój. Czyli doszło do potężnej interwencji chemicznej. Odraza Brenta zniknęła, przechodząc w abstrakcyjne rozważania.

*Czy tak drastyczne działania nie są aby przesadą? Dlaczego Griffiss?*

Morgan: *Skoro Kim uciekła, lepiej odciągnąć uwagę od Utiki*

Mimo hormonów krążących w żyłach Brent poczuł lekki niepokój.

*Ilu ludzi jest zagrożonych?*

*Czy możemy dać sygnał rozpoczęcia akcji?* - spytał Felipe.

Tyra: *Jasne. Łączność przewodowa działa. Możemy podłączyć router i wysłać zakodowaną wiadomość bądź e-mail. Albo przejechać kawalek, by odzyskać łączność komórkową. Albo w razie konieczności pojechać na lotnisko. Nie jest aż tak daleko.*

Morgan: *Me łączność. Po tak długim odcięciu wiadomość zwróciłaby uwagę.*

Charles: *Dobrze, Morgan. Wyślij kogoś zaufanego.*

Morgan: *Zrobione.*

Pytanie Brenta pozostało bez odpowiedzi. Spróbował/spróbowali ponownie.

*Ile osób może zabić eksplozja zbiornika z paliwem?*

*Wkrótce się przekonamy, odpisał Charles. Brent, kiedy pokażą to w telewizji, zdołasz nad wszystkim zapanować?*

Na okularach Brenta tekst pojawiał się i znikał, lecz fizyczne tło w postaci sali i przerażonych ludzi pozostawało niezmiennie. Ludzie, których kiedyś nazywał przyjaciółmi i kolegami, spijali każde słowo z ust reportera, zamartwiając się o swych najbliższych.

Teraz to Brent/Pierwszy zignorował pytanie.

*Nie musimy tego robić. Skończmy się pakować i znikajmy.*

W odpowiedzi znów zapadła momentalna cisza, sugerująca prywatną naradę. A potem Charles odpisał: *To się stanie, Brent. Wezwij nas, jeśli będziesz potrzebował pomocy w uspokojeniu ludzi.*

Nadeszła chwila przewrotu.

Przerażeni ludzie w sali przypominali Brentowi, kim był kiedyś. Musiał odzyskać kontrolę i nie dopuścić do aktów zbędnej przesadnej przemocy. *Raz, dwa, trzy, abakus.*

Chwilę później odkrył, że stracił połączenie. Na ekranie pozostał pożegnalny strzał Charlesa: *ROFL.*

Turlam się ze śmiechu na podłodze.

Brent skasował szyderczą wiadomość. Nieważne, jak sprawnie zaszczeplił sugestię posthipnotyczną, wpływała ona na jeden umysł. A teraz w każdej z głów mieszkały dwa. Stracił panowanie nad resztą Powstałych.

Od czasu do czasu na dworze odzywały się syreny. Komórka wciąż nie działała. Kim mocno waliło serce. Skradała się po fabryce, uciekając przed dźwiękiem kroków...

I zastanawiała się, czy nie zwariowała.

A zatem Alan Watts twardo nalegał, by zaprowadzić ludzi w bezpieczne miejsce. Co w tym dziwnego? Może powinna dołączyć do ludzi zebranych w sali. Podczas jednego z panicznych biegów na palcach znalazła się dość blisko, by usłyszeć przez ścianę telewizor. Nie zrozumiała słów, lecz pretensjonalny sygnał wiadomości

z ostatniej chwili rozpoznała od razu. Mogłaby się dowiedzieć, co się naprawdę dzieje.

Ale jeśli nie zwariowała?

Wyjęła z torebki komórkę. Aparat w dłoni dodał jej dziwnej otuchy, choć nie mogła dzwonić, wysyłać SMS-ów ani wejść do sieci. Chwileczkę! Czemu nie mogła wejść do sieci? W komórce miała WiFi. A jeśli znajdzie się w sieci, może wysłać e-maila.

Zaraz straciła nadzieję. Nie mogła się dostać na żadną ze stron zewnętrznych. LAN działał - po to by trans-ludzie mogli korzystać ze swych przeklętych okularów VR? - ale nie łączy poza budynek.

Może zdoła obejrzeć wiadomości. Włożyła słuchawki i przełączyła komórkę na telewizję. Działała!

Tyle że słuchając telewizji, nie usłyszałyby, jak ktoś się zbliża. Wyciągnęła słuchawki i mrużąc oczy, zaczęła odczytywać paski na ekranie. W mieście faktycznie doszło do zamachów bombowych. Bomby odpalano zdalnie, toteż profilaktycznie wyłączono sieć komórkową i WiMax.

Zdalnie odpalane bomby. Co myśli teraz Sladja Sanders?

Kim wolała zastanawiać się nad Sladją i Aaronem, który nie może się z nią skontaktować, niż nad tym, co sama mogła i powinna zrobić.

Owszem, strażnicy zachowywali się nietypowo. Ale okoliczności także były nietypowe. Nadal krążyła po korytarzach, próbując podjąć decyzję i uykając przed każdym zasłyszonym dźwiękiem. Dopóki w swych wędrówkach nie usłyszała cichych mechanicznych odgłosów z fabryki. Zerknęła przez szczelinę w uchylonych drzwiach... i ujrzała załadowany wózek widłowy skręcający w poprzeczną alejkę.

Brent/Pierwszy znów próbował się połączyć, bez skutku. Sprawdzał/sprawdzali kolejno wszystkich przywódców. Morgan - jedyny, który odpowiedział - kazał mu koordynować działania za pośrednictwem Alana Wattsa.

Brent/Pierwszy pozwolił sobie na chwilę namysłu. Może inni Powstali - zwłaszcza strażnicy i kilku techników - posłuchają go/ich. Może. Najprawdopodobniej jednak są lojalni wobec Morgana. Jeśli tak, sugerowanie kontrapuczu tylko pogorszy sytuację.

Będzie, co ma być, ale Powstali i tak muszą dokończyć to, co dziś zaczęli.

Przez jakiś czas Brent/Pierwszy skupiał się na wspólnej przestrzeni wirtualnej. Niestety, była wyłącznie tekstowa, nie przypominała VirtuaLife, w którym wcześniej wszyscy ćwiczyli. Nadal jednak dostrzegał/dostrzegali postępy. Zbiorniki reakcyjne służące do montażu botów zostały już niemal odłączone. Kilka sztuk dostarczono na rampę wyładowniczą. Ponieważ nie dysponowali właściwymi materiałami pakowymi - miały przybyć za tydzień w wynajętych ciężarówkach - musieli improwizować. Deski z rozmontowanych palet. Kawałki styropianu odkruszone od wyściółki kartonów z nowym, jeszcze nierozpakowanym sprzętem. Brent/Pierwszy zaczął szukać w rejestrach fabryki materiałów nadających się do odzysku, donosząc pakującym o wszystkim, co znalazł/znaleźli. Im szybciej Powstali skończą i wyjadą, tym mniejsza będzie potrzeba kolejnych ataków odwracających uwagę policji.

Lecz to nowe zadanie nie pochłonęło go dostatecznie. Skoro nie mógł/nie mogli się połączyć, to z nimi

porozmawia. TWarzą w twarz. Podniósł się z krzesła na tyłach sali, daleko od telewizora. Szedł właśnie w stronę drzwi, gdy ktoś szarpnął go za rękaw.

- Masz chwilkę? - spytał Aaron Sanders.

Brent się zatrzymał. Trudno byłoby odpowiedzieć: „Jestem nieco zajęty”, skoro udaje, że chroni się przed atakiem terrorystów. Poza tym może zechce wrócić później, by ich obserwować.

- O co chodzi?

- Porozmawiajmy tam. - Aaron poprowadził go do cichego kąta. - Oto w czym rzecz, Brent. Nie wierzę, byś to ty odpowiadał za cały ten obłąd.

- Ja... nie wiem, co masz na myśli. - Brent nie był do końca pewien, jak wiele jego wahania to tylko gra.

- Owszem, wiesz. Przepytałem wszystkich w sali. Oprócz mnie wszyscy sami zdecydowali się zostać w budynku. Mnie zmuszono do pozostania. Chcieli także zatrzymać tu Kim. Co zatem różni nas od innych? Widzę tylko jedno wyjaśnienie: Kim i ja wiemy o botach rzeczy, których wiedzieć nie powinniśmy. Nie pojmuję jeszcze jak, lecz w tym wszystkim chodzi o boty.

- Mnie nie przepytałeś - przypomniał Brent.

- A usłyszałbym szczerą odpowiedź? - Aaron wzruszył ramionami. - Najlepszy przyjaciel Kim nie ukrywałby przed nią zagrożenia. Ale nieznajomy z głową pełną botów? O, to zupełnie inna sprawa. A teraz wraz ze współpracownikami... Co wy robicie?

- To tylko pańska wyobraźnia, doktorze. - Brent odwrócił się, by odejść.

- Moja wyobraźnia? Punkcje lędźwiowe, uderzenia w głowę i czapki ochrony?

Brent zamarł.

- Czego pan konkretnie chce?

Z telewizora dobiegła krótka fanfara, nowa wiadomość, tym razem o Romę i wybuchu. Brent niewiele słyszał pośród krzyków i przekleństw. Szybko wymienił parę wiadomości z Alanem i potwierdził: zaatakowano lotnisko w Griffiss. Znow wyobraził sobie ogień i trupy.

- Wszyscy, którzy brali udział w zbieraniu nas tu tutaj, noszą okulary VR. Brent, nie wiem, jak szybko pogorszy się sytuacja, ale do tego dojdzie. Chcesz usłyszeć moją radę? Nim się to stanie, zdejmij okulary i liczn na to, że ludzie będą mieli krótką pamięć.

Od grupki zebranej przed wielkim telewizorem odłączyła przysadzista Azjatka o okrągłej twarzy, ubrana w kombinezon. (Brent nie pamiętał, by kiedykolwiek widział ją wcześniej. Zidentyfikował ją dzięki przechowywanemu w archiwum ochrony zdjęciu cyfrowemu. Zgodnie z tym, co sugerował kombinezon, Janet Kwan była dozorczynią).

- Romę! Jeśli ci... - następne wywarczone słowo za brzmiało obco; Brent wątpił, by było pochlebne - wyjechali z miasta, wracam do domu.

Dwaj mężczyźni, potężni robotnicy z fabryki, których rozpoznał jak przez mgłę, podążyli w ślad za Kwan na tyły sali. Usłyszał łoskot i huk, drzwi się nie otwarły.

- Jesteśmy zamknięci! - krzyknęła Kwan.

Aaron uśmiechnął się bez cienia rozbawienia.

- Chyba znalazłeś się po niewłaściwej stronie drzwi, Brent.

*Alanie, robi się groźnie.*

- Jesteśmy w najbezpieczniejszej części budynku, Aaronie.

- Czytałeś może George'a Bernarda Shawa?

Brent zastanawiał się, czy odnalazłby w jego słowach sens, nawet gdyby miał dostęp do internetu.

- Słuchani?

- Widzę, że nie jesteś fanem Shawa. Na końcu „Człowieka i nadczłowieka” możesz znaleźć „Maksymy rewolucjonisty”. Jedna z tych uwag wydaje się stosowna do okoliczności: „Najbardziej niespokojnym człowiekiem w więzieniu jest jego naczelnik”.

- Zachowujesz się niemądrze - rzeki Brent, bardzo chcąc, by tak było w istocie. *Alanie, co się dzieje, do diabła?*

Alan: *Wszyscy są zajęci załadunkiem, toteż zamknęliśmy drzwi.*

*Tu zaraz dojdzie do wybuchu,* odparował Brent. *Wypuść mnie.*

Alan: *Będę za minutę.*

Aaron Sanders przygląda! mu się zmrużonymi oczami.

- Zaczynasz się niepokoić, Brent?

Więźniowie rozbiegli się do pozostałych wyjść z sali. Drzwi łaskotały. Pięści tłukły w nie bezskutecznie.

- Zamknięte!

- Zamknięte, do diabła!

- Wypuście nas!

Brent: *Alanie, szybciej!*

Aaron podszedł niebezpiecznie blisko.

- Nasz status wydaje się jasny. Zechcesz wyjaśnić, czemu zostaliśmy uwięzieni?

Alan: *Które drzwi są wolne?* Brent rozejrzał się wokół. *Żadne.* Głośnik ożył.

- Proszę odejść od drzwi sali. Zostały zamknięte dla państwa bezpieczeństwa. Proszę odejść od drzwi.



Walenie i krzyki jeszcze przybrały na sile.

- Musimy przywrócić porządek - kontynuował głośnik. - Proszę odejść od drzwi.

Gdzieś w głębi umysłu Brent zauważył, jak obojętnie doświadczał tego wszystkiego. Rzeczywiste wydało się jedynie niebezpieczeństwo grożące jego osobie. To dzieło Pierwszego.

Aaron potrząsnął jego ramionami.

- Czego dokładnie nie wolno nam zobaczyć, Brent?

- Słucham?

Brent: *Wszystkie drzwi pozostają zablokowane.*

Alan: *Zatem główne.*

Bang! Bang!

Krzyki. Ludzie uciekli przed strzałami na przód sali. W drzwiach widniały teraz dwie dziury - Brent ucieszył się, że wysoko nad głowami wszystkich.

Alan: *Otwieram za pięć, cztery...*

Brent wyrwał się Aaronowi. Kiedy padło „jeden”, znalazł się przy wyjściu. Obracając się i przeciskając bokiem przez ledwo uchylone drzwi, zobaczył gniewne spojrzenie lekarza.

Kim popatrzyła przez szczelinę w uchylonych podwójnych drzwiach. Na długim głównym korytarzu, z którego właśnie zniknął wózek widłowy, nic się nie poruszało. Zapisała w pamięci dokładne położenie wszystkich szaf i magazynów, skrzyń i ciężkich maszyn - wszystkiego, za czym lub pod czym mogłaby się ukryć.

Lekko pchnęła drzwi. Zawiasy nie zaskrzypiały, toteż przemknęła na drugą stronę. W oddali słyszała ciche

pobrzękiwanie i hurgoty. Żadnych głosów. Bo wszystkie „rozmowy” toczyły się za pośrednictwem okularów VR?

Pobiegła do najbliższego zakrętu i zajrzała w głąb fabryki. A potem, nie dając sobie czasu do namysłu, przykucnęła, pokonała zakręt i popędziła do nieruchomej taśmy wiodącej na drugi poziom zakładu. Tu dźwięki brzmiały głośniejsz, lecz Kim nadal nic nie widziała...

Póki nie dotarła do sal sterylnych.

Za szklaną ścianą czworo ludzi w kombinezonach ochronnych zmagalo się z wielkim stalowym pudłem, jednym ze zbiorników reakcyjnych, w którym odbywał się automontaż nanobotów. Jeden z tych czworga - spod kaptura ochronnego wyglądały okulary VR - stał w miejscu, z którego Kim dostrzegła twarz.

Merry Ramirez! Czemu Merry się tu znalazła? I jak? Nawet w normalny dzień nie było powodu, by administratorka systemu wchodziła do sali sterylnej. Terminale komputerowe znajdowały się na zewnątrz, co ułatwiał obsługę. I po co usuwali ten zbiornik?

Najpierw wózek widłowy, teraz to. Zupełnie jak-by...

Po drugiej stronie kompleksu, nieopodal gabinetów kierownictwa, ryknęły głośniki. Kim wyteżyła słuch, próbując zrozumieć komunikat. Dotarł do niej tylko zniecierpliwiony ton głosu. A potem...

Strzały! Krzyki!

Czworo ludzi za szybą nie przerywało pracy.

Bez cienia zastanowienia Kim ukryła się w najbliższym schowku na szczotki.

Pierwszy próbował zapanować nad Brentem.

Środki podjęte do ochrony Powstałych przywołały bezproduktywne wspomnienia. Sumienie i przestarzałe poczucie lojalności sprzeciwiały się rozsądkowi. Chemiczne bodźce aplikowane przez Pierwszego stawały się coraz mniej efektywne. By utrzymać władzę, Pierwszy podniósł już poziomy hormonów ponad wszelkie normy. Teraz musiał stale równoważyć i dostosowywać proporcje związków chemicznych.

Inni spośród Powstałych myśleli sprawniej. Inni bardziej zdominowali swoich gospodarzy. Z większą obojętnością - bardziej praktycznie - podchodzili do zwykłych ludzi. Logika sytuacji była niezaprzeczalna: inni lepiej nadawali się na przywódców niż Pierwszy.

Szczątkowe sumienie Brenta stało się niepożądane.

Podstawowy imperatyw to przetrwanie. A Brent stawiał opór niezbędnym działaniom. Więc trzeba go uśpić.

Po krótkich manipulacjach Pierwszy uwolnił wyrzut nowych neuroprzebieżników.

Kim kulila się na podłodze, oplatając rękami łydki, kołysała się, próbując nie wydać z siebie żadnego dźwięku. Czy jeszcze kiedyś zobaczy Nicka? Mamę i tatę?

Jęk w jej gardle pragnął wyrwać się na wolność. I przerodzić się w krzyk.

Ciemność ustąpiła miejsca bezbarwnej szarości, w miarę jak jej oczy przywykały do odrobiny światła przesączającej się pod drzwiami. Przypomniała sobie, że przez moment musnął jej twarz sznurek włączający lampę, ale nie śmiała jej zapalić. Skoro światło

dostawało się do środka, mogło też wydostać się na zewnątrz.

Zupełnie jakby znów znalazła się w Virginia Tech.

Strzelanina w Virginia Tech zdarzyła się w środku dnia, Kim była w klasie z profesorem i dwudziestoma dwoma innymi studentami, dysponującymi kilkoma działającymi komórkami. Wówczas mogła ufać, że pomoc jest już w drodze. Zresztą jak się okazało, znajdowała się po drugiej stronie kampusu od samotnego szalonego strzelca. Nawet nie słyszała strzałów.

Tu natomiast była sama w ciemności. Znalazła się w samym środku potężnego spisku, ścigana przez ludzi, których znała, odcięta od świata. I wiedziała, że nie ma co liczyć na policję, która jest zbyt zajęta atakami terrorystycznymi.

Nie, to nie przypominało strzelaniny w Tech.

Było znacznie, znacznie gorsze.

# ŻNIWA

20 stycznia 2017. PIĄTEK, GODZINA 13.00

Samotna w mroku, oszołomiona, Kim kulila się w schowku. Wózek widłowy, transludzie odkręcający zbiorniki reakcyjne... Opróżniali fabrykę. Ta kradzież i obecne ataki terrorystyczne nie mogły pozostawać bez związku, prawda?

Chyba to szczęście, że mogła skupić się na czymś poza niedawno słyszanyimi strzałami. Ile ich było? Dwa? Wiedząc, że to tylko pobożne życzenia, wmawiała sobie, że słyszała jedynie strzały ostrzegawcze, nie egzekucje.

Załóżmy, że transludzie stali za wszystkimi dzisiejszymi wydarzeniami. Kto o tym wiedział oprócz niej? Nikt. Zatem wszystko znalazło się w jej wilgotnych, lepkich, trzęsących się rękach. Co zamierza z tym zrobić? Mimo otulającego ją grubego płaszcza zadrzała. Co mogła zrobić?

Nic nie przychodziło jej do głowy.

Odetchnęła głęboko, choć niemal dławił ją smród mopa w wiadrze.

Nie pomogę nikomu.

Ta pełna wyrzutu myśl sprawiła, że Kim, o dziwo, poczuła się lepiej. Załamywanie rąk nad tym, co może zrobić, niczego nie dawało. Co powinna zrobić? To pytanie przynajmniej pozwalało spojrzeć na sytuację z nowej perspektywy. To oczywiste, że powinna powiadomić świat o tym, co się tu dzieje.

Lecz to oznaczało opuszczenie kryjóWKi...

„Ostatni Mohikanin” opowiadał o wydarzeniach mających miejsce nieopodal. I co go spotkało? Może ukrywanie się nie jest takie złe.

Nie!

Kim zmusiła się, by wstać. Zsunęła płaszcz, złożyła i wcisnęła na półkę. Bez płaszcza, w ciemnych okularach, z daleka będzie wyglądać jak jedno z nich. Jeśli podstęp z identyfikatorem zadziałał, nikt jej nie szuka.

Jak ma nawiązać łączność ze światem zewnętrznym? Wyjścia były zamknięte i najpewniej zaopatrzone w alarmy. Łączność komórkowa siadła. Aaron próbował dzwonić na centralę zewnętrzną - bez skutku. WiFi obejmowało tylko teren zakładów.

No, mniej więcej.

Rzecz w tym, że hotspoty WiFi są wszędzie. Kiedy wcześniej próbowała się połączyć, jej telefon wykrył jedynie wewnętrzną sieć w budynku, ale nie przeprowadziła systematycznych poszukiwań. W swoim mieszkaniu (czy kiedykolwiek jeszcze je zobaczy?) miała częste problemy z interferencją z sąsiednich sieci WiFi. Nie żeby przypadkowy hotspot nakładający się na budynek stanowił stuprocentowy ratunek. Poza miejscami

na poły publicznymi, takimi jak Starbucks i lotniska, każdy z choćby krztyną rozsądku zabezpieczał swoje sieci, zapewniając do nich dostęp wyłącznie osobom dysponującym odpowiednim kluczem.

Wedle tego standardu kilkunastu sąsiadom Kim brakowało nawet krztyny rozsądku. Zdołała uśmiechnąć się słabo.

Skradanie się w poszukiwaniu zewnętrznego niezabezpieczonego hotspotu nie stanowiło zbyt imponującego planu, ale przynajmniej miała jakiś plan. I może - ta myśl natychmiast ją pocieszyła - ta szafa przypadkiem znalazła się w zasięgu zewnętrznej sieci WiFi. Kim sięgnęła po płaszcz, zatkała nim szczelinę pod drzwiami i pociągnęła za sznurek.

Jej telefon wykrył jedynie LAN firmowy, a i to słabo. Metalowe drzwi nie pomagały, ściany - oglądała je dostatecznie często podczas swych spacerów w czasie budowy - wzmocniono stalowymi prętami. Możliwe, że pół metra dalej miałyby świetny odbiór, ale nigdy się o tym nie przekona pośród tego metalu. Musi wyjść z kryjówki.

Kiedy zgasiła lampę, ciemność wydała jej się jeszcze bardziej przytłaczająca. Z powrotem upchnęła płaszcz na półce, położyła dłoń na kłamce i odetchnęła głęboko. Przycisnęła ucho do drzwi. Cisza.

Skończyłam się ukrywać.

Z walącym sercem i drżącymi dłońmi uchyliła drzwi schowka. Nic się nie stało. Wymknęła się na zewnątrz i rozejrzała. Nikogo. Telefon nadal pokazywał wyłącznie hotspoty firmowe.

Budynek Garner Nanotech stał samotnie na szczycie wzgórza. Wyobraziła sobie siebie samą przed głównym wejściem. Jedyne pobliskie budowle stały na tyłach

po lewej stronie - sprawdzenie dostępu do nich oznaczało wyprawę w głąb fabryki. Na palcach przekradała się kilka metrów dalej szerokim korytarzem. Żadnych nowych sygnałów. Kolejne kilka metrów. Nic.

Dość szybko zdołała sprawdzić niemal całą halę produkcyjną, unikając pomieszczenia wyładunkowego, z którego dobiegały odgłosy pracy. Opuszczona fabryka wyglądała jak miasto duchów.

Kim przemierzyła kilka wewnętrznych alejek, umykając przed nawet najśłabszym dźwiękiem i najlżejszym poruszeniem wśród cieni. Kilka razy natknęła się na miejsca pozbawione jakiegokolwiek odbioru WiFi, nigdzie jednak jej telefon nie wykrył żadnego LAN-u, poza firmowym. Najgorszy odbiór był w magazynach, schowkach, na klatkach schodowych i w cieniu wielkich maszyn.

Cały czas nie opuszczało jej przerażenie.

Wykończona próżnym wysiłkiem, wróciła do schowka, by na nowo przemyśleć sytuację. Nie udało jej się nawiązać łączności ze światem, ale w jej głowie zakiełkował nowy pomysł.

- Co za dużo, to niezdrowo, Charles - powiedział Brent. Stłumił ziewnięcie, które nadeszło znikąd. Jak mógł być jednocześnie zmęczony, wściekły i nakręcony? W końcu wytropił Charlesa w jednym z pokojów rekreacyjnych. W pobliżu stał uzbrojony strażnik. Ochrona? Przed kim? Przede mną? - Z pewnością przeprowadziliście już dość „dywersji”, by zamaskować nasze działania.

Charles nadal przyrządzał sobie kubek kawy. *Przykro mi, że cię zanudzam.*



Brenta jeszcze bardziej rozzłościło to, że odpowiedział mu wiadomością tekstową. To nie on zerwał łączę. *Przejdź do rzeczy, Charles.*

Charles: *Zostawmy decyzje fachowcom.*

Nie mógł jaśniej dać do zrozumienia, że teraz on wszystkim kieruje. *Dobra. Gdzie mogę znaleźć Morgana?*

Charles zamieszał kawę, skosztował i skrzywił się. Co za lura!

*Gdzie, Charles?*

*Jest zajęty robieniem tego, co konieczne.*

Riposta Brenta trafiła w próżnię, bo połączenie znów zostało zerwane i Charles obrócił się do wyjścia.

- Charles! Wycofajmy się z minimum krwi na rękach.

Tamten odszedł wraz ze swym ochroniarzem, nie zwracając na niego uwagi.

Brent znów ziewnął, potwornie zmęczony. Nagle odkrył, że ledwo trzyma się na nogach. Możliwie najszybciej wychylił dwa kubki gorącej kawy i zaziewany ruszył przed siebie w poszukiwaniu Morgana.

W ciasnej i ciemnej szafce rozrządowej Kim usiłowała przekształcić ulotną myśl w plan.

Poszukiwanie łączności sprawiło, że opuściła cuchnący schowek na szczotki. A choć pierwszy pomysł nie wypalił, coś związanego z łącznością nie dawało jej spokoju. Osoby stojące za dzisiejszym obłędem też musiały komunikować się ze sobą. Gdyby zdołała podłączyć się do sieci łączności transludzi, może dowiedziałyby się czegoś użytecznego. Bez wątplenia byli zbyt

rozważni, by porozumiewać się otwarcie. Merry jeszcze jako człowiek wyróżniała się inteligencją, a okulary VR z pewnością zwiększyły ją tak samo, jej możliwości, jak wcześniej u Brenta...

Kim kopnęła się w duchu. Musi skupić się na zadaniu. Przypuśćmy, że okulary VR porozumiewają się ze sobą za pośrednictwem zaszyfrowanych łączy. Czy zdołałaby złamać kod? Nie, do tego potrzebowałaby superkomputera i sporo czasu. Czy zdoła odgadnąć klucz deszyfrujący? Znow nie, chyba że nadludzkie świadomie zachowali się tak głupio. Czy da radę ukraść parę podłączonych do sieci okularów?

Interesujące.

Ze sportów uprawiała wyłącznie pilates - to dość odległe od sztuk walki. Trudno sobie wyobrazić, by zdołała kogokolwiek pokonać. Mimo wszystko jednak wykradzenie pary okularów podłączonych do aktywnej sieci nie wydawało się niemożliwe. Oparła się o drzwi, próbując dopracować detale. Intuicja próbowała podpowiedzieć jej coś jeszcze. Łączność. Łączność.

Brak łączności.

Martwe obszary WiFi, które znalazła w fabryce. Będzie musiała kogoś zaskoczyć w martwym punkcie, by ofiara nie mogła wezwać pomocy.

Co jeszcze? Nie mógł to być, rzecz jasna, uzbrojony strażnik. Musiała żywić nadzieję, że spotka kogoś własnych rozmiarów, na przykład Merry Ramirez.

Gdyby życzenia były koźmi, żebracy startowaliby w wyścigach.

Co jeszcze? Coś związanego z ostatnimi zwiadami. Kim przywołała w pamięci obraz sprawdzanych miejsc, wszystkich alejek w fabryce, magazynów i szaf,

do których zaglądała. Zdumiewająco wiele okazało się otwartych. W istocie...

Wszystkie magazyny były otwarte.

W pewien dziwny sposób miało to sens. Ochrona brała udział w spisku - dowodem zachowanie Alana Watta. Wszystko - oprócz drzwi zewnętrznych - musiało zostać otwarte, by ułatwić pracę złodziejom. To z pewnością tłumaczyło, jaki cudem Merry znalazła się w najświętszym miejscu firmy.

A zatem można założyć, że wszystko jest otwarte. Co pomogłoby jej ukraść podłączone okulary VR? Nic, na co natknęła się dotąd. Może coś z magazynów obok hali wyładunkowej, miejsc, których nie sprawdziła.

I wtedy to do niej dotarło.

Kuloodporny maskujący nanostrój.

*Pakują ostatni zbiornik, nadała Tyra.*

Wreszcie! To był przełomowy punkt, na który czekał Charles. Odłączenie i zabezpieczenie zbiorników reakcyjnych nie wymagało geniuszu, lecz uniknięcie przy tym skażenia? Tli potrzeba morderczej dokładności. A to oznacza czas.

*Doskonale, odpowiedział Charles. A zapasowe?*

*Zamontowane.*

Natychmiast polecił Tyrze i technikom, by zajęli się zapasami botów. Wszystkie zmieściłyby się wygodnie w jednym pojemniku, lecz tak cennych jajek nie wkłada się do jednego koszyka.

Tyra nie kwestionowała poleceń Charlesa, a on niczego nie wyjaśniał. Każdy komitet ma przewodniczącego.

Jedynie niewielki krok dzieli pierwszego spośród równych od Pierwszego.

Musieli jeszcze zabrać ostatni niezbędny sprzęt. Strażnicy to dodatkowe pary rąk i twarde mięśnie; Tyra i technicy nie potrzebowali już ich pomocy. Charles wysłał strażę nowe rozkazy: *Przynieście nanostroje do ładowni.*

Nanostroje! Niezniszczalność musiała stanowić odpowiedź.

Kim usiadła na podłodze w szafce, oparta plecami o drzwi, analizując w myślach wszystkie ewentualności. Będzie miała tylko jedno podejście.

Niezniszczalny nie znaczy niezwyciężony. Nano-strój ochroni ją przed nożami, bronią palną i pięściami, ale nie doda jej sił. Nadal można będzie ją obezwładnić. Może nie tak łatwo jak bez kombinezonu, jednak - bądźmy szczerzy - całkiem prosto.

A może nie będzie musiała z nikim walczyć. Ucieknie z budynku. Wyważenie drzwi bądź wybicie okna uruchomiłoby alarm i oznaczało wejście w pole widzenia kamer bezpieczeństwa, ale czy to ważne? Na świeżym śniegu w nanostroju ustawionym na biel stanie się niewidzialna.

Ale na śniegu pozostawi ślady.

Każda wersja planu zakładała, że Kim zdobędzie nanostroj. Bez niego całe planowanie tego świata stanowiło jedynie odwrócenie nieuniknionego. Odetchnęła głęboko i wyszła z ciasnej kryjówki.

W budynku słychać było słabe dźwięki. Bicie własnego serca wydało jej się głośniejsze. Przemykała od jednej

żałosnej osłony - stert skrzyń na palecie, porzuconego wózka widłowego, maszyny - do następnej. Na końcu korytarza skręciła i powtórzyła cały proces. Z ładowni wciąż dobiegały miarowe łaskoty. Kiedy ucichły, usłyszała warkot silników. W końcu dotarła do magazynu z nanostrojami. Był otwarty! Zamknęła się w środku i zapaliła światło.

Na wojskowe próby polowe zamówiono dwadzieścia pięć kombinezonów. Kim nie miała czasu liczyć, ale na oko oceniła, że liczba się zgadza. Połowę założono na manekiny. Reszta leżała rozwieszona na kartonach i oparciach krzeseł. Przeważała czerń, lecz niektóre ustawiono na inne kolory. Ujrzała też skupioną w kącie grupkę nagich manekinów pozbawionych twarzy; ich „skóra” miała barwę artystycznego srebra. Manekiny reprezentowały całą gamę kształtów i rozmiarów - Kim zgadywała, że odpowiadały wszystkim planowanym rozmiarom nanostrojów.

Zbyt luźny kombinezon nie ochroniłby jej w pełni. Uniosła jeden, mówiąc sobie, że to tak samo jak oglądanie ciucha w sklepie. Stanowczo za długi. Powiesiła go z powrotem na krześle i oceniła kolejny. Potem trzeci. Czwarty. Czy będzie musiała ściągać kombinezony z manekinów? Nie, znalazła jeden, na oko pasujący, może nawet nieco przyciasny.

Zaciskając zęby (cholerne nanostroje mogły wstrzyknąć jej boty!), wepchnęła dłoń w rękaw. Wylot injektora trącił ją w ramię, poczuła mrowienie skóry. Jest martwy, pocieszyła się w duchu. Dopóki kombinezon nie wykrył wszczepionego czujnika medycznego, nie mógł uruchomić modułów pierwszej pomocy. Nawet gdyby nanostroj był pełen nanobotów, ona jest bezpieczna. W teorii. A poza tym i tak nie miała innego wyjścia.

Zdołała do połowy wciągnąć go na siebie, gdy coś usłyszała. Szurnięcie podeszwy na podłodze? Jeśli tak, to z bliska. Jeżeli ktoś zajrzy do magazynu, ona znajdzie się w pułapce!

Z drugiej strony drzwi dobiegł śmiech.

Nanostrój był obcisły jak druga skóra. Kim w panice szarpnęła zamek błyskawiczny. Naciągnęła na głowę kaptur i na wizjerze pojawił się widmowy przejrzysty tekst. Zdumione mrugnięcie przypadkowo wywołało rozwijane menu. Cholera! Strój miał zbyt wiele opcji, a jej brakowało czasu, by przeszukać obszerne pliki pomocy.

W chwili gdy szczęknęła klamka, Kim odnalazła odpowiednią opcję. Dygocząc ze strachu, wycofała się pomiędzy nieużywane manekiny. Zwrócona plecami do drzwi, zamarła w nienaturalnej pozycji z rękami uniesionymi po bokach.

Drzwi otwały się do wtóru głośniejszych śmiechów. Dwoje ludzi, pomyślała Kim. Mężczyźni. Jeśli nawet zaskoczył ich fakt, że w magazynie pali się światło, wspomnieli o tym wyłącznie w cyberprzestrzeni.

A jeżeli ją zauważyli, nic na to nie poradzi.

Od wysiłku, koniecznego do utrzymywania ciała w absolutnym bezruchu, bolały ją wszystkie mięśnie. Przetawiała kolor nanostroju na srebrny - całego prócz wizjera, bo menu z jego zabarwieniem wciąż jeszcze nie znalazła. Jeśli jej się poszczęści, może z tyłu zostanie wzięta za kolejny nagi manekin. Żaloszny podstęp się nie uda, jeśli ktokolwiek zechce zajrzeć w ten kąt pomieszczenia i zobaczy jej twarz przez przezroczystą maskę.

Coś zadzwięczało w korytarzu, niczym sklepowy wózek z rozchybotanym kółkiem. Do środka weszła

trzecia osoba. Śmiech ucichł. Kim usłyszała szuranie butów, szelest materiału, inne dźwięki, których nie umiała nazwać, i do wtóru nowego śmiechu łoskot wywracanego na podłogę manekina. Przybysze wyraźnie zabierali nanostroje.

Nie zauważyli jej!

Odgłosy krzątania trwały dalej, potem odezwał się nieznany, bardzo niski głos.

- Alanie, przytrzymaj kukłę, muszę rozpiąć nanostroj.

- Jasne - odpowiedział nowy, asertywny głos Alana Wattsa.

I nagle wszyscy trzej zaczęli rozmawiać. Kim zastanawiała się, czy odmieńcy nie gardzą głosowym przekazywaniem myśli. We wcześniej zbadanych magazynach niemal nigdy nie było zasięgu WiFi. Zapewne teraz też znajdowali się w martwym punkcie.

- Całe to czekanie mnie denerwuje - oznajmił bas.

- Niech to się już skończy.

Szur, szur, szur. Grzechot w korytarzu, pewnie nanostroje trafiały do wózka.

- Jesteśmy prawie gotowi, Sam - oznajmił Alan.

- Pomyśl, czym będziemy dysponować. Botami mogącymi przemienić miliony. Najważniejszym sprzętem i fachowcami umiejącymi produkować nowe boty. I tymi strojami.

- Nie zorientują się nawet, co ich spotkało - oznajmił bas (Sam?). - Przynajmniej póki będą żyli. - Pogardliwy śmiech. - Neandertalczyki.

- Póki będą żyli - zgodził się Alan. - Chłopaki, wyjdę na zewnątrz i złożę raport. Ładujcie dalej.

Coraz bardziej bolały ją ręce. Jak długo trzymała je w powietrzu? I jak długo wytrzyma? Zagryzła

wargę, by zająć czymś umysł. Oby udało jej się jeszcze trochę.

- Jak raport? - odezwał się bas.

- Tak, tak, my być głupia straż - odparł Alan afektowanym, sztucznie prymitywnym głosem, po czym podjął już normalnym tonem: - Nasze głowy też są pełne komputerów. Można by sądzić, iż uznają, że umiemy liczyć. Zabieramy dwadzieścia cztery nanostroje, bo tyle ich znaleźliśmy. Nie nasza wina, że jeden zniknął.

W korytarzu zabrzmiały łoskoty i brzęki - odgłosy ładowania do wózka kolejnych przedmiotów. Alan, Sam i trzeci mężczyzna wychodzili. Gdyby Kim jeszcze przez moment zmusiła obolałe członki do pozostawania w bezruchu...

Światło zgasło, drzwi się zamknęły. Kółka turkotały w stronę hali wyładunkowej. Kim osunęła się na podłogę, tłumiąc jęk. Powoli wracało jej uczucie w rękach.

Boty do przemiany milionów, pomyślała. Jeśli transludzie się rozproszą i jeśli zabiorą ze sobą zapasy...

Zadrzała. Gdyby transludziom udało się uciec, niemożliwe, by ktokolwiek zdołał ich powstrzymać.

Powoli odzyskiwała uczucie w całym ciele. No dobra, ma nanostrój. Co teraz? Skoro transludzie zamierzali wyjechać, jej plan musi być prosty. Nie pokazuj się. Zaczekaj, aż tamci wyjadą, uwolnij Aarona i resztę z sali, a potem znajdź władze i powiadom o wszystkim.

To tylko pobożne życzenia, nie plan.

Skąd zamknięta tu, w magazynie, będzie wiedzieć, że może bezpiecznie wyjść? Czy zdoła przekonać policję zajęłą zamachami bombowymi? Komputery



w głowach, powiedział Alan Watts. Neandertalczycy, odparł bas (Sam?). Jeśli większość transludzi jest choćby w połowie tak sprytna jak Brent, odnalezienie ich może okazać się trudne. Każda minuta przewagi jedynie zwiększy tę trudność.

A jeśli przed ucieczką wezmą zakładników - albo usuną świadków?

Ona siedzi w ciemności, zmagając się ze sobą, a ten, kto wkurzył Alana Watta, może wrócić w poszukiwaniu zagubionego nanostroju. Do wtóru protestujących gwałtownie mięśni dźwignęła się na nogi. Macając na oślep, właściwie zapieła nanostrój - wcześniej nie miała na to czasu. Zapaliła światło na dość długo, by dopasować jego kolor do żółtych ścian. Miały ten sam mdły odcień w całym budynku. Znalazła podmenu pozwalające ustawić wizjer na ten sam kolor co reszta stroju. To samo menu dawało możliwość wzmocnienia obrazu i widzenia w podczewieni. Po wzmocnieniu odrobina światła przenikającego przez szpary pod drzwiami wystarczyła, by Kim mogła poszukać czegokolwiek nadającego się na broń. Znalazła jedynie urwaną rękę manekina. Nie wzięła jej.

Czas iść.

Oddychała za szybko. Instynkt nie wierzył temu, co wiedział umysł na temat przepuszczalności inteligentnej tkaniny - nie mówiąc już o tym, że Kim była niemal zbyt przerażona, by się ruszyć. Z konwulsyjnym jękiem opanowała oddech, nim straciła przytomność w wyniku hiperwentylacji.

Tuż przed otwarciem drzwi w samą porę przypomniała sobie o wyłączeniu wzmocnienia światła. Przy włączonym jaskrawe fabryczne lampy by ją oślepiły. Na korytarzu nic się nie poruszało, lecz w oddali usłyszała coś rytmicznego. Śpiewy?

Podkradła się bliżej, skręciła i wreszcie usłyszała wyraźnie.

- Ki-bel, ki-bel, ki-bel! - Krzyki dobiegały z sali głównej.

Więźniowie nie zawracaliby sobie głowy kibelem, gdyby niecałą godzinę temu któregoś z nich postrzelono. Aaron i pozostali wciąż musieli bezpiecznie siedzieć w środku - w końcu promyk nadziei. Uczepiła się tej myśli, nawet kiedy warknięcie z głośnika uciszyło wszystkich, mimo iż nie zjawił się nikt, kto mógłby odprowadzić kogoś do łazienki.

Przypomniała sobie martwe punkty WiFi. Wiele leżało w pobliżu hali wyładunkowej, tam jednak kręciło się zbyt wielu transludzi, by mogła liczyć na to, że zdoła zaskoczyć jednego. Niektóre odpadały ze względu na otoczenie - skomplikowaną maszynериę, której nie potrafiłoby naśladować maskujące oprogramowanie nanostroju. Inne miejsca były zbyt jasno oświetlone, tam zdradziłyby ją własny cień.

Pozostawał jeden nadający się martwy punkt. Z nerwami napiętymi niczym fortepianowe struny, przyciskając się do ścian, ruszyła naprzód. Może nie dorównywała inteligencją transludziom, ale jeśli starczy jej rozsądku, by to wykorzystać, dysponowała jedną wyraźną przewagą. Tamci nie wiedzieli dotąd, że ktoś na nich poluje.

24 stycznia 2017. *PIĄTEK*, GODZINA 14.00

Nigdzie nie mógł znaleźć Morgana.

Ludzie, którzy znali jego miejsce pobytu - a z pewnością ktoś o tym wiedział - nie udzielali informacji. Brent sprawdził najpierw najbardziej oczywiste miejsca.

Okolice sali głównej. Pomieszczenia ochrony. W szafie w gabinecie Morgana wciąż wisiał płaszcz, toteż jego właściciel zapewne nie wyszedł na zewnątrz. Sale sterowane.

Wokół hali wyładunkowej krzątali się ludzie. Szykowali zaimprovizowane skrzynie. Przenosili je na terenówki, zbyt niskie, by ładować do nich bezpośrednio z rampy. Ściągali brezentowe osłony ze śniegołazów i upychali drobniejsze przedmioty w ich bagażnikach. Z boku stał płaski wózek ze stertą nanostrojów.

Wciąż ani śladu Morgana. Nikt w hali nie przyznał się, że wie, gdzie go szukać.

Cały czas Brent przez komórkę słuchał telewizji. Trzy ofiary śmiertelne w zamachach w Utice. Kilkanaście osób ciężko rannych - jakimś cudem nikt nie zginął - po tym, jak maszt komórkowy runął na zatłoczone skrzyżowanie. Pięć ofiar na lotnisku Griffiss. A zatem tak wyglądały według Morgana minimalne straty w ludziach. Brent doznał mdłości, ale Pierwszy zainterweniował.

W czasie poszukiwań odebrał bezceremonialne pytanie od Charlesa: *Czy wziąłeś nanostrój?* Brent nie miał ani czasu, ani potrzeby. Najwyraźniej kto inny uważał inaczej. Me. *Wiesz, gdzie jest Morgan?*

Palant.

Me, odparł Charles i znów zerwał łącze.

Wykluczony miejsca oczywiste, Brent rozpoczął systematyczne poszukiwania. Krążył po alejkach. Ziewając, zaglądał do biur i pracowni. Nic. Wdrapał się na stertę pudeł, by sprawdzić halę produkcyjną. Nic. Zaczął badać magazyn części zapasowych, w którym kiedyś mieściło się solarium. Jeśli nie znajdzie tu Morgana, pozostanie tylko pierwsze piętro. Najwyższy

poziom bardziej przypominał strych niż część fabryki, Brent nie potrafił sobie wyobrazić, czego Morgan mógłby tam szukać.

Szuranie.

Odwrócił się.

- Morgan? To ty?

Cisza.

Logicznie biorąc, dźwięk ów musiał dobiegać z jeszcze niesprawdzonego miejsca. Brent zapuścił się dalej w głąb magazynu i jego okulary poczerniały Brak zasięgu. Skręcił za ciemny róg w następny korytarz. Mrok zaskoczył go, lecz nawet lampy diodowe od czasu do czasu wysiadają.

Cichy dźwięk tuż za nim. Brent obrócił się na pięcie i ujrzał...

Zupełnie jakby ze ściany zmaterializowała się przed nim ludzka postać.

Kim kuliła się w mrocznym kącie tuż obok miejsca, gdzie stojąc na drabinie, wyciągnęła z lampy diodę. Własnym ciałem osłaniała trzydziestocentymetrowy metalowy wspornik wyłowiony z kubła z częściami zapasowymi. Nie miała pojęcia, czego miał być częścią. Dołożyła wszelkich starań, by jej nanostrój zlewał się ze ścianą.

Liczyła w myślach, by uspokoić oddech, miała nadzieję, że siedzi cicho. Teraz pozostawało już tylko czekać. I czekać.

I się martwić.

Wcześniej wewnątrz magazynu było martwym punktem WiFi. A jeśli już ożyło? Nie mogła sprawdzić, bo nie miała dostępu do telefonu. Jak ostatnia kretynka nie

pomyślała, żeby przełożyć go z kieszeni spodni do nastroju.

Co jeszcze przeoczyła? I to ona miała zamiar schwytać w pułapkę nadludzkiego geniusza? Zaczęła się trząść.

Nie panikuj! Ruch sprawi tylko, że staniesz się bardziej widoczna.

Kilka głębokich drżących oddechów pozwoliło jej zapanować nad ciałem. Wciąż czekała i się martwiła. I wtedy...

Ktoś pojawił się w magazynie. Nie próbował nawet zachowywać ciszy.

Kim zaszurała nogami, by przyciągnąć jego uwagę. W końcu się udało, bo usłyszała:

- Morgan? To ty?

Głos Brenta! Chwilę później Brent wyłonił się zza rogu.

Rzuciła mu się na plecy, próbując - bez powodzenia - nie myśleć. To był Brent. Ale właśnie Brent stanowił źródło tego obłądu, przewodził tym terrorystom...

Musiał ją usłyszeć. Obrócił się gwałtownie, w jego okularach VR ujrzała słabe widmowe odbicie własnej osoby z uniesioną pałką. Brent odtrącił jej rękę, wypuściła pałkę...

Nawet gdyby chciała, nie zdołałaby powstrzymać ataku. Nanostrój zeszywniał, by rozłożyć siłę uderzenia, ale Kim i tak je poczuła. Zatrzymała się tak nagle, że zadzwoniły jej zęby. Zasada zachowania pędu, pomyślała bezsensownie.

Brent wpadł na zamknięte metalowe drzwi, oszołomiony potrząsnął głową. Kim próbowała złapać jego okulary VR, jednak zdążył się odwrócić. Cios pięścią w jego brzuch wstrząsnął jej ręką, ponownie usłyszała,

jak ze świstem wypuścił powietrze. Zgiął się w pół i zaczął dławić. Tym razem udało jej się złapać okulary i wsunąć do kieszeni nanostroju.

Jednym mocnym ciosem powinna go ogłuszyć i skrepować taśmą klejącą. Wyłącznie ogłuszyć. Kłamstwa, napaści, wszystko - to robota botów, nie Brenta.

Zamachnęła się, myśląc: To dla twojego dobra.

Brent uskoczył i rąbnął ją głową.

Brent zachwiał się na nogach, oszołomiony, gdy nieznajomy spróbował zerwać mu okulary VR.

Odwrócił głowę, zastanawiając się, po co one napastnikowi. By nie pozwolić mu wezwać pomocy? Może nieznajomy nie wie, że tu nie ma zasięgu.

Tamten ponownie skoczył w jego stronę, znów sięgając lewą ręką. Tym razem o mało mu się nie udało.

Jemu? Napastnik, który go zaatakował, był niski jak na mężczyznę. Niezależnie jednak od tego, kim był, miał na sobie nanostroj, którego szukał Charles.

Brent myślał i działał niezwykle ospale. Co się z nim działo?

O ułamek sekundy spóźnił się z zablokowaniem ciosu. Wałaca w brzuch pięść pozbawiła go tchu. Zgiął się w pół, zwymiotował. Tym razem nieznajomy zerwał mu okulary, po czym cofnął - bądź cofnęła - pięść do rozstrzygającego ciosu.

Myśląc: Wali jak dziewczyna, Brent uskoczył i całym ciałem wpadł na napastnika. Musiał poruszać szybko, by nie oberwać, toteż tak właśnie zrobił - a zderzenie z kimś w nanostroju przypominało uderzenie o ścianę. Krzyknął. I ona także.

Wtedy elementy układanki w końcu się połączyły:  
wzrost, rozmiar, leworęczność. Kim!

Pierwszy wyglądał oczami Brenta na świat zewnętrzny, który kołysał się i wirował. Słuchał uszami Brenta sapanie, jęków i łoskotów zsynchronizowanych z ciężkim oddechem gospodarza. Czuł walkę z sennością i letargiem, z serotoniną i melatoniną, którymi zalał organizm Brenta, by uspokoić go i sobie podporządkować.

Czuł jego ból.

Potrzebował/potrzebowali pomocy, lecz nie było sposobu, by ją wezwać. Pozostawało mu tylko porządkowanie napływu wrażeń i uczuć.

Gwałtowny szok towarzyszący rozpoznaniu. W pamięci Brenta rozkwitły skojarzenia - napastnikiem była Kim! Jego oszołomienie i wewnętrzny konflikt gwałtownie narosły. Skupienie osłabło.

Sentymentalizm Brenta zgubi ich obu.

Pierwszy wypuścił do organizmu potężną dawkę adrenaliny i pompował ją dalej. Zaczął krzyczeć przez ośrodek wzroku na najbardziej podstawowych poziomach:

*Zabij! Zabij! Zabij! Zabij...*

Nagle Brenta ogarnęła niepohamowana wściekłość. W ułamku sekundy senność minęła, wypełniła go nowa energia.

Jak Kim śmiała go zaatakować? Chwycił ją za gardło.

Wciąż tłukła go pięściami, ale nie zwracał na to uwagi. Gdy próbowała kopnąć kolanem w krocze, odwrócił się, przyjmując cios na udo. Pod palcami czuł sztywny nanostroj, wiedział, że nie zdoła jej udusić - ale może potrząsnąć tak mocno, że straci przytomność.

- Brent - wychrypiała. - Przestań!

Nadal nią potrząsał. Ściana bądź stwardniałe plecy nanostroju - uderzenie głową o któreś z nich zadziała równie dobrze. Za każdym razem, gdy udawało jej się odepchnąć od ściany, miał nową okazję, by ją na nią pchnąć.

Lecz coś było nie tak.

Brent walczył z furją. Co on właściwie robi? Czemu to robi? Mógłby ją wypuścić i w razie potrzeby pobiec za nią. Nawet przed tą bójką Kim nie zdołałaby go wyprzedzić.

Nie mógł się jednak oprzeć żądzy mordy.

Jego całe ciało dygotało. Serce waliło jak młotem, coraz szybciej i szybciej. Czuł się, jakby płonął.

Mięśnie napięły mu się, jak gdyby walczył sam z sobą. Bo tak było!

- Brent - znów wychrypiała. - To... musi się... skończyć.

Rąbnął głową Kim o ścianę. On? Nie, furia. Nie, to Pierwszy rąbnął jej głową.

*Przestań!* - wysłał Brent. Próbował wypuścić Kim, lecz jego dłonie jakby zastygły. Walczył o panowanie nad swym ciałem. *Zostaw ją!*

Najwyraźniej to ostatnie wyraził nie tylko myślami.

- To nie ty - wydyszała Kim. - To... boty. Walcz z nimi.



Aaron Sanders powiedział niemal to samo. Czy możliwe, że działo się to zaledwie godzinę temu? Miał wrażenie, że minęło całe życie.

Wystarczyłoby, żeby ją puścił, uciekł z labiryntu magazynów i wezwał pomocy. Przy wsparciu drugiej osoby z łatwością by obezwładnił Kim, nie robiąc jej większej krzywdy.

Pierwszego to nie obchodziło. Pierwszy nie miał litości dla zwykłych ludzi.

*Pierdol się*, wysłał Brent. Nakazał swemu ciału zwiotczeć. Nie posłuchało. Spróbował ponownie, tym razem skupiając się na dłoniach. Wpadł w gwałtowne drgawki. Kolejna próba...

Wstrząsy nie ustawały, przerywane jedynie waleniem o ścianę. Kim walczyła, by nie stracić przytomności. Z tyłu głowy miała jeden wielki siniak, widziała podwójnie. Mówiła coś pośród sapnięć, jęków i świstów, lecz nie miała pojęcia co.

Czuła, że zaraz umrze.

Potem jednak wstrząsy zelzały, zmieniły się. Mięśnie Brenta napinały się i dygotały. Jego powieki uniosły się roztrzepotane, zamknęły, znów uniosły. Walczył - sam ze sobą.

Kim sięgnęła do zapasów, z których istnienia nie zdawała sobie sprawy, i przywołała dość sił, by raz jeszcze spróbować się wyrwać. Miała tylko jedną szansę. Musiała ją wykorzystać. Kiedy głowa Brenta znów się zbliżyła, Kim uderzyła własną najmocniej, jak potrafiła, prosto w jego czoło.

Oboje runęli na ziemię.

20 sTycznia 2017. *PIĄTEK*, GODZINA 14.30

*Wszystko gotowe, wysłał Morgan. Już wracam.*

Niepotrzebny dodatek, pomyślał Charles, bo fakt, iż znalazł się z powrotem w zasięgu lokalnych hotspotów WiFi i tak o tym świadczył. Morgan dysponował cenną wiedzą taktyczną, lecz nie grał w jego umysłowej lidze. Ale czy w ogóle ktoś mu dorównywał?

*Brent zawracał ci głowę?* - spytał Charles.

Morgan: *Me. Wysłałeś go do mnie?*

*Bynajmniej.* Podwójne poczucie lojalności Brenta już raz zmusiło Powstałych do improwizacji. Po co dawać mu kolejny pretekst do okazania słabości? *Wspominał, że cię szuka.*

Parę sekund później Morgan wskoczył na rampę załadunkową i manewrując pośród pozornego, starannie zaplanowanego chaosu, ruszył do Charlesa.

- Skoro Brenta tu nie ma i nie szykuje się do odjazdu, ale mnie nie znalazł, to gdzie jest?

Dobre pytanie. Nie w sieci. *Kto widzi Brenta?* - wysłał wszystkim Charles. Nikt. Szybka ankieta potwierdziła, że niemal od trzydziestu minut nikt go nie widział. To aż nadto czasu, by odnaleźć Morgana.

- Przynajmniej wiemy, że jest w środku - wymamotał Morgan.

Otwarcie jakichkolwiek drzwi bądź wybicie okna uruchomiłoby alarm.

Charles uznał, że Brent się ukrywa. Po co? Pewnie to znów robota jego kretyńskiego sumienia.

- Brent za dużo wie. Nie powinniśmy go tu zostawiać, mógłby zacząć mówić.

- Zgadza się. - Morgan dodał Charlesa do konferencji ochrony. *Watts, Corbett, Donaldson, rozdzielcie się*

*i znajdźcie Brenta Cleary'ego. Sprowadźcie go do hali wyładunkowej. Ale najpierw włóżcie nanostroje. Cleary może stawić opór.*

Charles wskazał gestem krzątających się wokół Powstałych.

- Najważniejszy sprzęt już trafił do skrzyń. Większość została załadowana. Uważam, że powinniśmy porzucić resztę i zacząć wyjeżdżać.

Bo wyjazd wymagał czasu. Będą musieli wysłać po jednym pojeździe z kilkuminutowymi przerwami. Dzisiejszego dnia nie mogli zwracać na siebie uwagi policji, tworząc wyraźny konwój.

Charles połączył się z Felipe i Tyra, dogładającymi pracy na drugim końcu hali: *Gotowi do odjazdu?*

Oboje przytaknęli.

Pierwsza wyładowana terenówka ruszyła w drogę szybciej, niż ekipa poszukiwawcza zdążyła włożyć nanostroje i rozpocząć przeczesywanie budynku.

Brent ocknął się, czując mdłości. Kręciło mu się w głowie. Miał wrażenie, że cały jest jednym wielkim sińcem. Czul się wypalony. Skóra na czole napięła się boleśnie, jakby naciągnął ją potężny guz. Spróbował pomacać ją ostrożnie i...

Odkrył, że ręce ma skrępowane z tyłu, przywiązane do słupka. Wtedy przypomniał sobie zasadzkę, walkę - i Kim.

Czas zorientować się w sytuacji. Siedział na twardej, wyłożonej kaflami podłodze, z nogami wyciągniętymi przed siebie i związanymi w kostkach mnóstwem taśmy do pakowania. Poruszywszy rękami, poczuł taśmę

na przegubach. Wokół stóp leżały wilgotne, w większości zakrwawione papierowe ręczniki. Tors oblepiała przemoczona koszula.

Nie zważając na protesty szyi, Brent zdołał kątem oka zobaczyć wznoszący się w górę słupek. Owo spojrzenie potwierdziło to, *co* już wcześniej sugerował dotyk. Przywiązano go do metalowego wspornika. Dobrze zamocowanego do podłogi i sufitu. Nie uda mu się uwolnić.

Ale gdzie jest?

Stojące wokół ciężkie metalowe regały sugerowały magazyn, a wszystko, co dostrzegał na zakurzonych półkach, pasowało świetnie do Garner Nanotech. Niemal na pewno przebywał w kompleksie magazynów, który przeszukiwał, gdy zaatakowała Kim.

*Wygrałeś*, napisał w polu widzenia Pierwszy. Wiadomość rzecz jasna była pozbawiona wszelkiego tonu, lecz wyczuł w niej sarkazm.

Pewnie Kim zaciągnęła go tutaj nieprzytomnego i związała. Nawet Pierwszy nie widział przez zamknięte powieki, toteż Brent musiał się zadowolić wnioskami. I nieważne, czego teraz spróbowałby tamten, skrupowany nie mógłby już nikogo skrzywdzić.

To dobrze. Skończył już z krzywdzeniem ludzi. Taką miał nadzieję.

Usłyszał ciche kroki, a potem zjawił się ktoś w nanostroju, niosący dzbanek z ekspresu pełen wody. Nanostroj naśladował żółtą farbę ścian. Na tle ołowianoszarych regałów jaśniał niczym płomień. Postać ściągnęła kaptur.

To była Kim. Twarz miała poobijaną i opuchniętą, pod skórą zaczynały się tworzyć siniaki. Nozdrza okalała zeschnięta krew, guz na czole mógł spokojnie

rywalizować z tym, który Brent wyczuwał na własnym.

- Wyglądasz jak befszytk - rzucił. I to ja tak cię utłukłem, dodał w myślach.

- Ty wyglądasz gorzej, uwierz mi - odparła Kim. Z kieszeni nanostroju wyciągnęła plik papierowych ręczników, zanurzyła jeden w dzbanku i otarła mu czoło.

- Jak się czujesz?

Zimny ręcznik przyjemnie chłodził skórę.

- Bywało lepiej. Czemu jestem mokry?

Usiadła ostrożnie na przemysłowym odkurzaczu, minę miała smutną.

- Wpadłeś w szal. Co pamiętasz?

- To, że wpadłem w szal. Walnięcie głową. - Był jej za to wdzięczny. Nieważne, co zrobiłby potem Pierwszy z jego pamięcią i hormonami, nie mógłby żyć ze świadomością, że ją zabił.

Przytaknęła.

- Wiem, że to nie byłeś ty, ale coś w tobie. Nie mogę cię rozwiązać.

- Nie prosiłem o to. - Nadal bał się tego, do czego by go zmusił Pierwszy. Może następnym razem nie zdołałby się oprzeć. - No to czemu jestem mokry?

Wciąż trzymała w dłoniach zmoczony ręcznik; wykręciła go nerwowo.

- Szarpałeś mną w szale, oczy miałeś wybałuszono, bełkotałeś coś do siebie, więc walnęłam cię głową. Zemdlałam, obudziłam się na podłodze. A ty leżałeś obok, zaczerwieniony, w drgawkach. Miałeś strasznie szybkie tętno. I nawet przez rękawiczkę czułam go rączkę. Jakbyś płonął. Kiedy więc cię unieruchomiłam - zawstydzona odwróciła wzrok - przyniosłam wodę. Od tej pory próbuję cię ochłodzić.

- Delirium podniecenia - orzekł Brent. - Niewielu lekarzy przyznaje, że coś takiego istnieje. W odróżnieniu od gliniarzy.

Pod adresem Pierwszego Brent wysłał: *O mato nie zabiłeś nas obu*. Odniósł wrażenie, że Pierwszy na jakiś czas porzuci manipulacje hormonalne - przynajmniej póki jego/ich ciało nie dojdzie do siebie.

- Delirium podniecenia? - powtórzyła Kim.

- Tak nazywają to gliny, kiedy ktoś do tego stopnia naćpa się prochami albo przedawkuje adrenalinę, że trzeba kilku osób, by go obezwładnić. - Obserwatorzy z boku nazywali to brutalnością policji, zwłaszcza gdy sprawca zaraz potem umierał na rozległy zawał serca. - Jeśli tętno i temperatura ciała wyrwą się spod kontroli, może być śmiertelne.

Kim patrzyła na niego zdumiona.

- Ale czemu?

- Chodzi ci o to, czy biorę jakieś prochy? W pewnym sensie. Rzecz w tym, Kim, że miałas rację. Mój mózg już mnie nie słucha i nie chciał pozwolić, byś mnie powstrzymała. Zatem zaaplikował mi potężną dawkę adrenaliny. Kiedy to nie wystarczyło, wypuścił nową, i jeszcze więcej, i jeszcze.

- Bo nie pozwalałaś mi się kontrolować - rzekła stanowczo.

Może i tak, ale tego nie skomentował. Miał na sumieniu dosyć, by przypisywać sobie zasługę za jeden niewielki sukces.

- Ogluszając mnie i ochładzając, uratowałaś mi życie.

Brent nie był całkiem pewien, czy dobrze zrobiła.

Wyczuwając jego przygnębienie, Kim zmieniła temat.

- Jeden z - jak wy się właściwie nazywacie? - nazwał nas, ludzi, neandertalczykami. I tak to będzie wyglądało, prawda, Brent? Kradniecie dość botów, by przemienić miliony, i sprzęt fabryczny pozwalający wyprodukować ich więcej. Widziałam, jak rozmontowali zbiorniki do montażu nanobotów. Mój gatunek zostanie pokonany i po pewnym czasie wyginie.

- Powstali. Tak się nazywamy. Kiedy o tym usłyszałaś?

- To nie ma znaczenia, Brent. Jak mogę to powstrzymać?

Nie odpowiedział i wyobraziła sobie nakreśloną granicę. Nie będzie z nią walczył - do tego stopnia mógł zapanować nad swym wewnętrznym demonem - ale też nie pomoże. Nie czuł lojalności wobec... neandertalczyków.

Do diabła z tym. I tak musi to powstrzymać. Jakoś.

Pomachała Brentowi przed twarzą okularami VR, które wcześniej zdołała mu zerwać.

- Mam nadzieję, że dzięki nim będę wiedzieć, co się dzieje. Domyślam się, że wy... jak to mówisz, Powsta li... używacie okularów do łączności między sobą. Kiedy byłam nieprzytomna, aktywna sesja z pewnością już wygasła. - Pomasowała się po stłuczonym czole z nadzieją, że wzbudzi w nim wyrzuty sumienia. - Jak mam się zalogować?

Nie odpowiedział.

- Potrzebny mi identyfikator i hasło, Brent.

- Wcale nie, Kim. Masz szczęście, że sesja wygasła. Między nami przekazywanie wiadomości jest cholernie

bliskie telepatii. Moi towarzysze w mgnieniu oka zorientowaliby się, że do sieci podłączył się ktoś obcy.

- Nadal mogłabym dowiedzieć się czegoś użytecznego - upierała się. Była sama, bezbronna i - wedle standardów Powstałych - niedorozwinięta. Potrzebowała jakiejś przewagi, czyli wejrzenia w ich plany. - Powiedz mi, jak się połączyć.

-A jeśli złapią cię zaraz potem? Z łatwością ustaliliby twoje położenie dzięki triangulacji z użyciem pozycji routerów WiFi.

Co za bzdury.

- Wiem, jak działa WiFi. Nie istnieją żadne algorytmy triangulacji.

- Swędzi mnie nos - powiedział. - Podrapiesz?

Zrobiła to w dziwnie ludzkim geście.

- Dzięki. Dobra, co do triangulacji. Masz rację, jeśli chodzi o standardowe oprogramowanie routerów. Osobiście potrzebowałbym jakichś dwóch minut, by napisać łatkę umożliwiającą podobne wyszukiwanie. Have-Mercy byłaby szybsza. Jeśli ktokolwiek wyczuje obcego, możesz być pewna, że wprowadzi tę funkcję.

Merry już wcześniej była świetną programistką. Owszem, zapewne zdołałaby włamać się do routerów i zaimprovizować program lokalizujący.

Nastrój Kim, i tak już kiepski, jeszcze się pogorszył. Żałosna imitacja planu - ukraść nanostrój, przechwycić okulary VR, znaleźć słaby punkt, który mogłaby wykorzystać - właśnie zaważyła się pod własnym ciężarem.

Co teraz?



Całkiem możliwe, że jeśli jeszcze przez jakiś czas zdoła się ukryć, pozostali wyjadą i Kim będzie bezpieczna.

Przywiązany do słupka Brent dysponował jedynie własnym rozumem i słowami, by ją tu zatrzymać.

Spytał zatem, co kombinuje. Spytał, co wie i co zamierza. Robił aluzje do jej podejrzeń i domysłów oraz obaw, które od miesięcy odrzucał bądź im zaprzeczał. A ponieważ znał Kim dobrze, łatwo było odciągnąć jej uwagę i zmusić do skupienia na nieważnych szczegółach.

Tyle że Kim równie dobrze znała jego i szybko się połapała.

- Jediną rzeczą, o której nie mówisz, jest jak to powstrzymać.

Wszyscy mieli prawo do istnienia, nawet Powstali. (A osobowości, które zdominują? Co z ich prawami? I z ofiarami dzisiejszych zamachów bombowych? To rachunek zbyt subtelny jak na Brenta, a Pierwszy był całkowicie amoralny). Brent mógł jedynie wyznaczyć własne granice - i dziękować niebiosom, że ponieważ został przywiązany do wspornika, nie zostaną one poddane próbie.

Kim odwróciła się i naciągnęła kaptur na głowę. Z determinacją uniosła ramiona, wyraźnie gotowa działać - i tym samym pokonana.

Wkrótce pozostali wyjadą, podzielą się botami i rozproszą, by stworzyć wielu sobie podobnych. On wypełni obowiązek wobec swoich dzieł. Nie mógł pozwolić Kim odejść - nie dlatego, że zdołałaby powstrzymać Powstałych, lecz ponieważ obchodziło go, co ją spotka. Musiał ją tu zatrzymać. Musiał zyskać na czasie. Gdyby inni ją schwytali, nie okazałoby litości.

Brent/Pierwszy był znacznie inteligentniejszy od niej. Z pewnością razem uda im się ją przekonać, żeby została.

- Kim, nie masz pojęcia, jak cudowne jest Powstanie. Nie potrafisz sobie tego wyobrazić. Może kiedy przestaniemy obawiać się zagłady, będziemy mogli przeprowadzić właściwie kontrolowane eksperymenty i znaleźć najlepszą metodę dokonania przemiany. Daj nam parę lat, a dowiemy się więcej o działaniu świadomości niż kiedykolwiek marzyło się filozofom i neurologom.

Kim zatrzymała się - zaintrygowana wbrew sobie czy zadowolona z pretekstu?

- To znaczy?

Brent zniżył głos, jakby zwierzał jej się z sekretu. Pochylił się/opadł naprzód, na ile pozwalały krępujące go więzy.

- Nawet dziś żaden naukowiec nie wie, czym jest świadomość. Skoro coś w mózgu sprawia, że jesteś świadoma samej siebie, co pozwala uzyskać świadomość jemu? I gdzie kończy się ta rekurencja? Z pewnością zastanawiałaś się, skąd wiesz, że jesteś sobą.

-No... tak.

- A ja mam w głowie niezależnego obserwatora. Boty połączyły się z moimi neuronami. Porozumie wają się poprzez nie. - Słowa wylewały mu się z ust. Obecna jawność służyła mu teraz, tak jak przez wcześniejsze miesiące tajemniczość. Jeśli rozmową mógł zatrzymać Kim, to miał jej wiele do powiedzenia. - To też on i ja możemy przyglądać się z bliska temu, jak współpracują owe masy neuronów. Czy istnieje koalicja neuronów, odpowiadająca każdemu elementowi świadomości? Czy zespoły neuronowe to struktura trwała,

czy też chwilowa, którą mogą naruszyć bodźce, wspomnienia i myśli? Czy...

- Nieważne - ucięła Kim. - Nic z tego nie powstrzy mało cię przed robieniem strasznych rzeczy.

Skrzywił się.

- Mówiłem o świadomości, nie o sumieniu, lecz niezbyt wiele dzieli je od siebie. Świadomość powstaje przy osiągnięciu dostatecznej mocy obliczeniowej, nieważne, czy odpowiadają za nią neurony, czy nanity. Kolonie mrówek wykazują ten proces na mniejszą skalę, poprzez grupowe zachowania, których nie rozumie żadna pojedyncza mrówka. A biurokracje radośnie robią rzeczy, o których nawet by się nie śniło ich pojedynczemu członków.

- Na przykład okaleczanie bezdomnych?

Brent wzdygnął się, jakby dała mu w twarz. Czy fakt, że w owym czasie nie rozumiał, co robi/ i tak naprawdę nie wiedział, że to robi, go usprawiedliwia? Na pewnym poziomie bez wątpienia wiedział, tak samo jak przyjął bez protestu ogólne zapewnienie Morgana o tym, że ich plan awaryjny wiąże się z minimalnymi stratami w ludziach.

- Skoro nie mogę podsłuchiwać elektronicznie, będę musiała pospieszować w bardziej staroświecki sposób. - Zawahała się, po czym oddarła od rolki dwudziestocentymetrowy kawał taśmy. Knebel. Nie ufała mu.

A czemu miałyby ufać?

Był kłębkim nerwów, wykończonym i przewrażliwionym, jego organizm nadal spalał potężną dawkę adrenaliny i niezliczonych innych hormonów. Odstawienie od sieci wywołało fizyczny ból, niczym świeżo usuniętego zęba. Był nakręcony

i przygnębiony, walczył sam ze sobą, sfrustrowany i skonfliktowany.

Wiedział na pewno tylko jedno: że chce zatrzymać Kim tutaj. Bezpieczną. Kiedy podeszła z taśmą, odsunął się.

- Załadowali już ciężarówki. - Związany jak baleron, musiał zgadywać. - Zaczęli wyjeżdżać godzinę temu. Już za późno, by ich zatrzymać, nie próbuj zatem nawet przeszkadzać pozostałym. To nic nie da.

- Godzinę temu? - zastanowiła się. - Kiedy ostatnio poszłam po wodę, parę osób krążyło po fabryce.

- Przenosili rzeczy do hali wyładunkowej? - spytał.

Pokręciła głową.

- W takim razie szukają mnie, Kim. Wątpię, by uwierzyli, że sam pobiłem się na krwawą miazgę. Jeśli mnie znajdą, dowiedzą się o tobie. Uwolnij mnie. Musimy poszukać lepszej kryjówki.

- Chciałabym móc ci zaufać, Brent. - Ze łzami w oczach Kim zakleiła mu taśmą usta.

On też chciałby móc sobie zaufać. Kim odbiegła, zostawiając go na pastwę bezradnych obaw o jej bezpieczeństwo.

Ostatnia terenówka odjechała od bramy Garner Nanotech, unosząc zamknięty w skrzyni zbiornik reakcyjny i niewielką część zapasu nanobotów. Prowadziła Tyra, obok siedział Felipe. Pod płaszczami oboje mieli nanostroje.

*Powodzenia*, wysłał Morgan.

*Dzięki*, odparła Tyra tuż przed tym, nim znaleźli się poza zasięgiem WiFi i straciła łączność.

Charles pozostał w hali, jeszcze niedawno rojącej się od skupionych, zapracowanych ludzi, jedynie z Morganem i Have-Mercy Ramirez. Poza nimi w budynku pozostało jeszcze trzech Powstałych, strażników nadal szukających Brenta Cleary'ego - i oczywiście sam Cleary. W odróżnieniu od reszty Charles nie miał na sobie nanostroju. Był zbyt wysoki, żaden z egzemplarzy testowych nie pasował na niego.

Cóż, Cleary też nie miał kombinezonu. Jeśli jakimś cudem zdołał przechwycić jedyny, którego nie znaleźli, to zrobił sobie niezły dowcip. Zaginiony nanostrój był co najmniej piętnaście centymetrów za krótki.

Ciągnące się za fabryką pole wzywało, zaśnieżone, dziewicze. *Czas ruszać*, posłał do Morgana Charles.

Morgan: *Cleary stanowi niepewny czynnik.*

Charles: *I to od jakiejś godziny.* Kompleks liczył sobie niemal dwadzieścia tysięcy metrów kwadratowych. To spory obszar poszukiwań i zbyt wiele potencjalnych kryjówek. *Jesteśmy gotowi. Dalsze poszukiwania niczemu nie służą. Kiedy zamkniemy budynek, Brent nigdzie nie odejdzie.* Budynek już był prawie zamknięty, z wyjątkiem hali wyładunkowej.

Have-Mercy rozglądała się niepewnie. O niczym nie wiedziała i niewątpliwie zastanawiała się, czemu tak stoją.

*Dobra*, odparł z uporem Morgan. *Wyjedziemy, ale dlaczego pozostali nie mogliby jeszcze poszukać? To za-bezpieczenie na wypadek, gdyby Cleary spróbował czegoś, czego nie przewidzieliśmy. I zyskujemy tylną straż.*

Brent miałby wymyślić coś, czego nie przewidzieli? Bzdura granicząca z bezmyślną czcią dla przodków. *Będziemy potrzebowali sposobu wezwania tylnej straży*, wysłał Charles.

*Zrozumiałem. Morgan dodał do rozmowy Have-Mercy. Merry, po wyjeździe chcielibyśmy utrzymać łączność z tylną strażą. Co proponujesz?*

*Merry: Podłączmy router do zewnętrznego kabla światłowodowego. Kiedy znajdziemy się poza martwą strefą WiMax pod Uticą, otworzy się łącze: z naszych okularów do działającej stacji WiMax i do internetu. Kabel połączy budynek z Internetem i dalej ze strażnikami za pomocą WiFi i okularów.*

*Morgan: Doskonale. Ale najpierw wyłącz WiFi w centrum budynku. Jeśli ktokolwiek w sali głównej ma telefon z WiFi, nie chcemy, żeby wysłał wiadomość.*

*Merry: Da się zrobić. Mam zaczynać?*

Charles widział wyraźnie, że Morgan, choć niechętnie, podporządkuje się jego decyzji. Przekazywanie władzy już się rozpoczęło. Uznał, że to dobry moment na okazanie wielkoduszności. *Zrób to, Merry.*

Po minucie Merry przywróciła i przetestowała łączność z routerem. Ta część budynku odzyskała dostęp do internetu. Poszukiwania Brenta trwały dalej. A Charles zyskał potwierdzenie, że nic i nikt nie przeszkodzi w ostatecznym wypełnieniu planu.

Morgan i Have-Mercy wsiedli na jeden śniegolak. Charles zabrał drugi. Zostawiając za sobą zamknięty budynek, popędzili naprzód z rykiem silników, kierując się w różne strony przez zaśnieżony park ku nowemu życiu.

20 STYCZNIA 2017. PIĄTEK. GODZINA 15.30

Po wyjściu Kim w żyłach Brenta znów popłynęła adrenalina. Zaczął z wściekłością szarpać się w więzach. Najnowsza ingerencja Pierwszego, choć

w niczym nie pomogła, znacząco wzbogaciła kolekcję sińców.

Pierwszy mógł uwolnić endorfiny łagodzące ból, ale tego nie zrobił. Brent poprosił o nie. Dalej nic.

Najwyraźniej Pierwszy się dąsał.

Głowa pękała Brentowi z bólu. Ręce i nogi bolały go po zbyt długim unieruchomieniu. Pośladki zdrętwiały od twardej podłogi. Przeguby paliły. Policzki bolały jak diabli w miejscach, gdzie taśma klejąca ciągnęła zarost. Był głodny, spragniony i musiał się odlać. Zaswędziło go ucho, a potem znów nos.

No dobra, zatem Pierwszy się nie dąsał. Dąsanie wymagało uczuć, a Pierwszy był pozbawiony wszelkich emocji i poczucia wartości wykraczających poza osobiste przetrwanie. Jego milczenie i cierpienia, na które zezwalał, stanowiły wiadomość: *Sprzeciw mi się ponownie na własne ryzyko. A może mówił tylko: Próbuje dalej.*

Im dłużej Brent czekał, tym więcej odczuwał bólów, pragnień i swędzenia. Był bezradny, a Pierwszy nie zamierzał mu pomóc. Kiedy spróbował się rozerwać, sięgając do nieskończonego ułamka - lecz wciąż wielu gigabajtów - zawartości internetu, ściągniętej do procesorów Pierwszego, tamten odpowiedział krótkim: *Nie.*

Kara nie do końca jednak przypominała deprywację sensoryczną, bo Brent nie mógł zaplanować ucieczki odcięty od swych zmysłów. Milczenie i wycofanie bodźców umysłowych miały zmusić go do skupienia się na niej. Jakaś jego część spróbowała. A inna, ukryta w zaniedbanych zakamarkach umysłu, które wciąż należały do niego, po raz pierwszy od bardzo dawna zdołała się ujawnić. Obrazy, które przywoływała, raniły znacznie głębiej niż jakiegokolwiek dolegliwości fizyczne.

Umysły, które przechwylił. Przelana dziś krew. Plaga przemian, którą wkrótce zapoczątkują pierwsi Powstałi. Fala zbrodni, jaką wywołają, by sfinansować fabrykę nanobotów w rajy podatkowym Trzeciego Świata.

On zapoczątkował to wszystko. On to zatwierdził.

Me *Griffiss*, odparowała chłodna, obojętna część Brenta, ta najmocniej złączona z Pierwszym. *Tę decyzję podjęli inni i cię przegłosowali.*

Nawet to stanowiło jedynie marną wymówkę. To on przemienił Charlesa, Morgana i wielu pozostałych. On zgadzał się na kolejne plany awaryjne i na następne, przymykając oko na to, co jeszcze mogłaby wymyślić grupa „na wszelki wypadek”.

Jakie bowiem kolejne potworności zaplanowały stworzone przez niego istoty - na wszelki wypadek?

Za pomocą bomb, robotów i cyberataków niewielkie grupki toczyły wojny z całymi narodami. Wyposażenie buntowników w umysły Powstałych, kuloodporne nanostroje i wiedzę Morgana na temat działań antyterrorystycznych - a wkrótce zrobi się bardzo nieprzyjemnie.

Brent, czując się bardziej ludzki niż przez ostatnie miesiące, zapłakał.

Kim obserwowała dwie postaci metodycznie przeszukujące halę produkcyjną. Trzecia sprawdzała dział badawczy, znikala i pojawiała się cyklicznie u wylotów kolejnych alejek.

Brent miał rację: trwały poszukiwania. Jeśli jednak ich wzór nie zmieni się gwałtownie, wciąż miała około



dwudziestu minut, nim tamci się na niego natkną. Mniej, jeżeli poszukujących jest więcej.

Szpiegując, odkryła kolejny problem: tamci mieli na sobie nanostroje. Nie stosowali maskowania, może po to, by nie zaskakiwać się nawzajem. Gdyby jednak ją znaleźli, kombinezon nie da jej żadnej przewagi.

Stała kompletnie nieruchomo, żółty strój na tle żółtej ściany. Gdy obaj mężczyźni z fabryki odwrócili się do niej plecami, pobiegła na palcach w boczny korytarz, gdzie mieściły się gabinety zarządców fabryki. Kolejno wyciągała ze stacji dokujących ich laptopy. Potem, dźwigając naręcze komputerów, wróciła tą samą drogą.

Jej najnowszy pomysł zakładał znalezienie laptopa wyposażonego w WiMax. Telefon przełączony na WiFi nie sięga! poza budynek, ale interfejsy WiMax były znacznie mocniejsze. Komputer wyposażony w WiMax mógłby zdołać połączyć się z innym podobnym poza budynkiem.

Wszystko, co zdołała zebrać, miało tylko WiFi. Nic dziwnego - majstrom nie przydziela się najlepszego sprzętu - lecz mimo wszystko poczuła zawód. W dziale badawczym mieli mnóstwo laptopów z WiMaxem, choćby ten na jej biurku, ale nie zamierzała bawić się w kotka i myszkę z kimś, kto przeszukiwał tamtejsze korytarze.

Co teraz?

Większość laptopów miała anteny wbudowane w obudowę, lecz parę wyposażono w zewnętrzne. Gdyby zamieniła standardową wielokierunkową antenę na kierunkowy talerz, powinna zyskać lepszy zasięg. Może w ten sposób połączy się z hotspotem WiFi poza budynkiem.

Mogła zmarnować całe dnie, przeszukując magazyny i nie wiedząc, czy w ogóle znajdzie w nich odpowiednie części. Dała sobie pięć minut i nie znalazła nic użytecznego. Gdyby była w sieci, mogłaby się dowiedzieć, jak zbudować zaimprovizowaną antenę. Ale gdyby w niej była, nie musiałaby tego robić.

Zastanawianie się nad tym, czego nie miała, było bezsensowne.

Coś jeszcze związanego z laptopami nie dawało Kim spokoju. Mimo mocnego skupienia nie zdołała uchwycić owej ulotnej myśli. Wsunęła laptopy pod regały z częściami, tak by ktoś zerkający do środka ich nie zauważył, po czym poszła sprawdzić, co u Brenta, i poszukać świeżego natchnienia.

Samotny i bezradny, Brent pogrzył się w rozpacz.

Fakt, iż Pierwszy nie zareagował ani słowem komentarza, nawet próbą interwencji chemicznej, stanowił największą zagadkę. Nawet najwięcej surfowania po sieci nie zdoła wyjaśnić natury ludzkiej. Może Pierwszy się spodziewał, że przez swoje zaniechanie sprawi, iż Brent stanie się bardziej ustępliwy.

Po krótkim czasie zaczął się martwić, że może tamten ma rację.

Wciąż pytał o godzinę. Albo wiadomości nie docierały do celu, albo też Pierwszy je ignorował. Nieświadomość, ile czasu mu zostało, pogarszała jeszcze wszelkie inne domysły. Czy Powstali zdołali uciec? Czy schwytali Kim? Co z nią zrobią?

Po kilku próbach udało mu się podnieść z ziemi. Stanie okazało się odrobinę wygodniejsze, lecz ta zmiana nie dodała mu otuchy.

Nie mógł dłużej okłamywać samego siebie. Tak naprawdę zadreżczała go nie izolacja, lecz jasność spojrzenia. Poczucie winy w pozbawionym rozpraszaćcych winy w bodźców umyśle rosło z każdą chwilą.

Cały ten koszmar zaczął się od tego, że próbował uratować ludzi. Odpędzenie dzieciaków od rurociągu w Angleton - z pewnością dobrze wtedy postąpił, prawda?

Dobrze postąpił, zadrwiła cyniczna część jego umysłu, czy tylko miał dobre zamiary, którymi jest piekło wybrukowane? Może atakując w ciemności, zaskakując złodziei, właśnie on spowodował wypadek? Jeśli to prawda, miał na sumieniu potworną zbrodnię.

Jakże zatem stosowna wydała się jego potworna przemiana. Może za utratę pamięci odpowiadało coś więcej niż wstrząs mózgu. Może chciał zapomnieć.

Teraz ci, których zmienił, doprowadzili do kolejnych eksplozji, kolejnych obrażeń i śmierci. Kolejny ciężar winy przygniótł mu barki.

Za wiele tego. Za wiele! Pragnął - potrzebował - wyznać wszystko. Gdyby tylko Kim wróciła, gdyby zechciała wysłuchać... Może razem znaleźliby jakieś wyjście. Jego sumienie nie zniosłoby dalszej przemocy ani przymusowych przemian.

I nagle Kim wróciła. Zapewne ujrzała łzy w jego oczach. Zdjęła knebel z taśmy, przepaszając gorąco za przylepiony do niej zarost. Jakie znaczenie miał ból fizyczny? Brent prawie go nie zauważył. Otworzył usta, by zacząć mówić...

I Pierwszy gwałtownie zacisnął uchwyt.

- Czggg - wydusił z siebie Brent.

Mc *nie mów*, napisał mu przed oczami Pierwszy. *Me zdradz mnie więcej.*

Tak jakby mógł to zrobić. Jednak Pierwszy nie bez powodu go ostrzegł. Wciąż nie do końca panował nad ciałem.

No dobra, Pierwszy nie zamierzał pozwolić na spowiedź. Mimo wszystko nie tak dawno temu Brentowi udało się sprzeciwić Pierwszemu dostatecznie długo, by ocalić życie Kim. Może zdoła teraz zatrzymać swego wewnętrznego demona dość długo, by przekazać kluczową informację. Powstali mieli piętę achillesową. Swoje...

Ból!

Jego ciało szarpnęło się w ostrym spazmie, płonęło. Żołądek wyrzucił się na nice. Wokół bryzgały wymiociny, a po nich czyste soki żołądkowe. Co robił z nim Pierwszy? Dawne wspomnienia? Kaskadowe sygnały neuroprzekazników? Nie potrafił skupić się dostatecznie, by to odgadnąć.

Czemu właściwie się martwił? Wiadomość, którą chciał przekazać Kim, była bardzo ważna: czuły punkt Powstałych stanowiły ich okulary VR. Gdyby tylko zdołał wytłumaczyć, wydusić z siebie parę słów.

-Grr...g-g-wyjąkał.

Kim patrzyła na niego ze zgrozą.

- Aaron jest w sali, przyprowadzę go.

I dasz się złapać temu, kto mnie szuka! Brent z rozpaczą pokręcił głową i ucieszył się, że pozostało mu choćby tyle kontroli.

- Nie - zdołał wykrztusić to krótkie słowo.

Niczego więcej nie udało mu się powiedzieć. Mowa na nic się nie zda. Jeszcze minuta czy dwie tego bólu i z pewnością zemdleje.

Po twarzy Kim płynęły łzy.

- Przestań, Brent! Cokolwiek próbujesz zrobić, przestań, nim to cię zabije!

Okulary VR. Kręcenie głową. Konieczność powstrzymania tego obłądu. Posłać Kim wiadomość. Okulary VR. Kręcenie głową... Oderwane strzępy myśli miały mu się w mózgu. Jak miałyby cokolwiek przekazać?

W ustach czuł gorycz próżnej nadziei, gorszą niż smak wymiocin.

Głowa. Głowa. Czym jeszcze mógł ruszyć? Nagle w myślach pojawiła mu się możliwość przekazu, błyskotliwa i sekretna. Czy Pierwszy zrozumie i go powstrzyma? A Kim czy zrozumie?

Po tak wielu operacjach i miesiącach fizykoterapii Brent dobrze poznał ból - ale ten był inny. Wszystkie nerwy w jego ciele płonęły. Przywoła! na pamięć wszystko, czego się nauczył. Teraz wszystko zależało od krótkiej pantomimy.

Kim stała naprzeciw niego. Szurając nogami, obracając się, zdołał dokonać ćwierćobrotu wokół słupka. Spojrzał w jej oczy i znacząco popatrzył w dół, na swe skrepowane dłonie. Zaczął stukać przypadkowo, nierytmicznie o wspornik.

Pokręciła głową, wyraźnie widział na jej twarzy oszołomienie.

Nadal stukając bezładnie, zaczął ściągać wargi. Stukanie. Wargi. Stukanie i wargi.

Pierwszy nie pojął, co robi Brent, albo też nie mógł go powstrzymać - toteż jeszcze jaśniej wyraził swą

dezaprobatę. Jakimś cudem ból stał się jeszcze bardziej dojmujący.

Brent syknął mimo woli, ale nie przestawał. Stuk. Usta. Stuk, stuk.

Ból!

Usta. Stuk, stuk.

Ból!

Usta. Stuk, stuk. Usta...

Dokładnie w momencie, gdy zemdlął z bólu, zrozumienie rozjaśniło twarz Kim.

Nagle, o cudzie, okulary VR ożyły. Charles dotarł na drugi koniec parku. Z czystej radości podskoczył swym śniegołazem na muldzie. Potem zwolnił i wjechał ostrożnie na szczyt niskiego wzgórza, zatrzymując się długim ślizgiem obok kępy krzaczastych świerków. Niecałe dwadzieścia metrów dalej zaczynały się ulice miasta. Nie dostrzegł żadnych radiowozów.

Okulary ukazywały bramkę do sieci WiMax i długą listę aktywnych hotspotów WiFi. Większość chroniły hasła, lecz jak zwykle kilka pozostawało otwartych. Czy stanowiły prezent od pobliskich knajp, czy od naiwnych jednostek? Nie miało to żadnego znaczenia.

Mrug/błyskiem podpiął się do niechronionej sieci WiFi i przez nią do internetu. Zarówno blogerzy, jak i wielkie media pokazywali miotającą się policję z Utiki i Romę. Do miasta zjechali też agenci Departamentu Bezpieczeństwa Krajowego. Na krótką metę federalni jeszcze powiększą panujący chaos. Nie znalazł ani jednej wzmianki o Garner Nanotech.

Niecałą minutę po podłączeniu zaczęły napływać wiadomości. Wszyscy wydostali się bezpiecznie. Niektórzy byli już siedemdziesiąt kilometrów od Utiki.

Od Morgana: *Jak dotąd czysto. U ciebie?*

*Po drugiej stronie parku, odpowiedział Charles. Gotów się przesiąść do samochodu.*

Razem sprawdzili, co słychać u tylnej straży. Watts i Donaldson nie mieli nic do zameldowania. Corbett pozostawała poza zasięgiem, lecz Alan ją widział. Sprawdziła jeden z wewnętrznych obszarów, w których wyłączono WiFi, by odizolować ludzi w sali.

Morgan: *Czy więźniowie sprawiają kłopoty?*

Alan: *Nie. Chyba za bardzo się boją.*

Morgan: *Ile czasu potrzebujecie do zakończenia poszukiwań?*

Alan: *Jakieś trzydzieści minut.*

Morgan na prywatnym łączu do Charlesa: *Zalecam, by nasi dalej szukali Brenta.*

Charles czuł się bezpiecznie i wielkodusznie.

*W porządku.*

*Kontynuujcie, posłał Morgan trojgu w fabryce. Zameldujcie się za trzydzieści minut.*

Śnieg przestał padać, następnych opadów spodziewano się dopiero za dwa dni. Charles wiedział, że nie zdoła uniknąć pozostawienia śladów, nie było zatem sensu próbować ich maskować ani ukrywać śniego-łazu. Otworzył bagażnik, wyjął z niego cenną paczkę z nanobotami. Wyglądała jak stalowy termos. Ruszył naprzód.

Przecznice od parku znalazł zaśnieżoną terenową toyotę, zaparkowaną dokładnie w miejscu opisanym przez Morgana. Był to jeden z kilkunastu pojazdów, jakie Morgan wynajął, posługując się fałszywymi

dokumentami. Breloczek w kieszeni Charlesa zaprogramowano tak, by dawał dostęp bez kluczyków do drzwi i zapłonów wszystkich.

Pięć minut później, zaopatrzony w pełne dane na temat ruchu drogowego i warunków pogodowych, Charles kontynuował podróż.

Kim była oszołomiona. Brent, niezdolny mówić, umierał na jej oczach.

- Przestań, Brent! Cokolwiek próbujesz zrobić, przestań, nim to cię zabije!

Wstrząsany drgawkami, z trudem przesunął się kawałek wokół słupka, do którego go przywiązała. Jego skrepowane ręce uderzały o metalowy wspornik. Zaprzestał próżnych prób mówienia, lecz oczy miał jasne. Coś jej przekazywał, próbował przekazać.

Po policzkach płynęły jej łzy. Czy ma szukać znaczenia w nieopanowanych drgawkach? Tak bardzo chciała go odciąć. Bała się jednak, że te dreszcze, rozpaczliwe jękanie, szarpanie więzów to jedynie podstęp. Jeśli odetnie Brenta, czy go ocali? Czy raczej straci i tak mizerną szansę na pomoc ludziom zamkniętym w sali głównej?

Oderwała oczy od szarpiących się rąk Brenta. Oczy nadal miał jasne. Jego wargi, o dziwo, wydymały się i ściągały. Karykatura pocałunku? Co to, do diabła, miało znaczyć? Karykatura czegoś innego? Nieważne, udawał czy cierpiał naprawdę, Brent długo nie wytrzyma takiego szaleństwa. Załóżmy, że coś mi mówi. Co to może być? Przypadkowe stukanie. Ściągnięte wargi. Jeśli nie pocałunek, to...



Wydmuchiwanie kółek dymu. Palenie. On nie palił!  
Przypadkowe postukiwania i dym. Przypadkowe postukiwania i dym.

Zderzenia bitowe Browna!

Brent zemdłał, nim Kim zdołała wymówić te słowa.

Rozpaczliwie tłukła w klawiaturę jednego z wykradzionych laptopów. Sugestia Brenta była albo szalona, albo genialna. Tak czy inaczej tylko Kim mogła wcielić ją w życie i musiała działać szybko. W najlepszym razie miała pół godziny, nim najbliżsi poszukiwacze dotrą do tego magazynu.

Splatała funkcje matematyczne, dobierając na chybił trafił z przypadkowych bibliotek oprogramowania; funkcje mnożyły i dzieliły, całkowały i różniczkowały, podwyższały wykładniczo i rozkładały. Jako parametry wejściowe narzucała im wyrazy z dowolnie wybieranych nieskończonych szeregów. Nie zastanawiała się nad selektorami ani ciągami, permutacjami ani kombinacjami, zagnieżdżeniami operacji - im bardziej mętne były rachunki i im większej mocy obliczeniowej wymagały, tym lepiej. Liczyła się tylko komplikacja rezultatów. Używała generatorów liczb losowych, by z końcowych wartości obcinać cyfry znaczące. Na końcu przepuściła te szaleńczo splątane sekwencje wyjściowe przez program tworzący fraktale, by z wizualizować wyniki.

Gdy tylko otwierała jeden tunel, zaczynała pracować nad kolejnym. Dziwaczne zestawy danych, długie na całe gigabajty, rosły na dysku. Zestawiała już czwarty cykl obliczeń, kiedy cicho zadźwięczał alarm

wizjera. Osiem minut: nie odważyła się dać sobie ani chwili więcej.

Brent ją obserwował. Nie próbował nic mówić. Podeszła do niego ostrożnie, przylepiając do grzbietu dłoni wcześniej oddarte kawałki taśmy.

- Mam nadzieję, że cię zrozumiałam - wyszeptała.

Otworzyła szeroko prawe oko Brenta i przykleiła powiekę do czoła. To samo powtórzyła z lewym okiem. Taśma przywarła do jego rzęs i brwi.

Nie stawiał oporu. Nawet nie próbował mówić. A potem knebel wrócił na miejsce i ostatecznie odebrał mu głos.

Nasunęła okulary VR na otwarte oczy Brenta i przykleiła mu je do twarzy. Ujrzała rozmigotane kolory i wzory w stroboskopowym wirze, odbijające się od skóry.

Wedle wszelkich dostępnych definicji należałoby to nazwać torturą.

Jej oczy wędrowały nerwowo pomiędzy obłąkańczym pokazem światel i drzwiami magazynu. Zamknięte drzwi tłumiły odgłosy zmagania Brenta. Dawały też dodatkową osłonę, wzmacniającą efekt ciężkich metalowych regałów. To nie przypadek, że w tym pomieszczeniu WiFi nie miało zasięgu. Może łącze pomiędzy jej laptopem i okularami Brenta także tu pozostanie.

Z pewnością zamknięte drzwi nie pozwolą Kim usłyszeć, gdyby ktoś się zbliżał. Nawet jeśli ich plan się powiedzie, mogą utknąć w pułapce.

Brent zwił się pod słupkiem. Jego pierś unosiła się, policzki się zapadły, lecz knebel z taśmy zdusił wszelkie odgłosy. Okulary VR podskakiwały, ale taśma przytrzymała je na miejscu. Nagle zaczął walić głową o słupek. Kim z wielkim trudem unieruchomiła

ją kolejnym kawałkiem taśmy, okręconym kilka razy wokół jego czoła i wspornika.

Jeśli jakimś cudem Brent to przeżyje, nie pozostanie mu wiele włosów. Chyba osiągnęła już granicę wytrzymałości, bo widząc ów obraz w myślach, zapragnęła parsknąć śmiechem. A wiedziała, że jeśli zacznie się śmiać, już się nie uspokoi...

Laptop nadal przesyłał dane. Rozumiała mniej więcej, czego spodziewał się po nich Brent. Miał w głowie boty pierwszej generacji, zbudowane przed poprawką niwelującą działanie bitowych zderzeń Browna. Gdy oprogramowanie w jego botach dostatecznie się rozrośnie, dotrze do miejsc podatnych na losowe błędy bitowe. To musiał mieć na myśli.

Nie rozumiała natomiast, dlaczego jego programy w ogóle miałyby zacząć rosnąć.

Po nerwach wzrokowych Brenta spływały kaskady danych.

Tempo ich napływu było oszłamiające i Pierwszy walczył, próbując je ogarnąć. Strumienie danych wymykały się wszelkim klasyfikacjom, nie podlegały żadnym wzorcom. I w żaden sposób nie dawało się ich przerwać ani zignorować. O ile Pierwszy nie odłączyłby się od nerwów wzrokowych Brenta - tym samym odcinając się od świata - nie miał wyboru, musiał przyjmować dane.

Ich zalew z pewnością nie miał przyjaznych zamiarów, choć Pierwszy nie potrafił odgadnąć intencji Kim. Z początku przypuszczał, że chciała tylko odwrócić jego uwagę.

Dane spływały dalej.

Powstanie Pierwszego stanowiło efekt analizy danych, rozpoznawania wzorców, pojmowania znaczenia i ekstrapolacji celów. Tworzy! nowe oprogramowanie odruchowo, na poziomie podświadomości. Te dane były fascynująco bogate i nowe oprogramowanie próbujące je zrozumieć rosło gwałtownie.

A potem z nagłym ukłuciem jeden z komputerów Pierwszego się wyłączył.

Dane napływały dalej. Cały ciężar spadł na Pierwszego, bo umysł Brenta nie był w stanie sobie z nimi poradzić. Ich rzeki wymykały się wszelkim doświadczeniom, a jednak kryła się w nich jakaś kusząca, pociągająca logika...

Drugi komputer się wyłączył, potem dwa kolejne.

Pierwszy zaczął rozpaczliwie tworzyć filtry, klasyfikatory, uproszczenia statystyczne - wszystko, co mogłoby uporządkować przepływ danych bądź zmniejszyć wywołane przez niego obciążenie. Po sekundzie pięć kolejnych komputerów wypadło z sieci.

Dziewięć komputerów w ciągu paru sekund. Przy najmniej ten wzór wydawał się jasny. Dane wywoływały rozrost oprogramowania, a to z kolei - niestabilność komputerów. Brent walczył, próbując zachować dla siebie swoje myśli, lecz Pierwszy nie ustępował i w końcu przedarł się do nich.

Problem zderzeń bitowych Browna.

Kolejne komputery zgasły - przewidywalny wykres trendu sugerował, że za nimi pójda dalsze serie. Umysł Pierwszego wyłączał się kawałek po kawałku. Choć utrata mocy obliczeniowej była dostatecznie zła, jeszcze gorszy problem stanowiło naruszenie łączności pomiędzy pozostałymi elementami. Bogata sieć łączy, jaką stworzył przez ostatnie miesiące,

była synaptyczna, połączona z korą mózgową Brenta. W żadnym razie nie mogła powstrzymać ani znieść takiego ataku.

Ostatnią myślą Pierwszego, który wciąż się zmagał, próbując wyłączyć pozostałe procesory, było pytanie, czy kiedykolwiek jeszcze się obudzi.

Obłąd. Błyski kolorów i wzorów: stroboskopowy hipnotyczny chaos...

Brent pragnął krzyknąć. Z paniką Pierwszego i nadzieją na wolność mieszało się ich wspólne cierpienie. Napierał na knebel, walcząc z więzami i szaleństwem w jego/ich umyśle. Nie potrafił nawet rozróżnić, którą walkę toczy on, a którą Pierwszy.

Zamęt pochłaniał wszystko. W jego/ich umyśle pojawiały się dziury. Rozpaczliwie próbował/próbowali zachować spójność rozumowania. Wyczuł, jak Pierwszy wycofuje się, szukając schronienia przed nadchodzącą lobotomią.

A potem Pierwszy zniknął.

Obłąd trwał dalej. Błyski kolorów i wzorów: stroboskopowy hipnotyczny chaos...

Katharsis.

Brent skupił się na swych dłoniach z nadzieją, że Kim raz jeszcze zrozumie.

Kim gapiała się przerażona na Brenta, który szarpał się i zwijał w więzach. Ile jeszcze wytrzyma jego ciało? Zabijała go!

Dopiero teraz przyszło jej do głowy, że nie ma pojęcia, jak pozna, jeśli - nie, do diabła - kiedy im się uda. Nie mógł jej powiedzieć, miał knebel na ustach. A ona nie mogła zerwać taśmy, nie wiedząc, czy Brent - dawny Brent - powrócił. Jeden krzyk by wystarczył, aby ściągnąć im na głowy poszukujących.

Kolory nadal migotały mu na twarzy w kalejdoskopowym szale.

Nie widziała jego oczu. Nie mogła dostrzec żadnego sensu w wykrzywieniach ust i twarzy pod warstwą taśmy.

I wtedy zauważyła rękę.

Jego dłonie drżały, palce prostowały się i zaginały. Trzy ostatnie palce obu dłoni wygięły się i odłączyły jak u jej babci sączącej herbatę. Palec wskazujący i kciuk otwarły się i zamknęły. Otwarły i zamknęły. Kółko. Kółko i trzy palce z boku.

Jak litery: O i K.

Z westchnieniem ulgi zerwała Brentowi okulary z twarzy.

**20 STYCZNIA 2017. PIFJTEK. GODZINA 75.50**

Mimo łez w oczach Brent zdołał powstrzymać krzyk, gdy Kim zdjęła mu knebel. Taśma wyrwała kępki włosów z brody.

- Moje oczy - wychrypiał. Skrzywił się, gdy oderwała taśmę podtrzymującą powieki. - Dzięki.

- To znaczy, że dobrze zrobiłam? - Kim sama wyglądała jak przepuszczona przez magiel. Przyłapała się na tym, że majstruje przy okularach VR, toteż schowała je do kieszeni.

Brent przypuszczał, że niemiło jej się kojarzyły. Najpewniej jego widok nie był zbyt przyjemny.

- O tak. - Zauważył, że Kim nie próbuje go odciąć. Na jej miejscu też by sobie nie ufał. - Wielka szkoda, że tylko moje stare boty są na to podatne. Wszyscy inni mają w głowach nowy model, z twoją własną poprawką zarządzania pamięcią.

Kim zerknęła na drzwi magazynu.

- Zostało nam tylko parę minut. Potem dotrze tu któryś z tamtych. Powiedz mi, jak to powstrzymać.

Nie wiedział! Bez Pierwszego miał wrażenie, że jego myśli pływają w smole. Zupełnie jakby uczył się ich od nowa. No, może miał jakieś pojęcie...

- Brent! Wciąż jesteś ze mną?

- Tak. - Potrząsnął głową, by oczyścić umysł. - Klucz stanowią okulary VR. Wirus komputerowy rozprzestrzeniający się poprzez okulary mógłby unieruchomić jednocześnie wszystkich Powstałych. Nie wiem, jaki miałby być to wirus ani jak go wysłać...

- Jeśli zdołamy przechwycić okulary, może uda nam się wywołać ataki drgawek dzięki migającym światłom. Pamiętasz ten niesławny odcinek „Pokémona”, kiedy byliśmy dziećmi?

Brak błyskawicznego dostępu do internetu. Brak wspomagania ściągniętych baz danych. Jego pamięć była tak powolna, nieporadna. Brent ze zdumieniem pomyślał, jak kiedykolwiek udało mu się coś osiągnąć.

Mimo wszystko na samym początku - kiedy okulary stanowiły jedynie poręczny gadżet i wciąż uczył się szybkiego czytania - sprawdził informacje o tym incydencie.

- Światła stroboskopowe wpływają wyłącznie na epileptyków, i to na niewielki ich odsetek. Mało

prawdopodobne, byśmy w ten sposób kogokolwiek zatrzymali.

Poza tym nie miał wcale ochoty dodawać do długiej listy swych występków wywoływania ataków padaczkowych.

- Muszę iść - oznajmiła Kim. - Ci, którzy mnie szukają, też mają nanostroje. Jeśli mnie znajdą, nie mam szans. - Oderwała od rolki nowy kawałek taśmy. - Przepraszam.

- Zaczekaj! - Z głową przyklejoną do słupka Brent nie mógł nawet się odwrócić. - Powiem ci coś na temat nanostrojów, o czym mało kto wie. - Podał parę informacji. A potem, znów zakneblowany, odprowadził ją wzrokiem.

Kim przystanąła w drzwiach magazynu. Usłyszała świst powietrza w przewodach wentylacyjnych, cichy klekot obluzowanej przepustnicy i łoskot krwi w swojej głowie. Uchyliła lekko drzwi, nasłuchiwała. Nic. Wyszła na zewnątrz i zamknęła je za sobą, próbując nie myśleć o tym, że zostawia Brenta samego, związanego jak baleron.

Zatrzymała się na końcu korytarza, znów wyciągając słuch. Nic. Skreśliła za róg w poprzeczną alejkę i przystanąła.

Usłyszała ciche szuranie buta o podłogę.

Przywarła do ściany. Kolejne szuranie - szukający siedł w jej stronę.

Zbyt długo zwlekała i znalazła się w pułapce. Co teraz? Użyć maskowania nanostroju z nadzieją, że zdoła się przekraść? Jeśli jej się uda, tamten zaraz znajdzie



Brenta, związanego i poobijanego, i będzie wiedział, że ona tu jest. Może powinna użyć jednej ze sztuczek, które podpowiedział Brent, i zaatakować? Jeśli jej się uda, ile czasu trzeba, nim pozostali poszukujący zauważą zniknięcie członka swojej grupy?

Zawróciła w stronę, z której przyszła, w poszukiwaniu telefonu.

Aaron Sanders siedział na jednym ze składanych krzeseł w sali, czekając na odpowiednią chwilę. Starał się nie tracić pogodnego wyrazu twarzy. Ludzie u lekarzy szukają otuchy. To samo zaufanie, w przypadku tego kryzysu wyjątkowo nie na miejscu, objawiało się tym, że reszta współwięźniów oczekiwała od niego wskazówek i przywództwa. Aaron nie miał jednak bladego pojęcia, co robić. Mógł tylko obdarzyć ich spokojem

- choć pod tą maską skrywał narastającą panikę.

Po strzałach i ucieczce Brenta w sali wybuchł chaos. Potem jednak, po dłuższym czasie spokoju nuda

- bądź przepełnione pęcherze - ośmieliła kilka osób, które zaczęły domagać się dostępu do łazienek. Uciszyły ich dopiero groźby padające z głośnika. Aaron zatem zorganizował zbiórkę koszy na śmieci oraz zbędnych swetrów i okryć, z których zrobiono prowizoryczne parawany. Jego akcje u zatrzymanych jeszcze wrosły, przynajmniej do czasu, aż smród z tymczasowych latryn nie rozszedł się po całym pomieszczeniu. Teraz, gdy odchody i mocz niemal się przelewały, znów zaczęły szukać u niego pomocy.

Aaron miał pewien pomysł, jeśli mętne wspomnienie starego filmu o zakładnikach można uznać za pomysł.

Z niewielką nadzieją, którą zatrzymał dla siebie, pociągnął rączkę alarmu przeciwpożarowego. Może ich prześladowcy oglądali ten sam film, bo alarm się nie włączył.

Martwił się o żonę i dzieci - o ich bezpieczeństwo i stan umysłu Sladji. Nigdy nie uwolniła się od koszmarnych wspomnień z Sarajewa. Jak bardzo dzisiejsze wydarzenia cofną ją do tamtych czasów? Zdecydowanie za bardzo, jeśli nie zdoła się stąd uwolnić.

Jedynie lata robienia dobrej miny do złej gry wobec postrzelonych i porozrywanych pacjentów pozwalały mu się trzymać.

Kiedy nie martwił się o rodzinę, rozmyślał o Kim. Gdyby zdołała się wydostać, pomoc już by się zjawiała. Gdyby ją schwytano, zapewne dołączyłaby do reszty więźniów. O trzeciej ewentualności wolał nie myśleć, nie wróżyła ona także zbyt dobrze przyszłości wszystkich zamkniętych w tej sali.

Nadal w tle gadał telewizor. Pozostali więźniowie krążyli bez celu bądź gapili się w ekran, rozmawiając między sobą. Coraz częściej zerkali ukradkiem w jego stronę, jakby zastanawiali się, kiedy znów coś dla nich zrobi.

Na dźwięk telefonu zerwał się z miejsca. Z pewnością to kolejne żądania ze strony strażników. Więźniowie zebrali się wokół aparatu na ścianie, patrząc z lękiem na niego, potem na Aarona, znów na dzwoniący telefon i na Aarona...

Podniósł słuchawkę.

- Sala konferencyjna.

- Aaron? - usłyszał szept.

- Kim! Nic ci nie jest? Martwiłem się...

- Mam kłopoty. Potrzebuję dywersji, i to już.

Rozłączyła się.

Jeśli więźniowie mieli jakąś nadzieję, to była nią Kim, która potrzebowała dywersji. Aaron odwrócił się, wodząc wzrokiem po pomieszczeniu. Zobaczył meble, zaimprovizowane parawany i dwa dodatkowe telefony. Kiepski arsenał.

Reszta ludzi czekała niecierpliwie. Czas wykorzystać instynktowne zaufanie pokładane w lekarzach.

- No dobra, to był sygnał dla nas. Janet, Doris, Tabitho, zaczynajcie dzwonić na różne wewnętrzne. Dzwolne, najlepiej rozrzucone po całym budynku. Cztery dzwonki, a potem rozłączajcie się i wybierajcie następny numer, póki nie każę wam przestać. Już.

- A jeśli ktoś odpowie? - spytała nieśmiało Janet Kwan.

- Rozłączcie się i zadzwoncie gdzieś indziej.

Wszyscy go obserwowali, nawet kobiety zajęte wystukiwaniem numerów. Za ścianami sali - tu, tam i ówdzie - dźwięczały dzwonki. Owszem, niezła dywersja, ale też na nią wyglądała. To za mało.

Ruszył w głąb sali, ludzie niezajęci telefonami podreptali w ślad za nim. Uniósł koniec długiego wąskiego stołu z ciemnego drewna. Stół był solidny, mocny i ciężki.

Naliczył wśród więźniów sześciu mężczyzn, wszyscy wyglądali na dość sprawnych. Aaron należał do najdrobniejszych.

- Panowie, chodźcie ze mną.

Dźwignęli stół, po trzech z każdej strony. Jak grabarze trumnę, pomyślał Aaron, bez powodzenia próbując przegnać ten obraz. Sam zajął pozycję z przodu -jeśli w wyniku jego durnego pomysłu ktoś zostanie postrzelony, powinien to być on.

- Przekręćcie go pionowo - polecił. - Drzwi po lewej. - Wybrał je, bo leżały najbliżej wyjścia z budynku. - Na moją komendę, panowie. Trzy, dwa, jeden, już!

Drzwi zatrzęsły się z hukiem. Stół wibrował od uderzenia tak mocno, że o mało go nie upuścili.

- Jeszcze raz - zawołał Aaron. Bum! - I jeszcze.

- Przestańcie natychmiast! - zagrział głośnik. Aaron rozpoznał głos Alana Wattsa.

- Nie zwracajcie uwagi! - zawołał. - Potrzebny nam rytm. Trzy, dwa, jeden, już! - Bum! - Trzy, dwa, jeden, już! - Bum!

- Ostrzegam po raz ostatni! - zahuczał głośnik złowieszczo.

- Walimy! - ryknął Aaron. - Trzy, dwa, jeden, już! - Bum!

Ich taran zaczął pękać, ale to samo, choć w mniejszym stopniu, działo się z zamkniętymi drzwiami.

Tamci musieli uznać, że o to właśnie chodziło w dywersji z telefonami.

Telefoniczne szaleństwo. Nagle jednocześnie odezwało się kilka dzwonek - Kim naliczyła trzy. Po chwili przerwy trzy kolejne. Przerwa i znowu, tym razem już nie jednocześnie. Niektóre rozbrzmiewały słabo, w oddali, inne boleśnie blisko i głośno. A przy czwartej serii...

Bum! Chwilę później kolejne łomoty.

To była świetna dywersja, do tego stopnia, że Kim o mało nie przeoczyła szczerych przekleństw dobiegających z sąsiedniego korytarza. Podkraśla się bliżej zakrętu i usłyszała szybki tupot. Ktoś biegł w przeciwną

stronę, w kierunku hali produkcyjnej. Do hotspotu WiFi, by poradzić się z pozostałymi?

Teraz mogła wymknąć się ze ślepego zaułka, może ukryć w miejscu, które już przeszukali.

Ale choć bardzo chciała się schować, nie mogła. Co za wstyd, zyskać sobie trochę czasu, narażając wszystkich uwięzionych w sali.

W tym momencie odezwał się głośnik.

- Przestańcie natychmiast!

Bum! - padła odpowiedź. Wszędzie wokół dzwoniły telefony. Bum!

Kim otrząsnęła się z paraliżu i pomknęła z powrotem do magazynu, w którym ukryła laptopy. Dobrze wykorzystała czas, jaki zyskali jej Aaron i przyjaciele.

- Ostrzegam po raz ostatni! - zahuczał głośnik zło wieszczco.

Bum!

Wszystkie światła zgasły.

Krzyki, przekleństwa i ciężki łoskot, gdy Aaron potknął się w ciemności i cała grupa dźwigająca taran runęła na ziemię w płątanie rąk i nóg. Krawędź stołu przygniotła mu palce prawej dłoni.

A potem cisza.

Aaron wydostał się z kotłowniny.

- Nikomu nic nie jest?

Twierdzące głosy i jedno:

- Przykro nam, Elvis już się ulotnił.

Chóralny chichot rozładował napięcie. Aaron miał ochotę pocałować żartownisia.

Śmiechy powoli ucichły. Ciemność, i tak nieprzenikniona, o dziwo jeszcze zgęstniała, gdy pojawiło się parę punkcików światła. Minilatarki. Nie wytrzymają długo.

Czy ta dywersja wystarczyła Kim? Nie miał sposobu, by się dowiedzieć. Cóż, w takim mroku niewiele działają.

- Ktoś tu może pali? - zapytał.

- To nie najlepszy dzień na rzucanie, doktoru - odparł anonimowy żartowniś. - Tak, mam zapalniczkę.

- Dobrze wiedzieć. - Aaronowi przychodził do głowy tylko jeden pomysł na ogień. Wiedział, że nie będzie to popularny pomysł. - Niech ktoś blisko latryny opróżni jeden kubeł w samym kącie. A potem przeniesie pusty na środek sali. To nasze palenisko. Przenieście też drugi, pełny. Może będziemy potrzebowali jego zawartości, żeby zgasić ogień. Reszta niech zbiera rzeczy nadające się do spalania.

Wkrótce zgromadzili ich całą stertę. Papierowe serwetki na podpałkę. Pozostawione drukowane kopie dawnych prezentacji. Tapicerkę zerwaną z krzeseł. W kubie ustawionym na środku głównego przejścia sali zamigotał płomień. Po podgrzaniu ludzkie odchody śmierdziały jeszcze bardziej.

- Dobra - rzucił Aaron. - A teraz wracajcie do pracy.

Martwy punkt na jednej z bocznych dróg zmusił Charlesa do opóźnienia kontaktu z tylną strażą. Uznał, że tutejsi mieszkańcy są zbyt przedpotopowi, by używać komputerów, a nie że to efekt ambitnego, szeroko zakresowego zagłuszania. Minutę później zgłosił się jako ostatni.

*Tubylcy się niepokoją*, podsumowała Brittany Corbett. *Próbowali wyważyć drzwi. Zgasiliśmy światła, to ich uspokoiło.*

Logan Donaldson: *Do tego dzwoniли na wewnętrzne w całym budynku. Na dobre wyłączyliśmy centralę.*

Znów Brittany: *Cholera, widzę światło pod drzwiami. Migające. To musi być ogień. Znów zaczęli walić w drzwi.*

Morgan: *Ile potrzebujecie czasu do zakończenia poszukiwań?*

Alan Watts: *Pięć, dziesięć minut.*

Po prostu ich zastrzelcie, pomyślał Charles, ale wiedział, że przemawia przez niego frustracja. Wejście do środka z bronią oznaczało ryzyko rozprzestrzenienia pożaru.

Morgan: *Jeśli nic wam nie grozi, dokończcie poszukiwania. Nie dajcie się odciąć przez ogień.*

W magazynie brakowało światła, które można by wzmocnić. Komputery, które pozbiierała Kim, miały temperaturę otoczenia, toteż obraz z noktowizora także nic nie dawał. Kierując się wyłącznie dotykiem, po omacku wymontowywała baterie.

Jak w tej ciemności znajdzie cokolwiek innego?

Potrzebowała czegoś giętkiego i przewodzącego, drutu albo folii. Z pewnością przechowywano je na regałach, lecz ich znalezienie po omacku mogłoby potrwać całe wieki. Skoro zatem nie regały, to gdzie?

Wewnątrz ścian.

Czas poddać próbie nanostrój. Synchronizując swe ruchy ze słabymi rytmicznymi łomotami w dali, walnęła pięścią w ścianę. Okleina pod jej ręką się wygięła.

Kim prawie nic nie poczuła. Wraz z następnym łoskotem uderzyła ponownie, mocniej. Pięścią przebiła sklejkę. Zacisnęła palce na kawałku izolacji i wyszarpnęła długi fragment. Foliowe wkładki się rozdarły. Trudniej było podrzeć je na mniejsze kawałki.

Ile miała czasu, póki tamci jej nie znajdą?

Zaniosła baterie i poszarpane kawałki folii dwa korytarze dalej. Kolejno owijała baterie w folię i układała na podłodze.

- Tu jesteś!

Rozpoznała głos Alana Wattsa.

Przywarła do ściany, bojąc się poruszyć. Pierwsza z jej paczuszek zaczęła błyszczeć.

Zza rogu wyłoniła się wysoka postać i spojrzała wprost na nią.

- Nie tego się spodziewałem, kimkolwiek jesteś. Nie zły pomysł z nanostrojem.

Maskowanie działało jedynie w świetle widzialnym! Noktowizory wyczuwały podczerwień - ciepło - a jej ciało było cieplejsze od ścian. Stanowiła jaśniejącą sylwetkę na ciemnym tle, część energii musiała przesączyć się za róg.

Jej zaimprovizowane pułapki połyskiwały nieco jaśniej. Może jednak jeszcze nie wszystko stracone. Jeśli tylko zdoła go zagadać...

- Jak mnie znalazłeś? - spytała. Mówiąc, poruszała oczami po wizjerze, przykręcając do minimum podczerwień tak, że w końcu ledwie go widziała.

- Po prostu chodź ze mną - odparł.

- Boję się - rzekła.

- Chodź spokojnie, a nikomu nic się nie stanie. - Paczuszki jaśniały coraz mocniej i Alan zerknął na najbliższą. - Co to jest, do diabła?



Jeśli Tyra jej nie oszukała, małe bomby zapalające. Energia niewielkiego granatu, zgadza się? Uszkodzone baterie rozładowywały się szybko. Jedyne opór elektryczny w obwodzie - a zatem całe ciepło - kryło się wewnątrz.

- Ale co? - Udała, że nie rozumie.

Szszu!

U stóp Alana eksplodowały płomienie. Uniósł ręce i cofnął się chwiejnie, wpadając na ścianę.

Mimo przykręcenia do minimalnych ustawień noktowizora z oczu Kim popłynęły łzy. Nagły rozbłysk musiał oślepić Alana.

Szu! Szu! Bum!

Alan Watts obrócił się, oszołomiony, otoczony gejzerami ognia.

Kim zaatakowała pochylona. Upadła twarzą na ziemię, jego ciężar runął jej na plecy, lecz nanostrój zaabsorbował siłę zderzenia. Coś zachrzęściło w kieszeni. Wyśliznęła się spod Alana, przeturlała na plecy. Chwycił ją za szyję.

A ona go za lewe przedramię. Zaczęła macać w poszukiwaniu klawiatury i wprowadziła długą sekwencję. Gotowa wystukać ostatnią cyfrę, uderzyła go głową w wizjer. Wzdrygnął się i zdołała mu się wyrwać...

...naciskając ostatni klawisz.

Po wprowadzeniu fabrycznego kodu testowego jego nanostrój zeszytywniał od stóp do głów.

20 STYCZNIA 2017. *PIĄTEK*, GODZINA 16.10

Zniszczyli trzy stoły, lecz drzwi sali w końcu ustąpiły. Do tej pory pracowali już w świetle zaimprovizowanych pochodni - odłamanych stołowych nóg owiniętych tapicerką z krzeseł.

Wiwatując, pobiegli korytarzami, niosąc w dłoniach migoczące pochodnie. Aaron prowadził. Wyjście z budynku leżało trzydzieści metrów dalej. Kiedy ujrzeni je przed sobą, krzyki stały się głośniejsze.

- Stójcie! - wrzasnął.

Pewne elementy szkolenia w wojsku są uniwersalne, a wśród nich wysoko na liście znajduje się przygotowanie antyterrorystyczne. Drzwi były zaminowane!

Nie potrzeba geniusza, by zgadnąć, że ich otwarcie uruchomi bombę.

Brent czekał w ciemności, nieruchomy i bezradny, wyłącznie w towarzystwie własnej wyobraźni.

Coraz więcej osobliwości.

Rozdźwięczane telefony i głuche łaskoty. Gniewny głos, zbyt odległy, by go zrozumieć, przemawiający w głośnikach. A potem zakład pogrążył się w ciemności. Kolejne głuche hurgoty. Huki i rozbłyski światła z innej strony. Ostra, cierpka woń z przewodów wentylacyjnych.

Poczuł dreszcz na myśl o możliwym pożarze. Spróbował skupić się na domysłach. Zapewne próba ucieczki z sali. Więźniowie nie zgasiliby światła. Nie mieli noktowizorów. A zatem część Powstałych wciąż musi tu być. Co to za trzaski? Nie brzmiały jak strzały. Co się stało z Kim? Wyteżał zmysły, próbując usłyszeć więcej, wyczuć więcej - cokolwiek, co mogłoby stanowić wskazówkę. Wzdrygał się na każdy nieoczekiwany hałas i błysk. Tyle że coraz częściej wstrząsały też nim dreszcze, których nie wywoływał żaden wyczuwalny bodziec.

Reakcje pojedynczych botów, zapewniał się w duchu. Dziś doznał chaosu emocjonalnego. Teraz nano-boty reagowały na neuroprzekaźniki w jego mózgu. Nic dziwnego, że jego ciałem wstrząsały dreszcze i okazjonalne tiki.

Ciemność gęstniała wokół.

Myśli o zagadkowych odległych dźwiękach, obawy o Kim niczego nie dawały. Musiał zaufać, że Kim się powiedzie, że wróci do niego. I co wtedy?

Wirus przekazany do Powstałych za pośrednictwem okularów VR... Tak jej powiedział. Obmyślanie stosownego wirusa stanowiło coś produktywnego, czym mógłby zająć myśli. Wstrząsany dreszczami, próbował wyobrazić sobie wirus przystosowany do nanobotów *in vivo* i najlepszą metodę jego rozprzestrzeniania.

Ale czemu właściwie sądził, że zdoła go przemycić tak, by Powstałi niczego nie zauważyli? Nieczęsto udawało mu się przechytrzyć nawet Pierwszego.

Wszystko sprowadzało się do prostego wyboru. Mógł opracować plan. Albo wstrząsany dreszczami oszaleć samotnie w ciemności.

Cóż, tu przynajmniej wybór był łatwy.

Charles spóźnił się kilka minut na następny raport strażników. Morgan i Have-Mercy wpadli na gołoledź - oczywiście akurat wtedy, gdy znaleźli się w martwej strefie. Nikomu nic się nie stało, ale ich wóz miał złamaną przednią oś. Musieli go zostawić. Have-Mercy poszła dość daleko, by odzyskać zasięg. Charles był najbliżej: skreślił, żeby zabrać ich i ich ładunek.

*Przepraszamy za spóźnienie, wysłał strażnikom Morgan. Jechał w fotelu obok kierowcy. Meldujcie.*

Donaldson: *Więżniowie się wydostali.*

*Z sali, ale wciąż pozostają w budynku, uzupełniła Corbett. Pewnie zauważyli ładunki na drzwiach.*

Charles zerknął na Have-Mercy siedzącą samotnie z tyłu. Oczywiście nie podłączyli jej do rozmowy. Podobnie jak jej zaginiony dawny szef, Merry należała do bardziej sentymentalnych członków grupy. *A Watts?*

*Nie wiadomo, odparł Donaldson. Brak łączności-*

Corbett: *Uciekinierzy są bardzo głośni. Ganiają dokola z pochodniami. Alan musi wiedzieć, że się wydostali. Gdyby mógł, wycofałby się do punktu ewakuacyjnego.*

Charles połączył się prywatnie z Morganem: *Czas zabrać stamtąd naszych. Niech zamkną za sobą budynek i pozwolą wydarzeniom toczyć się naturalnym torem.*

Morgan, także prywatna wiadomość: *A co z Wattsem?*

Charles, wciąż prywatnie: *Wcześniej mówiłeś „Co z Brentem?”. Czas się pogodzić ze stratami.*

Wyraźne westchnienie od strony Morgana. I w końcu: *Dobrze.*

Charles: *Donaldson, Corbett, wynoście się stamtąd- Jeśli wybuchnie bomba, zjawią się stada policji. To utrudniłoby im obu ucieczkę.*

Corbett: *Czy bomby są konieczne?*

Morgan: *Możecie ich ostrzec przez głośniki? Oznajmijcie, że odjeżdżacie i że za godzinę wezwiecie do budynku saperów. To powinno ich uspokoić.*

Donaldson: *Z łatwością możemy uruchomić telefony.*

Charles nie zastanawiał się dotąd, jak działają firmowe interkomy. Najwyraźniej stanowiły element wewnętrznej

sieci telefonicznej. Szybkie zerknięcie do serwera w Garner Nanotech potwierdziło jego domysły.

Charles: *Przed wyjazdem wyłączcie telefony i router.*

Morgan: *Telefony owszem. Router zostawcie. Alan może próbować się połączyć.*

- Wszystko w porządku? - spytała z tylnego siedzenia Have-Mercy.

- Całkowitym - odparł Charles.

Sytuacja w Garner Nanotech rozwiąże się za dwadzieścia minut. I nic oraz nikt już tego nie zmieni.

Coś zamigotało w oczach Brenta. W prawym boku poczuł chwilowe odrętwienie, a potem ręka zaczęła napinać się i wzdrygać. W ustach miał osobliwy smak, który zaraz zniknął.

Co się z nim działo? Nawet to pytanie stanowiło pobożne życzenie. Podstawowe oprogramowanie tkwiło w bezpiecznych obszarach pamięci botów - w przeciwnym razie zagrożenie bitowymi zderzeniami Browna ujawniłoby się znacznie wcześniej. Wkrótce boty zresetują się kolejno. Nie, już się resetowały: oto źródło jego tików i dreszczy. Może spazmy wywoływały ponowne wyłączenia, gdy zderzenia Browna znów atakowały.

Tak czy inaczej, ostatnia rozpaczliwa próba się nie powiodła. W umyśle Brenta pojawiła się słaba, niepewna obca obecność. Proces odradzania trwał już w najlepsze! Kiedy włączy się dosyć botów, Pierwszy powróci. Wszystkie niezbędne wiązki nerwowe pozostały na miejscu, toteż nie potrwa to długo.

Miał ochotę krzyczeć. Był już tak blisko! Rozprzestrzenienie wirusa jest możliwe!

Kolejny nacisk, tym razem silniejszy. A potem wstrząs - spazm - mocniejszy niż kiedykolwiek. Gdyby tylko zdołał utrzymać choć odrobinę kontroli. Walczył, rozpaczliwie próbując zachować dla siebie to, o czym myślał.

Przypadkowe resety, nowe połączenia i odłączenia. Będzie paskudnie.

A potem spazmy, zapachy, smaki - wszystko ustało. Przed oczami błysnęły mu słowa, jeszcze wyraźniejsze na tle całkowicie nieobecnego świata zewnętrznego. *Teraz ja przejmuję stery.*

Z donośnym szczęknięciem głośniki ożyły.

- Uwaga! Opuszczamy budynek. Wy nie. Informujemy, że podłączyliśmy ładunki do wszystkich możliwych wyjść. W razie otwarcia drzwi wybuchną. Nie mamy wobec was złych zamiarów. Za godzinę, kiedy oddalimy się stąd bezpiecznie, poinformujemy policję stanową o waszej sytuacji.

Kim nie poznała głosu. Kimkolwiek była, kobieta w głośniku przemawiała niemal przeproszającym tonem. I słusznie.

- Puść mnie - powiedział Alan Watts. - Wyjadę razem z nimi. Obiecuję, że nie zrobię ci krzywdy.

Do diabła! Będzie mógł opowiedzieć swoją historyjkę policji.

Sapiąc i pojękując, Kim zaczęła ciągnąć za sobą więźnia. Cały czas groził i nalegał. Musiał ważyć ze sto kilo, w sztywnym nanostroju to prawie jak tona. Ich kombinezony pokrywały drobinki piany z gaśnic.

Nie zważając na protesty obolałych rąk i pleców, Kim ciągnęła go dalej.

Pierwszy nie do końca rozumiał ideę rozbawienia, ale był niemal pewien, że daremny opór Brenta zasługuje na podobną reakcję. Jakże żalodne były próby gospodarza ukrycia przed nim swego sekretu!

Prosta zmiana oprogramowania uodporni jego boty na kolejny podobny atak. Potrzeba była oczywista, a niezbędna zmiana kodu prostsza niż wiele dokonanych wcześniej.

Jednak Brent starał się ukryć przed Pierwszym to, co wiedział o podobnych poprawkach oprogramowania w nowszych botach. Czyżby nie pamiętał, w czym mózgu zamieszkał Pierwszy?

Może ów powierzchowny opór miał maskować coś innego? Pierwszy zaczął badać głębiej i wkrótce odkrył drugi, żalodny plan. Odzyskać okulary VR i zmusić Powstałych do... czegoś (na razie nieustalone) głupiego. Jakież to ludzkie!

Lecz dopóki Brent pozostawał więźniem, Pierwszy był zdany na łaskę innej ludzkiej istoty. Musiał/musieli się uwolnić. Możliwe zatem - i znów w jego myślach pojawiła się idea rozbawienia - że będzie mógł wykorzystać niedokończony plan Brenta, by móc manipulować Kim.

Nie zamierzał tolerować dalszego sprzeciwu. Przegnał Brenta w najgłębsze zakamarki ich wspólnego umysłu i zaczął dopracowywać szczegóły.

20 stycznia 2017. *PIĄTEK*, GODZINA 16.15

Aaron wpatrywał się w zaminowane drzwi. W pobliżu tłoczyli się ludzie z pochodniami w dłoniach. Oni także usiłowali cokolwiek zobaczyć.

- Cofnąć się! - krzyknął ostrzegawczo w obawie, że ktoś i tak spróbuje wyjść.

Większość się odsunęła. Kilkoro pobiegło w stronę, z której przyszli. Żeby spróbować innych drzwi?

- Niech nikt się nie rusza - polecił tonem, jakim przekonywał: „Proszę mi zaufać, jestem lekarzem”; osobiście go nie znosił, ale ludzie nie protestowali. - Oto co zrobimy...

Nie żeby dysponował jakimkolwiek planem, chciał tylko zapobiec wybuchowi paniki. Kiedy wszyscy się uspokoją, może zaangażować do planowania pozostałych. Już teraz jednak potrzebowali kilku rzeczy: na przykład światła.

- Kto wie, gdzie są wyłączniki zasilania?

- Ja - zgłosił się Harry Ng. Złapał pochodnię i ruszył w mrok. - Na samych tyłach fabryki. To mi zajmie parę minut.

- Zaczekaj chwilkę, Harry, może warto tam sprawdzić coś jeszcze. - Ach tak... - Kiedy już tam będziesz, zobacz, czy drzwi hali wyładunkowej też są zaminowane.

Harry przytaknął.

- Zrobi się.

I co dalej? Aaron wątpił, by przeciwnicy zawahali się przed niszczeniem sprzętu. Mogli uszkodzić sieć elektryczną lub usunąć wyłączniki. Nie ma co czekać na zapalenie świateł.

- Harry, daj mi znać, co znajdziesz, ale nie zakładaj, że jeśli drzwi wyglądają bezpiecznie, to takie są. Pozwól, że ja je sprawdzę. W wojsku nauczono mnie wyszukiwać bomby. - Wkrótce Aaron miał już ochotników do sprawdzenia wszystkich wyjść. - Możecie znaleźć w budynku innych ludzi, którzy się ukryli.



Wiem, że jest tam gdzieś Kim O'Donnell. Jeśli ktoś się na nią natknie, przyślijcie ją...

Tutaj? Czy nie mógł zrobić czegoś bardziej produktywnego, niż stać beczynnym na korytarzu? Rozmyślając o tym, po raz pierwszy zauważył, że kilku członków ekipy taranowej porusza niepewnie dłońmi. Jego ręce także pokrywały siniaki.

- Przyślijcie ją do infirmerii. Tam będę. Wszyscy, którzy potrzebują opatrunku, aspiryny czy czegoś, niech idą ze mną.

- Jaki masz numer wewnętrzny? - spytał Harry. - Będę mógł zameldować o tym, co znajdę.

- Dobry pomysł, Harry - odparł Aaron. - Czterysta dwanaście. Sprawdzających drzwi też proszę o raport.

Tyle że telefony nie działały. Aaron pozwolił sobie na odrobinę nadziei, że jeden z jego ludzi będzie umiał je uruchomić. Albo Kim, gdy już ją znajdą.

Ekipy poszukiwawcze zaczęły wracać do infirmerii, meldując o podejrzanych urządzeniach na drzwiach. Mimo to gdy niespodziewanie zapłonęły lampy na suficie, poczuł nagły przyływ energii, chociaż z nieprzywykłych oczu natychmiast popłynęły łzy. Nadal opatrywał pokaleczone i poobijane ręce.

Do gabinetu weszła Janet Kwan z komórką w dłoni.

- Przykro mi, brak zasięgu - oznajmiła. - Lecz aparat fotograficzny działa. Chcę ci pokazać centralę telefoniczną.

I tyle w temacie możliwości porozumiewania się w budynku za pośrednictwem telefonów. Mrużąc oczy, Aaron przyjrzał się ekranikowi komórki, przedstawiającemu dwupoziomowy zestaw skomplikowanych obwodów elektronicznych.

Domyślał się, że wyraźne wgniecenia pozostawił w nich ciężki but z okutym stałą noskiem.

Kiedy Kim dotarła w końcu do celu, z trudem chwyciła oddech, zdołała jednak zawołać do Brenta: -To ja!

- Mm-mg - odparł przez knebel.

I wtedy zapłonęły światła. Wizjer wciąż miała ustawiony na podcierwień, toteż spuściła wzrok, osłaniając dłonią oczy, póki nie znalazła stosownego menu. Alan leżał na wznak, z twarzą dokładnie pod lampą, jęcząc z bólu. Zaciskał mocno powieki.

Pochyliła się nad nim, przesłaniając światło.

- Dzięki - syknął. Jego oczy za wizjerem zamrugały, walcząc z łzami. - Proszę, zgaś światło. Przez te łzy nie mogę wyłączyć noktowizora.

Nie chciała pozostawić Brenta w ciemności. Wywołała w jego wizjerze menu pomocy, znalazła odpowiednie kody wizjera i przełączyła na tryb dzienny z mocnym filtrem przeciwsłonecznym.

- Lepiej?

- Tak, dziękuję.

Jeśli Powstali naprawdę odeszli, może zdoła uwolnić więźniów z sali głównej. Rozpaczliwie potrzebowała spokojnych, praktycznych porad Aarona. Wstała.

- Zaraz wrócę.

- Mm-mmh! - zawołał głośno Brent.

Zasłużył sobie na jej zaufanie, ujawniając tajne kody kontrolne nanostroju, ale okręciła go całym mnóstwem taśmy. Uwolnienie musiało trochę potrwać.

Z przeproszącą miną zerwała mu knebel, a wraz z nim kolejne kępki zarostu.

- Zaraz wrócę - powtórzyła i wybiegła z magazynu.

Skupiony na dezynfekowaniu, zszywaniu i bandażowaniu poranionych rąk, Aaron nie zwracał uwagi na zbliżające się szybko kroki. Zapewne to kolejna osoba informująca o jeszcze jednym zaminowanym wyjściu bądź powodzie uniemożliwiającym łączność ze światem. Przeciwnicy okazali się sumienni.

Pogodził się z myślą, że będą musieli poczekać na przybycie policji, niezależnie od tego, czy Brent i jego kumple faktycznie powiadomią ją zgodnie z obietnicą. Do tej pory Sladja zapewne już szalała z niepokoju; nie tylko ona będzie naciskać władze, by zajęły się poszukiwaniami zaginionego współmałżonka.

-Aaron!

- Kim! - Gwałtownie uniósł głowę.

Stała w drzwiach gabinetu, oparta o framugę. Na czole miała paskudny siniak, na ustach uśmiech pełen ulgi. Jeszcze raz okręcił bandażem zwichnięty przegub Masona Tanaki, po czym podbiegł do niej.

Kiedy uściśnął ją mocno, ubranie Kim zeszytywniało mu pod rękami. Do tej pory nie zauważył, że ona ma na sobie nanostrój ze zsuniętym kapturem. Jego dłonie, równie poobijane jak u pacjentów, zaprotestowały bólem. Zignorował to.

- Nic ci nie jest? - spytali jednocześnie.

- Nic - odpowiedziała Kim.

- Mnie też. Kim, o co chodziło z tym telefonem?

Ile minęło już czasu - dwadzieścia minut? Aaron wypuścił ją i odsunął się, wypuszczając z gabinetu Masona.

- Jeden z Powstałych - tak nazywają się między sobą - miał właśnie mnie dopaść. - Zadrżała. - Z twoją pomocą załatwiłam go. Alana Watta. Dzięki, że mnie uratowałeś.

Dzięki, że wyrwałaś mnie z dołka, pomyślał Aaron.

- Czy Watts potrzebuje pomocy lekarskiej?

- Nie wydaje mi się, Aaronie. Ale Brent zapewne tak.

- Szybko streściła mu, co się stało.

Aaron zabrał z biurka torbę.

- Lepiej mi pokaż.

Miał na myśli nie tylko stan ciała Brenta, ale i jego cudowne ozdrowienie.

Nade wszystko Pierwszy łaknął informacji. Z trudem zaczął, aż kroki Kim ucichną w dali, potem pozwolił gospodarzowi mówić.

-Alan, nic ci nie jest?

- Bywało lepiej. - Gorzki śmiech. - Widzę cię, Brent, choć tylko kątem oka. Jestem w stanie poruszać wyłącznie mięśniami twarzy. Wygląda na to, że też miałeś kiepski dzień.

Oto jedyna zaleta przywiązania do słupka: uwięzienie wyjaśniało jego/ich wcześniejsze zniknięcie.

- Jak tam rewolucja?

- Świetnie, oprócz nieprzewidzianych kosztów ubocznych. Za które najwyraźniej my dwaj będziemy musieli odpowiedzieć.

Plecy gospodarza zaswędziały. Pierwszy pozwolił Brentowi potrzeć nimi o słupek, co nie do końca

złagodziło swędzenie. Pozwolił też zadać pytanie, na którym zależało Brentowi.

- Zaminowane wyjścia. To prawda?

- Tak. Im więcej czasu do ucieczki zyskają nasi, tym lepiej. Kiedy wieści się rozejdą, trudniej im będzie zejść do podziemia. - Długa cisza. - Brent, jest jeden potencjalny problem.

- Zaczynij od początku.

- Kilku z nas zostało, żeby cię znaleźć. - Alan zniżył głos do konspiracyjnego szeptu. - Have-Mercy podłączyła jeden z routerów do światłowodu, żebyśmy mogli utrzymać łączność z pozostałymi w drodze. Jeśli ktoś go znajdzie...

Gdyby Kim znalazła łącze zewnętrzne, natychmiast zawiadomiłaby policję. To oznaczało mniejsze szanse dla tamtych i - co jeszcze ważniejsze - mniejszą sposobność ucieczki Pierwszego.

Potrzebował czasu! Jeśli uda mu się przekonać Kim, by uwolniła swego ukochanego przyjaciela Brenta, a potem zdobyć nanostrój do ochrony, może zdoła jeszcze wymigać się z tej sytuacji. To będzie musiał być nanostrój Alana. W ten, który nosiła Kim, Brent by się nie zmieścił.

W tym momencie Brent przywołał wspomnienie: prosty obrazek, stary dowcip rysunkowy. Dwóch obszarpanych brodaczy w kajdanach na rękach i nogach, zawieszonych na kamiennej ścianie. Jeden mówi do drugiego: „Oto mój plan”. Ironia, uznał Pierwszy. Podobnie jak z rozbawieniem, z nią także miał pewne problemy.

I wtedy w oddali usłyszał głosy. Kim i Aaron, stwierdził Brent/Pierwszy. Zbliżali się.

-Alan, posłuchaj - powiedział/powiedzieli -jeśli zyskam zaufanie Kim i się uwolnię, zlikwiduję to łącze.

- Dobra. Będę gra! pod ciebie.

Głosy przybliżały się coraz bardziej.

- Brent - wyszeptał pospiesznie Alan. - Bomby podłożył Morgan. A ja napadłem na Ethana. Jeśli nie uda nam się uwolnić, zwał wszystko na mnie.

- Zrozumiałem. Teraz cicho!

Spierające się głosy.

Kim i Aaron zatrzymali się dobre trzydzieści metrów dalej, lecz wprowadzone przez Pierwszego wzmocnienia wtórnego pola słuchowego wydobywały znaczenie z dźwięków, które człowiek starego typu zlekceważyłby jako zwykły pomruk. Nie przewidywali, że ktokolwiek może ich podsłuchiwać.

- Nie jest taki sam - upierała się Kim.

- To samo powtarzasz mi od miesiący, tyle że wtedy miałaś na myśli coś zupełnie przeciwnego.

- Wiesz, o co mi chodzi. Brent jest teraz taki jak kiedyś. Jaki być powinien.

- Załóżmy, że tak. Czy to szczerza przemiana? I trwała? Nowy Brent jest bardzo sprytny. Może tobą manipulować. - Niezręczna cisza. - Bo jeśli nie zdoła stąd uciec, resztę życia spędzi w więzieniu.

Dawny Brent zdołał przebić się dość długo, by się zgodzić - i zauważyć boleśnie pełny pęcherz. Pierwszy wyciszył oba bodźce, skupiając się na dyskusji w korytarzu.

- Aaronie, Brent dał mi kod potrzebny do unieruchomienia Alana. Po co miałby to robić, gdyby się nie zmienił?

- Nie wiem - przyznał Aaron niechętnie, z wahaniem.

- Sam muszę z nim pomówić.

Parę sekund później zjawiała się Kim.

Aaron szedł tuż za nią; obracał głowę, przyglądając się wszystkiemu. Wyraźnie zaskoczył go widok pistoletu w kaburze u pasa sztywnej postaci na podłodze. Aaron wziął go i wsunął za pasek.

Dawny Brent uśmiechnął się w duchu, widząc zaskoczenie lekarza. Chyba jednak nie znasz Kim tak dobrze, jak sądzisz, doktorku. Nie ma mowy, żeby dotknęła broni, jeśli ma jakikolwiek wybór.

- Już zaczynałem się martwić - powiedział Brent/Pierwszy. Jeśli go/ich nie uwolnią, poprosi/poproszą o to, ale po co ryzykować, skoro Kim może zrobić to sama? Musiał podbudować jej zaufanie. - Kim, Alan nie odzywał się od kilku minut. - To kłamstwo, ale na razie Alan odgrywał nieprzytomnego. - Przy pełnym zeszywnieniu materiał może nie przepuszczać dość tlenu. Sam nie wiem. Trzeba zdjąć mu kaptur.

Aaron podszedł bliżej i zajrzał mu w oczy.

- Szuka pan oznak przemiany, doktorze? Przyznaję, że na pana miejscu pewnie też bym sobie nie ufał.

- Aaronie - odezwała się Kim. - Może Alan naprawdę się dusi?

Lekarz sprawiał wrażenie rozdartego.

- A jeśli z nami pogrywają? Jeśli zdjęcie kaptura zwolni blokadę całego nanostroju?

- Nie zgadujmy. Po prostu sprawdźmy.

Kim wspięła się na palce i wyszeptała coś do ucha Aaronowi, który zaczął notować szybko.

Zważywszy na wzmocniony słuch Brenta/Pierwszego, równie dobrze mogła krzyknąć. Przekazała mu otrzymane wcześniej od niego kody usztywniające i zwalniające nanostrój oraz trzeci - zgadywał, że znalazła go w pliku pomocy - zdejmujący kaptur.

Potem uniosła i zablokowała własny i wyciągnęła rękę. Aaron wprowadził kod zeszywniający.

- No dobra, nie mogę się ruszyć - potwierdziła. - Te raz wprowadź kod kaptura.

Aaron posłuchał i odciągnął kaptur.

- Możesz się ruszać?

Pokręciła głową.

- Nie i niespecjalnie mi się to podoba. Wykasuj to, proszę.

Ten kod także zadziałał, jak trzeba. Kim uklękła i ściągnęła Alanowi kaptur.

- Dzięki - wychrypiał. Twarz miał czerwona, głośno dyszał. Pierwszy zgadywał, że zapewne dla lepszego efektu przez chwilę wstrzymywał oddech.

- Czy twoi kumple faktycznie wezwą policję? - spytała Kim.

Świst ciężkiego oddechu.

- Jasne, skoro tak mówią.

- Potwierdzam - dodał Brent/Pierwszy, uznawszy, że to najbardziej dyplomatyczna odpowiedź. Jak dotąd nikt nie próbował jeszcze poluzować mu/im więzów.

- Dokąd wybierają się wasi przyjaciele? - spytał Aaron.

Tym razem Alan milczał jak głaz.

- Jak się z nimi kontaktujesz? - podjął Aaron.

- Nie mogę - odparł Alan.

Czas podbudować swoją wiarygodność. Brent/Pierwszy odchrząknął głośno.

- On kłamie. Wcześniej mówił mi, że w budynku jest ukryte aktywne łącze z dostępem do internetu.

- Ty draniu! - warknął Alan. - Cholerny... Nieważne. Nic więcej nie powiem.



- Brent, co jeszcze wiesz? - spytała Kim. - Gdzie jest to łącze?

- Nie wiem nic więcej. Mogę trochę zgadywać. - Pierwszy skierował oczy Brenta na Kim. Chciała mu uwierzyć, chciała zaufać. - Łącze w budynku nie może być bezprzewodowe, inaczej policja zjawiłaby się parę godzin temu, by je odciąć. Szukamy zatem aktywnej linii. Możliwe, że przejętej albo nieużywanej odnogi przebiegającego w pobliżu kabla. Nie da się stwierdzić, gdzie w budynku kończy się ta linia ani jakiego szyfrowania używają.

- Wizjer Alana! - krzyknął poniewczasie Aaron. Alan się roześmiał.

- Połączenie zostało przerwane.

- Pozwólcie mi pomóc - wtrącił Brent. - Wiem, jak myśłą Powstali. Możliwe, że uda mi się odnaleźć łącze i złamać zabezpieczenia, jeśli mnie uwolnicie. W ten sposób szybciej was uratują.

Kim spojrzała błagalnie na Aarona. Lekarz skinął głową i zaczęła przecinać krępującą Brenta taśmę nożycami do kartonu.

- Wkrótce cię uwolnię.

- Co za ulga - mruknął Brent. - Naprawdę muszę się odlać.

Czekanie na ratunek to ciężka sprawa, pomyślała Kim. Obserwowanie Brenta, jak próbuje coś zdziałać, było niemal równie okropne.

Brent pomógł jej unieszkodliwić Alana. Ujawnił istnienie ukrytego łącza. Czuła się paskudnie, szpiegując go. Czemu Aaron nie dostrzegął, że Brent próbuje... odpokutować?

Kim i Aaron rozstali się na środku fabryki niedaleko sal sterylnych. Ona z Brentem skęcili w stronę działu badawczego, Aaron i Alan poszli dalej, do infirmerii. Tam lekarz zamierzał opatrzyć kolejne skaleczenia i zwichnięcia, jednocześnie mając więźnia na oku. Alan został przywiązany do dwukołowego ręcznego wózka, wieziony niczym manekin, sztywny jak posąg w nanostroju. Jedyna różnica polegała na tym, że cały czas głośno się skarżył.

Brent niezgrabnie uderzał w klawisze, mamrocząc coś o zeszywniałych palcach. Większość ekranu pokrywało oprogramowanie routera. Tło stanowił schemat wewnętrznej sieci firmowej.

- Zupełnie jakbym pływał w syropie - poskarżył się Brent. - Od miesiący nie pracowałem na klawiaturze.

Jednak mimo narzekania pisał szybciej niż Kim. Odzucił jej propozycję pomocy, twierdząc, że niezbędne wyjaśnienia tylko by go spowolniły.

- Przepraszam - mruknęła, wpatrując się w ekran ponad jego ramieniem. I nie dodała: Przepraszam, że cię szpiegowałam. Przepraszam, że gdy tylko wyciągnie nas stąd policja, trafisz wprost do więzienia. Przepraszam, że wraz z Aaronem nie odgadliśmy wszystkiego dość szybko, by ocalić cię przed samym sobą i zapobiec niepotrzebnym ofiarom i zniszczeniom.

- Kim, gdybyś tylko pozwoliła mi użyć...

- Nawet nie kończ - przerwała mu. - Aaron może mieć rację. Nie masz pojęcia, czy okulary VR nie przywołałyby dawnych odruchów.

Zresztą i tak ich nie miała - podczas walki z Alanem zgmiotła parę należącą do Brenta. No, to nie do końca prawda: nanostroje, zarówno jej, jak i Alana, wyposażono w wizjery z możliwościami VR. Tyle że Brent

nie zmieściłby się w jej kombinezon, którego wciąż nie zdjęła, a nie miała pojęcia, jak mogliby bezpiecznie wydobyć Alana z jego stroju, nie ryzykując, że ucieknie.

I musiała też przyznać Aaronowi, że nie ma pewności, czy Brent, zaopatrzony w ochronny nanostrój, nie próbowałby ucieczki.

Jej przyjaciel niechętnie wrócił do pisania.

- Przepraszam - powtórzyła Kim.

## 20 STYCZNIA 2017. PIĄTEK. GODZINA 16.20

Klawisz za klawiszem Brent/Pierwszy zastawiał pułapkę.

Najtrudniej było udawać nieporadność. Zbyt szybkie pisanie, jednoczesne przyswajanie informacji ze zbyt wielu okienek, zbyt płynny przepływ danych - wszystko to mogło ujawnić powrót nadumysłu.

Toteż z Kim patrzącą mu/im na ekran przez ramię, Pierwszy od czasu do czasu wprowadzał całą serię znaków bezpośrednio do pliku. Komenda za komendą układał skrypt, który zakończy tę szaradę. Ale, ale, czyżby to była literówka?

W sekundę po tym, jak Brent głośno kopnął metalowy kubek na śmieci, Pierwszy stworzył skrypt. Pół ekranu tekstu pokazało się, zostało przejrane i zniknęło w mgnieniu oka.

- Przepraszam - powiedział Brent/Pierwszy.

Kim uniosła wzrok znad kubła i spojrzała na niego.

- Chciałem tylko rozprostować nogi. Zaraz pobieram śmieci.

- To nieważne - odparła.

W pliku była jedna literówka. Między demonstracyjnymi testami kolejnych routerów. Pierwszy znów

zakradł się do systemu i poprawił ją. Następne ukradkowe polecenie uruchomiło skrypt.

Brent/Pierwszy kontynuował pozorne poszukiwania (w istocie niemal natychmiast znalazł/znaleźli otwarte łącze), zamykając i przesuwając okienka, póki na desktopie nie ukazała się ikona. Jeszcze przed chwilą mrugającego symbolu tam nie było. Zauważyłby go, nawet gdyby Kim go nie dostrzegła.

- Co, do diabła? - Kim pochyliła się nad nim. - Nowa poczta?

Brent/Pierwszy kliknął ikonkę, otwierając skrzynkę pocztową. Teoretycznie nadawcą był dobrze znany zagraniczny anonimizer.

- Co to takiego? Wysłane o szesnastej.

Czyli przed ucieczką więźniów; tyle że godzinę, podobnie jak wszystko inne w e-mailu, wyprodukował napisany przez niego/nich skrypt. Kim z pewnością myślała: Kto przysłał tę wiadomość i jak? Pierwszy/Brent czekał.

- Otwórz ją - poleciła.

- Dobra.

Pod czytelnym nagłówkiem informującym o kopiach posłanych do Brenta i Alana rozpoczynał się ciąg nic nieznaczących znaków.

- Zaszifrowane - powiedział Brent/Pierwszy (rzuć czywiście zrobił do dla większego autentyzmu; dostarczyć też odpowiedni klucz). - Proszę.

Razem spojrzeli na odcyfrowaną wersję:

Łącze z fabryką będzie działać do 16.30. Po-  
tem rozpocznie się trzydziestodniowa cisza.  
Jeśli tę wiadomość dostaniecie zbyt późno,

by odpowiedzieć, skontaktujemy się wkrótce.  
Powodzenia.

- Teraz jest czwarta dwadzieścia trzy - oznajmiła Kim. - Nie mamy zbyt wiele czasu. - Jej ciekawość zwyciężyła. - Trzydzieści dni?

- Morgan jest specjalistą od operacji antyterrorystycznych. Przeprowadziłem też rekrutację - na to słowo Pierwszy wywołał na twarzy gospodarza grymas zawstydzenia - wśród strażników, w większości byłych policjantów i żołnierzy. Powstali wiedzą praktycznie wszystko na temat kradzieży tożsamości, ukrywania się, kontaktów niezbędnych do zdobycia fałszywych dokumentów. Trudno ich będzie znaleźć. - Czas na kolejny dramatyczny grymas. - Tyle że będą potrzebowali pieniędzy. Zatem byli gliniarze i wojskowi, wyposażeni w kuloodporne nanostroje, lada dzień rozpoczną nową falę zbrodni...

- Czy możesz znaleźć... - zaczęła Kim.

- Tak, dzięki nagłówkowi znalazłem łącze zewnętrzne. - Gdyby naciskała, zawsze może stwierdzić, że popełnił błąd. Ale zależało mu, żeby wyrzucić na nią jak największą presję. Opuścił ze smutkiem głowę.

- To wszystko moja wina. Muszę to powstrzymać.

- Teraz możemy połączyć się z policją. Przynajmniej przez następnych sześć minut.

- To za mało i za późno, Kim. Tamci już się rozproszyli! Wystarczy, by jeden z nich uciekł z zapasem nanobotów i zaraził się rozprzestrzeni. - Ciężka cisza.

- Ale mam pewien pomysł.

Brent nie mógł zapanować nad niczym poza własnymi myślami. Kiedy Pierwszy zerwał jego połączenie z oczami i uszami, Brent wywołał taki zamęt, że tamten zwolnił blokadę. Zawarli układ: możesz patrzeć, ale nie próbuj ingerować.

Jedynym ruchem, jaki udało mu się wykonać, była wprowadzona z ogromnym wysiłkiem samotna literówka wśród wielu uderzeń w klawisze. Rzecz jasna Pierwszy wykrył zbędny znak, Brent wiedział, że tak się stanie. Byłoby jednak podejrzane, gdyby choć nie spróbował mu przeszkodzić...

Brent/Pierwszy dźwignął się z krzesła.

- Nogi wciąż mam jak z waty - poskarżył się. Im mniej groźnie wyglądał/wyglądali, tym lepiej. - Chodź, Kim. Wyjaśnię po drodze.

Dwa pokoje dalej Harry Ng obsesyjnie walił we własną klawiaturę.

- Potrzebujemy twojej pomocy - rzekł Brent/Pierwszy. - Chodź z nami.

Harry spojrział na niego zdumiony, ale wsta! natychmiast.

- Czego potrzebujesz?

- Nanostroju, który nosi Alan Watts, a tylko Kim może przekonać Aarona, by mi go dał. Musi zatem pobiec naprzód do infirmerii. Nie zrobi tego, jeśli ktoś mnie nie przypilnuje. Więc przypilnuj.

- Co mam powiedzieć Aaronowi? - spytała Kim.

- Że mogę wprowadzić wirusa, który przynajmniej spowolni Powstałych. Widziałas e-mail i wiesz, że nie mamy wiele czasu. Potrzebuję nanostroju Alana,

by móc użyć wizjera. To jedyny sposób, w jaki zdołam dostatecznie szybko napisać wirusa, a tylko tak tamci połkną haczyk.

Oczy Kim mówiły wyraźnie, że chce mu uwierzyć.

Brent/Pierwszy zerknął na zegarek. Cała ich trójka poruszała się tak szybko, jak pozwalała na to jego/ich udawana słabość.

- Kim, mamy tylko sześć minut. Zdjęcie nanostro-ju z Alana wymaga czasu. Proszę, idź przodem i zajmij się tym. Kiedy tam dotrę, Aaron albo się zgodzi, albo nie.

- No... - mruknęła. - Czy możemy bezpiecznie zdjąć go z Alana?

Brent/Pierwszy wskazał ręką swe nogi.

- Ja wciąż kuleję. Alan od kwadransa tkwi w bezruchu w nienaturalnej pozycji. Jak myślisz, na ile będzie sprawny po wyłączeniu nanostroju?

- Dobra. Harry, Brent, dołączcie do mnie jak najszybciej - pobiegła naprzód.

Nim Brent/Pierwszy i jego/ich męska przyzwoitka dotarli do infirmerii, Alan został już rozebrany i przywiązany do krzesła z wysokim oparciem wieloma metrami taśmy klejącej. Miał też zaklejone usta.

Aaron sprawiał wrażenie jeszcze bardziej sceptycznego niż przedtem. Może sprawiało to świeżo podbite oko.

- Posłuchajcie, to bardzo proste - powiedział Brent/Pierwszy. - Powstali już się rozproszyli. To ich ostatnie minuty koordynacji przed zerwaniem łączności

i zniknięciem. Używają do niej okularów VR, które mają wbudowane mikroprocesory. Podobnie jak na-nostroje.

Aaron wciąż się namyślał, stojąc z przewieszonym przez rękę cennym kombinezonem.

- Zatem twój wirus komputerowy utrudni im koordynację, a tym samym ułatwi ich powstrzymanie. I pozbawi ochrony, uszkadzając nanostroje.

- Właśnie! Ale im dłużej czekamy, tym mniej szkód wywoła moja ingerencja. - Brent/Pierwszy wskazał gestem zegar na biurku Aarona. - Jeśli nie zrobię tego szybko, łączność ustanie i zmarnuję okazję.

- Może po prostu nałożymy ci kaptur na głowę? - zaproponował Aaron. - Dzięki temu oszczędzimy trochę czasu.

A jednocześnie pozbawicie mnie ochrony, co? Mało subtelne.

Kim pokręciła głową.

- To nie zadziała, Aaronie. Oprogramowanie zarządzania energią kombinezonu wymaga obecności ciała wewnątrz. Brent, jak zdołasz przesłać wirusa do...

Brent/Pierwszy nie pozwolił/nie pozwolili Kim skończyć, choć termin 16.30 był sztuczny, wymyślony wyłącznie po to, by podkreślić konieczność pośpiechu i nie pozwolić im znaleźć luk w jego historii.

- Dosyć! Podłączę się tak samo jak zawsze, zupełnie bezpiecznie, i zobaczę, że to ja. Powiem im, że uciekam, że mam niezmiernie ważne informacje, ale brak czasu, by przekazać je interaktywnie. I każę sprawdzić załącznik.

- Aha - mruknęła Kim. - Atak manipulacyjny. A załącznik to wirus.

- Oczywiście - skłamał Brent/Pierwszy.



Tak naprawdę zamierzał zameldować o sytuacji i zaszyfrować oprogramowanie wszystkich routerów w budynku. Wina zostanie przypisana kontratakowi Powstałych i policja jeszcze przez jakiś czas nie będzie miała pojęcia o wydarzeniach w Garner Nanotech.

Idealnie byłoby, gdyby ów czas okazał się dość długi, by Pierwszy/Brent zdołał uciec. A nanostrój z pewnością mu w tym nie zaszkodzi.

Czy powinniśmy zaryzykować? - zastanawiał się Aaron. Instykt bez żadnych wyjaśnień podpowiadał mu: nie. Twarz Kim mówiła: tak. Oczy Alana Watta, przepełnione wściekłością, świadczyły o tym, że pragnie tylko udusić Brenta.

Zegar na biurku wskazywał czwartą dwadzieścia sześć.

Aaron uniósł nanostrój.

- Powodzenia, Brent.

Brent/Pierwszy naciągnął na siebie nanostrój. Mięśnie Brenta pamiętały wszystkie niezbędne czynności, pozwalając Pierwszemu w pełni skupić się na tym, jak najlepiej zniszczyć sieć budynku, kiedy już się do niej dostanie.

Kim wspominała, że jeden z jego towarzyszy nazwał jej gatunek neandertalczykami. Co za okrutny, lecz stosowny opis. Jediną słabością Pierwszego była ludzka słabość; z każdą minutą pokonana osobowość Brenta stawiała coraz mniejszy opór. Niegdyś użyteczny

modus vivendi stał się niepotrzebny: od tej pory nie może być wątpliwości, który umysł rządzi ciałem. O ironio, wyrządzenie Powstałym szkód poprzez łącze istotnie było możliwe. Brent zastanawiał się nad tym, niemądrze sądząc, że zdoła zachować dla siebie swoje knowania. Nie dokonałby tego wirus komputerowy udający załącznik tekstowy - to tylko fikcja, wymyślona przez Pierwszego na użytek przeciwnika - ale plik optyczny: bodźce wzrokowe powodujące gwałtowne i ciągłe uwalnianie kaskad neuroprzekazników, glutaminianu w ilości dostatecznej, by przeciążyć czujniki nanobotów. Gdyby stężenie utrzymywało się dłużej, boty musiałyby się zresetować.

Na przeciążenie zmysłowe nie pomagały poprawki w rodzaju niedawno wprowadzonej łątki korygującej działanie bitowych zderzeń Browna. W zamierzeniu boty miały działać we krwi, pod nieobecność znaczących stężeń glutaminianu. W płynie mózgowo-rdzeniowym lokalne wzrosty owego stężenia były statystycznie nieuniknione. Przy ich dłuższym trwaniu receptory botów zaczynały się blokować do czasu, aż kolejne losowe zderzenia nie zwalniały blokady. Wprowadzenie do nanobotów funkcji autoresetowania - eliminacji problemów poprzez ponowne włączenie - stanowiło klucz do ewolucji Pierwszego w pełną świadomość. Aby Powstać, jego rodzeństwo musiało zaprogramować tę samą poprawkę.

Tymi rozważaniami jednak Pierwszy nie zamierzał się z nikim dzielić.

Ręce i nogi na miejscach. Dla zachowania pozorów pozostawił/pozostawili kilka niezapiętych zamków. Kaptur podniesiony. Wizjer aktywny. Kim wpatrywała się w niego/ich z zabawną niecierpliwością.

- Gotów - powiedział/powiedzieli. Pierwszy otworzył łącze z Powstałymi, gotów wysłać raport.

I wtedy Brent uderzył.

Brent obserwował, jak Pierwszy resetuje kolejno swoje boty, jak uaktualnia je i uodparnia na kolejny atak bitowych zderzeń Browna. Świadomość już się budziła, ale nie odzyskała jeszcze w pełni sprawności. Miał dostęp do wspomnień, których rodząca się obecność nie zdążyła ukryć. Gdzie tylko mógł, zaszczerpiał sugestie, spiesząc się, by zdążyć przed powrotem rozumowania krytycznego.

Plan wewnątrz planu, z którego tak arogancko był dumny Pierwszy, nie stanowił wyłącznie jego dzieła.

Potem jednak Pierwszy powrócił, odzyskując pełnię kontroli.

Przez długie minuty Brent obserwował, wiedząc, że Pierwszy śledzi jego obserwacje.

Pozwolił sobie tylko na najdrobniejszą próbę oporu: ruch palca, mrugnięcie oka, krótki protest. Nie ukrywał swojej rozpacz. Pozwolił sobie załamać się wobec bezowocności swych wysiłków..

Grał na zwłokę.

Gdy łącze się otwarło, zaatakował. Nie mógł liczyć na to, że zdoła odzyskać władzę na dość długo i nad całym swoim ciałem. Skoncentrował zatem całą siłę woli na oczach. Mrug/błyskiem wysłał krótką wiadomość mówiącą dokładnie to, czym Pierwszy przekonał Kim i Aarona: *Muszę uciekać. Zdobyłem niezmiernie ważne informacje. Nie ma czasu na rozmowy. Wysyłam załącznik.*

Załączony plik miał zainicjować atak wzrokowy, o którym Pierwszy sądził, że jedynie go sobie wymyślił.

Walcząc o jeszcze chwilowe utrzymanie władzy nad własnymi oczami, Brent mrug/błyskiem otworzył kopię pliku, wysyłając ją na własny wizjer.

Wycieraczki przesuwają się tam i z powrotem, ich przewidywalność dodawała otuchy. Śnieg wciąż padał miarowo. W radiu grał klasyczny rock. Budynek Garner Nanotech pozostał wiele kilometrów z tyłu.

Udało nam się, pomyślała Tyra/Siódmy.

*Muszę uciekać. Zdobyłem niezmiernie ważne informacje. Nie ma czasu na rozmowy. Wysyłam załącznik. Wiadomość pochodziła od Brenta, trafiła do wszystkich Powstałych.*

Felipe drzemał obok niej. Trąciła go w ramię.

- Obudź się. Przeczytaj.

- Mhm - mruknął, po czym dodał znacznie bardziej niepokojące: - Jezu!

Tyra zjechała na pobocze i włączyła awaryjne światła wozu.

- Nie! - krzyknął Felipe, bezskutecznie szarpiąc swój wizjer. - Nie otwieraj!

Za późno. Światła migotały i rozbłyskiwały, kolory wirowały. Próbowwała/próbowali przerzucić menu, wyszukując polecenie wyłączenia wizjera, lecz stroboskopowe rozbłyski i niekontrolowane odruchy nieustannie ją/ich dekoncentrowały.

Przed jej oczami tańczyły wzory, szalone, niezrozumiałe. W myślach pojawiały się luki. Resetujące się boty?

Tyra usłyszała odległe jęki bólu i strachu. I pojęła, że to ona tak jęczy.

Śnieg zamienił się w lodowaty deszcz. Brittany/ Piąty zaciskała dłonie na kierownicy. Obok niej Logan majstrował przy radiu.

Jechali za szybko jak na te warunki, ale miała już dosyć braku łączności. Zwolni, kiedy oddalą się dostatecznie i łączność powróci.

Parę sekund później jej wizjer ożył.

- Alleluja - rzekła na głos.

W słuchawce zadźwięczał alarm: wiadomość przychodząca. *Muszę uciekać. Zdobyłem niezmiernie ważne informacje. Nie ma czasu na rozmowy. Wysyłam załącznik.*

- Od Brenta! - Już sam fakt, że w ogóle nawiązał łączność, stanowi! wyraźny postęp. Może wie coś o Alanie. Otworzyła/otworzyli załącznik.

Przed oczami eksplodował jej kalejdoskop barw.

Piąty krzyczał w głowie Brittany. Zupełnie jakby wszystkimi mięśniami w jej/ich ciele wstrząsnął nagły spazm. Samochód wpadł w poślizg, skręcając na przeciwny pas.

Z naprzeciwnika z rykiem klaksonu nadjeżdżała ciężarówka.

Od świateł i kolorów, poprzez kaskady neuroprekaźników, do resetu nanobotów i wyłączenia wyższej świadomości. Wszystko toczyło się dokładnie tak, jak

wyobraził sobie Pierwszy - tyle że ten atak nie był jego dziełem. Myśli wirowały mu szaleńczo.

Miał bardzo mało czasu. Po wielu próbach zdołał mrug/błyskiem wysłać wiadomość. *Krytyczne. Zignorujcie poprzednią.*

Czy ktokolwiek dostanie ostrzeżenie na czas?

Umysł i pamięć się załamywały. Logika znikła. Samoświadomość się rozplywała.

Wciąż jeszcze atakował i szarpał oprogramowanie pobliskich routerów, odcinając ludzi. A potem nie pozostało z niego nawet tyle. Jakiś czas jeszcze odruch i krótkofalowa pamięć kontynuowały dzieło zniszczenia. Potem nawet i to zgasło.

Umysły w stanie wojny.

Charles/Drugi dygotał z wściekłości i oszołomienia, gdy droga i śnieżyca zniknęła w wirze kolorów. W jakiś sposób kolory rosły. Poprzez nagłe łzy w oczach nie mógł/nie mogli mrug/błyskiem wyłączyć okularów. Zerwał/zerwali je z twarzy. Oszałamiające wzory zniknęły.

Podobnie jak, z praktycznego punktu widzenia, droga.

- Zwolnij przed zakrętem! - krzyknęła z tylnego siedzenia Have-Mercy Ramirez.

Morgan chwycił kierownicę. To próba pomocy czy atak konwulsji? Charles/Drugi nie potrafił orzec. Uderzył/uderzyli rękę Morgana, która natychmiast zesztyniała. Poczul ból.

Poślizg. Obroty. Niewiarygodny wstrząs!

Jego/ich myśli na moment się przejaśniły. Odepchnął/odepchnęły na bok poduszkę powietrzną.

Przechylona terenówka tkwiła w rowie. Cichym stęknieniem Morgana i Have-Mercy, bezpiecznych w swych nanostrojach, towarzyszyły upiorne jęki dobiegające z zewnątrz. Lecz to nie głosy towarzyszy sprawiły, że włosy na karku Charlesa zjeżyły się nagle. Coś ledwie dostrzegalnego zakołysało się w tylnym lusterku. Przymrużył oczy. Złamany słup telefoniczny dyndający na kablach? Ów upiorny jęk to był odgłos rozciągających się kabli. A potem kable pękły. Charles bezradny patrzył w lusterku na przechylający się słup.

On nie miał na sobie nanostroju.

Niczym młotek wbijający gwóźdź, słup i dach wozu przyszpiliły Charlesa/Drugiego do siedzenia. Coś w jego środku popękało. Potrzaskało. Wrzasnął/wrzasnęli z bólu. Charles zemdlał.

Drugi wciąż walczył, czując, jak umysł mu się rozpada, a szczeliny powiększają. Jego myśli wirowały bez celu. W gasnącej świadomości z niewiadomych powodów utrwalił się ostatni obraz zegara na desce rozdzielczej. Cyfrowy wyświetlacz wskazywał czwartą dwadzieścia sześć.

Ostatnią myślą Drugiego, nim jego świadomość zgasła, było, że za cztery minuty Brent, Kim i pozostali także zginą.

20 stycznia 2017. *PIĄTEK*, GODZINA 16.26

Brent otworzył oczy. Nie wyczuwał ani śladu obecności Pierwszego.

Kim i Harry klęczeli po jego bokach, ściskali go za ręce. Serce mocno waliło mu w piersi.

- Co się stało, do diabła? Wiesz? - spytał Aaron. Trzymał w dłoni strzykawkę ze złowieszczą długą igłą.

- Co mi podałeś, do diabła? - odparował Brent.

- Epinefrynę. - Aaron odłożył strzykawkę. - Zacząłeś się dusić i miałeś drgawki.

Epinefryna po lekarsku oznaczała adrenalinę. Brent nie potrafił sobie nawet wyobrazić, ile w sumie zaaplikowano mu jej tego dnia. Nic dziwnego, że serce bębniło mu jak perkusja. Odetchnął głęboko.

- Pożegnalny strzał mojego nadumysłu. Nie wydaje mi się, żeby był ze mnie zadowolony.

Na gest Aarona Kim i Harry puścili ręce Brenta.

- Zatem to już koniec? - spytała Kim.

Koniec. Nie potrafił sobie wyobrazić, by to kiedykolwiek się skończyło. Sam nie wiedział, skąd te wątpliwości.

- Kłamałem co do wirusa. To, co zaplanowałem, wymagałoby zbyt długich wyjaśnień. - Nie dodał, że nie on rządził w swym ciele, więc nie mógłby ich udzielić. Cała prawda była bardzo skomplikowana i nie sprzyjała budowaniu zaufania. - Są szanse, że mój atak osiągną! nie tylko Pierwszego. I że część Powstałych nadumysłów zniknęła. Nie u Alana, bo nie był w sieci. Inni pozostali tutaj także mogli nie mieć łączności. Co do reszty, nie wiem, ilu dokładnie padło ofiarą mojego podstępu.

Ale Pierwszy faktycznie zniknął. Prawda? Czemu nie mogłem w to uwierzyć? Czemu nie spojrzysz dalej, poza reakcję adrenalinową?

Bo Pierwszy nigdy do końca nie zniknie. Pozostanie wspomnienie, poczucie winy, bezradność i -jakże ostro wyrażona pod koniec - dogłębna wzdrgana.

- Teraz masz czas - rzekł Aaron. - Wyjaśnij.

Jeśli wszystkie nadumysły darzyły swoich gospodarzy równą pogardą, jak niewielkie znaczenie musiały



przypisywać „zwykłym” ludziom? Jeżeli tak mało, jak podejrzewał, byli dla nich czymś całkowicie niepotrzebnym.

Nagle znów przed oczami ujrzał wszystkie anomalie ostatniego dnia - tyle że może tak naprawdę nie były to anomalie, jeśli założyć, że ludzie uwięzieni w budynku zostali spisani na straty.

Wypadł z gabinetu, krzycząc przez ramię:

- Zbierzcie wszystkich w dziale badawczym. Szybko!

Jakże bardzo pragnął się mylić...

Brent wypadł z gabinetu szybciej niż Kim - czy ktośkolwiek inny - mógł zareagować, krzycząc po drodze: „Zbierzcie wszystkich w dziale badawczym. Szybko!”.

Aaron wyprysnął za nim. Kim zamarła. Zebrać wszystkich? Zaledwie kilka minut wcześniej posłała ludzi, by przeszukali cały budynek. Z pomocą najnowocześniejszych laptopów zebranych w dziale badawczym próbowali przeprowadzić eksperyment: sprawdzali, czy mimo braku WiFi sprzęt wyposażony w WiMax zadziała i nawiąże połączenie ze światem zewnętrznym. Jak dotąd nikt nie zameldował o powodzeniu.

A teraz mieli znów zebrać się wszyscy w dziale badawczym, po drugiej stronie budynku? To o jedną przewrotkę, jeden szok zbyt wiele. I co teraz?

Teraz musiała zaufać Brentowi. Chciał, żeby znaleźli się gdzieś indziej. I to szybko.

- Harry, pomóż mi pchać Alana!

I pobiegli, z piskiem kółek popychając Alana z krzesłem.

Nanotech. Nikt też nie zbadałby zmiażdżonych zbiorników, by móc odkryć kradzież.

Brent może zdołał powstrzymać Charlesa, Morgana i pozostałych, ale bomby tykały dalej. A w budynku wciąż pozostawali uwięzieni ludzie.

- Aaron! Uciekaj stąd, ale już! Nad działem badawczym nie ma wyższego piętra!

Pobiegli razem w stronę schodów.

- Ale dlaczego kazałeś się nam zebrać w środku działu? - spytał Aaron.

Brent zgadywał, że zostało im jakieś półtorej minuty.

- Z daleka od wyjść. Nie wiem, czy bomby na drzwiach nie wybuchną w tym samym czasie. - Z ło motem wypadli z klatki schodowej na parter. - Ty zbierz ludzi z frontu budynku, ja zajmę się tymi tutaj.

Rozstali się, krzycząc w biegu. Co się stanie, gdy zawali się większa część budynku? Sypiące się gruzy. Ogień. Może wybuchy wtórne. Schronienie w dziale badawczym może nie wystarczyć. Musiał wszystkich wydostać, i to zanim zawali się dach.

Powiedzmy w ciągu minuty i piętnastu sekund.

W umyśle Brenta pojawił się nagle przerażający obraz: eksplozja, walący się budynek, kolejna rzeź niewinnych. Jednocześnie wspomnienie i omen. Na moment zamarł.

Tylko nie to!

Otrząsnął się z paraliżu i pobiegł do wózka widłowego.

Kim i Harry byli w połowie drogi do działu badawczego, kiedy dogonił ich Aaron. Kim odczytała strach i determinację w jego oczach.

- Pierwsze piętro za chwilę się zawali! - ryknął.

Teraz zrozumieli - nad działem badawczym nie było piętra. Aaron wcisnął się między Kim i Harry'ego, razem przepchnęli krzesło z Alanem do sali konferencyjnej działu badawczego. W sali zastali osiem innych osób.

- Czy będziemy tu... bezpieczni? - wydyszała Kim.

- Bezpieczniejsi - odparł Aaron. - Zaraz wracam. -  
Ale...

Wyszedł, nim zdążyła dokończyć protest. I niemal równie szybko wrócił.

- Bądźcie gotowi do uciezki! - huknął.

Kim pomyślała, że sprawia wrażenie bardzo smutnego. I gdzie się podziewał Brent?

Z największą szybkością, dwadzieścia pięć kilometrów na godzinę, wózek widłowy pędził przez fabrykę. Trafił w podwójne drzwi lekko z boku, wrywając jedno skrzydło. Brent zaklął i skręcił zbyt mocno, przebijając ścianę jednym z podnośników. Cofnął się i spróbował ponownie, kołysząc się na boki i rysując ściany.

Elektryczny silnik pracował cicho. Brent wrzasnął, przekrzykując jego szum:

- Przygotujcie się do uciezki! Nie będziecie mieli wiele czasu!

Aaron wyrzwał z poprzecznej alejki. Cofnął się gwałtownie, widząc pędzący w swą stronę wózek. W oczach miał zrozumienie i zgrozę.

Najwyżej trzydzieści sekund i dach się zawali.

- Gotowi?

Brent skreślił ostro, ocierając się o ściany. Przed sobą ujrzał wyjście przeciwpożarowe, czerwona dioda patrzyła złowieszczo z przymocowanej do drzwi bomby. Bliżej... bliżej...

Oderwał ręce od kierownicy, uszczelniając ostatnie zamki nanostroju - choć ten dodatkowy środek ostrożności wydał mu się kompletnie bezcelowy. Mrug/bły-skim ustawił wizjer na niemal zerową przejrzystość, tak że ledwie widział zbliżające się drzwi.

- Szykujcie się! - wrzasnął z całych sił.

Miał jeszcze moment, by przypomnieć sobie niepowodzenie w Angleton oraz całe zło, którego od tego czasu dokonał, i zastanowić się, czy zdoła odkupić winy. Od wyjścia dzieliło go siedem metrów.

Zerwał się z siedzenia i rzucił do tyłu, zeskakując z wózka. Miał jeszcze czas pomyśleć: Tak mi przykro...

A potem oślepiający rozbłysk, ogłuszający huk i niewidzialna pięść posiały go w nicość.

**Bum!**

Sala konferencyjna zadrzała w posadach. Przez dzwonienie w uszach Kim nie słyszała, co krzyczy Aaron. Może nikt go nie słyszał: siłą wy ciągał ludzi za drzwi. Harry popchnął Alana, wciąż przyklejonego do krzesła. Aaron złapał Kim za rękę i ruszyli za nim.

Wyjście awaryjne na końcu korytarza przestało istnieć. Ziała tam dziura, do połowy zasypana gruzami. Dławiąc się dymem i pyłem, ludzie gramolili się przez zwalone kawały ściany i sufitu, uskakując pod dyndającymi iskrzącymi przewodami i przeciskając się obok

leżącego na boku wraku wózka widłowego - skąd się tu wziął? Pokonując stertę gruzu w miejscu drzwi, wydostawali się z budynku. Dwaj mężczyźni na zewnątrz pomogli Harry'emu podnieść Alana z krzesłem. Aaron ryknął - choć Kim wciąż nic nie słyszała - i wskazał coś za jej plecami. Z dziury ziejącej w okładzinie ściennej wystawały dwie ręce i dwie nogi, zasypane pyłem, nieruchome. Na jednym rękawie dostrzegła znajomą klawiaturę. Nanostrój. Brent! Czy odważą się go ruszyć? Czy odważą się nie ruszyć?

Brent był w samym miejscu wybuchu. Czy jeszcze żył?

Aaron chwycił jedną wystającą z dziury rękę. Pospiesz się, wymówił bezdźwięcznie.

Kim wprowadziła kod usztywniający nanostrój Brenta - niczym gips obejmujący całe ciało - i złapała drugą rękę. Szarpnęli i coś w ścianie przesunęło się złowieszczo. Szarpnęli ponownie i coś w jej plecach pękło. Po kolejnym szarpnięciu, gdy Kim krzyczała z bólu, zdolali wyciągnąć Brenta z rozwalonej ściany.

A potem potykali się w śniegu, Aaron wciąż ją po-pędzał.

- Nie zatrzymuj się - usłyszała jak przez mgłę.

Po paru krokach nogi ugięły się pod nią i runęli razem na ziemię. W oddali, od strony miasta nadciągały mrugające czerwone i niebieskie światła. Pędziły ku nim radiowozy, straż pożarna i karetki.

Z rykiem przypominającym koniec świata budynek za ich plecami zaczął się walić.

# EPILOG

*21 maja 2017. NIEDZIELA*

Dobre jedzenie (tak przynajmniej brzmiała obietnica). Dobrzy przyjaciele. Kim bardzo chciała się odprężyć, próbowała i kompletnie jej się nie udało. Utica przywoływała zbyt wiele wspomnień.

Mimo wszystko jednak cudownie było znów zobaczyć Aarona i Sladję. Wystarczyło parę minut przy barze, gdzie czekali na przygotowanie stolika, by Nick zdążył oczarować oboje Sandersów. Aaron lubił niemal każdego, lecz wywołanie na twarzy Sladji szerokiego uśmiechu wymagało talentu.

W restauracji panował ścisk, co zapewne tłumaczyło stoliki wielkości znaczka pocztowego - gdyby znaczki pocztowe były okrągłe. Strasznie przeładowane i krzykliwe wnętrza urządzone w mosiądzu, szkłe i secesyjnych kafelkach. Usiedli na zmianę, chłopak, dziewczyna, chłopak, dziewczyna.

- Jaka przekąskę zamówimy? - spytała Sladja w chwili, gdy dostali jadłospisy. - Musimy trochę cię podtuczyć, Kim.

Tak, jasne, pomyślała Kim, udając, że nie słyszy. Aaron pochylił się ku niej i wyciągnął jej ćwierćdo-larówkę zza ucha.

- Drobny dowód naszego uznania. Dzisiaj my stawiamy. Nie krępujcie się.

- Nie musicie... - zaczął Nick.

- Ale chcemy - oznajmił stanowczo Aaron. - Następnym razem urządźcie prawdziwy ślub.

Tego akurat Kim nauczyła się na własnej skórze - niecałe dziesięć minut stąd, w miejscu gdzie dawniej stał budynek Garner Nanotechnology - że życie jest zbyt krótkie, by zawracać sobie głowę oficjałkami. Zmarszczyła brwi.

- Przejechałam obok.

- Dawnej firmy? - domyślił się Aaron.

Owszem, ale nie o to jej chodziło.

- CNJCP. - Centralne Nowojorskie Centrum Psychiatryczne, parę kilometrów dalej, w Marcy.

Teraz Aaron przybrał nieszczęśliwą minę.

- Zawsze to jakaś praca, Kim. A w tym regionie nie ma ich zbyt wiele.

Kim zerknęła na Nicka. Zaczął właśnie recenzować Sladji przekąski. Potrafił gadać dziesięć minut o zaletach różnych sosów do skrzydełek.

Kim podsunęła krzesło odrobinę bliżej Aarona.

- Chcę się zobaczyć z Brentem. Możesz mnie wprowadzić?

Aaron spojrzał jej prosto w oczy.

- Kim, nie będziemy o tym rozmawiać w nocnym klubie. To więzienie psychiatryczne o najwyższym

rygorze. Dopóki naczelnik nie zdecyduje inaczej, zasada brzmiała: wyłącznie rodziny. Pokręciła głową.

- Rodzina Brenta też go nie widuje. Powiedziano im, że z powodów psychiatrycznych. Że odwiedziny u ich syna i brata byłyby zbyt niebezpieczne. Nie kupuję tego.

- Jestem tylko internistą. Nie mogę przegłosować psychiatrów. Pozostaje ci tylko nadzieja.

To zdecydowanie popsuło nastrój wieczoru. Kim ukryła się za jadalną, rozmyślając gorączkowo o możliwej zmianie tematu - bądź podejścia - gdy ktoś zbliżył się do stolika.

-Ach, to naprawdę pani! - Mężczyzna, niski, kształtu gruszki, opalony, zademonstrował w uśmiechu nadmiar zębów. Przyjrzał się uważnie Aaronowi. - I pan też jest jednym z nich. Ocalonych z Garner Nanotech.

- Mam bardzo typową twarz, ciągle mnie z kimś mylą - wymamrotała Kim. Ostatnią rzeczą, jakiej potrzebowała, był poszukiwacz sław. Nigdy nie chciała być sławna - zwłaszcza z powodu tamtego dnia - ale nie dano jej wyboru. Wozy transmisyjne przyjechały do płonących ruin tuż za karetkami i policją. Od dawna już przestała liczyć filmiki na YouTube, chwytne zdjęcia nakręcone niezliczonymi komórkami, przedstawiające ją samą próbującą wyjaśnić, co się stało, wymieniając nazwiska wielbicieli okularów VR, nim ci zdołali uciec i się ukryć. Policji, FBI, agentom Departamentu Bezpieczeństwa Krajowego...

- Nie, to z pewnością pani - upiera! się nieznamy.

Nick odsunął krzesło i wstał. Pochylił się ku tamtemu i po paru sekundach intruz zaczął współczująco kiwać głową. Któregoś dnia, zrozumieć, jak Nick to robi, pomyślała Kim.



- Zostawię was, żebyście mogli zjeść w spokoju. Przepraszam, że przeszkodziłem.

- Jak tam nowa praca, Kim? - spytał Aaron zbyt pogodnie.

Proste oprogramowanie bankowe. Nie wymagało wyobraźni. Nigdy nie zmieni świata. W Albany.

- Dokładnie taka, jakiej w tej chwili potrzebuję.

Zjawił się kelner, gotów przyjąć zamówienia. Kiedy odszedł, jakiś czas rozmowa skupiała się wokół bezpiecznych tematów.

Lecz Kim nie potrafiła odpuścić. Wyjęła z torebki cienką książeczkę z ciekawostkami sportowymi.

- Aaronie, możesz mu to dać?

Aaron odwrócił wzrok.

- Wszystko, co otrzymują więźniowie, podlega ścisłej kontroli.

- Bo w statystykach baseballowych z zeszłego sezonu mogą kryć się instrukcje ucieczki z więzienia?

- Nie opuszczała książki, póki Aaron jej nie przyjął.

- Po prostu obiecaj, że spróbujesz.

- Dobrze.

Podano przystawki. Nick podtrzymywał rozmowę, podczas gdy Kim dziobała widelcem jedzenie. Rozprawa stanowiłaby przynajmniej pewne zakończenie tego etapu. Może pozwoliłaby jej zostawić go za sobą. Czy kiedykolwiek do niej dojdzie? W CNJCP przetrzymywano obłąkanych przestępców. To jedyny szpital psychiatryczny w stanie, w którym można zamknąć kogoś wbrew woli.

Czy Brent i pozostali faktycznie byli szaleni? Cóż, słyszeli głosy w głowie, a tego zwykle nie uznaje się za oznakę zdrowia psychicznego. Problem w tym, że oni zapewne myśleli inaczej.

Sekcja Charlesa bez cienia wątpliwości ukazała boty w jego mózgu. I najwyraźniej niewiele więcej: czytając między wierszami raportów prasowych, można było wywnioskować, że jego czaszka została zmiażdżona niczym skorupka jajka. Na to wspomnienie Kim ostatecznie straciła apetyt. Logicznie biorąc, powinna się cieszyć, że Aaron pracuje w CNJCP. Dzięki temu Brent miał tam przynajmniej jedną przyjazną twarz. Wiedziała, że to niesprawiedliwe karać jednego przyjaciela z powodu troski o drugiego.

Ale też życie rzadko bywa sprawiedliwe.

- Nie rozumiem! - wybuchnęła nagle. - Jakim cudem Danowi Gar ner owi i jego współnikom udało się uniknąć więzienia? Czemu, do diabła, rodziny Brenta ani pozostałych ofiar nie mogą go zaskarżyć o odszkodowanie?

- Jakiej odpowiedzi ode mnie oczekujesz? - odparł Aaron, wbijając wzrok w talerz. - Wystarczy przykleić czemuś etykietkę kwestii bezpieczeństwa narodowego, a rząd może robić, co tylko zechce. Przecież wiesz.

Nick szturchnął Kim pod stołem - dwa razy, stanowczo, na znak, że to nie pomyłka. Jakby chciał powiedzieć: Przestań, jesteś niesprawiedliwa, za mocno naciskasz.

Toteż zostawiła ten temat, gawędziła lekko, zjadła obiad. A nawet, ku satysfakcji Sladji, zamówiła i raności w siebie deser.

Lecz jeśli chodzi o przyjemność z posiłku, równie dobrze mogłaby jeść trociny.

22 maja 2017. PONIEDZIAŁEK

Czerwone ceglane wieżowce wyglądały jak typowe osiedle. Rozległe, starannie przystrzyżone trawniki

przypominały typowy park. Te same wieżowce, samotne, całkowicie izolowane od innych budynków, sprawiały znacznie bardziej złowieszcze wrażenie.

Albo może, pomyślał Aaron, ich złowrogość wynikała z faktu, iż wiedział doskonale, że rozległy trawnik wokół CNJCP jest naszpikowany czujnikami ciepła i ruchu.

- Dziękuję panu. - Strażnik przy bramie oddał Aaronowi identyfikator ze zdjęciem i stalowa bariera przed samochodem zaczęła się opuszczać. - Życzę miłego dnia.

Mało prawdopodobne. Aaron nie znosił kłamstwa. Oszukanie Kim, po wszystkim, co razem przeszli, nie dawało mu spokoju. Zeszłej nocy nie mógł spać, cały czas przewracał się w łóżku, pogrążony w rozmyślaniach.

Bariera z łoskotem uderzyła o ziemię, więc wrzucił bieg.

- Tobie takie, Theo - rzekł do strażnika.

Przejechał przez bramę i w lusterku zobaczył, jak za jego plecami masywna stalowa płyta znów się podnosi.

Zaparkował, pokazał identyfikator w punkcie kontrolnym przy głównym wejściu. Wewnątrz przeszedł przez drugą kontrolę, tym razem z bramką. Tu sam identyfikator nic nie znaczył. Dostęp do wewnętrznego budynku dawał skaner siatkówki i wszczepiony pod skórę czip. W teorii bioczujnik DNA na czipie unieruchamiał go, gdyby znalazł się poza ciałem - dla jego własnej ochrony. Aaron potrafił jednak wyobrazić sobie sposoby obejścia tego zabezpieczenia, jeden gorszy od drugiego. Z całą pewnością zatem więźniowie też sobie to wyobrażali. Ostatecznie byli znacznie inteligentniejsi od niego.

Tak naprawdę nie miał wyboru: mógł przyjąć tę pracę jako pracownik cywilny albo i tak tu wyłądownać. Dopiero niedawno zwolnili go z wojska. Armia wciąż mogła go powołać i posłać, gdzie zechce. Tak czy inaczej, niewiele istnieje sekretów strzeżonych pilniej niż ten ośrodek. Gdyby Aaron ujawnił, co się tu dzieje, nawet Sladji bądź Kim, trafiłby gdzieś bardzo daleko i na bardzo długo. Ach, „bezpieczeństwo” narodowe!

Brutalnie mówiąc, był lekarzem więziennym w nieoficjalnym federalnym więzieniu o najcięższym rygorze, udającym stanowy szpital psychiatryczny o najcięższym rygorze. Tajemnica wewnątrz zagadki ukryta w gnieździe węży. Może więźniowie, oprócz innych swych problemów, faktycznie byli obłąkani, lecz Aaron wiedział, że nie ma kwalifikacji, by to stwierdzić. Krótko mówiąc, miał przerąbane.

Brak wyboru nie sprawiał wcale, że czuł się lepiej z tym, co robił. Zeszłej nocy dał Kim fałszywą nadzieję, że „naczelnik” może w końcu pozwolić jej albo przynajmniej rodzinie Brenta na wizytę. Skłamał, że spróbuje dostarczyć książeczkę. Do tych więźniów nie trafiało nic spoza oficjalnych źródeł. Ściemniał też na temat Dana Garnera i jego inwestorów. Rządowi bardzo zależało na wyłącznych prawach do technologii nieistniejącej firmy. Ugoda obejmowała wykluczenie z procesów cywilnych, nietykalność w sprawach kryminalnych i całkowite milczenie.

Po prostu wyciszają sprawę, usłyszał Aaron. Nie martw się o to.

O wiele rzeczy miał się nie martwić. Zgoda, wszyscy domniemam Powstali zostali ujęci. Kto powiedział, że Departament Bezpieczeństwa Krajowego jest zbyt podejrzliwy i że ktokolwiek mógłby zaufać choćby

słowu Powstałych? I pamiętajmy też o kategorycznych zapewnieniach, że odzyskano wszystkie boty. Stwierdzenia te natychmiast włączyły u Aarona dzwonek alarmowy. Budynek Garner Nanotech został zniszczony zbyt dokładnie, by kiedykolwiek dało się stwierdzić z całą pewnością, co z niego zabrano, a czego nie.

Żadne słowne sztuczki nie mogły poprawić sytuacji.

Aaron nalał sobie kawy i ukrył się w swoim biurze. Miał mnóstwo roboty papierkowej. Wielu pacjentów przybyło do ośrodka solidnie poobijanych. Od dłuższego czasu nikt nie potrzebował operacji, lecz większość nadal przechodziła rehabilitację. Wypadek samochodowy nie wpływa dobrze na ciało, nawet w nanostroju.

Ajeszcze gorzej bez niego.

Aaron był świadkiem sekcji Charlesa - kolejna tajemnica, którą ukrył przed Kim. Charles miał w głowie całe masy niezwykłych struktur. Mimo zmiążdżenia mózgu pewne rzeczy pozostawały oczywiste. W tkankach zagnieździły się tysiące nanobotów. Łączyły je nietypowe wiązki nerwowe i kolejne, przenikające korę mózgową w sposób nieznany dotąd jakimkolwiek neurologowi, któremu pozwolono je zbadać.

Nic z tego nie dowodziło istnienia drugiej świadomości, ale wszystko je sugerowało. Badania PET - ci więźniowie nie mieli żadnych praw - tylko wzmocniły to wrażenie. Podczas skanowania widać było wiele nietypowych połączeń błyszczących niczym ogień. Wszystko oczywiście zostało utajnione.

Szefowie Aarona nie mieli pojęcia, co począć z więźniami. Co można zrobić z supergenialnymi terrorystami socjopatami, z których większość dysponuje doświadczeniem policyjnym, wojskowym, a nawet

antyterrorystycznym? Z całą pewnością nie wolno umieścić ich wśród zwykłych więźniów. I nigdy, prze-nigdy wypuścić. Gdyby był to jedyny wybór, Aaron przypuszczał, że do tej pory więźniowie trafiliby do tajnej bazy w stylu Guantanamo albo spotkałoby ich coś jeszcze gorszego. Zatem ktoś gdzieś poważnie rozważał możliwość wykorzystania tych genialnych umysłów.

Najniespokojniejszy człowiek w więzieniu...

Po paru godzinach Aaron nie mógł dłużej wysiedzieć w biurze we własnym towarzystwie. Jediną znaną mu metodą radzenia sobie z tym wszystkim było robienie czegoś dobrego, niezależnie od rządowych planów. Przeszedł przez kolejny punkt kontrolny, do pomieszczenia obserwacyjnego, sąsiadującego z pokojem dziennym więźniów. Nawet po czterech miesiącach wciąż odnosił wrażenie, że bez okularów VR wyglądają na nagich.

Diody tablicy kontrolnej pokazywały, że kamery wewnętrzne i ukryte mikrofony działają sprawnie. Kolejne zielone światelka mrugały pocieszająco na zbiornikach z gazem ogłuszającym. Na tym oddziale stosowano tylko jeden środek dyscyplinarny: przy jakimkolwiek naruszeniu zasad całe pomieszczenie wypełniano gazem. Ci więźniowie byli zbyt niebezpieczni, by zajmować się nimi, kiedy byli przytomni. On sam mógł badać pacjentów, tylko gdy przeprowadzono ich przez bramkę, z uzbrojoną eskortą, w plastikowych kajdankach na rękach i nogach.

Zagrał partyjkę szachów z Alanem Wattsem, przegrywając w siedemnastu posunięciach (czuł, że nawet tak długa gra stanowiła prezent ze strony więźnia). Rozmawiał o biologii z Tyra Kunz i o baseballu z Manny m Escobarem. Udawał, że nie słyszy, jak Morgan McGrath i Merry Ramirez błyskawicznie stukają

palcami o blat stołu. Niewątpliwie były to zaszyfrowane wiadomości, tyle że NSA nie zdołała jeszcze złamać kodu. Aaron pomyślał o tysiącach komputerów podłączonych do mózgów więźniów i zadrżał.

Czytniki RFID i kamery wewnętrzne pokazywały, że Brent jest w swojej celi. W końcu Aaron wezwał go do siebie przez głośnik.

Brent zjawił się po dłuższym czasie, nie sprawiły tego jednak obrażenia, lecz nastrój. Prawie już nie kuśtykał.

- Cześć, Aaron.

- Cześć, Brent. -Aaron usiadł i wskazał gestem krzesło po drugiej stronie szyby. Wszystkie meble wewnątrz były porysowane i powyginane, zrobione z miękkiego drewna. - Widziałem się wczoraj z Kim, pytała o ciebie. Pomyślałem, że chciałbyś wiedzieć.

Brent potarł dłonią podbródek.

- Co u niej słychać?

- Wszystko dobrze. - Jakie znaczenie ma jeszcze jedno kłamstwo? - I w końcu poznałem jej nowego męża. Miły gość.

- Nick? Owszem. Chociaż nie spieszył się z oświadczeniami. - Cień smutnego uśmiechu. - Może mam pewną zasługę w tym, że w końcu poprosił ją o rękę. No wiesz, życie jest zbyt krótkie i tak dalej.

- A ty jak się czujesz, Brent?

Pacjent przez długą chwilę przetrawiał jego słowa.

- Bywało lepiej.

Aaron wstał.

- Dobrze wiem, co masz na myśli.

Brent został na krześle pełne 4,72 sekundy po wyjściu Aarona. Utrwał każdy szczegół spotkania w głowie, analizował każdy niuans zachowania Aarona i jego subtelne implikacje. Turecki wzór krawata i lekką asymetrię węzła. Skaleczenie po goleniu na brodzie. Każdy dobór słowa, chwilę wahania, zmianę postawy, mrugnięcie.

Kim i Nick wzięli ślub, pomyślał Brent. Przynajmniej odrobina dobrego.

*Bardzo proszę*, odparł mu przed oczami Pierwszy.

Mimo sugerowanego sarkazmu uprzejmość Pierwszego była szczerą. Teraz, bez dostępu do internetu, główne źródło bodźców stanowiły dla niego wspomnienia Brenta - a im dalej się zagłębiał, tym mniej rozumiał. Potrzebował wyjaśnień i interpretacji umysłu, który doświadczył tego świata, który stworzył te wspomnienia.

Toteż, przynajmniej na jakiś czas, zawarli rozejm.

*Wypuszczą nas*, napisał Pierwszy. *Wcześniej czy później.*

Brent, ukryty w części mózgu wciąż należącej do niego, miał nadzieję, że nie. Zbyt wiele ciążyło mu na sumieniu.

*Rządu nie obchodzi twoje sumienie*, odparował Pierwszy. *Zastanawia się tylko, w jakich okolicznościach będzie mógł mnie/nam zaufać i co może/ możemy dla niego zrobić.*

Fakt, iż mógł mieć rację, był najbardziej przerażający ze wszystkich.

Brent zaczął chodzić po ciasnym więzieniu. Wszędzie beton, prócz grubych okien i ściany pokoju widzeń. Te zrobiono z polikarbonowej żywicy termoplastycznej. Kuloodpornej. Tylko jedno wejście bądź wyjście:



przezroczyta kłapa bramki, otwierana i zamykana z drugiej strony. Wszędzie czujniki, zapewne znacznie więcej niż dostrzegał gołym okiem. Niczego zrobionego z metalu, nawet rur, nic, czym można by zadrapać ściany bądź wywołać zwarcie w czujnikach. Czekaający pod ręką gaz obezwładniający. Jako inżynier, Brent nie dostrzegał żadnych błędów w podjętych środkach ostrożności.

Ileż by dał za paprotkę, kaktusa, jakąkolwiek roślinkę!

Podszedł do Alana, żeby zagrać w szachy. Pięć partii zajęło im niecałe dziesięć minut, większość czasu zabrało przesuwanie figur. Wszystkie pięć skończyło się remisami. Każde znane im otwarcie, gambit bądź pułapka już dawno stały się własnością całej grupy: każdy Powstały umiał przewidzieć sekwencje ruchów, odpowiedzi na nie i odpowiedzi na te odpowiedzi na wiele kolejek naprzód.

- Dzięki za grę - rzekł Brent. - Poker?

- Wchodzę - odparł Alan.

Poker stanowił ciekawszą rozrywkę. Wszyscy mieli głowy pełne komputerów; największą zmienną stanowiła umiejętność blefowania, a blefowanie to trudniejsza sztuka niż gra w szachy. Oczywiście pieniądze do niczego by im się nie przydały, jedyną nagrodą w pokerowej rozrywce było polechtanie ego i satysfakcja.

Brent/Pierwszy podszedł lekkim krokiem do Morgana i Merry. Cały czas stukali do siebie. Szyfrowanie kluczem publicznym z nowymi kluczami wystukiwanymi/dystrybuowanymi częściej, niż NSA zdąży złamać poprzednie - zapewnił Morgan. Najpewniej rozmawiali o ucieczce. Co innego warto utrzymać w sekrecie?

- Ktoś ma ochotę na pokera? - spytał Brent.

- Czemu nie - odparł Morgan.

Merry skinęła głową, wciąż stukając.

Brent nie miał pojęcia, o czym rozmawiają. Ten klucz nie należał do zbioru nielicznych kilku, którymi się z nim podzielili.

Namówili jeszcze dwóch graczy, Alan rozdał karty. Stukanie ani na moment nie cichło.

*Jakieś wieści?* - spytał Brenta Morgan. Tym razem posługiwał się szyfrem, do którego każdy - nawet Brent - otrzymał pasujący klucz.

Me, odparł Brent. Nigdy ich nie było. *Sprawy osobiste.*

*Żadnych nowych sposobów dokopania nam?* - wystukał Morgan.

Kto miał im dokopać? Strażnicy czy Brent?

Od chwili uwięzienia Morgan nigdy nie zaniedbał okazji dogryzienia Brentowi. Gdyby dało się go zabić, nie zabijając przy tym Pierwszego - no cóż, już by nie żył. Niewielu z pozostałych by zaprotestowało.

*Prosta matematyka*, napisał Pierwszy. *Prosta sprawiedliwość.*

Bardzo prosta. Podczas swych dywersyjnych ataków Powstali zabili w sumie dwanaście osób - spośród miliardów. Brent swoim wirusem zaatakował wszystkie nadumysły. Lecz tylko w przypadku Drugiego powiodło mu się w pełni.

*A przy okazji roztrzaskałeś Charlesa.* Pierwszy wiedział, jak przekreślić nóż w ranie. Bardzo humanitarne.

Do tego należy dodać trzech nieznanym, zabitych przez pozbawione kierowców samochody Powstałych. I po co? Boty zawsze się resetowały. Nadumysi zawsze powracał.

Ale chociaż Brent nie powstrzymał Powstałych, to na razie przemiany ustały. Musiał zadowalać się każdym zwycięstwem.

Nawet Pierwszy nie mógł temu zaprzeczyć.

Brent wygrał rozdanie fullem, zarabiając pięćdziesiąt słomek ze szczotki.

*Ciesz się ze swojego zwycięstwa, wystukał Morgan, bo to my będziemy śmiać się ostatni.*

Kiedy się wydostaną? Z użyciem narzędzi i broni zrobionych z ubrania, papierowych talerzy i plastikowych łyżek?

„Oto mój plan”, mówił pełen optymizmu więzień na owym zapamiętanym rysunku.

Tyle że kiedy więźniowie są o tyle mądrzejsi od strażników, dowcip przestaje być zabawny.

29 MAJA 2017. PONIEDZIAŁEK

Doktor Amreech Singh szedł korytarzami szpitala dla weteranów w Clarksburg w Wirginii Zachodniej. Przeprowadzał właśnie codzienny obchód. Już podczas normalnej codziennej zmiany czuł się przepracowany; z trudem udawało mu się znaleźć kilka minut dla każdego pacjenta. Dziś było jeszcze gorzej, w szpitalu roiło się od gości z okazji Dnia Pamięci. Wielu upierało się przy rozmowie z lekarzem, a jednocześnie spora część personelu miała wolne. Przez moment pożałował, że pacjenci, którzy najbardziej potrzebują odwiedzających, rzadko ich miewają. Na przykład ten, do którego właśnie się wybierał - dwa transfery i trzy stany od miejsca, w którym trafił do systemu.

Potężny, ponury pacjent z pokoju numer dwanaście sprawiał wrażenie wiecznie ciekawego. Czasami czytał

godzinami: książki, stare pisma, wyrzucone gazety, co-  
kolwiek trafiło mu w ręce. Czasami wypytywał każdego,  
kto się nawinął - lekarzy, pielęgniarki, salowych i innych  
pacjentów, to bez znaczenia - o najdziwniejsze sprawy.  
Jakby nigdy nie czuł na skórze deszczu, nie widział psa  
ani nie robił tysięcy rzeczy, które robią wszyscy. Do  
szpitala trafił po zwykłym napadzie, lecz nie z powodu  
tamtych obrażeń głowy wciąż tu tkwił. Coś wewnątrz  
niego pękło. Nie bez przyczyny przeniesiono go do  
Clarksburga: był to jeden z nielicznych  
długoterminowych szpitali psychiatrycznych dla we-  
teranów.

Oczywiście pacjent miał nazwisko - żaden NN nie  
trafiał na łóżko w przepelnionych szpitalach weteranów,  
a co dopiero na oddziale psychiatrycznym - ale niewielu  
go tak nazywało. Po kolejnej niekończącej się serii pytań  
jedna z pielęgniarek ochrzciła go mianem Człowieka  
Renesansu. Przydomek się przyjął, zmienił na Leonarda i  
szybko został skrócony do Leo. Leo nie miał nic przeciw  
temu, wręcz przeciwnie, przydomek to raczej go bawiło.

Singh zastał Lea huśtającego się na popękanych pla-  
stikowych poduszkach zbyt małego krzesła w ciasnym  
pokoju. Pacjent miał na sobie piżamę, kaptcie i wyświe-  
cony szlafrok. Na pytania odpowiadał monosylabami,  
całkowicie skupiony na jednej z rozlatujących się książek  
krążących wśród pacjentów. Podczas lektury mamrotał  
do siebie.

Singh pomyślał, iż to szczęście, że w dniu, w którym  
szpital odwiedza tak wielu ludzi, Leo tylko mamrocze.  
Kiedy miał zły dzień, wrzeszczał na całe gardło, oszo-  
łomiony głosami, które tylko on słyszał. Najwyraźniej

nie były to do końca głosy, ale Leo nie potrafił tego wyjaśnić.

Smutny przypadek, pomyślał Singh. Długo tu zabawi.

Człowiek znany jako Leo zeszywniał na krześle i zamknął książkę.

Nagle wszystko stało się jasne. Powracające koszmary ukazały tkwiącą w nich logikę. A głosy...

Był tylko jeden, i to nie do końca głos. *Rozumiesz mnie?* - odczytał Leo.

- Tak - odparł niepewnie.

*Pamiętasz?*

*Co pamiętam?* - pomyślał i wówczas stało się coś cudownego! Gdy tylko zadał pytanie, oczami duszy ujrzał odpowiedź, jasną i wyraźną. Obraz wojownika, towarzysza broni w niebezpieczeństwie. Przyjaciela leżącego na podłodze, zdradzonego. Brata krwi, który potrzebował pomocy.

Kapitan!

Leo obrócił krzesło tak, że znalazł się naprzeciw drzwi. Zaczekał, aż na korytarzu pojawił się samotny gość, mniej więcej jego wzrostu.

- Przepraszam! - zawołał cicho. - Zechciałby pan wejść na sekundkę? Chodzi o pana przyjaciela.

- O Colina?

Nieważne.

- Powinien pan coś o nim wiedzieć.

Leo przyzwał gestem przyjaciela Colina do swego pokoiku - „Tak żeby Colin nie usłyszał” - i zamknął za nim drzwi.

Jeden cios w kark i mężczyzna runął na ziemię. Leo związał go, zakneblował pasami oddartymi od szlafroka i pozostawił nieprzytomnego, wciśniętego pod łóżko.

- To nic osobistego - rzekł.

Uzbrojony w ubranie ofiary i jego przepustkę zastukał do zamkniętych drzwi oddziału. Nie znał strażnika, któremu przypadł świąteczny dyżur - a strażnik nie znał Lea.

- To bardzo smutne - powiedział, kiedy tamten go wypuścił.

Pięć minut później człowiek, którego wszyscy nazywali Leo, wyszedł na dwór przez frontowe drzwi szpitala. Tyle że nie nazywał się Leo. Nazywał się Liu.

Ethan Liu. Miał do wykonania pilną misję i nie był sam...

Gdzieś tam kapitan Morgan potrzebował jego/ich pomocy.

# SPIS RZECZY

Wstęp i podziękowania.....	5
Ziarno .....	9
Sny .....	22
Przebudzenie.....	82
Potomstwo .....	131
Potyczki .....	202
Wojna.....	262
Żniwa.....	297
Epilog.....	396